

# Raj amerykański





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

EGON ERWIN KISCH

# *Raj amerykański*

TLUM. E. GRODZKI

# *Raj amerykański*

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## DOKTOR BECKER U WRÓT RAJU

Doktor Becker, tak się nazywa nasz bohater, znajduje się z niepewnością w duszy na pokładzie angielskiego parowca pasażerskiego. Nie dlatego dręczy go niepewność, że okręt podskakuje i szturcha, nie dlatego, że łóżko jego znajduje się akurat ponad śrubą okrętową, i nie dlatego, że jadalnia i palarnia jego klasy skutkiem ruchu maszyny nieprzyjemnie wibrują... Mieszkając wewnątrz statku, pasażerowie drugiej i pierwszej klasy odczuwają znacznie mniej podskoki i uderzenia parowca, a ruchu śruby zupełnie nie czują. Poza tym ich uwagę odwraca spacer po stumetrowym, wypolerowanym pokładzie i występy jazz-bandu i śpiewaków, których śpiewny czar przesyła uprzejmie radio do pasażerów gorzej zaopatrzonych klas.

Gorzej zaopatrzone klasy, do których należy doktor Becker, mieszkają na międzypokładzie<sup>1</sup>, ale nie nazywają się pasażerami międzypokładowymi; gdy jakaś instytucja jest jawnie skompromitowana, zmienia się szybko jej nazwę. Międzypokład jest więc wyrugowany, przy czym podzielono go i każdej połowie dano inną nazwę: „klasa turystów” od przodu i „trzecia klasa” od tyłu. Te dwa przedziały różniły się od siebie głównie ceną przejazdu, celem podróży pasażerów (ci z trzeciej klasy są przeważnie emigrantami z wieloma dziećmi) i ich zajęciem. Tak na przykład ustępy klasy turystów noszą napisy: „Ustępy dla panów” i „Ustępy dla pań”, podczas gdy na ustępach trzeciej klasy jest napisane tylko: „Dla mężczyzn”, względnie „Dla kobiet”, a w dodatku we wszystkich europejskich językach, bowiem w tak nędznym tłumie nie można się spodziewać znajomości angielskiego.

Doktor Becker zrezygnowałby chętnie z tablicy „Ustęp dla panów”, gdyby za to nie musiał dzielić swej kabiny, ściśniętej między żelaznymi belkami i słupami, z trzema współtowarzyszami, pomimo że mógł się od nich czegoś nauczyć: od jednego — jak się przed pójściem spać opatruje artystycznie hemoroidy, od drugiego — jak się obcina paznokcie u nóg bez zdejmowania pończoch.

Ponownie spogląda doktor Becker w obszary wyższych klas, którymi mniej uzdolnieni spośród jego towarzyszy zawodu często odbywają podróż po wielkim jeziorze, ci, którzy wśród spokojnych fal swego przyjemnego światopoglądu mogą przewędrować świat pierwszą klasą, bez podskakiwań i uderzeń. Nie zazdrości im własnej kajuty, chociaż bez wątpienia bardziej by się zaprzyjaźnił z czarnooką Węgierką, sąsiadką od stołu, gdyby nie był czwartym w swojej kajucie, a ona czwartą w swojej.

Doktor Becker zazdrości tym uprzywilejowanym, którzy jechali przed nim i po nim, również nie dlatego, że na pokładzie spacerowym pola dla gry *shuffle board*<sup>2</sup> są na stałe wymalowane, podczas gdy na międzypokładzie muszą być codziennie wyrysowane kredą. Zazdrości im także nie dlatego, że zaoszczędzono im nauki, jak się przed pójściem spać opatruje artystycznie hemoroidy i jak się obcina paznokcie u nóg bez zdjęcia pończoch (w każdym razie w odpowiedni do tego sposób podartych). Nie. Zazdrości im — jeśli w ogóle im zazdrości — tylko dlatego, że nie muszą z tak mieszanymi uczuciami jak on odbywać dalszej podróży.

Dlaczego jednak, powiecie, są uczucia doktora Beckera tak mieszane? Uczucia doktora Beckera są złożone z radości i obawy. Radość doktora Beckera, powszechnej natury i łatwo zrozumiała, jest to radość, że zobaczy nową część świata, Amerykę, kraj, który trudno sobie wyobrazić, a najtrudniej poznać z opisów podróży. Jego radość jest pewnym oczekiwaniem, że Ameryka, która nie posiada ani starożytności, ani średniowiecza — można by powiedzieć Kacper Hauser<sup>3</sup> między częściami świata — nie może się ograni-

<sup>1</sup>międzypokład — pokład statku znajdujący się wewnątrz ładowni, pomiędzy głównym pokładem a dnem statku; dawniej wykorzystywany do przewozu emigrantów. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>shuffle board a. shuffle board — klasyczna gra na statkach wycieczkowych, posiada wersję podłogową oraz rozgrywaną na specjalnym stole i polega na przesunięciu krążka z jednego końca wydłużonego prostokątnego pola na drugi, tak by wyeliminować krążki przeciwnika i zyskać większą liczbę punktów poprzez ustawienie własnych krążków na punktowanych polach. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Hauser, Kaspar (1812?–1833) — nieznaney tożsamości chłopiec w wieku ok. 16 lat, który pojawił się w 1828 na ulicach Norymbergi i twierdził później, że większość życia spędził w izolacji w ciasnej, ciemnej celi. [przypis edytorski]

Podróż

Słowo, Obraz świata

czyć w swoim rozwoju, ażeby przejąć i powtórzyć rozwój Starego Świata, a więc krawaty i kamizelki, i szelki, i religie, i szminki, i domy bankowe, i szpiclów policyjnych, i interesy giełdowe, i filmy, lecz musi wszystko to odnaleźć i udoskonalić.

Ale co się tyczy obawy naszego przyjaciela, to jest ona już osobliwej natury. Brzmi ona: Czy ja, doktor Becker, osiągnę to, że uda mi się ujrzeć Amerykę?

Czy zużyte na podróż pieniądze i czas nie okażą się stracone, gdy mnie, doktorowi Beckerowi, nie pozwolą wejść do kraju, tylko wsadzą na następny, powracający do Europy okręt albo skierują na miejsce wygnania, Ellis Island<sup>4</sup>, dopóki się nie wyjaśni moja rola jako oszusta i fałszerza i nie stanie się pewne przetransportowanie mnie do Sing Sing<sup>5</sup>.

Tak; nasz przyjaciel — czy powinniśmy go jednak zawsze tak nazywać? — jest w amerykańskim pojęciu całkowicie nieodpowiedni: już trzy razy odmówiono mu wiza wjazd. Raz, ponieważ jego paszport był napiętnowany przez rosyjskie wize; tłumaczono mu, że z powodu jakichś podejrzanych okoliczności trzeba zasięgnąć wiadomości w Departamencie Prasy. Do tego doktor Becker nie dopuścił. A gdy innym razem w innym mieście z innym paszportem prosił o pozwolenie wjazdu, nie potrzebowano już wiadomości z Departamentu Prasy, aby mu powiedzieć, że przez jawne twierdzenie, iż na Sacco i Vanzettim<sup>6</sup> został dokonany barbarzyński mord prawny, zlekceważył prawo teraz i po wszystkie czasy i wobec tego może przestąpić progi jedynie Królestwa Niebieskiego. Trzeci raz, gdy doktor Becker myślał, że nad jego winą porosła już trawa, powtórzyło się mniej więcej to samo.

Jego przyjaciele radzili mu, aby próbował szczęścia w amerykańskim konsulacie jakiegoś innego kraju albo żeby się wystarał o sfalszowaną lub przez łapówkę o prawdziwą wizę, albo żeby jechał za obcymi papierami<sup>7</sup>, i temu podobne sposoby.

Wszystkie te propozycje doktor Becker odrzucił daleko od siebie — i przyjął tylko jedną.

Z pomocą tejże znalazł się więc na pokładzie angielskiego parowca w drodze do Ameryki, z powodu czego doznawał radości, podczas gdy jednocześnie dręczyła go obawa, aby nie zostać zawróconym do kraju.

Doktor Becker wyjaśnił na piśmie i upewnił pełnymi szacunku słowami, że zawsze uznaje amerykańską konstytucję, że żadną miarą nie pochwała gwałtownego upadku rządów, że nie jest ani anarchista, ani komunista.

W następstwie oddał się doktor Becker rozważaniom nad życiem i zajęciem swoim na okręcie. W porcie Southampton, jeszcze w podróży wzdłuż angielskiego brzegu i do Cherbourga, gdzie wsiadli na okręt pasażerowie z lądu, został omawiany tryb życia wesoło rozpoczęty. Wesołe dziewczątka, wyglądające na 15 do 17 lat, skakały przez sprząty okrętowe i gimnastykowały się na drabince z powiewającymi sukienkami, odsłaniając podczas tego majteczki.

Poważni mężczyźni grali w palarni w kostki przy dżinie, brandy, whisky i koktajlu.

Panie grały w salonie na fortepianie, gdyż weszło to już w zwyczaj, czasem ktoś śpiewał albo tańczył.

Młodzi ludzie zapisywali w swoim notesiku godziny odjazdu i wynotowywali z tablicy, że okręt przebył dzisiaj 487 mil angielskich<sup>8</sup>.

Podczas obiadu rozmawiało się i wiedziało się niebawem o każdym jadącym, czy jedzie do St. Louis, czy do Filadelfii i która to jest z kolei jego morska podróż. W bocznym

Podróż

<sup>4</sup>*Ellis Island* — wyspa u ujścia rzeki Hudson, w porcie miasta Nowy Jork; w latach 1892–1924 znajdowało się na niej główne centrum przyjmowania imigrantów do Stanów Zjednoczonych. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*Sing Sing* — amerykański zakład karny o maksymalnym rygorze, znajdujący się w stanie Nowy Jork. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*Sacco i Vanzetti* — *Ferdinando „Nicola” Sacco* (1891–1927) oraz *Bartolomeo Vanzetti* (1888–1927): włoscy anarchiści, imigranci w USA oskarżeni w 1920 o podwójne zabójstwo na tle rabunkowym; mimo niewystarczających dowodów winy skazani na karę śmierci; wyrok kwestionowało wielu intelektualistów amerykańskich i europejskich, uznając go za skutek uprzedzeń i lęków wobec imigrantów i anarchistów; w 1927 wyrok wykonano; w 1977 zostali zrehabilitowani. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*jechać za obcymi papierami* — jechać na obcych papierach. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*mila angielska* — miara odległości równa ok. 1,6 km; tu zapewne: mila morska, równa ok. 1,85 km. [przypis edytorski]

pokoju nakryto dla obfitującej w dzieci rodziny; siedział tam samotnie przy stole Negr<sup>9</sup>, starszy, prawdopodobnie uczony mąż w okularach, i trawił swój obiad.

Niektórzy Europejczycy dziwili się z tego powodu i dowiedzieli się, że żaden Amerykanin nie będzie siedział przy jednym stole z „*colored man*”, z kolorowym człowiekiem. Niektórzy Europejczycy dziwili się w dalszym ciągu, wtedy otrzymali pełną zastanowienia odpowiedź: „Będziecie inaczej myśleć o Murzynach, gdy pobędziecie trochę w Ameryce”.

Być może, być może, jednak jesteśmy tylko Europejczykami, tzw. sentymentalistami, i Murzynów uważamy również za ludzi. Poczekajmy, aby inaczej myśleć o Murzynach, gdy pobędziemy kilka tygodni w Ameryce.

Krótko mówiąc, było na okręcie wesoło i pouczająco. Ale wkrótce Ocean Atlantycki, na który się właśnie spoglądało, stał się niepokojący. Ukazywały się fale, zaczynało się miotanie z jednej strony okrętu na drugą, szturchanie i tłuczenie. Maszyny terkotały w mózgu i brzuchu, zbierało się na wymioty i dochodziło do nich również.

Na pokładzie stało się bardzo pusto, w salonach i w restauracji tak samo. Nocą leżało się na wąskim łóżku, gdzie dwie deski strzegły przed wypadnięciem. Łóżko było mniejsze niż trumna, trumna biedoty, gdzie nos nawet jest ściśnięty.

Pod głowę podkładał koszyczek z papierową wyściółką, która, gdy była już pełna wymiocin, zostawała zastąpiona przez nową.

Prócz tego były dla czterech osób dwie szklanki z wodą do picia i do płukania, miednica i dwa ręczniki.

Powietrze było na dole bez przesady odpowiednie do tego wszystkiego. Po dwóch, trzech dniach to powietrze i głód wypędziły ludzi znowu na górę, chociaż to nie było łatwe ubrać się w tym stanie, doprowadzić do porządku swoje hemoroidy, wdrapać się po schodach i chwiać się na nich.

W ten sposób zebrało się na pokładzie kilka kobiet w wieku czterdziestu lat, które, złamane, rzuciły się na fotele, przy czym wiatr rozwiewał suknie i ukazywał majteczki, i w ten sposób patrzący ze zmieszaniem poznawał, że starsze damy są identyczne ze skaczącymi, gimnastykującymi się na początku podróży podlotkami.

Mężczyźni w palarni byli bladzi i długo trwało, zanim im znowu smakowało brandy, które przedtem pili tylko dla wzmocnienia, a później whisky, dżin, porter i koktajl.

Najszybciej znalazły się na swych stanowiskach grające na fortepianie damy i dzieci, które skakały przy tych dźwiękach. Na pokładzie grano w okrętowego tenisa, gdzie jako piłka służy gumowy pierścień, który się chwyta ręką i przerzuca przez siatkę. Inne przyjemności polegały na tym, aby miotać gumowe krążki na numerowane pola deski oraz przerzucać pierścienie przez drągi. Głównym sportem jest *shuffle board*, rzucanie drewnianymi krążkami w oznaczoną numerami, o cztery metry oddaloną powierzchnię.

Rozmowy były w toku i wielu ludzi wyrażało obawy, aby nie napotkać trudności przy lądowaniu. Niekiedy amerykański związek robotniczy żądał kaucji w kwocie 500 dolarów od tych, którzy mają pozwolenie tylko na odwiedzenie, aby nie przekraczali prawa dla imigrantów i nie przyjmowali w kraju żadnej pracy. Czasami podany przez emigranta jako poręczyciel obywatel amerykański odmawia poręczenia itp.

Doświadczeni podróżnicy do Ameryki lekceważyli te kłopoty. Już dawno kontrola dla imigrantów przestała być tak surowa. Nikt, kto ma wizę, nie będzie odesłany z powrotem. Tylko niech się nie robi żadnych historii z bolszewikami, bo wtedy są nieubłagani. Zdarzają się między nimi i tacy, którzy zdobywają wizę, ale dochodzi zawsze do tego, że listy pasażerów są przesyłane do Nowego Jorku, a tam policja ma najpewniejsze ilustrowane spisy wszystkich politycznie podejrzanych całego świata.

Poza tym nie podobało się doktorowi Beckerowi to, że od czasu do czasu zanurzał się w obręb gorzej zaopatrzonej pasażerskiej klasy krępy młody człowiek w nielogicznych szklach w rogowej oprawie, który opowiadał wprawdzie, że pierwszy raz jedzie do Stanów Zjednoczonych, ale przedostawał się przez najbardziej zabronione drzwi okrętu.

Wciągnął on doktora Beckera w polityczną rozmowę, zaczynając od nadchodzącego wyboru prezydenta. Jak chętnie przyłączylibyśmy się do tego i szepnęli doktorowi Beckerowi, ażeby w żadnym wypadku nic nie odpowiadał. Za późno. Doktor Becker

<sup>9</sup>Negr (z łac. *niger*: czarny) — człowiek czarnoskóry, Murzyn; obecnie określenie pogardliwe. [przypis edytorski]

rozwinął już przed obcym swoje przekonania polityczne, przyznał się odważnie i otwarcie do partii Jaroslava Haška<sup>10</sup>, umiarkowanego postępu w ramach prawa; jest on wprawdzie republikaninem i demokratą, powiedział doktor Becker, ale odmawia zdecydowanie przyłączenia się do chóru tych, którzy czynią wstręty zdetronizowanym władcom, podczas gdy oni wszyscy, pełni wyrzeczenia, służą tylko woli swych poddanych i nikt z nich nie myśli o swoim powrocie.

W tej chwili przysłała gwałtowna fala, czarnooka Węgierka, stojąca akurat obok, dostała torsji i dyskusja polityczna została w ten sposób zakończona.

Podróż odbywa się dalej i wydaje się, jak gdyby wszystkie turbiny powracały do siebie po morskiej chorobie. Karta w palarni wykazuje przebycie przez dzień 555 mil.

Kilka młodych Amerykanek prosi doktora Beckera, aby im podał najważniejsze wyrażenia mowy niemieckiej, i śmieje się niezręcznie z tego, że „dziecko” jest rodzaju nijakiego, niezależnie od tego, czy jest chłopcem, czy dziewczynką.

Chichocząc, szukają pod stołem oznaki jego męskości, gdyż słyszą, jak się mówi: „*der Tisch*”<sup>11</sup>. Gdy jednak słyszą, że „*Fräulein*” i „*Mädchen*”<sup>12</sup> są również rodzaju nijakiego, parszczą śmiechem i uciekają.

Pomiędzy wzgardzoną trzecią klasą i tą niewzgardzoną można, chociaż to nie jest dozwolone, odważyć się na spacer głęboko pod uprzywilejowanymi drogami.

Ta podmorska droga prowadziła do kotłowni, z których jak z faustowskiej kuźni<sup>13</sup> buchał żar.

Po drugiej stronie korytarza mieszczą się sypialnie i bawialnie; siedzieli tam nadzy ludzie, załoga, wypoczywając po olejowym zaduchu i żarze. Na ścianach wiszą przepisy na wypadek alarmu, zderzenia okrętów, pożaru albo mgły. Załoga ma czekać na swoich stanowiskach, dopóki pasażerowie nie zostaną wyratowani. Plakat zabrania szmuglować morfinę, kokainę, heroinę i ecgomaninę. Grozi kara do tysiąca funtów sterlingów i do dziesięciu lat więzienia.

Przedostatniego dnia, podczas gdy goście okrętowi siedzieli przy kolacji, odbył się pogrzeb marynarza. Robotnik, który przygotowywał posyłki na przychodzący rano z portu nowojorskiego okręt pocztowy, wpadł do głębokiego na 30 metrów szybu i został zdruzgotany. Miał 23 lata, żona jego i dziecko mieszkają w Ameryce i będą jutro prawdopodobnie, promieniejąc szczęściem, czekać na swojego Piotra. Zwłoki zostały zaszyte w sztukę płótna obciążoną kawałkami ołowiu, rozciągnięto ponad nim angielską flagę, kapitan czyta modlitwę i na dwóch linach spuszcza się zmarłego w dół.

Robotnicy wracają z obrządku pogrzebowego z powrotem do maszyn, spotykając pasażerów, którzy po kolacji śpieszą na grę okrętową *lounge room* i w ten sposób dowiadują się o wypadku.

Ponieważ przewodniczącym zabawy jest duchowny, wspomina na wstępie zmarłego przy spełnianiu obowiązku marynarza i odmawia modlitwę, przy czym wszystkie angielskie damy przykładają automatycznie ręce do oczu, aby je z żarliwością zakryć.

— Ale teraz — powiada pastor — zwróćmy się do weselszych myśli.

Pewien młodzieniec recytuje (źle) ustęp z *Pickwicka*<sup>14</sup>, jakaś dama z krzywym nosem śpiewa (źle) arię z *Traviaty*<sup>15</sup>, dwoje dzieci tańczy (źle) charlestona, i pewien kupiec z Chicago opowiada (źle) trzy dowcipy o Irlandczykach.

Podczas tego ostatniego przedstawienia pewien nowojorski kupiec szepnął do jakiegoś innego nowojorskiego kupca, który zrobił słodko-odpychający wyraz twarzy: „*What did you expect from Chicago?*”<sup>16</sup>. I doktorowi Beckerowi zdawało się, że tego mówią-

<sup>10</sup>Hašek, Jaroslav (1883–1923) — czeski pisarz, publicysta i dziennikarz, autor powieści *Przygody dobrego wojska Szwejka podczas wojny światowej*; w 1904 z grupą znajomych założył w praskiej restauracji prześmiewczą Partię Umiarkowanego Postępu w Granicach Prawa, która w 1911 wystawiła swojego kandydata w wyborach do parlamentu austriackiego monarchii austro-węgierskiej. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*der Tisch* (niem.) — (ten) stół. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*Fräulein, Mädchen* (niem.) — panienska, dziewczyna. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*faustowska kuźnia* — taka, jak w opisanej dramacie *Faust. Część druga* Goethego przez Mefistofelesa. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*Klub Pickwicka* — powieść Karola Dickensa. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*Traviata* — opera Giuseppe Verdiego z 1853. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*What did you expect from Chicago?* (ang.) — Czego Pan się spodziewa po Chicago? [przypis edytorski]

cego widział już raz na pewnym weselu w Brünn<sup>17</sup>, gdzie mówiąc o swym przedmówcy z Iglau<sup>18</sup>, takim samym tonem powiedział: „Czy oczekiwaliście czegoś lepszego od Iglau?”.

Później następuje rozgrywanie partii brydża i na koniec zostaje odśpiewany „*Good Save the King*”<sup>19</sup>. Przy podobnych okazjach doktor Becker był ganiony, gdyż nie podnosił się ze swego krzesła, tym razem jednak podniósł się jak patriota: „Nowy Jork wart jest mszy”<sup>20</sup> — rozumował.

Następny dzień jest ostatnim dniem podróży, ale tylko dla pasażerów pierwszej klasy z amerykańskim prawem obywatelstwa — ostatnim na pokładzie. Zewsząd mijano jaskrawo czerwone boje, mają one kształt okrętów i noszą także nazwy okrętów „Nantucket”, „Fire Island”. Wszędzie ożywia się morze, wynurzają się okręty, jakiś torpedowiec zdaje się kierować prosto na nas.

Przy okienku zmieniają wszyscy angielskie pieniądze na amerykańskie.

Koce, pod którymi leżało się na fotelach, odnosi się z powrotem pilnującemu je marynarzowi, który zdejmując dyndającą jako zastaw kartkę z imieniem.

Damy ukazują się ubrane i uszmkowane, starsze damy bierze się teraz znowu, chociaż wiatr nie wieje, za podlotki z Southampton.

Wiele ma do roboty fryzjer w swoim białym sklepie, gdzie dotychczas kupowało się spinki i wodę do ust. Dzisiaj każą się tam golić i fryzować. Jeden z towarzyszy kabiny doktora Beckera, który nauczył go obcinać paznokcie u nóg w pończochach, wetknął teraz za pończochę dwa brylantowe pierścienie i szpilkę z pereł. „Ze względu na urzędników emigracyjnych — powiada — oznaczają one coś zupełnie innego”.

Wieczór zapada. Świeące okręty i latarnie pozdrawiają, mrugając światłem, ze Swinburne Island<sup>21</sup> nadjeżdża łódka z lekarzem urzędowym. Teraz wszyscy pasażerowie muszą odbyć przegląd baranów. Z liczydłem w ręku kontroluje on, czy żadnej sztuki w stadzie nie brakuje. O wpół do siódmej bar w palarni zostanie zamknięty. Mężczyźni do ostatniej sekundy zapewniają swoje żołądki tak wielką ilością whisky, jaką tylko mogą znieść, i czymś ponadto.

Po prawej ręce rząd światła: Coney Island, jak się dowiadujemy, po lewej ręce Staten Island. Reklama gumy kauczukowej pozdrawia elektrycznością wzruszająco i przenikliwie... Tak samo „statua rozjaśniającej życie wolności”. Widzi się ją najpierw z profilu, z pochodnią wyciągniętą daleko; na jej zakrytą postać pada promień światła. Przed niedawnym czasem przyjeżdżał tu cały Nowy Jork, gdy kogoś wieszano. Szubienica jest wyrugowana, elektryczny fotel znajduje się w Sing Sing, a na Bedloe Island<sup>22</sup> stoi Statua Wolności.

I już: za rufą południowy kraniec wyspy Manhattan z drapaczami chmur. Z tymi podniebnymi gniazdami kukulek amerykańskiego świata. Ażeby przez łokcie i pięści City nie zostać wypchnięte do Hudsonu, skupiły się jedne przy drugich na największym brzegu wyspy biura i kantory, na 40 — 50 — 54 piętra wysokie. Sławna „Skyline” — zarys nowojorskich domów-olbrzymów — wznosi się na tle wieczornego nieba. Na fasadach błyszczą prostokąty, wiele rzędów, a więc wiele pięter. Ponad tym promienieją wieże i kopuły. Nie ma możliwości porównania. Widzi się więc, że maleńka zabawka, która od niechcenia leży na ziemi, jest osmio-, dziesięciopiętrową budowlą. Nie jest się

Miasto

<sup>17</sup>*Brünn* (niem.) — niemiecka nazwa miasta Brno, największego miasta na Morawach, wchodzących w skład Republiki Czeskiej (dawniej w skład Czechosłowacji). [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*Iglau* (niem.) — niemiecka nazwa miasta Iglawa, na pograniczu Czech i Moraw. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*Good Save the King* — pol. *Boże, chroń Króla*, hymn państwowy Wielkiej Brytanii oraz hymn królewski jej byłych kolonii. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*Nowy Jork wart jest mszy* — parafraza zdania: „Paryż wart jest mszy”, wg tradycji wypowiedzianego przez protestanckiego króla Nawarry Henryka (1553–1610) przed zmianą wyznania na katolicyzm, co zapewniło mu objęcie tronu Francji (jako Henryk IV). [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*Swinburne Island* — sztuczna wyspa w portowej zatoce miasta Nowy Jork, używana dawniej jako miejsce kwatrantanny dla imigrantów. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*Bedloe Island* — dawna nazwa nowojorskiej wyspy u ujścia rz. Hudson, na której znajduje się wzniesiona w 1886 Statua Wolności; w 1956 nazwę wyspy zmieniono na Liberty Island (Wyspa Wolności). [przypis edytorski]

wzruszonym spotkaniem z drapaczami chmur, tylko oczarowanym. Stoi to wszystko jak jeden blok, Monsalvat<sup>23</sup> na pionowej skale, jego blanki błyszczą i jego wieńce płoną.

Szybko zbliżamy się do miasta w górę Hudsonu obok 50 wspaniałych portów, które nie są portami, tylko przyległościami portu Nowego Jorku. Wszędzie światła i świetlne reklamy.

Nasz statek jest za wielki, aby sam mógł wylądować. Popycha go więc osiem motorówek. Dwie z nich ciągną od przodu, dwie popychają okręt po bokach, po dwie płynię z obwiązany dziobami po lewej i prawej burcie naszego kadłuba. Gdyby ich dzioby nie były otoczone linami, one i my moglibyśmy doznać szkody.

Podczas gdy odbywa się to śmieszne popychanie, na brzegu głęboko pod nami stoją ludzie, wiele setek powiewających chustkami, kapeluszami, krzyczących.

Tylko dwa pomosty zostały spuszczone między angielskim okrętem a amerykańskim łodem: jeden dla pasażerów pierwszej klasy, drugi dla bagaży pasażerów pierwszej klasy.

Wszystko cisnie się razem na miejsca, gdzie spojrzenie i dźwięk połączyć mogą czekających i oczekiwanych. Sceny poznania, ponownego zobaczenia, sceny przyjmowania przyjeżdżających — na odległość. Jeszcze jedna noc na okręcie i to bardzo nieprzyjemna. Okazało się, że hałas maszyn miał swoje korzyści: dzisiaj, gdy maszyny są głuche, słyszy się nie tylko chrapanie i odbijania kolegów z kabiny, ale także wszystko z przyległych kajut. I człowiek, przywykły do terkotania maszyny, do kołysania okrętu, ma teraz chorą duszę i kręci mu się w głowie na skutek nagłej równowagi.

Procedura kontroli paszportów i sprawdzanie osobiste przez komisję emigracyjną trwały długie godziny, od szóstej rano aż do południa. Doktor Becker, który jako zawód podał „autor”, został zapytany, jakiego rodzaju jest pisarzem.

— Piszę nowele i powieści.

— A o polityce?

— *Not at all*<sup>24</sup> — odpowiedział, śmiejąc się.

W ten sposób wszedł do hali przystaniowej — był już w Ameryce.

## WIECZÓR, DZIEŃ I NOC WYBORU PREZYDENTA

Jimmie Walker<sup>25</sup>, burmistrz i najlepiej ubrany człowiek w Nowym Jorku (być dobrze ubranym znaczy w państwie równości tyleż samo, co w korporacji niemieckich studentów), Jimmie Walker stoi na Times Square<sup>26</sup> i przemawia donośnym tonem z pełnymi wyrazu gestami, ładnie zbudowanymi frazesami<sup>27</sup> za demokratycznym kandydatem na prezydenta, Alem Smithem<sup>28</sup>.

Konni policjanci pilnują porządku, tysiące cisną się, aby zobaczyć mowę, usłyszeć przemowę, ożywić ją swoim głosem albo zepsuć.

Jimmie Walker nie reaguje na te zarzuty ani na pochwały, wygłasza swoją przemowę i gdy już jest przy końcu, zaczyna na nowo, nie mniej donośnym tonem, prawie takimi samymi, pełnymi wyrazu gestami i zupełnie tymi samymi, pięknie zbudowanymi frazesami. Robił on to całą noc, nie męcząc się, gdyż nie stoi osobiście na Times Square, lecz tylko *in effigie*<sup>29</sup>; zastał sfilmowany dźwiękowo podczas tej przemowy i obraz jego jest rzucony przez aparat projekcyjny na płótno, a głos przez głośnik ponad plac.

W południe demokratyczny kandydat odbył paradę, przy czym przejeżdżał przez miasto. Najpierw rząd policjantów na motocyklach, później policjanci na koniach; na da-

Polityka

<sup>23</sup>*Monsalvat* — góra, na której miał się znajdować zamek świętego Graala (kielicha, z którego Chrystus pił podczas ostatniej wieczerzy) występujący się w legendach arturiańskich oraz w dramacie muzycznym Richarda Wagnera *Pierścień Nibelunga* (1876). [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*Not at all* (ang.) — Ani trochę. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Jimmie Walker*, właśc. *James John Walker* (1881–1946) — ekstrawagancki polityk amerykański, liberalny demokrat, burmistrz Nowego Jorku (1926–1932). [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*Times Square* — plac na środkowym Manhattanie w Nowym Jorku, główne skrzyżowanie handlowe, miejsce turystyczne, centrum rozrywki. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*frazes* (daw.) — zdanie, zwrot; dziś: stwierdzenie bez głębszej treści, slogan. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*Smith, Alfred Emanuel*, znany jako *Al Smith* (1873–1944) — amerykański polityk, gubernator stanu Nowy Jork (1919–1921; 1923–1929); kandydat Partii Demokratycznej na urząd prezydenta w 1928, przegrał ze swoim rywalem, Herbertem Hooverem z Partii Republikańskiej. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*in effigie* (łac.) — pod postacią obrazu; zwykle jako nazwa dawnego zwyczaju wykonywania symbolicznego wyroku śmierci na podobieństwo zmarłych lub zbiegłych przestępców. [przypis edytorski]



chach dwóch pustych autobusów grają orkiestry; gentlemani — reporterzy i operatorzy filmowi stoją na dachach następných autobusów.

Później: otwarte auto, na którego wzniesionym tylnym siedzeniu króluje kandydat. Nosi jasnobrązowy kapelusz, który go zrobił tak popularnym i który on również zrobił tak popularnym, że wystawy sklepów z kapeluszami przepelnione są jasnobrązowymi, twardymi kapeluszami z takim samym rondem. Al Smith przejeżdża, kiwając na przemian lewą i prawą ręką, niewzruszony, czy lud wyje z radością, czy też gwizdże. Za nim orszak licznych i niezliczonych wyborców w autach z wielkimi plakatami.

To jest wielka parada. Przedtem gazety pisały o tym długie artykuły, wieczorem będą o tym donosić na długich szpaltach. Cóż to było jednak? Kandydat przejechał z towarzyszeniem orkiestry przez ulice Nowego Jorku, „...przez ulice Nowego Jorku...”. To było właśnie to. Pięćdziesięciopiętrowe, po trzy tysiące okien mające domy-piramidy wraz ze swymi płaskimi dachami, swymi wieżycami i swoimi zawieszonymi na zawrotnej wysokości gzymsami są obsadzone ludźmi, którzy są szczęśliwi, że choć na kilka minut oderwali się od kupiectwa, od maszyny do dodawania, od biurka, mogą się gapić, krzyzczeć i rzucać na ulicę prawdziwie amerykańskie papierowe węże i amerykańskie confetti. Te papierowe węże są nieskończenie długimi paskami papieru z aparatów ustawionych w każdym biurze, przyjmujących wiadomości gospodarcze i kursy giełdowe. Confetti zaś pochodzi z zesłorocznych książek telefonicznych z Nowego Jorku, Brooklynu<sup>30</sup> i przedmieść; wbrew przepisom nie zostały one doręczone towarzystwom telefonicznym, tylko zabrane, aby na przyjęcie jakiejś pływaczki przepływającej kanał, jakiegoś lotnika przelatującego ocean albo przynajmniej kandydata na prezydenta móc je rozerwać na kawałki i te kawałki rozrzucić pełnymi garściami.

Tak więc zwisa, kołysze się, powiewa ten pajak z drukowanego papieru z groźnych fasad w dół w puste zaułki ulic, które w okamgnieniu pokrywają się na stopę wysoko rozrzuconymi kursami giełdowymi i telefonicznymi adresami z zeszłego roku, podczas gdy oczekujący sądzi, że jedzie ku potędze i sławie.

W poprzek ulic zawieszono są transparenty z nazwiskami pretendentów, na niektórych fasadach domów widać flagi z portretem jednego z nich, jaskrawoczerwone żarówki tworzą na siedzibach klubów płonące hasła, na wszystkich rogach ulic są rozrzucone ulotki w języku angielskim, włoskim, francuskim, rosyjskim, niemieckim, żydowskim, polskim i greckim.

Plakaty są napisane tylko w jednym języku, oczywiście w każdej dzielnicy w innym.

W Harlemie szaleje wieczorem parada na cześć Hoovera<sup>31</sup>, „partyjnego towarzysza Abrahama Lincolna”. (Dobre wyrażenie, gdyż Lincoln, oswobodziciel niewolników, jest w murzyńskim okręgu uznany za świętego). W stu kinach, salach koncertowych, kabaretach, sklepach muzycznych i lombardach na Lenox Avenue sunie pochód aut z uwieszonymi na nich krzykaczami, wewnątrz aut siedzą elegancko ubrani Murzyni i Murzynki, a na stopniach biedne czarne diabły powiewają flagą i krzyczą: „Głosujcie na Hoovera, głosujcie na Hoovera!”. Pomiędzy autami osobowymi jedzie wóz ciężarowy z orkiestrą. Dziwne to czy też zrozumiałe — była to orkiestra bez saksofonu, bez banjo, bez żadnego instrumentu jazz-bandowego, tylko skrzypce, altówki, waltornie, a zaangażowani przez Murzynów muzykanci są wszyscy biali.

Wielki narożny sklep na Broadwayu<sup>32</sup> ma na oknach afisz: „Jeżeli wątpicie, że Ku-Klux-Klan<sup>33</sup> szcjuje przeciwko Smithowi, to wstąpcie i zobaczcie dowody”. Wstępujemy i widzimy dowody. Pisma, które szyczą ze Smitha z powodu jego katolicyzmu. Karykatury: na plecach Smitha papież wjeżdża do Ameryki, z okien Białego Domu Smith wzywa do siebie szczurzy pochód jezuitów. Napisy na ścianach polemizują: „Nikt nie może być napastowany z powodu swej religii”.

<sup>30</sup>Brooklyn — jeden z pięciu okręgów Nowego Jorku, do 1898 oddzielne miasto. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Hoover, Herbert Clark (1874–1964) — amerykański polityk, działacz Partii Republikańskiej; prezydent Stanów Zjednoczonych (1929–1933), sprawujący władzę w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>Broadway — ulica w Nowym Jorku, w dzielnicy Manhattan, słynąca z mieszczących się przy niej licznych teatrów, kabaretów i modnych sklepów, uważana za centrum kulturalno-rozrywkowe USA. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>Ku-Klux-Klan — rasistowska organizacja funkcjonująca w USA, powstała po zakończeniu wojny secesyjnej, walcząca o utrzymanie supremacji białych protestantów. [przypis edytorski]

Filmują na wyścigi obydwóch pretendentów. Na wielkich filmach, na scenach music hallu widzi się ich jak reklamy Wrigleya<sup>34</sup>: „*Here, there, everywhere*”<sup>35</sup>. W domu, na ulicy, na trybunie.

Starają się oni także przemawiać w każdym amerykańskim domu. Przez radio. Posiadający aparaty usłyszeli godzinny fragment przemówienia Herberta Hoovera w Madison Square Garden<sup>36</sup>, następnie równie długą część mowy Ala Smitha na Brooklynie. Każdy głos, każdy okrzyk pochwalny i każde gwizdnięcie można usłyszeć w każdym mającym radio domu. Gdy hałas po jakimś znaczącym zdaniu trwa zbyt długo, kandydat na prezydenta woła: „Przyjaciele. Nie marnujmy czasu radiowego wiadomościami z zebrania”. Ma rację. Czas radiowy jest drogi: 30 000 dolarów godzina. I przez cały wieczór przemawiają nie tylko kandydaci, ale za nich także towarzysze partyjni.

Dziś wszelako jest dzień wyborów i przez cały dzień panuje cisza nowoczesnej walki. Wszyscy idą do urny, ale nie nowojorczyk: zamiast urny są maszyny do głosowania, trzy albo cztery w każdym lokalu wyborczym. Węże stojących przed nimi wyborców wiją się jeden za drugim i jeden na drugiego. Ludzie zaufania obydwóch partii, oznaczeni znaczkami, chodzą z modelami maszyn tam i z powrotem i objaśniają każdemu, jak to musi zrobić, ażeby jego kandydaci zostali wybrani. (Jego kandydaci. W liczbie mnogiej. Gdyż nie tylko prezydent będzie wybrany, ale także wiceprezydent, gubernator, senator, najwyższy sędzia, najwyższy prokurator i członek Kongresu<sup>37</sup>).

Gdy nadchodzi kolej na wyborcę, jego papiery są sprawdzone, idzie on do „*klozetu*”<sup>38</sup> i przesuwając drążek, przez który jest przeciągnięta firanka. Zamknięty przed całym światem może teraz wykonywać zapewnione prawo wolnego obywatela amerykańskiego: co dwa lata nacisnąć sześć guzików i powrócić do domu.

Dopiero wieczorem, dopiero wieczorem się zaczyna. Times Square, przecznica Broadwayu, jest i w zwykły wieczór najruchliwszym placem na powierzchni ziemi — dzisiaj widzi literalnie setki tysięcy ludzi, które chcą się dowiedzieć rezultatu. Policja nowojorska, wspomagana przez policję z Brooklynu, Bronksu i Staten Island, ma polecone, aby w Siódmej Alei<sup>39</sup> i od Czterdziestej do Pięćdziesiątej Dziewiątej utrzymać komunikację przynajmniej w części.

Jak gdyby gardła stu tysięcy zgodnie myślących nie wystarczyły, każdy ma ze sobą jeszcze piszczałkę albo trąbkę, albo grzechotkę, dzieci uderzają w cynowe talerze i kotły, w miski do mycia, szoferzy wynajmują dachy swych aut, żadne okno w biurach, które w święto, a w dodatku o tej porze już dawno zakończyły interesy, nie jest niezajęte, nie widać żadnej szpary w obramowaniu ogrodów na dachach.

Na ósmym piętrze gmachu „Timesa” rozbłyskują komunikaty. Każdy komunikat rozbrzmiewa także rykiem i dochodzi w ten sposób na akustycznej drodze do rogów ulic, do tych ludzi, którzy nic nie mogą widzieć.

O godzinie dwunastej i jedna minuta w nocy wszystko jest skończone, gdyż ukazuje się płomiennym pismem na ścianie telegram z Ardmoore w Oklahomie:

„Hoover zdobył w Missouri większość 266 głosów w Kolegium Elektorów<sup>40</sup>”.

Ponieważ Kolegium Elektorów składa się z 531 osób, komunikat z siedziby w Oklahomie oznacza większość i rozstrzygnięcie.

<sup>34</sup>Wrigley, William Jr. (1861–1932) — amerykański przedsiębiorca, twórca Wrigley Company: największego na świecie koncernu produkującego gumę do żucia. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*Here, there, everywhere* (ang.) — tu, tam, wszędzie. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>Madison Square Garden — hala sportowo-widowiskowa w Nowym Jorku, na Manhattanie. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>Kongres — dwuizbowy parlament Stanów Zjednoczonych, składający się z Senatu oraz Izby Reprezentantów. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>klozet — tu fonet. ang. *closed*: gabinet, schowek, kabina. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>Siódma Aleja (ang. *Seventh Avenue*) — arteria komunikacyjna po zachodniej stronie dzielnicy Manhattan w Nowym Jorku; system ulic Manhattanu zaprojektowano jako prostokątną siatkę ponumerowanych kolejno ulic, przy czym biegnące ze wschodu na zachód noszą nazwę ulic (*street*), zaś z północy na południe nazwano alejami (*avenue*). [przypis edytorski]

<sup>40</sup>Kolegium Elektorów — konstytucyjny organ państwowy dokonujący co cztery lata wyboru amerykańskiego prezydenta i wiceprezydenta; w wyborach prezydenckich w USA obywatele poszczególnych stanów wybierają elektorów z tego stanu w liczbie równej liczbie jego senatorów (izba wyższa Kongresu) i jego reprezentantów (izba niższa), zależnej od liczby ludności stanu; elektorzy oddają swój głos na konkretnego kandydata na prezydenta. [przypis edytorski]

Rycząc i gwizdząc, wykrzykując z radości i trąbiąc, albo też cicho i z rozczarowaniem rzedną masę i oddalają się. Następnego dnia codzienne pisma są całkowicie wypełnione Hooverem i jego rodziną, rezultatami wyborów, relacjami z wyborów, 22 miliony głosowały za Hooverem, 17 milionów za Smithem, wśród czterdziestu gwiazd amerykańskiej finansjery większość była za Hooverem, tylko ośmiu za Smithem. Zakłady zostały wypłacone, korzyści z zakładów zyskane, na Wall Street<sup>41</sup> sprzedano pięć milionów akcji.

Cóż się stało?

Kandydat partii republikańskiej zwyciężył kandydata demokratycznej. Ale teraz partia demokratyczna stała się naturalnie całkowicie republikańska, a republikańska mocno sobie wypraszała uchodzenie za mniej demokratyczną niż demokratyczna. Różnica społeczna, że demokraci byli kiedyś przedstawicielami plantatorów stanów południowych i drobnomieszczaństwa, zaznacza się tak samo nieznacznie, jak różnica polityczno-historyczna, że republikanie w swoim czasie zwalczali cła ochronne.

Obydwaj kandydaci na urząd osobiście wystąpili ze szczególnymi zachętami politycznymi. Wszelako Hoover, który pokonał konkurenta przy pomocy trzech „p” (powodzenie, protestantyzm i prohibicja<sup>42</sup>), nie akcentował (bardzo zresztą mądrze) swego protestantyzmu. I jego przeciwnik to samo zdziałał dla dobrobytu. Smith także przyczynił się do utrzymania prohibicji, chciał jedynie zwiększyć nieco limit zawartości alkoholu dla określenia „napój upajający”; tłumaczył jednak, że oznacza to zmianę konstytucji, do czego prezydent nie posiada ani mocy, ani możliwości. Warunkowo opowiadał się za utrzymaniem wykorzystywania energii wodnej z dala od prywatnej spekulacji, podczas gdy znowu Hoover pragnął wyzyskiwania jej w sensie możliwie największej pomyślności. Żadna różnica w programach, tylko różnica w hasłach wyborczych.

Nie ma też żadnego pytania co do samej osoby prezydenta, gdyż nikt przy takich wyborach nie może osądzić ani też przepowiedzieć, jak się kandydat zachowa jako prezydent wobec takiego albo innego wpływu. Jedyne, który wystąpił z pewnym programem, był to demokrat Wilson<sup>43</sup>: „Zaden amerykański polityk nie powinien być tak bez czci i o tak słabym charakterze, aby pod jakimkolwiek pozorem doprowadzić USA do wzięcia udziału w wojnie światowej”. Dlatego pomimo olbrzymiej agitacji Ententy został on pod hasłem: „*He kept us out of the war*”<sup>44</sup> ponownie wybrany i — wypowiedział wojnę.

A więc nie ma żadnej kwestii osobistej. Istnieje tylko kwestia partii, których obydwa kierownictwa wyrzuciły osiem i pół miliona na cele agitacyjne, niezależnie od milionów organizacji miejscowych. Kwestia władzy do celów działalności gospodarczej.

Czterdziestu milionów wyborców to nie dziwiło.

— Cóż więc się zmieni — spytał doktor Becker w wieczór wyborów na Times Square jakiegoś podnieconego sąsiada — cóż się właściwie zmieni przez to, że zostanie wybrany Smith albo Hoover?

— Och, zmieni się tak samo dużo, jakby się zmieniło, gdyby Tunney zamiast Dempsey'a został mistrzem świata w boksie.

Polityka

## KLATKI W KLATKACH, KTÓRE STERCZĄ W KLATKACH

Przez całe życie nie widziałem czegoś takiego jak Tombs, sławne więzienie pod Nowym Jorkiem. Pierwotne więzienie stanowiło kopię egipskich grobowców królewskich (*tombs*), co było komiczne i nie odpowiadało celowi gmachu, z tego też powodu niezbędnie konieczny nowy gmach zbudowano w stylu angielskich zamków królewskich.

Jest to więc zamek Tudorów z kominem fabrycznym, kunsztownie okutymi wrotami w murach obronnych i chociaż kasztel nie ma wieży, w każdym kącie jest okap z cegieł

<sup>41</sup> *Wall Street* — ulica w Nowym Jorku, w płd. części Manhattanu, gdzie znajdują się najważniejsze instytucje finansowe USA, w tym siedziba nowojorskiej giełdy. [przypis edytorski]

<sup>42</sup> *prohibicja* — zakaz sprzedaży i produkcji alkoholu, w Stanach Zjednoczonych w latach 1920–1933 obowiązujący na terenie całego kraju. [przypis edytorski]

<sup>43</sup> *Wilson, Thomas Woodrow* (1856–1924) — amerykański mąż stanu, prezydent (1913–1917; 1917–1921); po wybuchu I wojny światowej jako prezydent USA ogłosił deklarację neutralności (7 grudnia 1914); podczas drugiej kadencji, w 1917, po ujawnieniu przechwyconej tajnej depezy niemieckiej proponującej rządowi Meksyku sojusz przeciwko Entencie i Stanom Zjednoczonym oraz rozpoczęciu przez Niemcy nieograniczonej wojny podwodnej przeciw amerykańskim statkom na Atlantyku, opinia amerykańska zmieniła zdanie, Wilson porzucił politykę neutralności i doprowadził do wypowiedzenia wojny państwom centralnym. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *He kept us out of the war* (ang.) — On trzymał nas z dala od wojny. [przypis edytorski]

w kształcie stożka. Nie brak tam także blanków i temu podobnych ozdób, a do sądu prowadzi przejście, które zostało wysklepione po wenecku i zgodnie z tym nazywa się Bridge of Sighs, Most Westchnień<sup>45</sup>. Niech nas nie zaskoczy, jeśli potem jakiś Rockefeller przeznaczy kilka milionów, ażeby urządzić tu ołowiane komory<sup>46</sup>, bowiem Wenecja takowe posiada.

Więzienie wygląda więc od zewnątrz solidnie. Wewnątrz, przeciwnie — przez całe życie nie widziałem czegoś podobnego.

Pierwsze wrażenie wywołują szeryfowie, którzy właśnie wracają z sądu i są spętani. Mógłby ktoś uczynić zarzut, że to nie oni są spętani, tylko więźni, którego przyprowadza każdy szeryf. Ale niektóre kajdanki krępują z jednakową siłą obydwóch — że to jest prawa ręka jednego i lewa ręka drugiego, znaczy to niewiele. Ważniejsze jest, że eskortujący ma klucz od kajdan i rewolwer w kieszeni, eskortowany zaś w najlepszym razie tylko rewolwer.

Spotyka się także szeryfów, którzy właśnie odstawili więźniów i trzymają w rękę cały skład poniklowanych, żelaznych kajdan.

Mijając dwa pokoje, w których przez żelazne kraty więźni może się porozumieć ze swoim obrońcą, idzie się do wewnątrz: do cel. Żadna nie ma drzwi, zamiast tego jest krata, tak że jej mieszkaniec ani przez jedną godzinę dnia czy też nocy nie jest sam; siedzi w klatce, w każdej chwili na widoku przechodzących strażników, a przy tym zawsze zamknięty.

I jak zamknięty! Korytarz — zna się te wiadukty z każdego więzienia — jest tutaj zaledwie na pół metra szeroki i biegnie tylko wzdłuż dziesięciu cel; sześć takich galerii na każdym piętrze. Ale nie tylko cele są odgraniczone jedna od drugiej: zamknięty jest każdy korytarz i każde wejście na każde piętro. Przez całe życie nie widziałem czegoś takiego: więzienie, gdzie w górę i na dół, na prawo i na lewo nie można w żaden sposób zrobić więcej jak osiem kroków, żeby się nie uderzyć o jakąś zamkniętą kratę.

W porze posiłków otwiera się niektóre drzwi: prowadzące do kuchni, te, przez które wchodzi posługacze, ażeby posprzątać lub przynieść chleb. Jeżeli z jakiegoś powodu powstanie niepokój, wtedy wystarcza dotknięcie urządzenia alarmowego, ażeby wszystko zamknąć i uniemożliwić wszelką komunikację separarek.

Środek piętra, gdzie zbiegają się cztery cele, jest bardzo wąski, tak wąski, że się nie można poruszać: w tym miejscu odbywa się godzina ruchu, spacer.

W celi jest umywalka z bieżącą wodą i miska klozetowa, do tego mały stolik z mydłem do pierwszego celu i papierem do drugiego. Stolik wypełnia długość poprzecznej ściany, nad nim pali się żarówka bez abażuru, na prawo przy ścianie są ustawione jeden nad drugim dwa tapczany na noc i stołeczek na dzień oraz stoliczek. Jest to w równej mierze mieszkanie dla tego, kto z powodu przekroczenia zakazu został skazany na jeden dzień aresztu (za wykroczenie kierowca otrzymuje od sądu za pierwszym razem jeden dzień aresztu lub dwa dolary, za drugim razem dwa dni albo 25 dolarów, za trzecim razem 50 dolarów albo pięć dni i odebranie prawa jazdy), jak i dla tego, którego przyprowadzono pod zarzutem licznych mordów rabunkowych i może teraz czekać nawet szesnaście miesięcy, aż przez Most Westchnień zostanie zaprowadzony na rozprawę.

Gdyż City Prison of Manhattan gości u siebie aresztowanych do czasu rozprawy (*trial cases*) oraz ludzi, którzy już są skazani (*sentenced*), i to na więzienie powyżej sześciu miesięcy. Ci jednak mają wspólne sypialnie poza kratami.

Oddzielnie umieszczeni są także młodzi ludzie w wieku od 16 do 20 lat uprzednio jednokrotnie karani (*second offenders*<sup>47</sup>) i dotychczas jeszcze niekarani. Mieszkają oni w starej części zamku Tudorów pod Mostem Westchnień, w miejscu, gdzie do 1888 roku stała nowojorska szubienica. Szubienica została później usunięta, a barbarzyńska kara wieszania została zniesiona i zastąpiona przez „humanitarne” krzesło elektryczne.

<sup>45</sup>Most Westchnień (wł. *Ponte dei Sospiri*) — najbardziej znany most w Wenecji, zbudowany w 1600 nad kanałem Rio di Palazzo; przeprowadzano przez niego skazańców z sali sądowej w Pałacu Dożów do znajdującego się po drugiej stronie więzienia. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>Ołowiane (wł. *Piombi*) — dawne więzienie w pałacu Dożów w Wenecji, położone bezpośrednio pod dachem budynku, pokrytym ołowianymi płytami. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*second offender* (ang.; lm: *offenders*) — osoba, która po raz drugi popełniła przestępstwo. [przypis edytorski]

Dla kokainistów i morfinistów, którzy zwykle są jednocześnie szmuglerami tych truziczn, zarezerwowano trzecią separatkę, nie dlatego, ażeby się bliżej poznali i tworzyli spółki handlowe, ale ponieważ postępowanie w tych wypadkach jest zawsze jednakowe.

Przez całe moje życie nie widziałem czegoś podobnego — więzienie, w którym dwa razy dziennie, o godzinie dziesiątej rano i o wpół do trzeciej po południu, żelazne wrota korytarza otwierają się przed gazeciarem, który biegnie wzdłuż cel i sprzedaje gazety i magazyny. To dobrze. I dobre jest to, że tutaj, jak w każdym amerykańskim więzieniu każdy może palić tyle, ile tylko pragnie. (Kiedyż wreszcie w niemieckich więzieniach i aresztach ustanie męka zakazu tytoniu!)

Aresztowany może raz dziennie bezpłatnie telefonować i tylko za każde dalsze połączenie musi zapłacić pięć centów. Jest tutaj sklep, gdzie można otrzymać najrozmaitsze rzeczy, nie tylko fajki wraz z tytoniem, cygara, papierosy i zapalki (Niemcy, słuchajcie: zapalki w więzieniu!), gumę do żucia, czekoladki (!), wodę sodową, piwo imbirowe, ciastka, marmoladę, sardynki w oleju, spaghetti, mleko kondensowane, wędzone śledzie, jabłka, pomarańcze, pióra, papier do pisania, znaczki pocztowe, krem do golenia, szczotki, proszek do golenia i pastę do zębów, ale także koszulki, kalesony, koszule, skarpetki, chustki do nosa we wszystkich kolorach, sztylpy<sup>48</sup> do butów, wehniałe rękawiczki. W kobiecych więzieniach są także bluzki, pończochy, gorsety, igły, siatki do włosów, grzebyki kieszonkowe i zapinki.

Restauracja na miejscu. Kelner chodzi od celi do celi, przyjmuje zamówienia i usługuje tym, którzy mają pieniądze i nie są zadowoleni z ustawowego jadła. Jest to zadziwiające. Ale europejska metoda wykonania kary, znosząca różnice między biednym i bogatym jedynie w ten sposób, że obydwóch zmusza się do nędznego jadła więziennego, tak samo mało się przyczynia do wymiaru sprawiedliwości. Najszluszniej byłoby wtedy, gdyby jadło było przyzwoite i nie pociągało za sobą konieczności dożywiania się. Och! To przekonanie burżujów, że przestępcy w więzieniu mogłoby być za dobrze! Więzienie zawsze pozostanie strasznym, przerażającym miejscem, nawet wtedy, kiedy można tam jeść przyzwoicie, spotykać się ze swoją żoną, do woli palić, pisać listy i przyjmować listy i wizyty.

Potrawy z restauracji opłacane są więziennymi monetami, a towary ze sklepu czekiem podpisanym przez więźnia i świadka.

Jest też kościół. Piękny ołtarz, położony w głębi, mieści się tutaj dlatego, aby ewangelicki pastor modlił się do Zbawiciela, którego obraz wisi ponad krzyżem. Ale pst! Zanim się obejrzałeś, ołtarz się zapadł, nic po nim nie pozostało, ani krucyfiks, ani Jezus, pokrywa stała się arką przymierza, a kościół synagogą. To mi się podoba, jedno pociągnięcie i nowa świątynia; dlaczego jednak, na Jehowę, względnie na miłość Chrystusa, to nie wystarcza, dlaczego, o, święta Mario, katolicy na dolnym piętrze muszą mieć własną kaplicę, a Christian Science<sup>49</sup> własną. (A propos, „*Jewish science*”<sup>50</sup> nazywają w Ameryce psychoanalizę).

Zanim weszliśmy do Tombs, widzieliśmy na ulicy grupę ludzi. Czekali przed małymi drzwiami w murze, na których był napis: „*Visitors Entrance*”<sup>51</sup>, i widzieliśmy na ich twarzach tę smutną mieszaninę oczekiwania na widzenie się i troski, która jest towarzyszem wizyt więziennych. W lodowym grudniu ludzie ci muszą czekać na dworze, wystawieni na spojrzenia przechodzących. Nie domyślaliśmy się nawet, jak straszna jest ta wizyta tutaj.

Ludzie pchają się do sieni, która prowadzi do wnętrza i po kilku krokach się kończy. Po lewej wzdłuż korytarza ciągną się numerowane, wąskie szafki; w każdej stoi krzesło. Jedną ścianę szafy stanowi gęsta druciana siatka.

Dla każdego odwiedzającego szafa. Naprzeciw każdej szafy w odległości pół metra znajduje się inna szafa, nosząca taki sam numer i tak samo gęsto odrutowana. Wewnątrz, zamknięty i przygotowany do wizyty, jest więzień.

Tak siedzą naprzeciw siebie, wzajemnie się prawie nie widząc, nieruchomi i oddaleni, matka i syn, ojciec i córka, małżonek i małżonka; obok być może małżonki, być może

<sup>48</sup>sztylpy — wysokie cholewy doczepiane do buta. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*Christian Science* (ang.) — Stowarzyszenie Chrześcijańskiej Nauki, wyznanie religijne założone w 1879 w Stanach Zjednoczonych przez Mary Baker Eddy. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*Jewish Science* (ang.) — dosł.: żydowska nauka. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*Visitors Entrance* (ang.) — wejście dla odwiedzających. [przypis edytorski]

matki, być może synowie, upiorny szereg naprzeciw równie upiornego. Oczekujący stoją na końcu pokoiku i rozglądają się.

„Ażeby odwiedzający niczego więźniom nie dawali, żadnych pilników, alkoholu, broni ani narkotyków”. Tak jest tłumaczony ten system.

W Europie też pomyślano o tych rzeczach, bez tego, żeby... nie, przez całe życie nie widziałem podobnego więzienia.

## KAPITOL I STOLICA

Przyzwyczajony ustalać swoje wyobrażenia o czymś nadchodzącym, aby je później móc porównać z rzeczywistością, doktor Becker odmalował sobie Waszyngton jako rodzaj Hagi<sup>52</sup>, balkon Ameryki. Balkon jest to coś, co z resztą domu nie ma nic wspólnego. Nie mieszka się tam, ale siedzi się tam i je.

Jak więc wyobrażał sobie doktor Becker miasto Waszyngton? A więc tak: pałace rządowe wznoszące się na cichych placach, radcy ministerialni na emeryturze spacerujący po chodnikach, czynni sekretarze państwowi przejeżdżający w wielkich autach, hotele dyplomatyczne, kawiarnie na trotuarze z senatorami, deputowanymi, dziennikarzami, politykującymi damami i rzeczami do kupienia.

Przy porównaniu okazał się ten produkt fantazji fałszywy. Wszystko to byłoby zbyt europejskie. Ale Waszyngton nie jest również amerykański — oprócz jednej okolicy, i w tej jest nawet głównym miastem Ameryki. Mianowicie jest zbiorowiskiem wszystkich nieamerykańskich stylów, które znajdują się na niewłaściwym miejscu. Gmach urzędu finansowego wznosi się jako potężna attycka<sup>53</sup> świątynia, tak że może się zdawać, iż jest przeznaczona dla wierzących, lecz nie dla wierzących Wall Streets całego świata. W cieniu świątyni finansów otoczone drzewami i krzewami mieści się Tusculum<sup>54</sup>, Biały Dom, jakby zbudowany dla zabawy kędzierzawego rzymskiego młodzieńca ze swoją Lawinią<sup>55</sup>. (Hooverze, nie dawaj mi żadnych znaków). Reichstag<sup>56</sup> nie nazywa się Reichstgiem ani Parlamentem, nazywa się Kapitol<sup>57</sup> i dlatego jest zbudowany częściowo na wzór londyńskiej katedry Świętego Pawła<sup>58</sup>, częściowo na wzór kościoła Świętego Piotra<sup>59</sup>, który też nie stoi na kapitolinijskim pagórku<sup>60</sup>.

Jako model głównego dworca, Union Station, posłużyły Termy Dioklecjana<sup>61</sup>, a ku pamięci George'a Washingtona<sup>62</sup> na brzegu rzeki Potomac wzniesiono obelisk<sup>63</sup> ludzko podobny do egipskich.

Miasto, Sztuka

<sup>52</sup>Haga — nadmorskie miasto w Holandii, siedziba rządu, parlamentu i rodziny królewskiej. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>attycki — związany z Attyką, krainą hist. we wsch. części Grecji, zjednoczoną przez Ateny w miastopajństwo. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>Tusculum — dawna miejscowość w Italii (5 km od Rzymu), dokąd wyjechał ze stolicy staroż. pisarz i filozof Cynceron i żyjąc samotnie w swojej posiadłości, pisał traktaty filozoficzne, m.in. *Rozmowy tuskulańskie*; przene miejsce odpoczynku lub twórczości, oddalone od zgiełku miasta. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>Lawinia (mit. rzym.) — księżniczka z Lacjum w Italii, jedna z bohaterek *Eneidy* Wergiliusza. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>Reichstag — nazwa parlamentu niemieckiego; także: potoczna nazwa wzniesionego w 1894 budynku będącego siedzibą Reichstgiu (właśc. *Reichstgsggebäude*). [przypis edytorski]

<sup>57</sup>Kapitol Stanów Zjednoczonych (ang. *United States Capitol*) — budynek w Waszyngtonie pełniący funkcję siedziby Kongresu Stanów Zjednoczonych (amerykańskiego parlamentu); wzgórze, na którym się znajduje, nazwano Wzgórzem Kapitolinijskim (ang. *Capitol Hill*). [przypis edytorski]

<sup>58</sup>katedra św. Pawła (ang. *St Paul's Cathedral*) — jedna z największych katedr na świecie i najbardziej charakterystycznych budowli Londynu; zbudowana w 1710 w stylu barokowo-klasykistycznym, zwieńczona monumentalną kopułą o średnicy 50 m. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>Bazylika św. Piotra na Watykanie — rzymskokatolicka bazylika na Wzgórzach Watykańskich w Rzymie, jedna z największych katedr na świecie, arcydzieło architektury renesansu i baroku. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>kapitolinijski pagórek — Kapitol, wzgórze w Rzymie; w starożytności twierdza i miejsce kultu, m.in. stała na nim świątynia triady głównych bóstw: Jowisza Kapitolinijskiego (władcy bogów), Junony i Minerwy. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>Termy Dioklecjana — dawny wielki kompleks łaźni publicznych w Rzymie, wzniesionych na pocz. IV w., nazwanych imieniem cesarza rzymskiego Dioklecjana; kiedy podczas wojen w VI w. zniszczono doprowadzając wodę do miasta akwedukty, termy zostały porzucone i popadły w ruinę. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>Washington, George (1732–1799) — amerykański polityk i wojskowy, pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych, jeden z tzw. ojców założycieli. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>obelisk — czworosłup, zwężający się ku górze słup zakończony ostrosłupem (piramidką), charakterystyczny element architektury starożytnego Egiptu; obeliski stawiano parami przed wejściami do świątyń. [przypis edytorski]

Czy Wilson dostanie pomnik w postaci sfinksa, zobaczymy jeszcze. Mauzoleum Lincolna<sup>64</sup> jest świątynią, podobnie świątynia wolnomularska jest mauzoleum — skopiowanym na wzór Mauzoleum<sup>65</sup> w Halikarnasie w Azji Mniejszej.

I jeszcze coś jest prawdziwie amerykańskiego: wyraża się to w waszyngtońskich *burlesque shows*. Są one wszędzie, od Times Square w Nowym Jorku poprzez ulice małych miast głęboko na zachód. Ale w Waszyngtonie, gdzie amerykańizm nie szaleje z tak morderczą żądzą, zadziwiają te najgłębsze poniżenia kobiety, odwrotna strona blasku kobiet, panowania *girlsów*<sup>66</sup> i przede wszystkim tych *grandezz*<sup>67</sup>, dla których dziesięciu mężczyzn zdejmuje kapelusz w windzie, gdy wszędzie jakiś smarkaty podlotek. Nie dotyczy to, naturalnie, biura albo fabryki, gdzie dama nie jest damą, tylko pracującą kobietą.

W burleskach więc, ażeby dać przy tej sposobności charakterystykę życia amerykańskiego, główny dowcip polega na tym, że każda z na wpół nago tańczących lub śpiewających na estradzie kobiet po skończonym występie powraca zza kulis na oklaski na położony ponad widownią mostek i za każdym razem bardziej się obnaża. W końcu nie ma nic na sobie prócz cienkiej opaski, którą później, wśród ciszy zapartych oddechów audytorium, rozwiązuje. Pod tą ma drugą. Gdy klaszczący przymus nie ustaje — występujący po niej koledzy przerwali swój występ i stoją dokoła na estradzie — wtedy musi ona zrobić jeszcze kilka trzęsących poruszeń brzuchem albo przeciwną stroną.

Ani jednego słowa przeciw temu prawdziwemu świństwu! Ale tysiąc słów zarzutu przeciw purytanizmowi<sup>68</sup>, który indiańskim rzeźbom w muzeach obcina organy płciowe i zasłania dzieła sztuki, przeciw pruderii, która występuje wszędzie, przeciw galanterii, z którą się osłania dama, ażeby na widowni w burleskach okazać swoją prawdziwą naturę, poniżyć kobietę po zwierzęcemu, jawnie — w dosłownym znaczeniu tego słowa — ją obnażyć.

Ale myśmy chcieli mówić o Waszyngtonie, głównym mieście Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Jest ono z wyjątkiem omówionych architektonicznych i seksualnych drobnostek zupełnie nieamerykańskie. Tak że tu nawet jest wiele sklepów z pamiątkami z podróży, podobnie jak w Marsylii (znakomici pisarze-podróżnicy zmieniliby tylko zwrot: „jak w Santiago di Compostella<sup>69</sup>”). Można więc kupić emaliowane łyżki z Kapitołem, medaliony z portretem Benjamina Franklina<sup>70</sup>, talerze, na których Biały Dom, Obelisk, Treasury<sup>71</sup> i Akropolis<sup>72</sup> wzniesione ku pamięci Abrahama Lincolna połączyły się w najlepszej zgodzie. Są, naturalnie, i serie widokówek, ale w zadziwiający sposób w Waszyngtonie, gdzie znajduje się państwowa drukarnia i litografia<sup>73</sup> dolarów, tak samo mało jest tych widokówek, jak i gdzie indziej w Ameryce.

<sup>64</sup>Lincoln, Abraham (1809–1865) — amerykański polityk i prawnik, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki podczas wojny secesyjnej; zginął z ręki zamachowca. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>Mauzoleum w Halikarnasie — monumentalny grobowiec ku czci Mauzolososa (IV w. p.n.e.), króla Karii, zbudowany przez jego żonę Artemizję, zaliczany do 7 cudów świata starożytnego; budowla nie zachowała się do naszych czasów. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>girl (ang.; lm: girls) — dziewczyna. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>grandezza (wł.) — tu: wielka dama. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>purytanizm (z łac. *puritas*: czystość) — ruch religijno-społeczny dążący w XVI–XVII w. do zwiększenia czystości doktrynalnej Kościoła anglikańskiego oraz propagujący surowe zasady moralne i obyczaje; prześladowani w kraju od 1620 purytanie osiedlali się w koloniach angielskich w Ameryce Północnej, w których stali się dominującą przez stulecie grupą ludności. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>Santiago di Compostella — miasto w miasto w pln.-zach. Hiszpanii, od średniowiecza ośrodek kultu i cel pielgrzymek do grobu św. Jakuba. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>Franklin, Benjamin (1706–1790) — amerykański polityk, uczyony, filozof i wolnomularz, jeden z autorów Deklaracji niepodległości Stanów Zjednoczonych i tzw. ojców założycieli. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>Treasury (ang.) — Skarbiec; tu: Budynek Skarbu Stanów Zjednoczonych (Treasury Building), zabytkowa, neoklasycystycznym budowlą rządowa w Waszyngtonie, wzniesiona w latach 1836–1869. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>Akropolis wzniesione ku pamięci Abrahama Lincolna — mauzoleum Lincolna w Waszyngtonie, odsłonięte w 1922: zbudowany na planie prostokąta budynek, otoczony kolumnami doryckimi, przypominający wyglądem klasyczną grecką świątynię (taką jak Partenon na ateńskim Akropolu), z wielkim posągami Abrahama Lincolna we wnętrzu. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>państwowa drukarnia i litografia dolarów — Bureau of Engraving and Printing, amerykańska agencja rządowa w Departamencie Skarbu, projektująca i produkująca banknoty, skarbowe papiery wartościowe itp.; litografia (z gr.): metoda druku i technika graficzna polegająca na wykonaniu rysunku tłustą kredką, farbą lub tuszem na płycie kamiennej, pokryciu go farbą drukarską i odbiciu na papierze; także: odbitka powstała tą metodą. [przypis edytorski]

Skrzyżowanie korytarzy w Kapitolu nazywa się Hall of Fame<sup>74</sup> i każde z 48 państw związkowych<sup>75</sup> ma prawo postawić tutaj nadnaturalnej wielkości posąg swoich dwóch najslawniejszych synów, skutkiem czego wygląda ono, jak gdyby ktoś kupił berlińską Siegesallee<sup>76</sup> i przeniósł ją do sieni swojej willi. Jeśli jeszcze zanotujemy, że wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, Dawes<sup>77</sup>, podczas dwóch posiedzeń odwiedzonych przez doktora Beckera był przewodniczącym, to mamy już jak na dłoni wszystko, co się da powiedzieć przeciwko Waszyngtonowi.

Zresztą jest to ładne miasto, przede wszystkim dlatego, że tutaj nie rzucają się w oczy policjanci. Filadelfię, wspólnie z którą ma znaczenie dla historii i tradycji, przewyższa czystością, a miasta z drapaczami chmur — spokojem. Po zakończeniu przedstawienia w teatrze można godzinę iść przez ulicę i nie spotkać człowieka.

Library of Congress, słusznie na cały świat sławna, spełnia wszystkie warunki, których można wymagać od biblioteki. Dom jest wart swoich 6 032 000 dolarów, a dwa tysiące okien w salach do czytania, w salach z książkami, w salach z pokazami umożliwiają prawie całodzienną pracę przy naturalnym świetle. W sali ze zbiorami manuskryptów w otwartej szafce ze szczerego złota znajduje się Deklaracja Niepodległości Ameryki; wśród wystawionych manuskryptów prezydentów nie brakuje także manuskryptów Andrew Johnsona<sup>78</sup>, który z powodu korupcji i oszustw finansowych został postawiony w stan oskarżenia, oraz Hardinga<sup>79</sup>, którego samobójstwo z powodu udziału w oszustwie jest jawną tajemnicą.

Chociaż w Library of Congress<sup>80</sup> przypadkowo jest o dziesięć książek więcej ulubionego pisarza<sup>81</sup> doktora Beckera niż w nowojorskiej Public Library (tam mają tylko *Sprawę szefa sztabu generalnego Redla*<sup>82</sup>, *Jako żołnierz Korpusu Praskiego*<sup>83</sup> i *Klasyków dziennikarstwa*<sup>84</sup>), musiał jednak doktor Becker uznać wartość nowojorskiej, gdyż ona rzeczywiście służy ludowi. Każdy przechodzący Fifth Avenue<sup>85</sup>, który ma kwadrans czasu, każde dziecko, które chce książki z przygodami (jest tam czytelnia dziecięca), i każdy cudzoziemiec, który chce czytać gazetę swego kraju, każdy kupiec, który chce przerzucić przepisy han-

Książka

<sup>74</sup>Hall of Fame (ang.) — Sala Sławy. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>48 państw związkowych — tj. stanów, wchodzących w skład federacyjnego państwa Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej; obecnie państwo tworzy 50 stanów: w 1959 status stanów otrzymały Hawaje oraz Alaska, wcześniej będące tzw. terytoriami inkorporowanymi USA. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>Siegesallee (niem.: aleja Zwycięstwa) — dawna reprezentacyjna aleja w Berlinie, powstała na polecenie cesarza Wilhelma II, mająca długość 750 m, ozdobiona ponad trzydziestoma marmurowymi posągami mar-grabiów i elektorów brandenburskich oraz królów pruskich, przy czym każdej z głównych postaci towarzyszyły dwa popiersia ważnych osób z jej czasów. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>Dawes, Charles Gates (1865–1951) — amerykański polityk i finansista; laureat Pokojowej Nagrody Nobla (1925), przyznanej za pracę nad planem Dawesa, regulującym problem spłaty niemieckich reparacji po I wojnie światowej; wiceprezydent USA u boku prezydenta Calvina Coolidge'a (1925–1929). [przypis edytorski]

<sup>78</sup>Johnson, Andrew (1808–1875) — amerykański wiceprezydent (1865), po śmierci Lincolna prezydent Stanów Zjednoczonych (1865–1869); za zdymisjonowanie członka rządu bez zgody Senatu usiłowano pozbawić go urzędu pod zarzutem zdrady stanu; w procesie sądowym przed Senatem został u niewinniony. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>Harding, Warren (1865–1923) — amerykański polityk, prezydent Stanów Zjednoczonych (1921–1923); kiedy w 1923 wykryto aferę korupcyjną w administracji centralnej, dla uniknięcia skandalu pozwolił jednemu z głównych winnych uciec do Europy, drugi po wszczęciu śledztwa przez Senat popełnił samobójstwo; zmarł nagle, po jego śmierci ujawniono szereg skandali i nadużyć z udziałem administracji prezydenckiej. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>Library of Congress — Biblioteka Kongresu, pełniąca rolę biblioteki narodowej USA, zał. w 1800 w Waszyngtonie, mieszcząca się w budynkach przy Independence Avenue; zawiera obecnie ok. 170 mln pozycji. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>ulubionego pisarza doktora Beckera — tytuły książek pokazują, że jest nim sam autor, Egon Erwin Kisch. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>Sprawa szefa sztabu generalnego Redla — w oryg. *Der Fall des Generalstabschefs Redl*; wyd. w 1924 roku książka ukazująca kulisy największej afery szpiegowskiej przed wybuchem I wojny światowej: pułkownik Alfred Redl, szef sztabu generalnego VIII korpusu armii austro-węgierskiej w Pradze, okazał się pracować jako szpieg na rzecz Rosji carskiej; po zdemaskowaniu 25 maja 1913 popełnił samobójstwo. Niezwłocznie po samobójstwie Kisch opublikował serię artykułów na ten temat w czasopiśmie praskim „Bohemia”, dziesięć lat później książkę, po polsku noszącą również tytuł *Z tajemników szpiegostwa*. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>Jako żołnierz Korpusu Praskiego — oryg. *Als Soldat im Prager Korps* wyd. Praga 1922; dziennik Erwina Ego-na Kischa ze służby w wojsku austro-węgierskim podczas I wojny światowej, znany też pod tytułem z wydania późniejszego tytułem *Zapisz to, Kisch!* (oryg. *Schreib das auf, Kisch!*) (1929). [przypis edytorski]

<sup>84</sup>Klasyki dziennikarstwa — oryg. *Klassischer Journalismus*, wyd. Berlin 1922; antologia dziennikarstwa opracowana przez Erwina Ego-na Kischa. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>Fifth Avenue (pol.: Piąta Aleja) — główna ulica centrum nowojorskiego Manhattanu, jedna z najpopularniejszych i najbardziej rozpoznawalnych ulic handlowych świata. [przypis edytorski]



dlowe, może tu przyjść w zimowym palcie, wypełnić (jeden raz, bezpłatnie!) karteczkę; po pięciu minutach jego numer zapala się w okienku na czerwono i otrzymuje książkę; gdy bierze sobie krzesło i wpisze jego numer w formularzu, wtedy książki zostają mu dostarczone wprost na jego miejsce. Nie potrzebuje żadnej karty wejścia, żadnej legitymacji, żadnej należności, żadnego zastawu; także podwójny „własnoręczny podpis” na niemieckich kwitach, który sprawia, że urzędnik wydający nigdy nie może przeczytać nazwiska, tutaj nie jest wymagany; przeciwnie, kto stale pracuje w tej bibliotece, stempluje pewną ilość kartek swoim imieniem i musi tylko napisać na tym numer książki. (Jak to — pyta Niemiec — bez zanotowania wydawnictwa ani roku wydania? Nie). Pokoje do pracy mają podręczne katalogi dla rozmaitych działów, ognioodporne szafy do użytku każdego korzystającego, stoły z maszynami do pisania i umywalki z suszarkami na gorące powietrze.

Najwspanialsza jednak jest kartoteka, w której każdą z trzech milionów książek można znaleźć trzy albo cztery razy, raz pod nazwiskiem autora, drugi raz pod tytułem książki, raz lub dwa razy w dziale wiedzy, do której należy. W ten sposób uporządkowano również odnoszące się do najważniejszych zagadnień czasopisma, a nawet artykuły.

W Waszyngtonie czytelnia nie jest częścią ulicy, tutaj pod malowanym wesołymi barwami, bliskim nieba sklepieniem pracują poważni ludzie, których tylko lekkie sapanie odrywa od zdobywania prawdziwej wiedzy. Podobno jest tu o milion tomów więcej niż w Nowym Jorku, rekord British Museum<sup>86</sup> prawie osiągnięty. Każde dzieło, skoro się ukazuje w świecie i ma być objęte prawem autorskim<sup>87</sup>, musi zostać posłane w obowiązkowym egzemplarzu do Biblioteki Kongresu.

Kto się nudzi w Waszyngtonie, kto nie ma tutaj znajomych albo kto z jakiegokolwiek innej przyczyny chce to uczynić, idzie o kwadrans po dwunastej do prezydenta Stanów Zjednoczonych i podaje mu rękę. Należy tylko podpisać się w przedpokoju Executive Office<sup>88</sup>, napotyka się potem urzędnika z wiadomym pytającym spojrzeniem: „Czy tak wygląda morderca?”, i należy się przyłączyć do pochodu, który się powoli posuwa w kierunku Gabinetu. Blisko drzwi stoją na zewnątrz dwaj uzbrojeni mężczyźni, a wewnątrz na stanowisku mister Coolidge<sup>89</sup>. Krzepki starzec o ptasiej twarzy wyciąga do każdego rękę i stawia na przemian pytanie i twierdzenie. Pytanie brzmi: „Jak panu się powodzi?” Twierdzenie: „Zadowolony jestem, że pana widzę”. Potem robi się pięć kroków. Tam są drzwi!

Gdy przy tym jest jakaś delegacja (doktor Becker wkręcił się do jakiejś), pyta: „Czy chcecie mieć fotografię?”. Później wszyscy grupują się na murawie, dwudziestu fotografów ustawia swoje kamery, woła się prezydenta Stanów Zjednoczonych, natychmiast wychodzi Mr.<sup>90</sup> Coolidge, knips, knips, mamy fotografię, a on znowu odchodzi.

To wszystko nazywa się wolnością, równością, braterstwem i każdy Amerykanin, łącznie z najbiedniejszym podróżnikiem zza Bałkanów, jest dumny i szczęśliwy z tego, że ma prawo iść do prezydenta do Białego Domu i wymienić z nim *shake-hand*<sup>91</sup>. „Czy to jest w Anglii możliwe? No, więc!”

Doktor Becker widział w Waszyngtonie wiele rzeczy, które mógł widzieć także w innych państwach, np. galerie obrazów. Niektóre posiadały tylko amerykańskich mistrzów

---

<sup>86</sup>*British Museum* (ang.) — Muzeum Brytyjskie w Londynie, największe muzeum Wielkiej Brytanii i jedno z największych na świecie; działającą przy nim wielką bibliotekę w roku 1973 połączono z kilkoma mniejszymi i utworzono bibliotekę narodową Wielkiej Brytanii pod nazwą: Biblioteka Brytyjska (*British Library*), zawierającą obecnie ok. 170–200 mln pozycji. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*Każde dzieło, skoro się ukazuje w świecie i ma być objęte prawem autorskim, musi zostać posłane w obowiązkowym egzemplarzu do Biblioteki Kongresu* — częścią Biblioteki Kongresu jest United States Copyright Office, organ rządowy, który od 1870 prowadzi rejestry dzieł objętych prawami autorskimi w Stanach Zjednoczonych; od roku 1976 autorskie prawa majątkowe (*copyright*) w USA przysługują od momentu utrwalenia dzieła, podobnie jak w Europie, i rejestracja nie jest konieczna. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*Executive Office* — Urząd Wykonawczy; tu: Urząd Wykonawczy Prezydenta Stanów Zjednoczonych, odpowiednik Kancelarii Prezydenta w innych państwach. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*Coolidge, Calvin* (1872–1933) — amerykański polityk, prezydent Stanów Zjednoczonych (1923–1929). [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*Mr.* (ang.) — skrót od *mister*: pan. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*shake-hand* (ang.) — uścisk dłoni. [przypis edytorski]

i miały niewielkie znaczenie; wyjątek stanowi zbiór Whistlera<sup>92</sup> w Freer Galery<sup>93</sup>. Interesujące są zbiory „*Smithsonian Institution for the increase and diffusion of knowledge among men*”<sup>94</sup>, która podtrzymuje zagraniczne stosunki naukowe z sześćdziesięcioma tysiącami korespondentów.

W dziale technologicznym pokazywane są wszystkie amerykańskie wynalazki od prymitywnych początków aż do dzisiejszej postaci, pierwsze próby Edisona, pierwszy aeroplan Orville’a Wrighta<sup>95</sup> i „The Spirit of St. Louis”, na którym Lindbergh<sup>96</sup>, Kolumb powietrza, przeleciał przez ocean. Zabawne są szklane szafy z woskowymi figurami „pierwszych lady”, małżonek wszystkich prezydentów w ich oryginalnych sukniach. Mrs.<sup>97</sup> Washington otwiera szereg, a w ostatniej szafie stoją Mrs. Wilson, Mrs. Taft i Mrs. Coolidge, które wszystkie trzy jeszcze żyją; Mrs. Hoover będzie dopiero w marcu<sup>98</sup> w panoptikum<sup>99</sup>.

Najważniejsze muzeum w rzeczywistości nie istnieje. Nazywa się Bureau of Standards<sup>100</sup>, mieści się obecnie w nowych, podobnych do fabryk budynkach poza miastem, ma wśród swego personelu wiele setek inżynierów i służy planowemu gospodarowaniu, wypróbowywaniu materiałów i przede wszystkim wszelkiej standaryzacji produktów, czemu Ameryka obok światowej wojny zawdzięcza swoją pomyślność.

Doktor Becker szedł przez laboratoria, warsztaty i kancelarie, gdzie wyliczono, jakie formaty książek, jakie okulary i jakie rozmiary kufrów, i jakie radioaparaty, i jakie kolory aut, i jakie szklanki należy wyrabiać, materiał dla pouczających przepisów noszenia kapeluszy i zachowania się od poduszki aż do *maiores dei prosperitatem*<sup>101</sup>. (Przy czym, naturalnie, *Deus* jest fabrykantem albo kupcem).

Na próżno przeszukał doktor Becker dziewięć budynków, dziesięć głównych oddziałów, setki sal. Nie znalazł tego, czego szukał.

Nie znalazł warsztatu, gdzie wykonano standard Amerykanina rozwiązującego krzyżówki i oglądającego baseball, i zarabiającego dolary, czy też stworzonej podług rysunku Gibsona<sup>102</sup> Amerykanki z wiecznie tymi samymi wiśniowymi usteczkami i wiecznie tymi samymi frazesami.

## DZIENNIK Z NOWOJORSKIEGO PORTU

### I. Koleje żelazne na wodzie

Pomarańczowe albo złote stają się szare drapacze chmur, kiedy w szybach pojazdów błyszczą zachodzące słońce.

Nie tylko te pływające tramwaje, ale także pociągi dalekobieżne jadą po wodzie tam i z powrotem na odsłoniętej barce, dwa albo trzy pociągi z osiemnastoma wagonami na

<sup>92</sup>Whistler, James Abbot McNeill (1834–1903) — amerykański malarz działający w Anglii; związany z wczesną fazą impresjonizmu, znany z portretów i pejzaży. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>Freer Gallery of Art — galeria sztuki założona w 1923 w Waszyngtonie przez Charlesa Langa Freera. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>Smithsonian Institution for the increase and diffusion of knowledge among men (ang.) — Instytut Smithsona na rzecz wzbogacania wiedzy i szerzenia jej wśród ludzi. (Instytut, utworzony w 1846 na podstawie testamentu Jamesa Smithsona, brytyjskiego chemika i mineraloga, stanowi największą na świecie sieć muzeów i ośrodków edukacyjno-badawczych, mieszczących się głównie w Waszyngtonie). [przypis edytorski]

<sup>95</sup>Wright, bracia: Orville Wright (1871–1948) i Wilbur Wright (1867–1912) — amerykańscy pionierzy lotnictwa, uważani za konstruktorów pierwszego udanego samolotu; za pierwszy lot samolotu uznawany jest zwykle pierwszy lot Orville’a z 17 grudnia 1903. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>Lindbergh, Charles (1902–1974) — amerykański lotnik, samolotem „Spirit of St. Louis” w 1927 dokonał pierwszego samotnego przelotu przez Atlantyk. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>Mrs. (ang.) — skrót od *mistress*: pani. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>Mrs Hoover będzie dopiero w marcu — od roku 1793 do 1933 włącznie wszyscy prezydenci Stanów Zjednoczonych obejmowali urząd 4 marca (lub następnego dnia, jeśli była to niedziela); od roku 1937 ceremonia odbywa się 20 stycznia. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>panoptikum — gabinet osobliwości, także figur woskowych. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>National Bureau of Standards — Narodowe Biuro Norm, utworzona w 1901 amerykańska agencja federalna zajmująca się standaryzacją miar i wag, prowadzeniem badań i pomiarów fizycznych; obecnie: National Institute of Standards and Technology (Narodowy Instytut Norm i Technologii). [przypis edytorski]

<sup>101</sup>maiores dei prosperitatem (łac.) — większej pomyślności bożej; parafraza określenia *ad maiorem Dei gloriam*: na większą chwałę Bożą; *Deus* (łac.): Bóg. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>Gibson, Charles Dana (1867–1944) — amerykański rysownik, znany ze stworzenia modnego ideału urody kobiecej z przełomu XIX i XX w., zwanego *Gibson Girl* (dziewczyna Gibsona). [przypis edytorski]

przedzie; jako lokomotywa służy Remorqueur. Ale ten holownik nie płynie na przedzie, tylko po bokach obładowanego pociągami promu, a czasem między dwiema barkami. Wygląda jak policjant, który każdym ramieniem popycha naprzód jednego aresztanta. Obydwaj aresztowani są związani powrozami; ażeby znieacka nie obezwładnili policjanta i nie powalili go, zabezpieczył się drewnianymi kłocami obitymi wołową skórą; stare powrozy i wysłużone pneumatyki<sup>103</sup> dyndają u jego boku. Holowanie za pomocą liny byłoby zbyt kłopotliwe dla tak gęstego ruchu, inne okręty obcięłyby bezlitośnie ten bagaż zamiast czekać. Teraz transport sam może ustąpić z drogi.

Wszystkie ładunki przybywające do Nowego Jorku i przeznaczone na kontynent amerykański muszą być przesyłane na wagonach poprzez wodę. Podobnie i ładunki wagonowe, które z kontynentu amerykańskiego są przeznaczone na inny albo do Nowego Jorku, kieruje się w wagonach poprzez wodę. Mosty i podwodne tunele nie wystarczają dla ruchu kolei żelaznych z New York City, jedynej metropolii wyspowej na kuli ziemskiej. Czterdzieści pięć milionów ton ładuje się corocznie w porcie na kolej żelazną albo wyładowuje z kolei, prawie dwa razy więcej niż na statki i ze statków. Wagony ciężarowe przewijające się w ciągu jednego roku zapełniłyby osiem torów kolejowych w poprzek kontynentu, od Nowego Jorku do San Francisco. Ponieważ nie chcemy obniżyć ruchu okrętowego na korzyść kolei żelaznej i bez tego już jesteśmy przy statystyce, zauważmy, że przeciętnie co dwadzieścia minut wjeżdża lub wyjeżdża parowiec oceaniczny, że powierzchnia wodna portu ma długość 771 mil, obszar zaś 175 mil kwadratowych. W handlu zamorskim przesyła się codziennie towary o wartości 11 milionów dolarów.

Miasto

## II. Robotnicy portowi

W Hoboken czeka kilkuset ludzi podzielonych na grupy: półokrąg tworzą „pokładowi”, na rampie siedzą ci z „Hold gang” — pracujący we wnętrzu okrętu, z tyłu na nasypie — robotnicy nabrzeża.

„Volendam” nadszedł wieczorem, i robotnicy byli już wczoraj tutaj, ażeby się zgodzić<sup>104</sup>. Dzisiaj mają czekać na rozpoczęcie swej pracy. Nadchodzi nadzorca, gwizdże sygnał i wywołuje numery ludzi. Obok niego agent związku zważa na to, aby tylko członkowie z niebieskimi guzikami związku na czapkach szli przez bramę placu ładunkowego na statek. Niektórzy nie zostali wywołani. Ci kręcą się wokół z niemym przekleństwem na ustach. Stracili poranny zarobek. Teraz warto oblecieć inne doki, może przynajmniej po południu znajdzie się pracę.

Osiemdziesiąt centów płaci się za godzinę, od ósmej rano do piątej po południu, z wyłączeniem przerwy obiadowej od dwunastej do pierwszej; za każdą godzinę ponad to otrzymuje się dolar dwadzieścia.

W portach nowojorskich pracuje trzydzieści tysięcy zorganizowanych robotników, trzydzieści tysięcy strajkowało w roku 1919. Strajk upadł, ale organizacja stała się przez to karniejsza. Do 1919 roku traktowano wszystkich, których potrzebowano do ładowania i gaszenia, magazynowych i robotników portowych, węglarzy i pracujących w dokach, czyszcicieli statków i kotłów, jak tałatajstwo, które włóczy się po brzegu i z którym można robić wszystko, co się chce. Jeszcze teraz pracują w niepomyślnych warunkach. Oficjalnie przyznaje się, że techniczne urządzenia do obsługi statków stoją daleko w tyle za tymi w portach europejskich. Przygotowania na wypadek niebezpieczeństwa, regularne kontrole sprzętu ładunkowego i urzędowe inspekcje bezpieczeństwa pracy są w Nowym Świecie nieznanne. Przepisy wydawane przez towarzystwa ubezpieczeniowe służą tylko ochronie frachtów, statków i portów przeciwko uszkodzeniu, stracie lub pożarowi, nie odnoszą się jednak do ludzi.

Statki się śpieszą: podatki portowe, opłaty za dokowanie i postój w porcie są bardzo wysokie, jeszcze wyższe są koszty utrzymania olbrzymów oceanicznych z załogą wynagradzaną w dolarach, a wypłynięcie musi się odbyć zgodnie z rozkładem nawet wtedy, gdy ładowanie z powodu złej pogody spóźni się o kilka dni.

<sup>103</sup>pneumatyk — gumowa obręcz nakładana na koło pojazdu, składająca się z opony i wypełnionej sprężonym powietrzem dętki; tu: opona. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>zgodzić się (daw.) — zatrudnić się; umówić się co do zakresu pracy i wysokości wynagrodzenia. [przypis edytorski]

Wtedy popędza się robotników transportowych, zamawia się więcej pak, niż mogłoby się zmieścić na nabrzeżu, bez względu na to, że jedna grupa przerzuca ciężary ponad głowami drugiej, że człowiekowi świszczą powrozy nad głową, a skrzynia spada na nogi. Procent nieszczęśliwych wypadków jest wśród amerykańskich robotników portowych większy niż wśród górników, a towarzystwa ubezpieczeń żądają od nich najwyższych składek.

Skutkiem nieograniczenia godzin nadliczbowych umownie znormalizowany ośmiodzinny dzień pracy, 44-godzinny tydzień pracy, stał się zupełną iluzją. Gdy robotnik jest już „wolny”, musi jednak być stale gotowy do pracy. Za ten czas czekania nikt mu nie płaci, może być o ósmej rano zawołany do pracy i po kilku godzinach zwolniony, może także aż do późnego wieczoru i przez całą noc pozostawać przy pracy, czasem nawet dwa dni i dwie noce bez żadnej pauzy oprócz koniecznej dla zjedzenia gdzieś w pobliżu obiadu. Majstrzy nie patrzą na to chętnie, gdy robotnik, zmęczony całodzienną pracą, uchyla się od nocnej pracy — kto nie może tego wytrzymać, mało ma widoków, ażeby go następnym razem zaangażowano.

Zresztą także bez przymusu nowojorski *lonsshoreman*<sup>105</sup> byłby zawsze gotowy pracować w nadgodzinach, gdyż po pierwsze nadwyżkowa godzina jest o 50% lepiej opłacana niż normalna, a po drugie nie wie on nigdy, kiedy znowu dostanie zajęcie. Ażeby mieć „dobry tydzień” i znowu „dobry tydzień”, haruje każdy i starzeje się przedwcześnie, tak że przedsiębiorcy patrzą nań podejrzliwie, czy go mogą jeszcze użyć.

### III. Katastrofa siostrzanego okrętu

Przy nabrzeżu „Lampont & Holt” w Brooklynie, gdzie jeszcze przed czternastoma dniami stał wielki okręt „Vestris”, cumuje teraz siostrzany okręt „Vanban”. Wiadomości porannych gazet o strasznej katastrofie „Vestris” znalazły echo na „Vanbanie”. Przedwczoraj oficerowie i robotnicy rzucili się do łodzi ratunkowych, wczoraj do bukszprytu, dziś rano wypróbowano syreny.

W południe komisja urzędu okrętowego weszła na pokład i teraz odgrywa się dramat „Zatonięcie Vestris”. Dzwonią dzwony alarmowe, marynarze wdrapują się na liny, spuszczone są łodzie. Wszystko jest protokolowane, ale utopionym to nie pomaga. Skrót nazwy towarzystwa to „L. & H.”. W żargonie nowojorskiego portu rozwinięto go do „*Lousy and hungry*”<sup>106</sup>, gdyż firma płaci podle, głodowe ceny.

### IV. *Las señoras invitadas*

W porcie brooklińskim jest centrum hiszpańskich marynarzy. Podobnie jak w anglo-amerykańskiej gospodzie nie wolno tutaj wejść żadnej kobiecie, chyba że wyraźnie na to pozwolono. Wieczorami chodzi się po knajpach, z których przed chwilą niebezpiecznym łukiem wyrzucono kobietę na bruk Furman Street.

Właśnie te lokale noszą pompatyczny napis: „*Las señoras invitadas*”<sup>107</sup>.

Oczywiście w amerykańskich portach nie brak *tattooing salons*<sup>108</sup>. Ale najlepszym tatuującym ze wszystkich portów poza Chinami jest, mówicie, co chcecie, Levis Alberts, 87 Sands Street, Brooklyn. Jego dzieła, które nie wiszą martwe w galeriach, tylko oddychając wszystkimi porami, objeżdżają siedem mórz, muszą budzić podziw; ma on indywidualne pomysły i nawet najbardziej zużyty nadaje indywidualne znamię. Gwiazdzisty sztandar wykluty przez Alberta poznaje się nieomylnie pomiędzy dziesiątkami tysięcy gwiazdzistych sztandarów.

### V. Jasny dzień przed Bożym Narodzeniem

Dzisiaj w nocy spadł śnieg, powietrze jest suche i jasne i patrząc przez okno, ma się wrażenie, że Manhattan oddalony jest tylko o rzut kamieniem od Brooklynu. Łądowniska wyglądają jak zakłady kąpielowe z kabinami wokół basenu, a człowiek mógłby je przepłynąć w pięć minut, nieprawdaż?

<sup>105</sup>*lonsshoreman* (ang.) — doker, robotnik portowy zatrudniony przy przeładunku, transporcie i składowaniu towarów. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*Lousy and hungry* (ang.) — Biedny i głodny. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*Las señoras invitadas* (hiszp.) — Panie zaproszone. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*tattooing salons* (ang.) — salony tatuażu. [przypis edytorski]

Pancernik przepływa pod mostem Brooklińskim. Każdy z grubsza zna wielkość pancerników i człowiek dziwi się: jak mógł się on odważyć przepływać tak wąskim pasem wody. Zaraz nastąpi zderzenie z płynącym naprzeciw statkiem.

Nie nastąpiło zderzenie, ale oto prawdziwa niespodzianka: statek o pojemności tysiąca ludzi i czterdziestu pojazdów wydaje się maleńki, gdy patrzy się nań jednocześnie z pancernikiem. Och, East River jest szersza, niż nam się dziś wydaje. Domy na przeciwnym brzegu wywołały tę zmianę. Wyglądają jak bliskie małe domy, ale to są dalekie wielkie drapacze chmur. Patrząc w dół, rozpoznaje się sześcianiki rzucone pod ich stopy: normalne domy od ośmiu do dziesięciu pięter.

Pociągi płyną od dzisiaj do City bez osłony, chociaż spadł śnieg. Prawie wyłącznie otwarte wagony. Obładowane są choinkami. Na Manhattanie zaczynają się dzisiaj wielkie interesy — sezon Bożego Narodzenia. Spekuluje się na zniżce — w ostatnich dniach skutkiem krachu na giełdzie prosperity Hoovera doświadczyła gwałtownego dementi<sup>109</sup>. Biedne choineczki nie będą rosły w niebie. I te, które teraz całymi tonami płyną na Manhattan, porządnie zdrożeją, zanim je detalista sprzeda w Brooklynie albo w New Jersey, lub nabywca zanieśie do domu.

„Nourmahal”, pełen przepychu jacht Astora<sup>110</sup>, musi — o, hańbo! — ustąpić obładowanej szarymi górami barce wiozącej śmieci.

Rano odpadki z gospodarstw i warsztatów rzucają się przez śmieciarza na otwarte, prymitywne wozy, tak że cały dzień tumany kurzu leżą nad miastem. Wóz jedzie na brzeg, gdzie jego zawartość wyrzuca się na odpływające łódzie, jak ta właśnie, którą musi spotkać multimilioner.

Astor — czyta się w wieczornych gazetach — spędzi Boże Narodzenie w Kalifornii.

## VI. Zachodni brzeg portu

W witrynach i architekturze często opisywanej Fifth Avenue z ledwością można znaleźć coś innego ponad to, co możemy spotkać na Kurfürstendamm<sup>111</sup> lub na Rue de la Paix<sup>112</sup>. Najbardziej ruchliwą ulicą w Nowym Jorku i nawet w całym świecie jest West Street. Jest to główna ulica portu, aleja pracy, droga towarowa.

Na tej ulicy brakuje przechodniów i zabawy w „ojczulku, pożycz mi nożyc”<sup>113</sup>, którą poza tym trzeba uprawiać na wszystkich rogach na przecięciu jezdni. Tylko po to, ażeby się dostać do Hoboken i Weehawken, piesi przeprawiają się przez kolumny konnych pojazdów, aut ciężarowych i kolei żelaznych. Tak jest, kolei: większa część West Street jest przecięta szynami, po których toczą się niekończące się wagony. Po stronie brzegu: fasady doku z olbrzymimi łukami dla wjazdu wozów. Tęgo, co jest za nim, rzeki Hudson, otoczonej rojowiskiem przyległych budowli, nie widać zupełnie.

Po drugiej stronie są — z wyjątkiem gmachu telefonów, kunsztownego, najwspanialszego drapacza chmur w Nowym Jorku — tylko biedne czerwone domki. Nie oplaca się ich rozbierać, ponieważ było taniej zrobić od frontu żelazne schody przeciwpożarowe, które są wymagane przez straż pożarną i które się widzi na wszystkich starych domach. Ponad oślepienymi i złamanymi szybami widnieją jeszcze szyldy z lat osiemdziesiątych<sup>114</sup>, jakkolwiek nadkruszone. Wytwórnia płótna żaglowego, kotlarz, gisernia<sup>115</sup>

<sup>109</sup>dementi — oficjalne zaprzeczenie prawdziwości jakiejś informacji. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>Astor, Vincent (1891–1959) — amerykański przedsiębiorca, multimilioner, filantrop, członek wpływowej rodziny Astorów; spadkobierca wielkiego majątku na nowojorskim rynku nieruchomości po tym, jak jego ojciec, John Jacob Astor IV, zginął na pokładzie Titanica w 1912 roku; w 1928 zakładach Kruppa w Kilonii w Niemczech zbudowano dla Vincenta Astora jacht „Nourmahal”, który z wybuchem II wojny światowej został przejęty przez amerykańską Straż Przybrzeżną, a potem kupiony przez marynarkę wojenną, w której służył jako kanonierka. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>Kurfürstendamm (niem. dosł.: Grobla Elektorska) — główna ulica zachodniej części Berlina. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>Rue de la Paix (fr. dosł.: ulica Pokoju) — modna ulica handlowa w centrum Paryża. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>ojczulku, pożycz mi nożyc — niemiecka zabawa dziecięca, podczas której wszystkie dzieci prócz jednego stoją po jednym przy drzewach lub w innych ustalonych miejscach; dziecko stojące pośrodku zwraca się z tytułowym zdaniem do innego, które odsyła je „do sąsiada”, podczas gdy pozostałe dzieci zamieniają się miejscami przy drzewach; zadaniem dziecka szukającego nożyczek jest złapanie wolnego drzewa, od którego nie zostanie odesłane, a wówczas dziecko bez drzewa staje się szukającym. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>z lat osiemdziesiątych — chodzi o lata 80. XIX w. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>gisernia — zakład odlewający przedmioty z metalu; odlewnia. [przypis edytorski]

wyrobów z ołowiu. Ale te przedsiębiorstwa już nie istnieją, a w domach leżą skrzynie bez towarów i towary bez skrzyń.

Na parterze i przed parterem jest wystawiony na chodniku cały kontynent artykułów spożywczych, całe państwa selerów, pomidorów, kapusty, rzodkiewek (pomimo że jest grudzień), gałęzie jemioli i wawrzynu na Boże Narodzenie.

Przyległe ulice biegną od spichlerzy do ramp kolejowych.

Przylegają do nich hale targowe.

W ten sposób idzie się od południowego krańca Manhattanu milami daleko na północ. Później West Street przestaje nazywać się West Street i być ulicą pracy, nie ma już wozów ciężarowych ani kolei żelaznych, ani czerwonych domków z szyldami zlikwidowanych przedsiębiorstw, rozpoczyna się bogactwo, a na tablicach ulicznych widnieje napis: „Riverside Drive”. Tutaj mieszkają ludzie. Ale nie na pokładzie okrętu, którym się wysyła w pocie czoła luksusowe dobra. Dla pracy ludzkiej jest na West Street dosyć miejsca, ale nie dla samych ludzi. Siedlisko ludzi portowych znajduje się po przeciwległej stronie City, na wschodzie.

Na West Street nie ma żadnych knajp portowych. Tylko wagony-restauracje stoją w środku jezdnii; ruchome domki w postaci wagonów kolejowych, ponieważ kiedyś traperzy z Dzikiego Zachodu nocowali w podobnych. Naprzeciwko przystani dla statków pasażerskich znajduje się kilka automatycznych bufetów; mogą sobie pozwolić na czynsze, które zostały zawyżone przez sklepy spożywcze. Taksówkarze, czekając na kurs, płacą tu niemal rachunki.

## VII. Wschodni brzeg

Po wschodniej stronie, nad brzegiem East River jest dziko. Z towarów godne uwagi są tylko ryby, które mają w tym okręgu zastrzeżone miejsce. Poza tym człowiek wyciska swoje piętno. Tajemne knajpy przy knajpach głęboko w piwnicy lub w ciemnych choć oko wykol korytarzach rozwalonych domów. Nie z ostrożności są one tak zabite — właściciele mają zapewnione, że policja utraci ostrość zmysłów, ażeby nic nie wiedzieć o zakazanych lokalach, które w ciągu jednej nocy przyjmują do tysiąca gości. Z tyłu za barem są zawsze ukryte baterie flaszek ze sznapssem<sup>116</sup>, kanadyjski kornbrand<sup>117</sup>, szkocka whisky, Ausbach Uralt<sup>118</sup> i — przede wszystkim legalnie otrzymany amerykański alkohol, który „ma służyć wyłącznie celom medycznym”.

Ceny za jedną szklankę piwa wahają się od 20 do 30 centów, ale za to każdy gość ma prawo wziąć sobie przy bufecie bez pieniędzy tyle świńskiej główizny, bulionu z małży, kielbasy bolońskiej, kiszzonej fasoli, salami, ogórków, surowej cebuli i ostryg, ile tylko może. I każdy może wiele, gdyż jest głodny, a towar jest dobry, chociaż szalenie przesolony, ażeby więcej pić. Jedyna łyżka i jedyny widelec służą wszystkim gościom, w razie potrzeby kładzie się sztuciec do szklanki ze słoną wodą.

Biada temu, kto po pijanemu próbuje samotnie z resztą pieniędzy zataczać się nad brzegiem.

Podczas półgodzinnego nocnego spaceru na South Street można być naocznym świadkiem przeciętnie trzech napadów rabunkowych, które się odbywają w najgrzeczniejszej formie. Dwóch drabów zagaduje pijanego, biorą go w środek, wypychają go, żartując, do najbliższej bramy, potykają się o prowadzące do bramy schody i pociągają nowego przyjaciela za sobą. Opróżniają mu kieszenie spodni, co on bierze za brzydki żart. Protestuje z gniewnym pomrukiem.

Gdy wykorzystujemy sposobność, by przyjrzeć się prawie spokojnemu popełnianiu jednego z najcięższych przestępstw kryminalnych, zbliża się do nas dwóch drabów z retorycznym zapytaniem, co nas za licha przyniosło...

## VIII. Domy żeglarzy

Na wschodnim krańcu najniższej położonej wschodniej strony wznosi się dziwny pałac. Na jego szczycie wieczorami, gdy już jest ciemno, rozbłyska elektrycznością krzyż.

Kradzież, Pijaństwo

<sup>116</sup>sznaps (pot.) — wódka; porcja wódki. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>kornbrand — wódka zbożowa pochodzenia niemieckiego. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>Ausbach Uralt — niemiecka brandy (wódka wytrawna) o ciemnobursztynowym kolorze. [przypis edytorski]

Ten krzyż, prawie tak wysoki jak dziesięć pięter domu, który jest jego podstawą, wskazuje stary żeglarz młodemu, gdy wpływa do Zatoki Hudsona: tam jest Seamen's Church Institute.

Największy dom żeglarza w świecie. Grand hotel, którego życie w lobby, życie w hallu inaczej wygląda niż w hotelu Astor albo Ritz, gdzie preferowane przez gentlemanów blondynki czekają na znajomość.

Tutaj także jest jarmark ludzki, jednak nie każdy odwiedzający przychodzi, ażeby się wystawić na sprzedaż. Jeden chce znaleźć starych towarzyszy ze statku i przez nich dowiedzieć się o losie innych. Porozmawiać ze starymi towarzyszami pracy jest również miło. Kto nie mieszka na statku, może mieć tani pokój, kto nie wynajmuje tutaj taniego pokoju, może kazać sobie przysłać pocztę, kto nie każe sobie przysłać poczty, może wypić kawę i zjeść sandwicza albo dowiedzieć się, gdzie jest szynk, albo przeczytać na tablicy ogłoszeń, jacy marynarze zginęli, jakim marynarzom Departament Handlu przyznał za pracę ratunkową złote medale i kogo Sąd Morski szuka jako świadka wypadku.

Przed hallem stoi dwóch policjantów, a na ulicy budka sygnałowa, rozpoznawana po zielonej lampce jako placówka policyjna, połączona jest z następną wartownią. Druga placówka państwowa znajduje się wewnątrz Domu Marynarza: urząd pocztowy. Także notariusz, czytelnia, biblioteka, kantor wymiany i przede wszystkim kościół.

Kościół. Tak, *to* jest właśnie główna rzecz. Co za kościół? Tak, to jest poboczna rzecz.

Wszystkie wyznania — protestanci, katolicy, metodyści, prezbiterianie i baptyści — chociaż tak silnie się w Ameryce zwalczają i tak bardzo sobie (np. podczas wyboru prezydenta) wyrzucają wzajemnie najgorsze zbrodnie, jednak w założeniu tej instytucji zjednoczyli się w świadomości, że rozłam religijny uniemożliwiłby wszelką religię i utworzenie centralnego punktu dla marynarzy, konkurencji dla prywatnych mieszkań, knajp portowych, a przede wszystkim dla klubów utworzonych przez organizacje robotnicze.

A więc wszystkie razem zgodnie, skądinąd każdy jako jedyny dający zbawienie, Kościoły skłoniły mecenasów swego okręgu, aby opłacili choć kawałek powstającej budowli. I każdy ofiarodawca wystawił sobie tablicę pamiątkową na części przez siebie dotowanej.

Kto w Ameryce stał się bogaty dzięki spekulacji, żądzy pieniędzy, zdradzie kraju (stał pochodzą wielkie majątki z czasów wojny o wolność), oszustwom lub temu podobnym, każe postawić publiczny pomnik sobie albo firmie, albo rodzinie, która się wraz ze swym drzewem genealogicznym uwiecznia, jak np. na olbrzymim pomniku aldermana<sup>119</sup> de Peyster<sup>120</sup> przed nowojorską komorą celną.

W muzeach, w szkołach i w domach handlowych roi się od takich pomników ofiarodawców, na dworcach stoi zmarły prezes zarządu w brązie, w naturalnej wielkości, często także — patrz Sam Sloan<sup>121</sup> na Brooklinie — na publicznych placach. Dla chętnego naśladownictwa. Przy każdej studni dla koni błyszczy — chwała temu, komu należy się wieczność — imię nowej Racheli<sup>122</sup>, a każda przybudówka więzienna obwieszca przyszłym pokoleniom imiona wszystkich Farnese lub Borgiów<sup>123</sup> zasiadających w radzie miejskiej.

Ale to wszystko jest niczym wobec Seamen's Church Institute, który jest właśnie mozaiką tablic pamiątkowych. „Ta klatka schodowa została zbudowana przez eksceleńcję taką a taką”. „Ten hall przez taką a taką”.

Nie mogą z tym współzawodniczyć niemieckie i holenderskie schroniska dla marynarzy w Hoboken, z pewnością zaś nie związki zawodowe. Związki IWW (International Workers of the World) mają w Coentis Slip swój lokal portowy, długi pokój z książkami, plakatami i ulotkami propagandowymi, przeważnie w języku angielskim i esperanto.

<sup>119</sup> *alderman* (hist., ang.) — radny, członek rady miejskiej; od staroang. *ealdorman*: starszy. [przypis edytorski]

<sup>120</sup> *Peyster, Abraham de* (1657–1728) — radny i burmistrz Nowego Jorku (1691–1694), pochodzenia holenderskiego, urodzony na Manhattanie, kiedy był on kolonią holenderską o nazwie Nowy Amsterdam. [przypis edytorski]

<sup>121</sup> *Sloan, Samuel* (1817–1907) — amerykański polityk i biznesmen, członek senatu stanu Nowy Jork, wieloletni prezes spółki kolejowej Delaware, Lackawanna & Western Railroad; w 1899 uhonorowany pomnikiem w Hoboken. [przypis edytorski]

<sup>122</sup> *Rachela* — postać biblijna; wskazana przez Boga na odpowiednią żonę dla Izaaka, kiedy napoiła wysłanego przez Abrahama sługę i jego wielbłądy. [przypis edytorski]

<sup>123</sup> *Farnese, Borgiowie* — włoskie rody arystokratyczne, sprawujące władzę w okresie renesansu; ich przedstawiciele należeli do największych mecenasów sztuki. [przypis edytorski]

Bardziej kosmopolitycznie i żywo jak na wieczorze dyskusyjnym jest na South Street 26 w International Seamen's Club. Tutaj bywają i czarni, którzy czytają swoje rewolucyjne pismo „Negro Champion”, robotnicy portowi, Chińczycy i Europejczycy, tutaj jest więcej młodzieży niż w domach kościelnych i narodowych i wydaje się, że polityka jest magnesem silniej przyciągającym niż drogie poręcze schodów z nazwiskami ofiarodawców.

#### IX. Rozbitkowie

Są i tacy, którzy nie wiedzą nic o domach marynarzy, którzy nie mają pieniędzy na pokój lub dokumentów lub też stoczyli się tak, że nie ufają swoim kolegom zawodowym. Poruszają się nocą tymi nędznymi grupkami, od których roi się w Bovery, naprzeciwko kasy oszczędności, blisko okolic, gdzie prosperity<sup>124</sup> sięga do chmur, gdzie Wall Street notuje swą hossę. Kto odwiedza misję na Mott Street — a mógł już przeżyć dreszcz Whitechapel<sup>125</sup> — temu odejdzie ochota do kraju Jankesów<sup>126</sup> i do amerykańskich cudów gospodarczych. Barłogi w wilgotnej piwnicy to nie jest to najgorsze. Najgorsza jest sala służby bożej na parterze. Siedzą tam, leżą i opierają się setki ludzi, a można po chwili zauważyć, że pod nimi, pod ławkami i na podłodze jeszcze nieszczęśliwsi leżą w kurzu, poskręcani, stłoczeni, jęcząc i rzucając się przez sen. Nikt nie patrzy na ołtarz, gdy zaczyna się służba boża, wycieranie nosów nie ustaje, nikt nie troszczy się powiedzeniami z Biblii upiększającymi ściany.

Kapłan wie, po co zgromadziły się jego owieczki, odprawia mszę po cichu i stara się nie wzburzyć tych mętów kościoła. I oprowadzający cudzoziemców znają tę rzecz, godną widzenia. Autobus, w którym Angielki (odgrywają one tę samą rolę, co Amerykanki w Europie) objeżdżają Chinatown, zatrzymuje się tu, aby poznać grozę.

Tylko niewielka liczba bezdomnych znajduje miejsce w starym domku na Mott Street. Wiatr grudniowy dmie na tych, którzy stoją w dwurzędzie przed misją *all-night*<sup>127</sup> i przed hotelem Owl i czekają, póki inni nie prześpią swego czasu: po sześciu godzinach przychodzi nowa partia na legowisko.

Na moście Manhattan kilkaset ludzi czeka w kolejce na codzienne rozdawnictwo kawy z chlebem, pocierając ręce o kamienie, aby się rozgrzać.

#### X. Dlaczego brakuje tu wezwania do marynarki?

O dwadzieścia zaledwie kroków od nich stoi na środku drogi tablica z plakatem: „Wstąp do wojska”.

Pod tym napisem wiszą pociągające fotografie manewrów, gier, jazdy konnej, nagród sportowych, szkół z zachwycającymi napisami, jak się powodzi żołnierzom: wysoko fruwać, dobrze strzelać, są lekko ubrani w lecie, a ciepło w zimie, a ich „*evening quarters are attractive*”<sup>128</sup> „*The USA Army builds men*”<sup>129</sup>. Wstąp. „*Travel — learn — earn*”<sup>130</sup>.

A co dopiero marynarka! Tu spoglądają na ciebie nasi niebiescy chłopcy z pancernika, „ich domu za 15 milionów dolarów”. Okazja zobaczyć obce kraje. Ruch na świeżym powietrzu. Dąż za ptakami, które lecą na południe: marynarka daje ku temu sposobność... Urzędy werbunkowe są wszędzie.

To prawda. Wszędzie na skrzyżowaniach ulic miast amerykańskich widać po bratersku złożone plakaty obu konkurencyjnych imprez: „*Join the army*”<sup>131</sup> — „*Join the navy*”<sup>132</sup>. Wskazują one drogę do najbliższego biura werbunkowego, jeśli przed nimi nie stoi sierżant, informujący młodych ciekawskich.

<sup>124</sup>*prosperity* — faza szczytowego rozwoju czegoś; w ekonomii: jedna z czterech faz cyklu koniunkturalnego, w której produkcja, zatrudnienie i ceny osiągają najwyższy poziom. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>*Whitechapel* — dzielnica Londynu od XVII w. zamieszkiwana głównie przez biedotę i rozmaitego rodzaju przestępców; obfitowała w domy publiczne, szynki i meliny, uchodziła za najniebezpieczniejszą; tu swoich morderstw dokonywał w 1888 r. domniemany seryjny morderca Kuba Rozpruwacz (ang. *Jack the Ripper*). [przypis edytorski]

<sup>126</sup>*Jankes* — żartobliwe określenie Amerykanina, osoby pochodzącej z płn. części Stanów Zjednoczonych; używane gł. w znaczeniu negatywnym, pogardliwym. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>*all-night* (ang.) — całonocny. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>*evening quarters are attractive* (ang.) — wieczorne kwatery są atrakcyjne. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>*The USA Army builds men* (ang.) — Armia Stanów Zjednoczonych tworzy mężczyzn. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>*Travel, learn, earn* (ang.) — Podróżuj, zarabiaj, ucz się. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>*Join the army* (ang.) — Wstąp do armii. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>*Join the navy* (ang.) — Wstąp do marynarki. [przypis edytorski]



Także na bulwarach Hoboken, na brzegach Hudsonu i East River, na pomostach olbrzymów oceanu i tu, w nędznej dzielnicy wschodniej, wszędzie w porcie są umieszczane te ilustrowane hasła werbunku: do wojska. Tak, tylko do wojska. Tu brak tego bliźniaka, tu nie ma: „wstąp do marynarki”. Tu nikomu nie można opowiedzieć o zdrowej robocie na okręcie. Budząca tęsknotę wzmianka o obcych krajach i wspomnienie ptaków, które ciągną na południe, nie znajdują tu odzewu. Rozbitkowie portu nowojorskiego wiedzą za dobrze, co to jest praca na okręcie i płaca za nią. Nawet psa za piecem nie można by tu skusić romantyzmem morza... co za głupie zdanie! Żaden pies nie prowadzi takiego życia, a piec jest rajskim snem. Oto jedzie właśnie wóz towarzystwa dobroczynności i rozdziela między na wpół zmarznięty łańcuch ludzi przed mostem Manhattan nieco kawy.

## HARLEM — CZYŚCIEC MURZYNÓW

Biały człowiek skłonił Murzynów do przyjęcia chrześcijaństwa, ucząc ich przy tym, że wszyscy ludzie są braćmi i powinni się wzajemnie kochać; biały człowiek sprowadził Murzynom sznapsa, ażeby upodobnili się do jasnych synów kultury.

W dalszym ciągu używał Murzynów jako opłacanych lub nieopłacanych niewolników, jak to robił przedtem, wyrzucił ich z ich dzielnic i zabrał im nawet z trudem dostarczonego sznapsa.

Nawet we wschodnich dzielnicach Nowego Jorku, gdzie brud i głód miały swe siedlisko, gdzie rozczarowani ze wszystkich kątów ziemi na nowo osiadali na mieliźnie, nawet tam uważano za rewolucję, gdy Murzyn chciał wynająć komórkę.

Na środkowym Manhattanie znajduje się mały występ, w którym kiedyś udało się osiedlić Murzynom — szerokim łukiem ukrywa dumny ze swej rasy biały tę piekielną bramę.

Masa czarnych mieszka na północy Nowego Jorku, w Harlemie. Bogatszego w ludność miasta nie mają w swojej afrykańskiej ojczyźnie. Murzyński kraj jako wielkie miasto. Ale naprawdę!

Płoną reklamy świetlne, wieczorny hałas rozbrzmiewa na 125, na 135 ulicy i na Lenox. Żyje tu wszystko, handel, przemysł, interes, zapal miłosny, tak jak osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt ulic dalej na południe, na Broadwayu.

Kto wiele podróżuje, nabiera bardzo niskiego pojęcia o fantazji tworzenia. Tylko aparat rozdzielnicy jest wspaniały; przy tworzeniu prowincji troszczono się tylko o to, aby krajobrazy się nie powtarzały, ażeby jakaś góra albo rzeka nie prezentowała się dwa razy w tym samym wykonaniu.

Także człowiek nie występuje w jednym mieście w dwóch albo trzech egzemplarzach; gdy niektóre typy upodobniają się wzajemnie do siebie, wtedy twórczość, naśladowująca samą siebie, wprowadza przynajmniej małe różnice i zmienia imię postaci, rodzaj zajęcia albo liczbę dzieci. Ale do innych krajów zostaje wysłana bez żenady dokładna kopia. Podróżujący uczy się nawet, że wszystko na ziemi jest tylko fabrycznym towarem. Tylko dla fabrykacji Murzynów nie ma specjalnych warsztatów, zwykle modele są po prostu czarno impregnowane.

W Afryce nie uderzało to tak nikogo, gdyż krajowcy biegają w przepaskach albo w podartych szmatach, a ich europejskich dopełnień nie widuje się nago albo w bieliźnie. Ale w Harlemie wszyscy paradują w europejskich ubraniach i na każdym kroku spotyka się znajomych.

Deputowany niemieckiego Reichstagu przechodzi przez jezdnię, Hildchen G. z alei Landsberger wbija sobie do głowy wywieszony afisz teatralny, Erich Ludendorff rozpycha dumnie przechodniów, praski dziennikarz Auton U. powinien właściwie zachwalać cynamon jako przywracający siły, ale zapomina o cynamonie i swymi słowami oszalałami siebie i grubego portiera, stuttgartarcki malarz S. chce przekonać dziewczynę o obfitym biuście, ażeby służyła mu za model, Margot J. w kawiarni Rzymskiej ciągnie mrożoną kawę przez słomkę, niemiecki mistrz szachowy Z. opowiada dowcip, a aktor Aleksander G. śmieje się z tego grzmiącym basem, aż światła chybotają i ściany drżą. Wszyscy naturalnie czarni!

Interesy aż do północy otwarte, spelunki — sza! — nocne kluby i rewie zaczynają się dopiero o północy. Stojący Murzyni gołą leżących, a ponieważ nie można się do-

Podróż, Obraz świata,  
Kondycja ludzka

Rasizm, Pogarda, Obyczaje

stać grzebieniem do ciemienia, strzyże się kędzierzawe włosy. Kobieta w Mount Vernon, która wygładziła włosy Josephine Baker<sup>133</sup> i kilku tysiącom murzyńskich dam, zarobiła milion — wynalazca środka, który by zmieniał skórę na białą, zarobiłby chyba miliard. Każdy oddałby ostatniego centa, aby przez noc z pogardzanego *coon* stać się jednym z białych panów. Nie tylko dla kariery zarażeni ideologią władców Murzyni pogardzają sobą z powodu koloru swojej skóry.

Na wystawie sklepu z zabawkami stoją lalki, oczywiście murzyńskie lalki, ale nie z czarnymi jak smoła twarzami, w której to postaci nabywa się je w mieście białych, lecz z delikatną, ciemną cerą. Wszystkie kolorowe lady używają białego pudru. W teatrzykach „variété” Harlemu primadonna lub tancerka solowa występuje cała uszminkowana na białą, podczas gdy groteskowy komik czerni sobie twarz lub kładzie maskę murzyńską. Brunatny Murzyn pogardza czarnym — nie przez starą nienawiść szczepową — pogardza on jeszcze czarniejszym z tej samej przyczyny, z jakiej biali nim gardzą.

Podczas takiej bójkii o barwę został zabity na 135 ulicy wielki bokser, Battling Sicky.

Po katastrofie parowca „Vestris”, gdzie załoga uratowała paruset ludzi, widzi się na scenach teatrzyków Nowego Jorku tych wybawców. W „Lafayette”, gdzie na widowni nie ma ani jednego białego, występują trzej czarni bohaterowie, aby w paru zdaniach opowiedzieć swoje straszliwe przejścia. Przed ich zjawieniem się konferansjer prosi publiczność, aby nie zakłócała występu śmiechem. Śmiechem?... Cóż mogło przy przedstawianiu tak niedawnej strasznej katastrofy pobudzać do śmiechu? Ci trzej marynarze byli czarnymi jak smoła Murzynami z Wysp Filipińskich, ze szczególnie krzywym uzębieniem. Ci z jaśniejszym zabarwieniem skóry tylko z trudem mogli stłumić śmiech na ich widok.

Dwanaście kinoteatrów, cztery scenki wodewilowe, duże rewie i wielki teatr, w sumie na 39 332 miejsc siedzących, tłoczą się w Harlemie jedne na drugich — z wyjątkiem skrzyżowania Broadwayu i 42 ulicy nigdzie nie znajdzie się na tak małej przestrzeni tylu miejsc rozrywkowych. Co noc w każdym nocnym klubie Harlemu dwukrotnie szaleje rewia z wielkim personelem tancerzy, komików, śpiewaków i ekscentrycznych zespołów tanecznych. Są cukiernie-lodziarnie, restauracje, sale bilardowe, podziemie, jaskinie gry i niezliczone potajemne podziemne knajpy.

Spśród właścicieli dziewiętnastu teatrów osiemnastu to biali. Ciągną oni zyski, bo pogardzany i odpychany Murzyn przynajmniej wieczorem w ich zakładzie chce być wesołym gentlemanem, tak samo zresztą, jak właściciele domów — w dużej ilości biali — robią majątek na przymusowym getcie. Komorne jest tu o sto procent droższe niż w Bovery i we wschodnich dzielnicach, gdzie w swoim dobrowolnym getcie mieszkają żydowscy, słowaccy i chińscy biedacy.

Kupiec murzyńskiego miasta — jest również biały. Ale jego czarnych klientów obsługuje czarny personel, który wpływy oddaje szefowi. Nie mieszka on tutaj. Jedynym Europejczykiem, który odważa się na sąsiedztwo z Murzynami, jest Włoch; we własnej osobie stoi w swoim sklepie z owocami albo w zakładzie czyszczenia kapeluszy i żelowania butów, względnie drzemie w przylegającej komórce.

W swoim maglu drzemie Chińczyk. Jemu może się nie wydawać bardziej hańbiące żyć w dzielnicy czarnych diabłów niż białych. Czy wie, że i ci, i ci odpychają go jako żółtego diabła i że wszyscy razem są biednymi diabłami?

W dole, w mieście białych kłębi się dwustutysięczna armia Murzynów: po skończonej pracy muszą wracać do swych komórek. Nawet gospodyni domowa nie śpi tam, gdzie służy, zajmuje się chowaniem dzieci i gotuje dla państwa. Chociaż często jest angażowana tylko dlatego, że w całej Ameryce odczuwa się brak białej służby i że pan domu nie będzie ją szczytać w pośladek (żaden biały gentleman nie zada się z kolorową), staje się widocznie godna zaufania i jej czystość ceni się wysoko, gdyż przekazuje się jej pieczę nad najważniejszymi rzeczami: dzieckiem i żołądkiem. Mimo to jednak nie może spać z państwem pod jednym dachem.

Murzyni nowojorscy są dopiero prawnukami tych ładunków okrętowych, które zdeklarowane jako czarna kość słoniowa przybywały na plantacje południowych stanów,

Rasizm, Obcy, Diabeł

Sluga

Niewola, Robotnik

<sup>133</sup> Baker, Josephine, właśc. Freda Josephine McDonald (1906–1975) — popularna francuska piosenkarka, tancerka i aktorka pochodzenia afroamerykańskiego; urodzona w slumsach St. Louis w USA, po występach w kabaretach Nowym Jorku w 1925 wyjechała do Francji; w latach 50. i 60. XX w. udawała się do USA, gdzie występowała przeciwko rasizmowi. [przypis edytorski]

dopiero czwartym pokoleniem tych niewolników, stłoczonych jeden pod drugim na pokładzie, z których połowa umierała podczas transportu, a druga leżała dalej pod i nad zwłokami. W promieniu pięciu mil od statków morze było cuchnące i zadżumione... Od tego czasu są niewolnikami.

Do niedawna nawet przez robotników nie byli uznawani za robotników, dopiero gdy komuniści przyjęli ich do swych organizacji, związki zawodowe musiały dać dostęp Murzynom, aby sprostać konkurencji komunistów.

W kioskach Harlemu można kupić wszelkiego rodzaju pisma, które służą ich interesom. „Opportunity” jest pismem polityczno-towarzyskim, „Harlem” magazynem literackim, „The Afro-American” (Baltimore) olbrzymim pismem z wiadomościami o Murzynach i ich fotografiami, tygodnik „The Negro World” walczy za czarny Syjon<sup>134</sup>, wzywa czarnych braci z diaspory do utworzenia na nowo świętego państwa w Afryce. Prawdopodobnie pozostanie to „projektem Ugandy”<sup>135</sup>...

Głośniki na głównych ulicach Harlemu kuszą głośnieją i wyraźniej bliższymi celami, sklepami z radioaparatami, gramofonami, instrumentami muzycznymi i nutami. I biedni tragarze portowi, ubrani w liberie tragarze dworcowi, windziarze z kolosów mieszkaniowych i piramid biurowych City, zmywacze talerzy, chłopcy na posyłkę i niańki gapią się przed nimi.

Gdyż przez te wrota widzą ci czarni uczniowie Jankesów drogę do królestwa powodzenia i pieniędzy, gdzie znaleźli poklask *Chocolate Kiddies*<sup>136</sup> i *Blackbirds*<sup>137</sup>, gdzie śpiewa Roland Hayes<sup>138</sup>, gdzie gra Plantation Orchestra<sup>139</sup>, gdzie tańczą Aida Ward<sup>140</sup> i Josephine Baker, a inni czarni jazz-bandują na dancinгах Paryża i Londynu lub występują w teatrach.

Ale jednak liczba lombardów dorównuje liczbie sklepów muzycznych. Trzech złotych kul, które w innych dzielnicach są oznakami tego zawodu, tutaj nie widać. Szyld firmy głosi bez ogródek: „*Pawn Broker*”<sup>141</sup>. W nocy są również otwarte. Jeszcze teraz można sprzedać, zamienić, wykupić lub wypożyczyć. Frak wraz z lakierkami kosztuje dolara za wieczór, za cztery dolary można kupić wspaniałą *Tuxedo* (smoking).

Za jakie grosze można to zastawić! I nawet tego nie może biedak często uciulać, aby wykupić swoje stare ubranie do pracy. Jaką nędzę muszą cierpieć tutaj ci, co pozbywają się swoich saksofonów, ukulele i banjo, przy pomocy których mieli nadzieję wydostać się z piekła kolorowych i grając, dostać do niebiańskiego królestwa białych.

## PIERWSZA ROZMOWA Z UPTONEM SINCLAIREM<sup>142</sup>

Czy przybyłem do Nowego Jorku tylko przejazdem? Każdy mnie o to pyta, jakby Nowy Jork był stacją przeładunkową dla Europy. To śliczne miejsce, nieprawdaż? Nie chciałbym jednak tam mieszkać. To dla mnie za drogie — można tam egzystować tylko wtedy, gdy się zarabia. Biedni drobnomieszczanie nowojorscy spacerują sobie swobodnie po ulicach,

<sup>134</sup>Syjon — wzgórze w Jerozolimie, na którym znajdowała się świątynia z Arką Przymierza; tu przenośnie: ziemia obiecana przez Boga. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>projekt Ugandy — koncepcja rozwoju osadnictwa żydowskiego i stworzenia żydowskiego państwa na terenie angielskiej kolonii w Ugandzie; rozważana przez syjonistów w 1903 w odpowiedzi na propozycję brytyjskiego sekretarza stanu do spraw kolonii, w 1905 odrzucona. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*Chocolate Kiddies* (ang. Czekoladowe Dzieciaki) — amerykańskie widowisko rewiowe prezentowane w 1925 na scenach Europy (Berlin, Hamburg, Sztokholm, Kopenhaga), prezentujące muzykę jazzową. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>*Blackbirds* — przebojowa amerykańska rewia muzyczna wystawiona po raz pierwszy na Broadwayu w 1928, gdzie stała się najdłużej granym widowiskiem z udziałem wyłącznie czarnych wykonawców; w 1929 odniosła sukces również w Moulin Rouge w Paryżu. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>Hayes, Roland (1887–1977) — amerykański śpiewak tenorowy; koncertował w Europie, jako jeden z pierwszych Afroamerykanów nagrał płytę z repertuarem klasycznym (1939). [przypis edytorski]

<sup>139</sup>*The Plantation Orchestra* — tytuł płyty nagraanej w 1926 w Londynie przez afroamerykański zespół jazzowy Pike Davies Orchestra. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>Ward, Aida (1900–1984) — amerykańska piosenkarka jazzowa, popularna w latach 20. i 30. XX w. w Nowym Jorku; wystąpiła m.in. w przebojowej rewii *Blackbirds*. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>*Pawn Broker* (ang.) — właściciel lombardu. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>Sinclair, Upton (1878–1968) — powieściopisarz amerykański związany z ruchem socjalistycznym, bardzo znany i poczytny w pierwszej poł. XX w.; autor m.in. powieści *Oil!* (Nafta, 1927) oraz dramatu *Singing jailbirds* (Śpiewający recydywiści, 1924). [przypis edytorski]

ogłądają drapacze chmur, cieszą się, że Ameryce tak dobrze się powodzi, i mówią: „My mamy prosperity...” Ale prosperuje tylko Wall Street.

---

Jutro lub pojutrze wracam do Kalifornii. Bawię tu teraz, aby zająć się udratyzowaniem *Nafty*; będzie wystawiona w „Playhouse” jeszcze podczas tego sezonu. Nie piszę sam tej sztuki, lecz mój przyjaciel; tworzy na próbach dla prób — tak tutaj się postępuje. Tylko zarysy zasadnicze omówiliśmy razem. Niemieckim tłumaczeniem zajmuje się James Fuchs, pisarz wiedeński, który już od dwudziestu lat mieszka w Ameryce. W przyszłym tygodniu Princetown Theatre wystawi *Śpiewających recydywistów*, ale mnie już tu nie będzie, niestety. Czy zechciałby pan mieć wstępne przemówienie w teatrze? Tak? Więc zrobione.

---

Tak, możliwe, ale to jest równie ważne, mamy dość więźniów politycznych. Na przykład Tom Mooney<sup>143</sup> siedzi już dwanaście lat w lochu, chociaż wszyscy w Ameryce wiedzą, że jest niewinny. Mimo to życie jego wisiało na włosku i tylko proletariatu rosyjskiemu zawdzięcza, że nie został powieszony. Tragikomiczna właściwie historia: Tom Mooney został skazany na śmierć na stryczku i miał być powieszony w więzieniu San Quentin, będąc oskarżonym o rzucenie bomby na demonstrację prowojenną (*Preparedness Parade*), zorganizowaną i opłacaną przez Izbę Handlową w San Francisco. Gazety nie pisały o tym, gdyż w czasie wojny<sup>144</sup> nie chciano wywoływać rozruchów robotniczych w obronie popularnego przywódcy, którego z drugiej strony chciano nieodwołalnie posłać na szubienicę. Nagle nadeszły alarmujące pogłoski z Piotrogradu, że bolszewicy zorganizowali demonstracje antyamerykańskie, w budynku poselstwa USA wybito szyby, a wszystko to z powodu skazanego na śmierć w Kalifornii człowieka, imieniem Tomuni, prawdopodobnie Włocha. Wszystkie pisma amerykańskie, chcące pozyskać Rosję dla dalszego prowadzenia wojny, oznajmiły, że nic o tej sprawie nie wiedzą; posłano na wschód specjalnych korespondentów, którzy niezwłocznie wyjaśnili, że nie chodzi tu o Włocha Tomuniego, lecz o wodza robotników kalifornijskich, Toma Mooneya. Wzburzenie proletariatu wzrosło i „ułaskawiono” pośpiesznie Mooneya na dożywotnie więzienie, aby nie mącić pokoju obywatelskiego z robotnikami i przekonać Rosję o demokracji Ameryki.

---

Często bardzo trudno jest przełamać zacięte milczenie gazet. W roku 1914 miało ono właśnie miejsce w sprawie rozruchów tkaczy jedwabiu z Paterson. Musiał pan chyba wiedzieć Johna Reeda<sup>145</sup> i pisać o nim. Zdecydował on bezwarunkowo uświadomić opinię o tych wypadkach. Bez centa w kieszeni wynajął największą salę Nowego Jorku, Madison Square Garden, i wraz ze mną wystawił sztukę *Pegeant of the Paterson Strike*. Po całych dniach biegał po znajomych, by wydostać pieniądze na pokrycie niedoborów, wieczorami i całymi nocami pędził z zawiniętymi rękawami koszuli po scenie, wskazując dokładnie strajkującym tkaczom, którzy tłumnie przybyli z Paterson, jak mają przedstawiać niefałszowane sceny swego codziennego życia. Był to, co wyjaśniłem już w swoim *Money writes*, pierwszy w ogóle dramat kolektywny. Wyjaśniający wpływ przedstawienia był olbrzymi i wyraził się wkrótce w rokowaniach o płacę. W istocie, w okresie stabilizacji kapitalizmu nie pomagają nawet protest całego świata, patrz sprawę Sacco–Vanzetti.

Robotnik, Interes, Wiedza,  
Słowo, Polityka

---

<sup>143</sup>Mooney, Thomas (1882–1942) — amerykański działacz polityczny i przywódca związkowy; na podstawie sfalszowanych dowodów i fałszywych zeznań wraz z Warrenem Billingssem uznany za winnego zamachu bombowego w San Francisco w 1916 i skazany na śmierć przez powieszenie; w 1918 jego wyrok zamieniono na dożywotnie więzienie; po międzynarodowych kampaniach i publikacjach wykazujących fałszywość zarzutów został w 1939 ułaskawiony. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>w czasie wojny — mowa o I wojnie światowej; proces Mooneya odbył się w roku 1916. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>Reed, John (1887–1920) — amerykański dziennikarz, publicysta, komunista; sławę przyniosły mu bezpośrednie relacje z rewolucji meksykańskiej; w 1917 wyjechał jako reporter do Rosji, gdzie był świadkiem rewolucji październikowej, którą relacjonował dla prasy amerykańskiej, a później opisał w książce *Dziesięć dni, które ustrząsnęły światem* (1919). [przypis edytorski]

Tak. Widziałem wczoraj *Bogów piorunu*<sup>146</sup> w Małym Teatrze. Nie mogę jednak wydać sądu o tym dramacie, gdyż jest on mieszaniną sprawy Sacco–Vanzettiego z fantazją poetycką. Od dwóch lat tak intensywnie zajmowałem się Sacco i Vanzettim, że moje myśli z wyobrażanych epizodów rzeczywistości przeskakiwały na następne epizody, podczas gdy na scenie pojawiała się coś już przemyślanego. To mnie męczyło. Tak prawdopodobnie się dzieje, gdy ktoś widzi na scenie część swego życia rodzinnego.

---

Tymczasem nie mogę, mam pracę. Chciałbym zwłaszcza udać się do Rosji, gdybym miał czas. W Niemczech byłem przed wojną u przyjaciela, Ericha Gutkinda<sup>147</sup>. Jest on poetą i pod nazwiskiem Volker wydał tom pt. *Objęcia seraficzne*; teraz zajmuje się astronomią. Do Berlina przybyłem z Fryderykiem van Eeden<sup>148</sup> i spotykałem się z wielu innymi socjalistami, zwłaszcza z Karolem Kautskim<sup>149</sup> u „świętej rodziny”<sup>150</sup>; byłem także w mieszkaniu Südekuma<sup>151</sup> — czy żyje jeszcze? — spotkałem także Hermana Müller-Franken<sup>152</sup> — tak, wiem, żyje jeszcze — Fischera i wielu innych. Poznałem i oceniłem Karola Liebknechta<sup>153</sup>, wielkiego człowieka! Oprowadził mnie po budynku parlamentu i pokazał, gdzie jadają obiady socjaldemokracji, a potem przez drzwi drugą jadalnię „przypoitych ludzi”. Tak ostry był wtedy rozdźwięk. Czy się już to zmieniło?

Tak, poznałem również Waltera Rathenaua<sup>154</sup>. Zaprosił nas na obiad do Cesarskiego Klubu Automobilowego. Z początku kazał podać jaja czajek. Pierwszy raz w życiu jadłem wtedy czajcze jaja — zresztą później też nie — i dlatego następnego dnia opowiedziałem to moim berlińskim przyjaciółom. Rathenau fetował nas jajami czajek. Wszyscy śmieli się do rozpuku i w naszych listach nazywaliśmy go zawsze „pan jajo czajki”.

---

Wiem o tym. Ale tego właśnie nie lubię. O ile się cieszę bardzo, że moje książki mają tak wysokie nakłady, o tyle jestem wrogiem bankietów i oklasków. Chętniej przesiaduję przez to w Kalifornii i piszę moje rzeczy.

---

<sup>146</sup>*Bogowie piorunu*, ang. *Gods of the Lightning* — dramat w trzech aktach, napisany przez Maxwella Andersona i Harolda Hickersona, wystawiany na Broadwayu w 1928, inspirowany sprawą Sacco i Vanzettiego. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>*Gutkind, Erich* (1877–1965) — niemiecki filozof żydowskiego pochodzenia; w 1910 opublikował pod pseudonimem Volker książkę *Siderische Geburt: Seraphische Wanderung vom Tode der Welt zur Taufe der Tat* (Gwiezdne narodziny: podróż seraficzna od śmierci świata do chrztu czynu). [przypis edytorski]

<sup>148</sup>*Eeden, Frederik van* (1860–1932) — holenderski pisarz, z zawodu lekarz psychiatra. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>*Kautsky, Karl* (1854–1938) — niemiecki działacz robotniczy, wpływowy teoretyk demokratycznego socjalizmu uzasadnianego z pozycji marksistowskich, radykalny krytyk rewolucji październikowej. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>*Święta rodzina* (niem. *die heilige Familie*) — przerwisko nadane przez przeciwników lewicowej rodzinie Kautskich: Karłowi Kautskiemu (1854–1938), jego żonie Luise (1864–1944) oraz synowi Benediktowi (1894–1960), nawiązujące do tytułu pracy Karola Marksa i Fryderyka Engelsa pt. *Święta rodzina czyli krytyka krytycznej krytyki*, krytykującej filozofię lewicy heglowskiej, której propagatorami byli bracia Brunon i Edgar Bauerowie. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>*Südekum, Albert* (1871–1944) — niemiecki dziennikarz i polityk socjaldemokratyczny, od 1900 członek Reichstagu, jeden z najaktywniejszych parlamentarzystów SPD. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*Müller, Hermann* (1876–1931) — niemiecki polityk socjaldemokratyczny, minister spraw zagranicznych Republiki Weimarskiej (1919–1920) i kanclerz Rzeszy (1920, 1928–1930); po 1920 kandydował do Reichstagu z okręgu wyborczego Frankonia i zmienił nazwisko na Müller-Franken, aby odróżnić się od innych osób o popularnym w Niemczech nazwisku Müller. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>*Liebknecht, Karl* (1871–1919) — niemiecki polityk i teoretyk socjalizmu; czołowy działacz Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD); współzałożyciel rewolucyjnego Związku Spartakusa i Komunistycznej Partii Niemiec; zamordowany przez członków niemieckiej nacjonalistycznej formacji paramilitarnej. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>*Rathenau, Walther* (1867–1922) — niemiecki przemysłowiec, pisarz, polityk; minister spraw zagranicznych (1922) Republiki Weimarskiej; zginął w zamachu dokonanym przez skrajnie prawicową grupę terrorystyczną. [przypis edytorski]

O, nie, nie w samotności, mam wielu przyjaciół. Zwłaszcza Charliego Chaplina<sup>155</sup> i Douglasa Fairbanka<sup>156</sup>. Chaplin jest zadziwiającym człowiekiem, chociaż niestety nie odpowiada na listy. Jest socjalistą i utrzymuje stosunki z radykałami, co powoduje bardzo duże zgorzenie w pewnych sferach.

Znam historię jego życia i jego małżeństwa — było zupełnie inaczej, niż czytaliśmy. Charlie żywił *idée fixe*<sup>157</sup>, że dla każdego człowieka, a więc i dla niego istnieje gdzieś na świecie idealna kobieta. Nie można go było odwieść od tego — ale gruntownie wyleczyła go idea, że zanim się znajdzie doskonałą kobietę, można się ożenić z niedoskonałą... Doug jest zupełnie inny, gościnny i bardzo otwarty. Zapoznam pana z Chaplinem, chociaż to jest trudne. Niech pan przyjedzie do mnie do Long Beach, pan i Charlie z pewnością się zaprzyjaźnią. W zeszłym roku był u mnie niemiecki poeta, Klaus Mann, bardzo miły człowiek. Jego ojca cenię wysoko. *Czarodziejska góra*<sup>158</sup> jest wspaniałą książką. Jest prawdopodobnie osnuta na tle osobistym, ale staje się osobistym przeżyciem czytelnika. Ja sam myślałem podczas długich tygodni czytania, że znajduję się w Davos w sanatorium dla chorych na płuca. Gdy moi współpacjenci za wiele mówią, przewracam kilka kartek...

---

Czytam wiele niemieckich książek. W młodości przeczytałem wszystkich niemieckich klasyków, ponieważ nauczyciele mówili nam, że to jest bardzo ważne. Doszedłem jednak tylko do Gustawa Freytaga i zaniechałem tego. Teraz czytam tylko nowoczesną literaturę.

---

Tęgo nie czytuję. Ci podróżnicy opisują wciąż to samo: olbrzymi hotel, wodospady Niagary, dzielnicę chińską w Nowym Jorku i Fifth Avenue. Istnieje ważniejsza i ciekawsza Ameryka: istnieje Missisipi, „Czarna wstęga”, gdzie się uprawia bawełnę — istnieje Kalifornia, gdzie znajduje się rancho Jacka Londona<sup>159</sup> i farma owocowa Luthera Barbanka<sup>160</sup>, który krzyżował owoce, stworzył grapefruita i tysiące innych dziwów — istnieje Colorado, gdzie można znaleźć ostatnich „pionierów Zachodu”, starych, którzy przed pięćdziesięcioma laty ciągnęli w góry z całym majątkiem na grzbiecie osła, aby odkrywać pokłady złota i srebra, a teraz pracują w kopalniach, aby nocą przegrać swe wynagrodzenie w *gambling dens*<sup>161</sup> — istnieje czarodziejskie wybrzeże Florydy, gdzie „boom” — podmuch koniunktury — i tornado — wirujący huragan — zdruzgotały posiadłości bogaczy wojennych — istnieje...

---

Zdaje się, że w literaturze amerykańskiej stosunki się nieco polepszyły. Okres samokrytycyzmu wydał parę dobrych książek. Z dzieł żyjących autorów wydają mi się najlepsze: powieść z życia robotników tytoniowych *Weeds* Edyty S. Kellog, L. Lewisohna *Upstream*, wspaniały tom wierszy *Two Lives* W. E. Leonarda, profesora w Wisconsin, Michaela Goldsa *120 milionów*, Edgara Lee Mastersa *Spoon River Anthology* i *The Nuptical Flight*. Bada się prądy socjalne Ameryki, krytykuje...

---

<sup>155</sup> *Chaplin, Charlie*, właśc. *Charles Spencer Chaplin* (1889–1977) — brytyjski aktor i reżyser okresu kina niemelego, później także filmów udźwiękowionych; scenarzysta i producent filmowy; od 1914 występujący filmach w Stanach Zjednoczonych, stworzył postać tragicomicznego bohatera: włóczęgi Charliego; współzałożyciel wytwórni United Artists w 1919. [przypis edytorski]

<sup>156</sup> *Fairbanks, Douglas* (1883–1939) — amerykański aktor filmowy, znany z ról nieustraszonych bohaterów w filmach przygodowych; producent, scenarzysta i reżyser; współzałożyciel wytwórni United Artists w 1919 oraz Amerykańskiej Akademii Filmowej w 1927. [przypis edytorski]

<sup>157</sup> *idée fixe* (fr.) — powracająca, natrętna myśl; obsesja. [przypis edytorski]

<sup>158</sup> *Czarodziejska góra* — najlepsze i najśłynniejsze dzieło Thomasa Manna (1875–1955), wybitnego prozaika niemieckiego, laureata literackiej Nagrody Nobla (1929), wyd. w 1924; jej akcja rozgrywa się w szwajcarskim sanatorium w Davos. [przypis edytorski]

<sup>159</sup> *London, Jack*, właśc. *John Griffith Chaney* (1876–1916) — amerykański pisarz, socjalista; prowadził barwne życie, był gazeciarem, trampem, kłusownikiem, marynarzem, poszukiwaczem złota w Klondike i reporterem. [przypis edytorski]

<sup>160</sup> *Burbank, Luther* (1849–1926) — amerykański przyrodnik, hodowca roślin; opracował nowe metody hodowli, wyhodował liczne nowe odmiany roślin. [przypis edytorski]

<sup>161</sup> *gambling dens* (ang.) — jaskinie hazardu. [przypis edytorski]

To prawda, uważam zakaz spożywania alkoholu za największy postęp Ameryki od czasu zniesienia handlu niewolnikami. Moja cała młodość była zatruta pijaństwem ojca — piszę właśnie rodzaj autobiografii i przeżywam na nowo okropności tego okresu — i nie mogę znaleźć innego stanowiska w stosunku do tego zagadnienia.

Z pewnością. Jestem także jedynym socjalistą Ameryki, który jest zwolennikiem prohibicji, znoszę z tej przyczyny zaczepki z własnego obozu, i nazywają mnie częściej niż dawniej purytaninem. Znam wszelkie ich argumenty: codzienne wypadki zatruc, olbrzymią korupcję (każdy bogaty Amerykanin może sobie sprowadzić do woli całe galony<sup>162</sup> wszelkiego rodzaju wódek), ogromny wzrost przestępstw setek tysięcy *bootlegerów*<sup>163</sup>. Może pan ma nawet rację co do tak zwanej „seksualności alkoholowej”, tego lubieżnego szeptania i chichotania o różnych wydarzeniach — mianowicie o dobrej whisky, którą gdziekolwiek wypito. To wszystko dotyczy jednak tylko dużych miast, w małych miastach nie można dostać alkoholu i ta wielka ilość szynków, które dawniej tworzyły jakby perły jednego naszyjnika, i ogromna liczba ciał pijaków na ulicach należą obecnie do wyjątków.

## WIĘZIENIA NA WYSPIE NA EAST RIVER

Na żądanie tramwaj staje pośrodku mostu Queensborough.

Nawet pojazdy policyjne zatrzymują się pośrodku kilometrowej długości mostu, a więźniowie muszą wysiadać.

Dlaczego? Czy rzuca się ich do wody albo może sami skaczą do niej? Tak, stąd prowadzi droga w dół.

Nie idzie się nią, tylko jedzie — pod warunkiem, że ma się dobrowolną lub nie-dobrowolną przepustkę — w windzie, która opuszcza się nisko, nisko na piękną, dużą wyspę.

Nazywała się dawniej Blackwell Island, obecnie jednak otrzymała oficjalną nazwę Welfare Island, Wyspa Pomyślności.

Należy ją określić jako piękną wyspę, ponieważ leży pośrodku Nowego Jorku, między Manhattanem i Long Island, a mimo to nie dochodzi do niej nieludzki zgilek i zabójczy ruch miasta, ponieważ ma rozległe trawniki i solidne budowle, pomiędzy którymi jest dość przestrzeni do oddychania. Przede wszystkim zaś dlatego, że można stąd oglądać różnobarwne ruchome obrazki z bajki *Port nowojorski*.

Trzeba także Wyspę Pomyślności nazwać dużą, gdyż 46 ulica, przedłużona aż do brzegu, utworzyłaby styczną do południowego krańca wyspy, której północny kraniec leży na wysokości 86 ulicy. Jest to odległość około czterech kilometrów! Gdyby chciano tu budować tak, jak buduje się w górze, na wyspie interesów, wszystkie kuchnie dla biednych Mr. Zero, schroniska misyjne, noclegownie Armii Zbawienia<sup>164</sup> i innych towarzystw dobroczynnych mogłyby zostać zastąpione przez wystarczającą liczbę podobnych instytucji, a tysiące bezdomnych i głodnych otrzymałyby dach nad głową i pożywienie. Wyspa nie stałaby się przez to piękniejsza, ale pomyślność większa.

*Penitentiary*, więzienie męskie, wygląda imponująco. Parterowy, ale wysoki budynek, poprzecinany wielkimi oknami. Materiał: ciemny granit.

A przed tym pałacem letnim widnieje trawnik, oddzielony od ulicy drucianą siatką. Strażnik zwraca samotnemu przechodniowi uwagę, że wolno chodzić tylko po przeciwległej stronie ulicy... Skoro podamy przez kratę pozwolenie wystawione przez Department of Correction<sup>165</sup>, otwiera się brama i wchodzimy do wielkiej sali, w której około sześćdziesięciu ludzi siedzi na długich ławkach i czeka na wiadomość, ile wymierzono im dni, miesięcy, względnie lat kary. Wyrok opiewa tylko na „*indeterminate sentence*”<sup>166</sup> i dopiero w więzieniu określa się wymiar kary.

<sup>162</sup>galon — anglosaska miara objętości płynów i ciał sypkich; galon amerykański to ok. 4 litry. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>bootleger (ang.) — przemytnik alkoholu. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>Armia Zbawienia — międzynarodowa organizacja religijno-dobroczynna zorganizowana na sposób wojskowy, zał. 1878 w Londynie przez Williama Bootha. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>Department of Correction (ang.) — Departament Więziennictwa. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>indeterminate sentence (ang.) — nieokreślony wymiar kary. [przypis edytorski]

Więzienie

Między ponuro czekającymi jest wielu Murzynów — tak samo zresztą jak w Tombs, więzieniu miejskim na Manhattanie, czy też w męskim więzieniu karnym i w kobiecym domu poprawczym na Wyspie Pomyślności, połowę skazańców stanowią Murzyni. Ich procent w stosunku do całkowitej liczby ludności jest o wiele mniejszy, tak że można by z tego wywnioskować o wysokiej przestępczości czarnych. Kto jednak zna amerykańskie sprawy policyjne i sądowe, wie, że z ciemnym „niggre<sup>167</sup>” robi się mniej ceregieli niż z biednym grzesznikiem barwy białej.

W piwnicy snują się czarni, uginając się pod ciężarem, ładują węgiel na wozy. Oficjalny czas pracy wynosi pięć i pół godziny (od ósmej do wpół do jedenastej i od pierwszej do kwadrans przed czwartą), ale ponieważ ograniczony jest tylko dowóz węgla do warsztatów, w żadnym razie jednak nie do elektrowni i kotłowni, należy pracować nadprogramowo.

Godziny nadprogramowe! Jest to niszcząca metoda pracy, ale często dobrze płatna. Tutaj nie tylko nie dobrze, ale wcale się im nie płaci. Całą pracę skazańcy wykonują bezpłatnie. Nędzna płaca, zaprowadzona w Europie, nie została wprowadzona w bogatej Ameryce. (W Rosji więźniowie otrzymują płacę robotników znajdujących się na swobodzie, mimo to jednak więzienie nie przestaje nim być i nikt się nim nie lubuje i bynajmniej nie dąży do pobytu w nim).

Na podwórzu więzienia nowojorskiego widzimy garaż w budowie, a obok skład samochodowych części składowych; w stolarni wyrabia się ramy okienne i meble; w ślusarni i starej hali automobilowej reperuje się i lakieruje wozy, wykonuje zamki, klucze i okucia żelazne; w obszernym warsztacie instalacyjnym wytwarza druty i izolację dla zakładów elektrycznych, naprawia rury ogrzewające i klozetowe; w pralni nie tylko się pierze, ale i fabrykuje mydło, a w piekarni, w której zatrudnieni są Hiszpanie, Włosi i Malajczycy, codziennie piecze się pięć tysięcy bochenków chleba z dziesięciu tysięcy funtów<sup>168</sup> mąki.

W kuchni więziennej przygotowuje się potrawy dla 1500 do 2000 osób — a to wszystko przez ludzi, którzy za popełnienie jakiegoś występku muszą swoją pracę oddawać stale bez pieniędzy. Ich fachowa praca, której znajomość nabyli na wolności! (Warsztatów szkolnych, nauczania jakiegoś rzemiosła nie ma w tym domu pracy, gdzie odsiaduje się kary od pięciu dni do trzech lat, zatem więzień zostaje znów zwrócony życiu i mógłby być zwrócony jako pożyteczny człowiek).

Kto nie jest wykwalifikowanym robotnikiem albo zna fach niemający tutaj zastosowania, zostaje użyty przy sprzątanu izb albo zupełnie niezatrudniony.

Jak to — zapyta czytelnik — jak się więc wypuszcza skazańca, gdy przez lata całe nie wypłacano mu wynagrodzenia? Przecież nie można go tak bez pieniędzy wyrzucać na ulicę? Nie, to nie może mieć miejsca i dlatego każdy przy wypuszczeniu z więzienia prócz ubrania otrzymuje jeszcze 25 centów, słownie: dwadzieścia pięć centów. Jak się musi urządzać, aby nie zabrać się do czegoś, jak ma uniknąć i tego, aby nie zostać aresztowanym wieczorem tego szczęśliwego dnia — wymiaru sprawiedliwości!

Obcokrajowiec jednak, choćby był najpilniejszy, nie otrzymuje tej ćwierci dolara, gdyż po odcierpieniu kary zostaje deportowany i podczas swej często całe miesiące trwającej podróży do ojczyzny nie potrzebuje pieniędzy...

Należy wspomnieć o charakterystycznym personelu pralni, prasowni i fabryki mydła. Z początku ma się wrażenie, że ma się przed sobą kobiety. Ale to są chłopcy, pracujący w plisowanych fartuchach, z ondulowanymi trwale włosami, kryzy naszyte na kołnierzach koszul, są wygoleni, mają malowane brwi i podczernione rzęsy pod oczyma, które, przeważnie duże i ładne, wskazały być może drogę swoim właścicielom.

Pralnia jest ogólnie uznaną domeną homoseksualistów; mieszkają oni także na tym samym korytarzu, gdzie ozdabiają swoje celki na modłę dziewczęcą, jakkolwiek męskie akty na ścianie nie są zwykłą ozdobą dziewczęcego pokoju.

Także mieszkańcy innych cel urządzili się indywidualnie: białe nakrycie z wyszytymi kwiatami rozciągnięte na łóżku, fotografia kobiety lub dziecka powieszona na ścianie, abażur na lampie, stoliczek w głowie pryczy zmieniony przez położone płótno w nocny stoliczek.

Wiadro — tak, tutaj znajduje się jeszcze wiadro — psuje rzeczywiście idyllę.

<sup>167</sup> *nigger* (ang.) — czarnuch; pogardliwe określenie osoby czarnoskórej. [przypis edytorski]

<sup>168</sup> *funt* — anglosaska jednostka wagi równa ok. 0,5 kg. [przypis edytorski]



Cele więzienne są tak wąskie, że trzydzieści centymetrów od brzegu łóżka zaczyna się już ściana i nie ma miejsca na stolik ani na miednicę. Myje się poza celą, dlatego także klozet nie może być na zewnątrz?

Cele są urządzone w blokach o czterech piętrach i wokół ponad tymi klatkami dla drapieżnych zwierząt jest zbudowany wykładany czarnym granitem, przerywany wysokimi oknami mur, poza którym można by się domyślać skromnego domku miejskiego. Wszystko to jest groteskową budowlą, maskaradą.

Na zewnątrz nazywa się to także *penitentiary*<sup>169</sup>, wewnątrz *prison*<sup>170</sup>. W Old Prison jest zamkniętych 247 osób, w Nord Prison 556, w West Prison 221, w South Prison 213, w sypialni domu robotniczego 237, w izolatorium dla złoczyńców znajduje się 13 ludzi, przypadkowo zupełnie dobrodusznie wyglądających Murzynów, w szpitalu, dokąd wszyscy więźniowie chętnie idą, gdyż można tam słuchać radia (poza tym nigdzie) i jest lepsze jedzenie, leży obecnie 47 chorych.

Listów może pisać więzień, ile chce. Co czternaście dni dozwolona jest wizyta, która się odbywa przy zachodniej ścianie kościoła, poza drucianymi kratami. Ale gdy zapytać, jak to się dzieje, że więźniowie siedzą w kościelnych krzesłach obok dam, dowiadujemy się, że wystarali się o specjalne pozwolenie. Przez polityków.

Sala, w której nowo przybywający przebierają się w więzienne ubranie i bieliznę, przedstawia obraz grozy. Siwi mężczyźni, którzy zawijają swe łachmany, młodzi ludzie, którzy zdejmują swe dobre ubrania, stoją nago i przed sobą mają „nowe” ubrania: kłęb starych, zużytych materiałów, a bieliznę często reperowaną i mimo to podartą!

Każdy więzień otrzymuje bezpłatnie i w dowolnej ilości chleb. Może się także żywić w restauracji za 3 dolary 20 centów tygodniowo. Oprócz tego jest zakładowy wikt, rano placek owsiany i biała kawa, w południe zupa, mięso, kartofle i jarzyna, wieczorem fasola i herbata. „Jedzenie jest zupełnie niestrawne, mięso cuchnie na dziesięć metrów, nikt go nie może jeść”. To powiedział nam pierwszy więzień, do którego klatki weszliśmy, w języku niemieckim, gdyż wiedział, że strażnik go nie zrozumie. Był to młody student z Kolonii<sup>171</sup>, który uciekł od rodziców i na przekazie opiewającym na jednego dolara dopisał jedno zero, które to fałszerstwo zostało ocenione przez sąd na 4866 punktów.

Ponieważ za każdy dzień, w którym się dobrze sprawował, odlicza się 13 punktów, może po upływie roku zostać deportowany, co — ku jego radości — ma nastąpić w najbliższych dniach.

Wydaje się nam to nie do wiary, że w bogatym Nowym Jorku, w Ameryce dobrobytu wikt więzienny jest niestrawny, a mięso może śmierdzieć. Później pytaliśmy jeszcze Rosjanina i Czecha w ich języku: „Jak smakuje wam wikt?” — „Nie jemy. Jemy tylko chleb, jest dobry. Jarzyna i mięso śmierdzą”.

W pace z mięsem, którą kazaliśmy otworzyć, śmierdziało bestialsko, a pracujący tam rzeźnicy spoglądali na nas badawczo...

Więzienie dla kobiet jest po drugiej stronie wyspy. Są one szczególnie straszne — mężczyźni w pozbawionym kobiet otoczeniu nigdy nie dopuszczają do takiego stanu zaniedbania, jak kobiety pozbawione mężczyzn.

Najstraszniejszy jest widok niemających zajęcia prostytutek. Roi się tu od prostytutek, białych i czarnych, wiele spośród uwięzionych jest luetyczkami<sup>172</sup>, inne morfinistkami albo kokainistkami. W sypialni widzieliśmy murzyńskie dziewczynki mające dziesięć albo dwanaście lat.

— Czy powinny tu być przyjmowane dzieci?

— Nie. Ale gdyby powiedziały, że są małoletnie, poszłyby na trzy lata do Bedford, do Reformatory for Girls (dom poprawy). U nas zaś siedzi się za takie przewinienie sześć miesięcy. Dlatego mówią, że mają więcej niż szesnaście lat. Kto to może skontrolować?

Tak wyglądają sprawy na Welfare Island, rajskiej wyspie pośrodku Nowego Jorku.

Więzień

Więzień

Więzień, Kobieta „upadła”

<sup>169</sup>*penitentiary* (ang.) — zakład karny. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>*prison* (ang.) — więzienie. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>*Kolonia* (niem. Köln) — duże miasto w zach. Niemczech. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>*luetyczka* (od łac. med. *lues*: kiła) — syfilityczka, kobieta chora na kiłę, chorobę weneryczną. [przypis edytorski]

## JAKO MARYNARZ DO KALIFORNII

Cała historia, o której nie wiem, jak wyjdzie, czy w ogóle wyjdzie i czy w ogóle jest historią — gdyż zaczynam wkrótce po jej rozpoczęciu notować jej początek dzisiaj, 12 stycznia 1929 roku, a nasza podróż powinna trwać do końca lutego...

Cała historia więc rozpoczęła się w Międzynarodowym Klubie Marynarzy w Nowym Jorku.

Tam wdałem się w rozmowę z pewnym młodzieńcem. Nazywał się Harry Warwick, jak się później dowiedziałem, ale prawdopodobnie ani on, ani jego nazwisko nie mają żadnego znaczenia dla dalszego przebiegu historii, której był on przyczyną i początkiem.

Z poządlwością wypytywał się mnie o Niemcy, które stały się dla niego wymarzo- nym krajem, chociaż albo ponieważ nigdy nikogo z Niemiec nie widział, ani z nikim nie rozmawiał, a tak wiele o Niemcach słyszał.

Chętnie zaciągnąłby się do United States Lines<sup>173</sup>, gdyby nie musiał już jutro rano udać się w ten przekłęty *trip*<sup>174</sup> do Oregonu. Ale w kwietniu wróci znów tutaj i wtedy uda się do Bremy, choćby go to nie wiem co kosztowało.

— Jutro płyniesz?

— Jutro, koło dziewiątej.

— Jak to się tam jedzie? — zapytałem, chociaż nie miałem pojęcia, gdzie leży ten Oregon.

— Wzdłuż wybrzeża Pensylwanii, Maryland i South Wirginia. Wyruszamy z Georgii, stamtąd do Florydy, potem przez Kanał Panamski, potem w górę do Los Angeles i San Francisco aż do Portland i to już Oregon.

— Do diabła — powiedziałem — chętnie pojechałbym wraz z wami.

Któż powiedziała by co innego? Kto wyrusza w jakąś szczególniejszą podróż, musi często usłyszeć to zdanie z dodatkami, które mają być komiczne: „Czy nie mógłby pan zabrać mnie w kufrze?” „Czy nie potrzebuje pan sekretarza albo kogoś do czyszczenia butów?”

Ale rzadko ten pożądanycy otrzymuje odpowiedź, jaką dał mi młody marynarz, Harry Warwick:

— No, to jedź razem z nami.

— Jak to? — spytałem, sądząc, że dobrze nie zrozumiałem. Miało to znaczyć: „Co też mówisz?”, ale on zrozumiał: „Co więc mam robić, aby jechać?” Odpowiedział mi, że mogę mu teraz po prostu towarzyszyć, jego okręt „Hiawatha” podnosi jutro rano kotwicę, może więc wybiorę się z nim.

— Tak prędko nie mogę się wybrać.

— No to jak będziesz miał czas, zgłosisz się do Sea Service<sup>175</sup> i powiesz: chcę jechać jako marynarz. Wtedy urzędnik skieruje cię na statek, który zaciąga załogę. Tam muszą cię przyjąć.

— Nie jestem przecież marynarzem.

— Kogo to obchodzi? Jeśli jedziesz na morze, jesteś nim. Każdy, kto wyrusza na morze, jest marynarzem.

Było w tym coś więcej albo nieco mniej niż twierdzenie dobrego Harry’ego; to było zwykle powiedzenie amerykańskie. „*Are you a good sailor?*”<sup>176</sup> nie oznacza bynajmniej pytania, czy ktoś jest dobrym pracownikiem marynarki, tylko czy nie cierpi na chorobę morską. „*My wife is a bad sailor*”<sup>177</sup> — nie oznacza złego marynarza, tylko skłonnego do morskiej choroby.

— Ależ ja nie mam żadnych papierów!

— Potrzebujesz przecież tylko najważniejszego!

— Nie mam i tego!

Harry Warwick spojrział na mnie ze zdziwieniem; przepłynął siedem mórz i widział różnych ludzi, dziś nawet jednego, który przybył wprost z Niemiec, ale żeby ktoś, w do-

<sup>173</sup> *United States Lines* — amerykańska transatlantycka firma żegluga, działająca od 1921 do 1969; jej pierwszymi statkami były liniowce niemieckie zarekwirowane przez Stany Zjednoczone w 1917. [przypis edytorski]

<sup>174</sup> *trip* (ang.) — podróż; wycieczka. [przypis edytorski]

<sup>175</sup> *Sea Service* (ang.) — Służba Morska. [przypis edytorski]

<sup>176</sup> *Are you a good sailor?* (ang.) — Czy jesteś dobrym żeglarzem? [przypis edytorski]

<sup>177</sup> *My wife is a bad sailor* (ang.) — dosł.: Moja żona jest kiepskim żeglarzem. [przypis edytorski]

datku i bez tego dziwak, nie miał najważniejszego dowodu obywatelstwa Stanów — z czymś podobnym marynarz Harry Warwick jeszcze się nie spotkał.

— Nie przejmuj się. Jeśli zrzekniesz się wynagrodzenia, możesz jechać wszędzie. Wtedy stary schowa twoje wynagrodzenie — tak robią zawsze, gdy mają *work-a-way*...

— Kogo?...

— Studenta albo kupca, który wsiada na statek, aby odbyć podróż bez pieniędzy.

— Jak to nazwałś?

— *Work-a-way*, ten pracuje na swoją drogę. To często ma miejsce, szczególnie z chłopcami w wieku koło dwudziestki. Ile masz lat?

— Dwadzieścia dwa.

— No to jest akurat jeszcze dobrze. Możesz w środę jechać na „Hannawah”, to jest nasz siostrzany okręt. Stoi koło nas, przy India Street w Brooklynie. Wyrusza z portu w środę. Chodź ze mną, spotkasz Dave Dunge’a — on jest *bossem*<sup>178</sup> na „Hannawah”, możesz to zaraz zrobić. I tak idę po niego.

Tak więc poszliśmy do klubu bilardowego, przy czym Harry wbijał mi w głowę, żebym nie mówił z Dave’em Dunge’em o polityce, wprawdzie on się nią nie interesuje, ale tak będzie lepiej.

Dave Dunge grał w bilard albo w to, co się w tym kraju tak nazywa, grę dla Amerykanów i dzieci z szesnastoma różnokolorowymi i ponumerowanymi kulami, które przez uderzenie zderzają się z białymi w sześciu bocznych otworach deski. Wydaje się, że obowiązywały tylko dwie reguły: trzeba było zdjąć płaszcz, ale zachować kapelusz i kaburę na rewolwer.

Dave Dunge był zachwycony, słysząc, że przystępuję jako *work-a-way* i jestem skłonny oddać mu moje wynagrodzenie, bądź co bądź 42 dolary na miesiąc, jak z żalością usłyszałem. Odłożył zaraz kij, wypłacił grającej z nim Mulatce swą część pieniędzy z bilarda i w trójkę powędrowaliśmy do portu brooklińskiego, gdzieśmy wszyscy mieszkali: Dave na „Hannawah”, Harry na „Hiawatha”, a ja na brzegu u Mrs. Field, 104 Columbia Heights. Wstąpiliśmy jeszcze do jakiejś zakazanej knajpy. Dave Dunge nalegał, żeby zapłacić za nasze dziewięć szklanek whisky, zobowiązując mnie, że się tak wyrażę, łapówką.

Byłbym najbardziej zadowolony, gdybym od razu podążył na pokład. Nie śpieszyło mi się jednak do tego, gdy się dowiedziałem, że okręt przez pięć dni będzie stał w Baltimore na kotwicy.

— Czy nie mógłbym wejść na pokład dopiero w Baltimore? — spytałem. — Do dziesiątego na pewno uporządkuję swoje sprawy. Czy mi się to uda do środy, nie wiem dokładnie.

— W porządku. Jeżeli nie będziesz tu do środy, przyjedziesz do Baltimore. Nie przyjmę nikogo innego, dziewiątego wieczorem będziesz na pokładzie, spędzimy tam jeszcze jedną noc. Mam tam dziewczynę, Harry ją zna. Stoimy przy moło 9, Locus Point, Baltimore i Ohio Railroad — (napisał mi to). — Czy masz ubranie do pracy i buty? W porządku, pożyczę ci dobry *overall* i buty.

— Czy to jest pewne? Nie chciałbym nadaremnie jechać koleją do Baltimore.

Ostatnie pytanie zadałem tylko dlatego, aby rozwiać jego troskę, że nie myślę o tym poważnie.

Czyż myślałem poważnie?

To było trudne zagadnienie. Z jednej strony mogłem zobaczyć Florydę i Kalifornię wraz z Los Angeles, Hollywoodem i San Francisco, dokąd się inaczej bym się nie wybrał; podróż z Nowego Jorku tam i z powrotem kosztuje 400 dolarów, których zresztą nie posiadam.

Z drugiej strony: stracić pięć, sześć tygodni mego pobytu w Ameryce na być może nudną, być może burzliwą podróż morską na starym rupieciu towarowym z nędznym odżywianiem się i w brudnym łóżku (wtedy obawiałem się tego — och, gdybym miał przynajmniej brudne łóżko!) i przy ośmiogodzinnym dniu roboczym. Dwadzieścia dwa lata! W ten wiek uwierzył Harry Warwick. Niechże to będzie właśnie prawdą!

Dobry Harry! Mam dwa razy tyle lat, i te dwadzieścia dwa lata, o które przekroczyłem już dwadzieścia dwa, nie są także takie, jak pierwsze dwadzieścia dwa, które obejmują

<sup>178</sup>*boss* (ang.) — szef, zwierzchnik, przełożony. [przypis edytorski]

dzieciństwo i szkołę. Nie, te drugie dwadzieścia dwa, to dwadzieścia dwa razy po 365 dni i nocy pracy, interesów i wzruszeń, z życzeniami spełnionymi i niespełnionymi, z jeźdzeniem w pensjonatach, obcymi łózkami, kobietami i wojną światową. A teraz mam rozpocząć nieznaną mi pracę na obcym statku, na obcym morzu.

Nie, nie myślę przecież o tym na serio.

Liczę gotówkę. Starczyłoby mniej więcej na bilet do San Francisco i dwutygodniowy pobyt w San Francisco lub w Chicago, przyjmując, że mógłbym tam żyć na takiej samej stopie co w Nowym Jorku. Ale już nie na powrót, o, do diabła!

Szkoda by było odbyć podróż do Ameryki i nie widzieć nic poza Nowym Jorkiem i Chicago. (Powrotny bilet do Europy wykupiłem już na stacji w Berlinie).

Po moim odczycie na nowojorskiej scenie ludowej organizatorzy zapytali mnie, czy nie zechciałbym mieć odczytów w ich oddziałach miejscowych na zachodzie, trzydzieści dolarów za wieczór. Musiałem odrzucić tę propozycję, gdyż zaledwie starczyłoby mi na koszty. Jeśli zaś mogę jechać na zachód bez pieniędzy, pozostanie jedynie podróż do Nowego Jorku, a to można by pokryć z odczytów.

Zapytałem telefonicznie: „Czy macie jeszcze zamiar urządzić mi tournée?” Potwierdzili.

Tak, teraz myślę o tym zupełnie poważnie.

Zostawiłem swój kufer u Mrs. Field, 104 Columbia Heights, Brooklyn, i pojechałem do Baltimore.

Moi nowojorscy przyjaciele, których zawiadomiłem o swoim postanowieniu podróży, nie mogli mi dość okazać swej gorącej zazdrości, podziwiali „odwagę” mojej decyzji i twierdzili, że jestem „morowym chłopem”.

Muszę to przytoczyć, gdyż chcę zaznaczyć, że od początku swojej podróży nie czułem się zupełnie godny zazdrości i nie czuję się obecnie, że nie spodziewałem się od niej ani przygód, ani sensacji, że nie chciałem być ani oryginałem, ani kopią Jacka Londona, że wydawałbym się sobie godnym zazdrości, mogąc swoją podróż na zachód odbyć wagonem pulmanowskim<sup>179</sup>, i że moje postanowienie nie było postanowieniem, a cóż dopiero odwagą, zaś jeszcze mniej czynem „morowego” chłopca, tylko niczym więcej jak smutnym rezultatem suchego wyrachowania celem poprawienia stanu majątkowego.

Przez Waszyngton pojechałem do Baltimore. 9 stycznia za kwadrans pierwsza w południe byłem w Białym Domu, wieczorem tego samego dnia drapałem się z tłumoczkiem na plecach na molo 9, Louis Point, Baltimore, po furcie wejściowej w górę na „S. S. Hannawah”.

Dave Dunge powitał mnie. Nie powiedział mi, że jest bardzo zadowolony, widząc mnie, jak to powiedział dziś w południe Coolidge, ale był naprawdę (42 dolary).

W jego kabinie musiałem odłożyć mój tłumoczek i zaraz iść z nim do miasta, gdyż jego dziewczyna czeka na niego. Gdy wrócimy znów na okręt, wskaże mi miejsce do spania.

Była głucha noc, nie wiem, czy koniecznym jest ją opisywać, wydaje mi się jednak, że nie pozostanie ona bez wpływu na moje życie okrętowe.

Na Hull Street gwizdnął przez palce, jedno długie i dwa krótkie gwizdnięcia, i za chwilę Debora stała przed swoim domem.

Była ona tuż po trzydziestce, nie była brzydka, jakkolwiek na pewno tylko przez uprzejmość lub koleżeńskość dobry Harry Warwick w Nowym Jorku z takim zachwytem potwierdzał, że jest bardzo ładna.

I później salon z czterema albo pięcioma małymi zastawionymi stolikami i jednym obsadzonym gęsto barem, whisky z etykietą „Old Kentucky”, ale na pewno nie OK. Piliśmy, ogołociliśmy całkowicie jeden stół, ale Dave pozełgował do baru, aby tam wygłaszać wielkie przemówienia i grać w kości. Gdyśmy koło północy doszli do Dave’a Dunge’a z propozycją, aby zostawił to wreszcie, odmówił.

Nasz stół został tymczasem zajęty. Dave grał w kości i był tak pijany, że nie zwracał uwagi na Deborę. Odepchnął nas.

— Chodź ze mną — powiedziała Debora.

<sup>179</sup>pulmanowski wagon — rodzaj kolejowego wagonu pasażerskiego o długim korytarzu, z którego prowadzą wejścia do poszczególnych przedziałów; nazwany od nazwiska amerykańskiego wynalazcy Georga Pullmana (1831–1897); niegdyś synonim wygody w podróży pociągiem. [przypis edytorski]

— Nie mogę tego zrobić — odpowiedziałem, nie tylko dlatego, że Dave był moim szefem.

Była wściekła, jeszcze bardziej przekonana, że jestem „czymś lepszym”.

— Chodź — szepnęła mi — zaraz wrócimy. Czekam na ciebie, Hull Street 19.

Poszła.

Zwróciłem się do Dave’a Dunge’a:

— Hallo, Dave, myślę, że Debora poszła do domu.

— Bądź spokojny, wróci.

— Czy mogę zagrać z wami w kości?

— Nie, jest już dosyć osób.

Było tam sześciu graczy, którzy z nimi walczyli o swoją stawkę. Odsunął mnie na bok. Ciągłe jeszcze grał z tymi sześcioma i nie zauważył, gdy wróciłem do lokalu. Później przysła Debora, nie rzucił na nią okiem.

Ale gdyśmy w końcu poszli, Dave Dunge spytał:

— Gdzieście byli?

— Byłam w domu — powiedziała Debora.

— Wiem.

To było wszystko. Był źle nastrojony, chociaż wygrał 3 dolary 90.

Na okręcie kazał mi zająć swoje łóżko. On się położył w łóżku pilota.

I tak przespałem resztę nocy z 9 na 10 stycznia w koi bosmańskiej. Pierwszy i na pewno ostatni raz.

Gdy obudziłem się rano, późno, oszołomiony i zatruty złą whisky, na pokładzie roilo się od robotników, przeważnie Polaków. Wyładowywali statek, chociaż przybył z Nowego Jorku, skąd na pewno nie zabrano ładunku do Baltimore. Później dowiedziałem się, że „Hannawah” przed miesiącem załadowała w Oregonie dla Baltimore Copper Smelting and Rolling Co. miedziane płyty, które z powodu ich znacznego ciężaru umieszczono na dnie ładowni. Po wyładowaniu w Nowym Jorku innego towaru można było zabrać się w Baltimore za dostarczenie miedzi do portu przeznaczenia. Załadowaliśmy inne tak samo ciężkie rzeczy — Baltimore, Maryland jest wysuniętym portem Pensylwanii, krainy stali i żelaza — rury stalowe, blachę cynkowaną, żelazo. Nawet trzy auta ciężarowe uniosły się w górę z wybrzeża i opuściły na pokład.

Mewy skrzeczały nisko nad polskimi robotnikami. Olbrzymi port pełen był okrętów. Promy z wagonami, wyładowane porządnie, wyglądają jak na pół zatopione mosty, których przęsa sterczą w wodzie.

Tam, nisko na Hull Street, na stałej ziemi mieszka Debora.

Z pewnością whisky była zatruta, prawie cały alkohol jest tutaj zatruty.

Dave przyszedł po mnie, zaprowadził mnie do sternika, a ten do kapitana. Tam podpisałem na okładce jakieś warunki, napisane na wewnętrznej stronie, których mi wcale nie pokazano.

Wreszcie wskazano mi pracę; znajdę jeszcze w przyszłości czas, aby o tym napisać, tak samo zresztą, jak o wspólnej kwaterze, gdzie co wieczór wdrapuję się na swój hamak.

Jedenastego byliśmy w Norfolk — jak sądzę, tak się to pisze — porcie w Wirginii, zabraliśmy orzechy ziemne, papierosy i karbid.

Po zachodzie słońca popłynęliśmy do składu węgla, gdzie w dolną część „Hannawah” została wetknięta gigantyczna lewatywa i wpuściła tam 750 ton. Na okrągłych szynach nad naszymi głowami obracała się hucząca karuzela wagoników z węglem.

Na pokład przybył pilot. Wyprowadził nas z oceanu do rzeki Savannah, i czternastego zarzuciliśmy kotwicę w porcie Savannah. Otrzymałem polecenia wysłania listów i poszedłem do miasta; wieczorem prywatnie powtórnie.

W kinie słyszałem między innymi film mówiony z Eddie Cantorem<sup>180</sup>, amerykańskim Kurtem Bois<sup>181</sup>. Z początku widzi się go, jak przez telefon przyjmuje *engagement*<sup>182</sup> do filmu mówionego. „Czy mam mówić po angielsku — zapytał — czy też jest to film dla Nowego Jorku?”

<sup>180</sup>Cantor, Eddie, właśc. Isidore Itzkowitz (1892–1964) — amerykański aktor filmowy i teatralny, komik, artysta wodewilowy, tancerz, piosenkarz. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>Bois, Kurt (1901–1991) — niemiecki aktor. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>*engagement* (fr.) — angaż, umowa z artystą: aktorem lub śpiewakiem. [przypis edytorski]

Trudno wyobrazić sobie wyrażające uznanie tupanie, przez parę minut nie można było zrozumieć żadnego z dowcipów cennego Eddie, tak cieszyła się prowincja, że stolica raz porządnie oberwała za swój kosmopolityzm, swoją pstrokaciznę, swoje szachrajstwa.

Droga z portu do Savannah prowadzi przez dzielnicę czarnych. Palmy, niepielegnowane i zmarniałe, stoją przed domkami za drewnianymi parkanami, szarymi jak materiał budowlany w ich ojczyźnie: muł zmieszany z wielbłądzim łajnem. Zupełnie inaczej wygląda to tutaj między India i Lumber Street, nie tak jak na północnym krańcu Sahary.

Ubrania ich są różnorodne — jak małpie kaftaniki zwisają wczorajsze i przedwczorajsze kostiumy europejskie z ich ciał — żebracy afrykańscy w lachmaniastym płaszczu i podartym burnusie, nagie dzieci z oaz przy Sidi-bel-Abbes lub Tuggurcie wyglądają po królewsku w porównaniu z ich zabłąkanymi krewnymi.

Tragiczna groteska — siwobrodzi Murzyni w twardych melonikach, czarne matrony z podartymi polnymi różami na czarnych słomkowych kapeluszach.

Wciąż jeszcze, wciąż siedzą w kucki przed chatą wuja Toma<sup>183</sup>.

Poza miastem zachowała się bez zmiany wieś lepianek, jeszcze z epoki niewolnictwa. Murzyni robią teraz to samo, co wtedy, pracują ciężko na plantacjach bawełny i ładują ciężkie bele. Wprawdzie bicz o dziewięciu końcach nie świszczuje już nad ich krwawiącymi plecami, ale „*Massa*”<sup>184</sup> płaci im tylko tyle, aby zaledwie starczyło na jedzenie i mieszkanie, zatem tyle, ile otrzymywali wtedy.

Pytałem czarnych robotników o ich wynagrodzenie. Trzydzieści centów za godzinę. Za sto funtów oskubanej bawełny — tyle może Murzynka wykonać z dziećmi w ciągu dnia — otrzymują dolara, w tkalni bawełny dwanaście centów za godzinę.

Na bulwarze wznosi się góra bel i skrzyń z bawełną. Ciemni kierowcy przesuwają się na drezynach od składów do miejsc ładunkowych, gdzie ich towarzysze zawieszają ciężary na dźwigach i windują w górę.

Czasem jakaś bela pęka. Wtedy czarni schylają się i zbierają rękami kłaczki waty, a czarna bawełna ich głów miesza się na ziemi z białą, tą kosztowniejszą.

Także skrzynie ze *snowdrift* (coś w rodzaju tłuszczu bawełnianego), żywicą, terpentyną i kalafonią zostają ofrachtowane<sup>185</sup>.

Fryzjer, u którego się goliłem, opowiada mi, że w mieście osiadło czterdzieści tysięcy Murzynów na dziewięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. „Mają więcej dzieci od nas — wzdycha — szkoły roją się od nich. Co będzie, gdy będą mieli większość!... Być może uczynią wtedy niewolników z białych?”

Te małe miasta amerykańskie nie mają nic wspólnego z Nowym Jorkiem poza tym, że i tu mówi się po angielsku, buduje biały dom dla kasy oszczędności, drapacz nieba na Miami Street i że ma tu filię Woolworth<sup>186</sup>; ma on jednak konkurencję, wszystkie miejscowe składy hurtowe używają jego ceglastoczerwonego szyldu ze złotymi literami i napisem „*5 and 10 Cents Store*”<sup>187</sup>.

*Drugstore*<sup>188</sup> istnieje także, służy raczej do spotkań, zastępuje stały stół restauracyjny. I w ogóle co się zrobiło z *drugstore*, pierwotnej drogerii!

Przed wszystkim jakby pozostałość blokhauzu<sup>189</sup>, w którym traper rzucał na stół pełną garść nuggetów<sup>190</sup>, za co mógł sobie wybrać dobre siodło, parę pistoletów, koszulę i potężną szynkę niedźwiedzią. Tak różne rzeczy można dzisiaj tam nabyć: widoków-

<sup>183</sup>*Chata wuja Toma* — powieść amerykańskiej autorki Harriet Beecher Stowe, wydana w 1852, poruszająca temat niewolnictwa w ówczesnych Stanach Zjednoczonych; jej tytułowym bohaterem jest niewolnik zwany wujem Tomem. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>*massa* — zniekształcony angielski wyraz *master*: pan; forma używana w afroamerykańskiej odmianie języka angielskiego w epoce niewolnictwa. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>*ofrachtowany* — ujęty w wykazie wysłanego towaru, z jego wagą i należnością za przewóz. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>*Woolworth* — amerykańska pionierska sieć sklepów sprzedających towary po stałych, bardzo niskich cenach; założona przez Franka Woolwortha w 1879 w m. Utica w stanie Nowy Jork, działająca do 1997. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>*5 and 10 Cents Store* (ang.) — sklep [z towarami] za 5 i 10 centów. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>*drugstore* (ang.) — apteka; dosł.: skład, sklep z lekami. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>*blokhauz* (z niem.) — niewielki ufortyfikowany budynek ze strzelnicami, przystosowany do samodzielnej obrony z kilku stron. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>*nugget* (ang.) — samorodek; bryłka cennego metalu (np złota). [przypis edytorski]

ki, chleb z szynką, szczotki do zębów, powieści, papierosy, lemoniadę mrożoną, znaczki pocztowe, gorącą kawę, zegarki i aparaty fotograficzne.

Niewiele składów aptecznych ma towary apteczne — bez rezygnowania jednak przez sklep ze swego zaszczytnego tytułu — któż by chciał w kraju demokracji być kupcem galanteryjnym, skoro może być drogistą!

Tak więc poza tymi drobnostkami prowincja amerykańska nie ma nic wspólnego z przyczółkiem Europy w ujściu Hudsonu.

Między sobą małe miasteczka mają większe podobieństwa, o to troszczy się przede wszystkim wielki Ujednocający.

W Nowym Jorku, gdzie lud jest bezbożny i nie wierzy tak niezachwianie w niebieskiego Ojca Standaryzacji, nie odważa się on tworzyć ulic na swoją modłę, ale w miasteczku „Sears, Roebuck & Co.” wystawia tekst i obrazki swego wszechobejmującego katalogu wysyłkowego w oknach wystawowych swojej filii.

Każdy stan Ameryki został założony przez kogoś przybyłego z Anglii, kto w ciągu stuleci zdobył sobie miano wybitnego polityka, głębokiego filozofa i szczerego przyjaciela ludzkości wraz z przynależnym pomnikiem przed ratuszem głównego miasta oraz ze swej strony zawarł przymierze ze szlachetnym wodzem Indian.

W Savannah, stolicy Georgii, wzmiankowany bohater, łączący w sobie cnoty polityka, filozofa i dobroczyńcy, nazywa się James Oglethorpe, a jego partnerem przy zawieraniu pokoju był Tomatschitschi, wódz Yamacrawów.

Poza tym istnieją bohaterowie obu wojen toczonych z obydwojma dziedzicznymi wrogami: Anglią i Stanami Północnymi. Tradycja militarna zachowała się, widzi się wiele koszar i dzieci w uniformach wojskowych.

Powodzenie *Opery żebraczej* (*Dreigroschenoper*)<sup>191</sup> nie dotarło tu jeszcze, teatr trzyma przy przebojowym *Deszczu*<sup>192</sup> i reklamuje go jako „*the most talked of play of the century*”<sup>193</sup>. Jeśli wzmiankujemy jeszcze, że 20 maja 1819 roku stąd rozpoczął swą podróż pierwszy w ogóle parowiec transoceaniczny, „City of Savannah”, i 20 czerwca tegoż roku przybył do Liverpoolu, to sędzę, powiedzieliśmy wszystko, co nastęcza się prostemu marynarzowi, spacerującemu po ulicach Savannah, z faktów o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości tego miasta.

Gdy statek nasz podniósł kotwicę, przepłynął zaledwie dwie mile w górę rzeki w kierunku oceanu, a syrena okrętowa przywitała kobietę.

Stała na wysepce rzecznej i powiewała wielką białą chustką. Marynarze odpowiedzieli na to pozdrowienie, znali ją już tę „*the waving girl of Savannah*”<sup>194</sup>, a pilot Mackenzie wiedział nawet, że nazywa się ona Flora Martini, ma 65 lat i od 1880 roku stoi na wyspie Elbie i daje znaki każdemu okrętowi, w dzień wielką białą chustką, w nocy latarnią.

Podobno kochała jakiegoś marynarza, który opuścił ją przed pięćdziesięcioma laty. Daje ona znaki, gdyż musi on przejeżdżać na jakimś statku i pozna, że to uporczywe, długoletnie pozdrawianie jemu się należy. Zejdzie na ląd, wzruszony taką wiernością, i zostanie przy niej. Wtedy nie będzie już potrzebowała machać chustką i latarnią w dzień i w nocy. Przyszłe pokolenia sterujące z Savannah na południe będą opowiadały sobie historię o dającym znaki dziewczęciu z Savannah.

A ponieważ jesteśmy już przy miłości i romantyzmie, pragnę nadmienić, że wszyscy marynarze, którzy wczoraj udali się na ląd, dla celów zapobiegawczych wstrzyknęli sobie protargol<sup>195</sup>.

W nocy na szesnastego wplynęliśmy na St. John's River i zatrzymaliśmy się w Jacksonville. Jest to ostatnia stacja w naszej podróży na południe i na zachód, ostatni brzeg.

Na pokład załadowano dziesięć tysięcy skrzyń grapefruitów. Jest to ulubiony owoc Amerykanów, gdyż nie jest tworem natury, ale wynalazkiem, produktem skrzyżowania

Rośliny, Przemysł

<sup>191</sup> *Opera za trzy grosze* (niem. *Die Dreigroschenoper*) — musical Bertolta Brechta z muzyką Kurta Weilla, z prapremierą w Berlinie w 1928; adaptacja angielskiej opery balladowej *Opera żebracza* (1728). [przypis edytorski]

<sup>192</sup> *Deszcz* — ang. *Rain*, przedstawienie teatralne z premierą w 1921 na Broadwayu, oparte na opowiadaniu brytyjskiego autora Williama Somerseta Maughama (1874–1965). [przypis edytorski]

<sup>193</sup> *the most talked of play of the century* (ang.) — najgłośniejsza sztuka stulecia. [przypis edytorski]

<sup>194</sup> *the waving girl of Savannah* (ang.) — machająca dziewczyna z Savannah. [przypis edytorski]

<sup>195</sup> *protargol* — preparat medyczny, organiczny kompleks srebra z białkiem; przed odkryciem antybiotyków ze względu na swoje właściwości bakteriobójcze był stosowany w leczeniu rzeżączki. [przypis edytorski]

pomarańczy z cytryną, tak że nic się nie ryzykuje. Jest kwaśny, cóż bowiem chcecie, wszak pochodzi od cytryny. Jest za to słodki i wodnisty, bo pochodzi również od pomarańczy.

Od miejsca załadunku do tramwaju trzeba było przejść prawie kilometr pieszej drogi, gdzie zaledwie można było oddychać. Zapach siarki z fabryki sztucznego nawozu napelniał powietrze; na żółtych wzgórkach pracowali Murzyni.

Na Eighth Street East wsiedliśmy do tramwaju. Nad ławkami widniały napisy: „*White*” lub „*Colored*”<sup>196</sup>.

Spotykaliśmy się wszędzie z upośledzaniem Murzynów, wydawało się ono tradycyjne i ogólnie zrozumiałe, ale żeby urzędowo wyznaczano im inne miejsca niż białym, wydawało mi się niemożliwe.

Dotarliśmy do tego miasta, Jacksonville, o którym nigdy nie słyszeliśmy. Ujrzelśmy je, powracając z pracy i z zimy.

Ujrzelśmy z początku drewniane domki, stojące na niskich palach i otoczone kwitnącymi zagonami; na otwartych werandach siedzieli biało ubrani mężczyźni i kobiety na leżakach lub na huśtawkach. To byli „biali”. „Kolorowi” poruszali ostrożnie huśtawki lub zamiatali ścieżki między zagonami.

Dalej rozpoczyna się bruk. Otwiera się miasto i zdumiewamy się.

Cudowne ulice z alejami wyhodowanych palm tworzą plantacje o tropikalnej wspólności. Dziewczęta o bardzo jasnych, bardzo jaskrawych, bardzo przeświecających sukienkach szły nam, nieprzygotowanym na to, naprzeciw. Inne siedziały z nogami założonymi jedna na drugą, gawędząc, przy stołach w *drugstores* albo w automatycznych restauracjach.

Biało ubrani panowie ze spacerowymi laseczkami spacerowali przed ich oknami — czy jesteśmy w Ameryce, czy w Hiszpanii? Piszemy w środę 16 stycznia.

Na dachu gmachu YMCA (Young Mens Christian Association)<sup>197</sup> grano w piłkę ręczną, w cukierniach kręcił się „elektryczny wachlarz”, wentylator nad głową każdego jedzącego lody z kremem i pijącego mrożoną lemoniadę, ludzie cisnęli się w sklepie z przyborami do *skee ball*, wesołej gry w kręgle, na rogach ulic sprzedawano okulary ochronne przeciwko słońcu, dom wolnomularzy był otwarty, można tam było wejść przez egipski portal z zielonymi sfinksami i srebrno-białymi skarabeuszami i zobaczyć braci ołtarza, grających w świątyni z zakasnymi rękawami koszuli w bilard.

Wszędzie sprzedają kwiaty o nieprawdopodobnie jasnych barwach, cienkie, jakby z jedwabnego papieru, ale mimo to trwałe.

Jeden blok cały ze złota, to słońce rzuca blask między szeregami domów.

Zatrzymawszy się na wolnym miejscu, autobus ładuje ludzi na wycieczki do fortu San Augustin, najstarszego zaludnionego przez Europejczyków miejsca Ameryki.

Kilka dam, które były niezdecydowane, prowadzący zapewnia, że jest tam hala targowa dla handlu niewolnikami, gdzie aż do rewolucji czarny towar, męski i kobiecy razem, nieubrany był jawnie wystawiany na sprzedaż. Damy wsiadły.

Nie mogliśmy uczynić tego samego, nie mogliśmy dłużej spacerować pod palmami, musieliśmy wracać na okręt, zamknąć luki nad dopiero co załadowanymi dziesięcioma tysiącami skrzyń z owocami i podnieść kotwicę.

W chwili odjazdu spadł deszcz. Spoglądamy wzdłuż brzegu Florydy z tęsknotą za kasztelami i willami na czarodziejskim brzegu.

Pomiędzy Palm Beach a Miami spotkaliśmy nocą olbrzymi jacht. Jego maszty, komin i poręcze są iluminowane żarówkami w kolorach tęczy, z pokładu brzmi jazz-band. Jasne pary tańczą, jedna dama w jasnozielonym stroju, oparłszy nogę na schodku, daje znaki nam, którzy, obcy jej na zawsze, przejeżdżamy mimo.

Jeszcze jeden okręt prześcigamy, dziwną pogłębiarkę. Jest dwupiętrowa, wygląda jak dom dla lalek, kabiny otwierają się na zewnątrz statku. Pracuje się tam jeszcze przy pompach, wyrzucany w górę szlam kieruje się przez na kilometr długą rurę na brzeg, gdzie stanie się ziemią uprawną.

<sup>196</sup>*white, colored* (ang.) — biały, kolorowy. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>YMCA (z ang. *Young Men's Christian Association*: Związek Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej) — międzynarodowa organizacja ekumeniczna propagująca wartości chrześcijańskie. [przypis edytorski]



Gdy spoglądamy w tył, widzimy, jak płomienne, jaskrawe kontury statku miliona-  
ra zlewają się ze światłami statku roboczego, jak gdyby stały po bratersku obok siebie.  
W rzeczywistości dzieli je odległość.

---

Uf! Już wiele wody upłynęło, od kiedyśmy opuścili Jacksonville, ostatni port naszej  
podróży.

„Hannawah” w międzyczasie zrobił trzy kroki, każdego dnia jeden swoimi dwustumi-  
lowymi butami, i teraz płynie ku równikowi pod Krzyżem Południa<sup>198</sup>, sześcioma gwiaz-  
dami, które wieczorem tworzą podwójny krzyż.

Nie było łatwo to zapisać i będzie co dzień trudniej. Upał przewala się ponad pokła-  
dem, upał ogrzewa wodę i wciska się pod śmigła wentylatorów.

Chodzimy nago, chustka do nosa, w którą się jeszcze wczoraj ubieraliśmy, jest dzisiaj  
zrzuciona, przylepia się zbyt do skóry.

Mam zawroty głowy, noce spędzam bezsennie także wówczas, kiedy nie jestem na  
służbie.

Objeżdżamy właśnie wyspy Bahamy, Brytyjskie Indie Zachodnie, w stronę San Sa-  
lvador, gdzie wylądował Kolumb. Dzisiaj płynie się między Kubą a Haiti na Morze Ka-  
raibskie i do *doldrums*<sup>199</sup> — coś, co ma związek z ciszą i gorącym prądem powietrza  
i prawdopodobnie posiada także niemiecką nazwę.

W tym tropikalnym upale mieszkalem z dziewięcioma innymi.

Jest sześciu marynarzy „A. B.” (*able-bodied seamen*) i nas czterech pomocników, *or-  
dinary seamen*.

Ośmiu ma koje, urządzone po dwie jedna nad drugą. Tylko stary *ordinary*, który ma  
płaskie stopy, jąka się i jest traktowany jako pewien rodzaj głupca, i ja wisimy w środku  
izby.

Gdy człowiek się szczęśliwie wdrapie do hamaka, buja się on jeszcze długo, jak bujała  
się moja kołyska, którą opuściłem — tak, rzeczywiście przed dwudziestu dwoma laty.

Dwie grube chusty rozłożone są na hamaku, jednak nie przeszkadzają zupełnie, że  
rano mam na swej skórze wzór przylegających do siebie rombów.

My w dziesięciu nie wypełniamy sami całej przestrzeni *skants*, jest tam jeszcze dziesięć  
blaszanych szaf na ubrania robocze i roboczą bieliznę i dwie duże szafy na ubrania do  
wyjścia. Nad nimi śmiejąca się, na pół obnażona subretka<sup>200</sup> — kalendarz ścienny jakiejś  
firmy z przedmiotami marynarskimi w Seattle w Waszyngtonie. Przed każdymi dwoma  
łóżkami ławka, na którą rzuca się buty i ubranie, kiedy się kładzie, a pod nią stoją kufry.  
My, dwaj nietoperze, nie mamy naturalnie ławki; nasza odzież musi po prostu leżeć na  
ziemi, a na nasze miejsce spoczynku wdrapujemy się przy pomocy krzesła.

Drzwi są otwarte, a smarownicy w kabinie naprzeciwko puszczają aż do północy gra-  
mofon, zagłuszany popisami na dwóch gitarach hawajskich.

Powietrza w naszej sypialni nie można nazwać dobrym, albowiem ubrania, bielizna  
i buty, w których wszyscy przez cały dzień pracowali, nocą parując, wypoczywają.

Nie jest także żadną miarą przyjemne słuchać urywków muzyki gramofonowej, czując,  
jak skóra impregnuje się wzorem przylegających do siebie rombów.

Mimo to podczas pierwszych nocy spałem, gdyż praca męczy.

Dave Dunge dostarczył mi jej w okazałej ilości, jednakże aż do tej historii z listami  
nie było dla mnie jasne, że jest dla mnie nieżyczliwy. O tym później.

Od ósmej rano do czwartej jest *daywork*<sup>201</sup>. Siedząc na krześle bosmana, jest się wcią-  
ganym w górę na maszt, gdzie umacnia się deskę węzłem; węzłowi z początku niezbyt

---

<sup>198</sup>Krzyż Południa (astr.) — najbardziej charakterystyczny, łatwo rozpoznawalny gwiazdozbiór nieba po-  
łudniowego. Jego gwiazdy tworzą figurę krzyża, którego dłuższe ramię wskazuje w przybliżeniu południowy  
biegun niebieski, podobnie jak na niebie północnym Gwiazda Polarna w Małej Niedźwiedzicy wskazuje biegun  
północny. Na półkuli północnej Krzyż Południa jest widoczny wyłącznie w okolicach tropikalnych, położonych  
nie dalej niż ok. 20° od równika, przez kilka godzin nocnych zimą i wiosną, nisko nad horyzontem. [przypis  
edytorski]

<sup>199</sup>*doldrums* (ang. żegl.) — równikowy pas ciszy, na którym panuje jednostajna, bezwietrzna pogoda. [przypis  
edytorski]

<sup>200</sup>*subretka* (daw., z fr.) — pokojówka, służąca; tu: aktorka, która grała sprytnie pokojówki w komediach  
i farsach. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>*daywork* (ang.) — dzień pracy; dniówka. [przypis edytorski]

dowierzałem i byłem przez cały czas przygotowany, by kiedy się rozluźni, złapać się rękami za linę i mocno trzymać. Ostatecznie uczy się człowiek ufać także własnoręcznie związanym węzłom.

Maszt jest wycierany szczotką, kubel z mydlinami jest zawieszony pod ruchomym siedzeniem; początkujący kołyszą się przy robocie, a mydliny przyskają w dół, skutkiem czego dostaje się od stojących na dole epitet: „sukinsyn”.

Inaczej się postępuje z rejami. Gdy trzeba je umyć albo oskrobać, spuszcza się je na dół. Nie siedzi się więc, podczas gdy maszt stoi, tylko stoi się, podczas gdy maszt leży, na wysokości człowieka, mocno trzymany przez kolek. Zawartość wiadra pluska we wściekłym łuku na wszystkie strony, woda zalewa całe ciało. Kto posiada gumowe buty — sięgają aż do pachwiny i kosztują cztery dolary — wkłada je do tej roboty.

Obydwa główne maszty stoją pionowo, gdy otrzymują na nowo żółtą barwę okrętową. Ażeby polakierować komin, trzeba się znowu wdrapać na krzesło bosmana, mając garnek z czarną, później taki sam z białą i czerwoną farbą, zawieszony pod sobą na desce. Komin ma czarny pierścień z potężną białą swastyką, którą zwykle ładnie i porządnie malowałem, wspominając przy tym ojczyznę i nie pozwalając się pozbawić tej przyjemności.

Na czarno należało pomalować brzegi otworów wentylacyjnych i wiele innych przedmiotów okrętowych, o których istnieniu dowiedziałem się teraz, szorując. O smole lepiej nie mówmy.

Portland, macierzysty port „Hannawah”, leży nad Pacyfikiem, dokąd zmierza nasza droga. Jesteśmy więc „*homeward bound*”<sup>202</sup> i to jest powód, dlaczego to wszystko nie zostało już zrobione podczas poprzedniej podróży z Portland do Nowego Jorku.

Codziennie naczelnym inżynierem posyła bosmanowi, naszemu Dave’owi Dunge’owi, kartkę, na której jest wypisane, co dziś jest do roboty. Dave Dunge wyznacza marynarzom i nam, pomocnikom, jaką część pracy każdy ma wykonać.

Czas pracy wynosi osiem godzin. Odrabiam godziny *daywork* przed obiadem, od ósmej do dwunastej. Dlatego muszę od północy do czwartej rano pełnić straż. Czuwam. Gdy widzę statek, latarnię morską albo łód wynurzający się z prawej strony okrętu, pociągam raz za sznurek dzwonka, ponad otworem kotwicznym; gdy ukazuje się coś z lewej strony okrętu, wtedy dzwonię dwa razy, a gdy na wprost — trzy razy. Gdy jakiś okręt jest poza nami albo gdy nas wyprzedza, nie obchodzi mnie to; wymijać jest rzeczą innych.

Mój sygnał dzwonkowy jest wskazówką dla obydwóch ludzi na mostku kapitańskim, dla oficera żegluga i sternika, żeglarza A. B. W swoim domku nie mają tak pięknego widoku i są zajęci kompasem, kołem sterowym i mapą.

Kolega, który ma służbę od ósmej do dwunastej, budzi mnie dwadzieścia minut przed rozpoczęciem mojej służby. Kiedy dzwon na mostku bije północ — brzmi on tylko osiem razy — idę na moje miejsce. Całymi godzinami nie widzę nic więcej prócz olbrzymiego tumanu pyłu węglowego, przez który się przedzieramy; pod naszymi stopami trzeszczy sproszkowany antracyt<sup>203</sup>. Tak jest zawsze, to są moje noce.

Minęliśmy Bahamy, dziś przepływamy między Kubą a Haiti, między Haiti a Jamajką — wyspami, gdzie mieszka czar i raj jeszcze istnieje. Czym były one dla mnie? Kuba: jedno pociągnięcie dzwonka, Haiti: jedno pociągnięcie dzwonka, Jamajka: dwa dzwonki.

W środku na mapie morskiej są wydrukowane przepisy dla „huraganowych”, to znaczy dla statków w czasie huraganu. Dotychczas jednak nie ma nawet co myśleć o jakimś zbliżeniu strasznej karuzeli, toi, toi, toi.

Mamy już dosyć tego, że słońce kładzie się na nas całym swym ciężarem, jak gdybyśmy byli rozwieszonymi matami, i że pod nami morze jest tylko przelewającym się pyłem węglowym.

Z początku bawiły mnie latające ryby. Nie latają — prawdopodobnie powietrze jest dla nich za gorące — wytryskują z wody i pluskają wzdłuż powierzchni jak błyszczące krzemienie, rzucane zręczną ręką wiejskiego chłopca na wodę jeziora. Teraz nie przyglądam się im ani razu, chociaż świecą nocami.

Na mostku kapitańskim dzwoni się także co pół godziny: o pierwszej dwa razy itd., aż do ośmiu uderzeń, które dla oficera, sternika i dla mnie oznaczają koniec służby. Te

<sup>202</sup>*homeward bound* (ang. żegl.) — zmierzający do domu, płynący do portu macierzystego. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>*antracyt* — odmiana węgla kamiennego o najwyższej zawartości węgla, najwyższej wartości energetycznej ze spalania. [przypis edytorski]

dźwięczące odgłosy przedłużają tylko czas warty. Gwiazdy kiwają się i skaczą, jak gdyby wiedziały, że ktoś obserwuje je z wierzchołka okrętu.

Dwadzieścia minut przed czwartą pukam do drzwi kabiny oficera tak długo, aż fakt, że jest obudzony, potwierdzi mi formułą: „*Go to hell, damned fool*”<sup>204</sup>. Później budzę trzeciego sternika, który się odwdzięcza słowami: „*Dry up, you son of a bitch*”<sup>205</sup>. I w końcu kolega, któremu przypominam o rozpoczęciu się jego służby, zapewnia mnie: „*I don't give a shit*”<sup>206</sup>...

Zwykle jednak wszyscy przychodzą i aż do wpół do ósmej rano mogą znowu w swojej siatce impregnować ciało w romby. Śniadanie, później dzienna praca, obiad w jadalni, a po obiedzie mogę, zawieszony w powietrzu, spać albo, jeśli wolę, pisać.

Morze Karaibskie, przez które teraz płyniemy, jest pierwszym widokiem, który stał się tematem rozmowy dziesięciu towarzyszy od spania.

Każdy wie — zdaje się, że w Ameryce istnieje bogata lektura dla młodzieży — że tutaj uprawia swoje rzemiosło pirat, rozbójnik morski z siedemnastego stulecia, postrach hiszpańskich wypraw kupieckich do Indii Zachodnich<sup>207</sup>.

Na wschód od nas — tak blisko od Nikaragui i tak daleko od nas, że ani razu nie pociągnąłem za dzwonek — leżą wyspy piratów, Saint Andrew i Old Providence, pokryte skałami. Strome brzegi, wysunięte rafy koralowe i skała, która ma rysy herszta piratów, Morgana<sup>208</sup>, i nazywa się Morgan Head, nie zachęcają worków pieprzu<sup>209</sup> i ich armady do szukania gniazda dręczycieli. Jednakże ich niezwykle łupy, skarby złota i drogich kamieni, są przechowywane gdzie indziej — wszystko to jest zakopane na Kokosowej Wyspie. Setki statków starały się odnaleźć gniazdo piratów, ale wszystkie rozbiły się, gdy się zbliżyły do wyspy. Co by to było, chłopcy, gdybyśmy jeszcze raz spróbowali?

Marynarze i pomocnicy opowiadali mi z zachwytem, podczas kiedy kołysałem się pośrodku naszej sypialni jak trumna Mahometa w Kaabie<sup>210</sup>, o korsarzach i ich korsarskich okrętach. Ich zachwyt odnosił się do piratów, nie do mnie. Dlaczego mieli i dla mnie odczuwać sympatię?

Jestem najmniej wyszkolonym pracownikiem, powszechnie znanym oferumą, nie znam ani osób, ani lokali, o których się toczy rozmowa, a zawziętość Dave'a Dunge'a (o tym później) nie przyczynia się do tego, aby mnie uczynić lubianym. A jednak jestem uważany za jednego z nich, gdyż mam coś z nimi wspólnego: czytałem Jacka Londona i lubię go jak wszyscy wokół mnie.

Rozmawiamy o końcu powieści *Martin Eden*, który nie staje się mniej nieprawdopodobny przez to, że autor później sam poszedł tą drogą, i o *Żelaznej stopie*<sup>211</sup>... O tym jest wiele do mówienia.

Dzisiaj zmywamy pokład, po południu był alarm pożarowy, wieczorem burzliwe morze. Przy tym dzień zapłątany w sidła równika; myśleliśmy, że się udusimy.

Jesteśmy blisko Kanału Panamskiego, skąd możemy wysłać pocztę, otrzymać rozmaite przedmioty, bieliznę, papier, wolne od cła cygara, perfumy itd., telegrafista notuje obstalunek<sup>212</sup> i odda przy wyjeździe pośrednikowi.

<sup>204</sup>*Go to hell, damned fool* (ang.) — Idź do diabła, przeklęty głupku. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>*Dry up, you son of a bitch* (ang.) — Zamknij się, sukinsynu. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>*I don't give a shit* (ang.) — Gówno mnie to obchodzi. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>*Indie Zachodnie* — dawna nazwa Karaibów, wysp w basenie M. Karaibskiego, nadana w XV w. przez wyprawiających się na zachód Europejczyków, którzy uważali, że wyspy te leżą blisko wybrzeży Indii. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>*Morgan, Henry* (ok. 1635–1688) — angielski korsarz, nieformalny przywódca pirackiego Bractwa Wybrzeża po śmierci Edwarda Mansvelta; organizował najazdy przeciwko hiszpańskim osadom, w 1671 przewodził największej wyprawie pirackiej w dziejach, gdy dowodząc eskadrą 28 okrętów i ponad 1800 ludźmi, zdobył miasto Panamę. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>*worki pieprzu* — tu: niem. *Pfeffersäcken*, określenie kupców morskich z XVII w., którzy dorobili się na lukratywnym handlu przyprawami. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>*kołysałem się w środku naszej sypialni jak trumna Mahometa w Kaabie* — według dawnych legend trumna proroka Mahometa w Medynie unosi się w powietrzu, bez żadnego oparcia; *Kaaba* to świątynia i sanktuarium w Mekce, najważniejsze miejsce święte islamu. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>*Żelazna stopa* — ang. *The Iron Heel*, fantastyczno-naukowa powieść polityczna Jacka Londona wyd. w 1908. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>*obstalunek* — zamówienie. [przypis edytorski]

Ja również mam list do oddania i chęć na sto egipskich papierosów; dlatego też idę dzisiaj, 23 stycznia, o dziewiątej do radiowca, *sparks*<sup>213</sup>, który jak zwykle rozmawia ze mną, podczas gdy fale krótkie opowiadają sobie wzajemnie historię od morza do morza, ucieszne, mruczące historie z jednej części świata do drugiej.

Nagle telegrafista blednie i chwyta słuchawkę.

Ale nie potrzebowałby jej, słyszę tak jak on.

. . . — — — . . .

Ratujcie nasze dusze!<sup>214</sup>

Zapanowała cisza w przestworzu; wszystkie mruczące i ucieszne rozmowy zamilkły, kiedy zabrzmiało to wołanie: SOS.

Stacja Kuba woła w eter: „Gdzie jesteś? Podaj nam swoją pozycję”.

Odpowiedź: SOS.

Dalej nic, tylko wołanie o pomoc. Radio okrętowe rozbitków przestało słuchać, prawdopodobnie odbiornik został zniszczony, telegrafista naciska tylko klucz . . . — — — . . . z zazdrosnym spojrzeniem na tych, którzy skaczą do łodzi ratunkowych i przez huragan są z powrotem wyrzucani w górę. Żywią jeszcze nadzieję uratowania. Telegrafista nie może się już uratować. Widzi się myśli przedśmiertne, widzi się śmiertelną walkę ludzi, oddalonych o tysiące mil, w tej samej chwili, jednocześnie. Niemile to jest i smutne.

Ktoś tam gdzieś zdaje się o niczym nie wiedzieć i telegrafuje. Bardzo wyraźnie — gdyż jest dość blisko — stacja Colon w Kanale Panamskim rzuca swoje „hasło” we wszechświat: QRT<sup>215</sup>.

Cisza przy telegrafii jest echem ciszy panującej w nieskończoności, przerywa ją tylko trzask elektryczności w powietrzu.

Powietrze i woda są narzędziami mordu. (Czcijcie tylko naturę, wy, naiwni!).

Kuba żąda natarczywie odpowiedzi: „Wasza pozycja! Wasza pozycja!”.

Nikt nie odpowiada Kubie. Nawet . . . — — — . . . nie daje się już więcej słyszeć. Dusze zostają bez ratunku.

Już brzęczenie i szum zaczynają się na nowo, gdy dźwięczy nowe SOS. Wyrzucone niedaleko pierwszej, ale z jakiejś innej stacji: . . . — — — . . . Następuje radiogram. Nałożywszy słuchawki, nasz telegrafista pisze:

„SOS SOS SOS de KOPD KOPD KOPD; SOS Dannedaiki sinking Lat. 37, 56 north, Long. 59, 37 west. Require immediate assistance. Any ships near position please report”<sup>216</sup>.

Dwie minuty martwej ciszy. Następuje odpowiedź kapitanowi tonącej „Dannedaiki”:

„KOPD de KDMQ Master KOPD. Our position about 75 west yours. We are comming your assistance at once. Please keep us informed your weather. Signed Master SS President Harrison”<sup>217</sup>.

I rzecz straszliwa i nie do wiary; w odpowiedź tę wdziera się śmiertelny krzyk trzeciego okrętu:

„SOS SOS SOS de IXB IXB IXB Lat. 38,05 north, Long. 60,12 west. SS Florida... and lost rudder... Wind west force 10, seas high..., please... need help”<sup>218</sup>.

I tej pozbawionej steru „Florydzie” zostanie przyrzeczona pomoc:

<sup>213</sup>*sparks* (ang.) — iskry. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>*Ratujcie nasze dusze!* — międzynarodowy sygnał SOS, w radiotelegraficznym alfabecie Morse’a oznaczający wezwanie o pomoc, często traktuje się jako skrót angielskiej frazy „*Save our souls*”, tj. „Ratujcie nasze dusze”; faktycznie przyjęto go w tej postaci, gdyż jest łatwa do zapamiętania, nadawania i rozpoznania: składa się z trzech krótkich sygnałów, trzech długich i ponownie trzech krótkich. [przypis edytorski]

<sup>215</sup>*rzucą swoje „hasło” we wszechświat: QRT* — w międzynarodowym kodzie trzyliterowych skrótów radiotelegraficznych, przyjętym w 1912, kod QRT oznacza: „Przestańcie nadawać”. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>*SOS SOS SOS de KOPD KOPD KOPD; SOS Dannedaiki sinking Lat. 37, 56 north...* (ang.) — SOS SOS SOS od KOPD KOPD KOPD; „Dannedaiki” tonie szer. 37,56 płn., dług. 59,37 zach. Potrzebuje natychmiastowej pomocy. Wszelkie statki w pobliżu pozycji proszę się zgłaszać. (KOPD to radiotelegraficzny kod statku „Dannedaiki”). [przypis edytorski]

<sup>217</sup>*KOPD de KDMQ Master KOPD. Our position about 75 west yours...* (ang.) — KOPD, od dowódcy KDMQ do KOPD. Nasza pozycja około 75 na zachód od waszej. Natychmiast przychodzimy z pomocą. Prosimy o informowanie nas o pogodzie. Podpisano: dowódca „SS President Harrison”. (KDMQ to radiotelegraficzny kod statku „President Harrison”). [przypis edytorski]

<sup>218</sup>*SOS SOS SOS de IXB IXB IXB Lat. 38,05 north...* (ang.) — SOS SOS SOS z IXB IXB IXB szer. 38,05 płn., dług. 60,12 zach. „SS Florida”... i stracony ster... Wiatr zachodni o sile 10, poziom morza wysoki... proszę... potrzebujemy pomocy. [przypis edytorski]

„IXB de... 39, 54 north... 4 west... you... changed cours for your position... Signed Master SS America”<sup>219</sup>.

Nasz telegrafista zgniótł swoje radiogramy i rzucił je do kosza. Nie możemy nic pomóc, jesteśmy o wiele stopni szerokości na południe i o wiele stopni długości na wschód. (W nocy, schodząc z wachty, wyjmuję telegramy z kosza).

---

Czarowny jest nocny wjazd do Kanału Panamskiego, zwłaszcza dla nas, pozbawionych świetlnych festonów<sup>220</sup> miast.

Lśnią one tu po złotą w płytkiej wodzie, dokąd wjeżdżamy zupełnie powoli, z 1/3 szybkości, i zarzucamy kotwicę. Z prawej strony leży dżungla, z lewej białe miasto. Przystanie błyszczą jak marmurowy pałac sułtana w Złotym Rogu<sup>221</sup>.

W dzień widzimy to wszystko znacznie wyraźniejsze i ładniejsze i mamy czas podziwiać, gdyż wielu dużym statkom wydaje się, że poprzez kanał płyną (goethowska niemczyzna) i przesuwały się przed nami, niemiecki „Isis”, francuski okręt wojenny „Edgar Quinet” z czterema kominami, łodzie ładunkowe z deskami z Kalifornii, parowiec z rudą żelazną z Chile, statek-układacz kabli, francuska „Miriam”, cztery frachtowe okręty linii Luckenbach, „James Luckenbach”, „Julia Luckenbach”, „Edward Luckenbach” i „Paul Luckenbach”, o, do diabła, to musi być chyba cała rodzina Luckenbach w komplecie, statki z ropą i statek pocztowy „Mongolia”, i przynajmniej dwadzieścia okrętów floty wojennej, pomiędzy nimi jeden *dreadnought*<sup>222</sup>.

Od Toro Point w górę do stacji okrętowej i do portu torpedowców z Coco Solo Point kursuje zbudowany z cementu prom.

Hydroplany wzlatają znad lustra wody w powietrze.

Colon jest białym miastem, należy do Panamy i podobno ma dobre piwo, dobrego sznapsa i dobre cygara.

Z tamtej strony poza mostem kolejowym leży miasto Christobal.

To już jest strefa kanału, a więc USA<sup>223</sup>, panuje zatem prohibicja i amerykański tytoń. Szczęśliwym trafem christobalscy Jankesi są tylko o trzy minuty oddaleni od ziemskich rozkoszy.

Na południe od Christobalu znajduje się na brzegu drukarnia, suchy dok, cmentarz „Mount Hope” i rafineria. Suchy dok i cmentarz założyli Francuzi, jak również trzykilometrowy wąski kanał, używany przez Amerykanów, który nigdy nie miał służyć do transportu okrętów, tylko do spekulacji: gdy ogłoszono wykończenie nowego kilometra, kursy giełdowe skakały w górę. Niezliczone rodziny francuskie zostały zrujnowane, gdyż wierzyły imieniu Lesseps i nieomyślności francuskich inżynierów, w co zresztą wierzy każdy naród. Więcej niż pieniądze straciły tysiące, które tu przybyły, aby własnymi rękami współpracować przy zwycięstwie francuskiego ducha przedsiębiorczości i francuskiej techniki. Żółta febra zmiotła ich.

Z pokładu naszego okrętu widzimy cmentarz „Mount Hope” z krzyżami i pagórkami ponad prawdziwymi ofiarami panamskiego skandalu.

---

<sup>219</sup>IXB de... 39, 54 north... 4 west... you... changed cours for your position... Signed Master SS America (ang.) — IXB od... 39,54 płn... 4 zach... wy... zmieniam kurs na waszą pozycję... Podpisano: dowódca „SS America”. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>feston — element dekoracyjny w formie podwieszonoego po bokach pęku kwiatów czy owoców lub fragmentu tkaniny upiętej guzami, inaczej girlanda. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>Złoty Róg — wąska, głęboko wcięta zatoka Bosforu w Turcji, ograniczająca od północy starożytny Konstantynopol i oddzielająca go od położonej na północnym brzegu Galaty, europejskiej dzielnicy obecnego Stambułu. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>dreadnought (ang.) — drednot, określenie generacji pancerników budowanych w latach 1906–1922. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>To już jest strefa kanału, a więc USA — po nieudanej próbie francuskiej spółki akcyjnej przekopania w Panamie kanału żeglownego łączącego Atlantyk z Pacyfikiem (1881–1889), zakończonej bankructwem firmy i wielkim skandalem, w 1903 od nowo powstałego państwa Panamy Amerykanie uzyskali wieczystą dzierżawę terenów Przesmyku Panamskiego i w latach 1904–1914 zbudowali w poprzek przesmyku Kanał Panamski; Kanał oraz otaczająca go Strefa Kanału Panamskiego znajdowały się pod jurysdykcją amerykańską; w 1977 zawarto traktat, wg którego po okresie wspólnego, amerykańsko-panamskiego zarządu w 1999 przekazano teren Panamie. [przypis edytorski]

Na brzegu zjawia się agent towarzystwa okrętowego i przynosi pisma „The Panama Tribune”, „Panama-American” i „Star and Herald”, które wychodzą w dwóch językach. („*Pagina deportiva*” nazywa się rubryka sportowa po hiszpańsku!).

O onegdajszych<sup>224</sup> katastrofach jest tylko mała wzmianka w gazetach. Pierwszy okręt, którego SOS słyszeliśmy, był to angielski parowiec ładunkowy „Tessbridge” z załogą 38 ludzi — bez wątplenia poszedł na dno. O losie zatopionej „Dannedaiki”, która jest amerykańskim transportowcem ropy z załogą 33 ludzi, i „Floridy” włoskiej z załogą 35 ludzi i pasażerami nic nie wiadomo.

Obszerniejsze wyjaśnienia o masowym zjawieniu się amerykańskiej marynarki wojennej znajdujemy w pismach. Ma ona zapobiec ni mniej, ni więcej, tylko zniszczeniu Kanału Panamskiego. Kiedy zniszczenie powinno nastąpić? Już w najbliższym tygodniu! I któż to planuje to dzieło zniszczenia? Dziewięć okrętów wojennych, baza dla aeroplanów „Saratoga”, wiele mniejszych jednostek i 97 samolotów.

I skąd przybywa ta flota? Z Oceanu Spokojnego, zbliża się już do miejscowości Balbar. I kto jest tą potęgą wojenną? Jest nią Black Fleet<sup>225</sup>. I do jakiego państwa należy? Należy do USA. To wszystko są tegoroczne wielkie manewry okrętowe.

Bez obawy, na pewno Biała Flota pobije czarną! Pomimo to jesteśmy zaskoczeni napaścią złego wroga, mamy tylko cztery okręty wojenne, mniej torpedowców niż on, tylko 24 aeroplany, bazę dla samolotów „Lexington” i 22 hydroplany! Zwycięzamy go, zanim jeszcze otrzymaliśmy posiłki od płynącej z północy Atlantyku głównej floty! Udaje się im jednak, tym czarnym łajdakom, prześcignąć nas, ale przyjmują „niebieską” pamiątkę od naszej artylerii kanałowej; i załoga przy służach postanowiła aż do ostatniego człowieka bronić swojego Kanału Panamskiego od zniszczenia.

Należę do załogi okrętu ładunkowego „Hannawah”, który w tej bratobójczej walce zachowuje najzupełniejszą neutralność. Pacyfistycznie i neutralnie posyłamy obydwie partie do diabła, gdyż musimy z ich powodu czekać. Noc, dzień i znowu noc. Niecierpliwimy się.

Elektryczną lampą sygnałową pytamy się poprzez trzy mile i wiele okrętów strażnika latarni morskiej, kiedy wreszcie będziemy mogli wjechać do kanału: „*When do we move?*”<sup>226</sup>. Odpowiedź: „*I will find out*”<sup>227</sup>. W końcu sylabizuje nam drżącymi światełkami: „Jutro o szóstej rano”.

I tak się stało. Wsiada pilot i kilku nonszalancko oberwanych tutejszych mieszkańców. Mają oni wiązać liny, na których będziemy wciągani do basenów. Przynoszą na pokład wielkie zielone cytryny, orzechy kokosowe, banany i karty z widokami, za co żądają tyle pieniędzy, że nikt nic nie kupuje. Prawdopodobnie ktoś ustanawia te ceny dla pasażerskich parowców i w biednych tropikalnych mózgach nie zrodziła się myśl, żeby załodze okrętów ładunkowych sprzedawać po niższej cenie.

Za alkohol dostawali by naprawdę tyle, ile by chcieli. Ale nie mogą go przywieźć na pokład, za to grozi kara 200 dolarów albo dwa miesiące więzienia. Szmuglerstwo uprawiają inni — więksi i świetniejsi panowie.

Zresztą nic sobie z tego nie robią czarni Indianie Zachodni, że mało sprzedali. Z gołym zadkiem, który wyziera z resztek ich spodni, usadawiają się wkoło na płytach rozpalonego żelaza na pokładzie i grają w domino.

Przepływając Lemon Bay, widzimy jeszcze raz „French Channel”<sup>228</sup>, jakby ulepiony z błota ulicznego przez igrające dziecinne ręce, a jednak *corpus delicti*<sup>229</sup> masowego mordu.

Przechodzimy przez trzy śluzy z atlantyckiej strony, Gatun Locks. Każda z tych płynących wind wznosi nas na dwanaście metrów w górę, gdyż poziom panamskich mórz leży 34 metry ponad powierzchnią morza.

Po stronie Pacyfiku, w Pedro Miguel i Miraflore, będziemy musieli opuścić się o takie same trzy piętra.

Ale co leży w środku?

<sup>224</sup> *onegdajszy* (daw.) — wczorajszy. [przypis edytorski]

<sup>225</sup> *Black Fleet* (ang.) — Czarna Flota. [przypis edytorski]

<sup>226</sup> *When do we move?* (ang.) — Kiedy ruszamy? [przypis edytorski]

<sup>227</sup> *I will find out* (ang.) — Dowiem się. [przypis edytorski]

<sup>228</sup> *French Channel* (ang.) — Kanał Francuski. [przypis edytorski]

<sup>229</sup> *corpus delicti* (łac.) — dowód rzeczowy potwierdzający dokonanie przestępstwa. [przypis edytorski]

W środku leży cud świata.

W środku wykonano postanowienie, ażeby z jednej części świata zrobić dwie.

Pośrodku znajdują się 44 mile, które zachód kuli ziemskiej przybliżyły do wschodu o 800 mil, o które był oddalony od stworzenia świata. Między nimi tkwi wydatek 34 miliardów dolarów. Koszty innych kanałów, Sueskiego — 127 milionów, Kilońskiego, z Morza Północnego do Bałtyku — 40 milionów i Kronstadsko-Leningradzkiego — 10 milionów dolarów są w porównaniu z nim tanimi nabytkami.

Pośrodku leży ludzka praca.

Musiła być prowadzona dla poprawienia przyrody, która broniła się z rozpaczą. Zsyłała przeciwko pracy jedną lawinę piaskową za drugą. Zsyłała na robotników armie moskitów i opary żółtej febry. Rozpaliła najgorętsze promienie i podjudziła aligatory i krokodyle przeciwko temu, kto od morderczego słońca próbował uciec do wody.

Jak niewinnie i zwodniczo przedstawia się teraz krajobraz. Lekko falując, obydwie odwieczne puszcze, które powstały z jednej, wznoszą się po lewej i po prawej stronie statku ku niebu.

Paprocie wielkie jak palmy i palmy bez pnia jak paprocie.

Niesamowita zieleń i żółć są składnikami kolorystycznymi tej tropikalnej dżungli, tylko Gauguin<sup>230</sup> miał takie farby na swej palecie. Na szczycie płaskich falistych pagórków, na horyzoncie listowie upodabnia się do kul, jak gdyby znajdowała się tam wieś o okrągłych plecionych chatach.

Nad śmiertelnie spokojną wodą, przez którą przejeżdżamy, kołyszą się niebieskie i fioletowe motyle. Ptaki, aksamitne i jedwabne, chodzą lub skaczą po brzegu.

Za zaroślami kryją się bagna i moczary. Z ludzi, którzy tu latami pracowali, nikt nie miał prawa odważyć się chodzić w cieniu. Po obu bokach ożywionej drogi okrętowej leży dziewicza okolica. Droga ta wiję się czasem pomiędzy skałami, jest tu „jednotorowa”, i syrena okrętowa musi huczeć, gdy czeka się w nieco szerszym miejscu, jeśli sygnalizują z wierzchołka skały parowiec przybywający od strony Oceanu Spokojnego.

Usunięcie z drogi kamieni, ziemi i mułu było pierwszą pracą przy budowie Kanału Panamskiego, przebijanie się: dynamit, oskard i pogłębiarki — pierwszymi pomocnymi narzędziami. Wtedy dopiero zbudowano groble, aby ziemię między morzami zamienić w wodę, chwytając w rezerwuuar rzekę Chagres River. W końcu zbudowano maszynię, aby podnosić okręty z poziomu morza na wysokość lądu i opuszczać je potem z wysokości lądu znów na poziom morza oraz wskazywać im przy pomocy linii elektrycznych drogę od zbiornika do zbiornika.

Jakaś mająca dużo czasu głowa obliczyła, że pociąg towarowy naładowany ziemią wykopaną z tego przesmyku musiałby być dwa razy dłuższy od równika, wywieziono 165 milionów metrów sześciennych ziemi na 12 mil w głąb.

Miesięcznie zużywano przeszło pół miliona kilogramów dynamitu podczas tego roku, gdy budowa kanału posunęła się do Culebra Cut. Tutaj olbrzymią kamienistą górę podziurawiono głęboko powietrznymi kompresorami, w każdą z dziur wepchnięto tonę dynamitu i zapalono iskrą elektryczną, aż rozpadła się, aby zrobić miejsce sztucznemu strumieniowi.

Prastary las zemścił się podstępnie — potwór skalisty — piorunująco nagle, gdy ręka ludzka uważała już swoje dzieło za skończone, pęknięta masa złamała się sama na dwoje, runęła w dół, niszcząc i łamiąc wszystko.

Cztery wąskotorowe lokomotywy, zbudowane na kształt tanków<sup>231</sup>, ciągną statek w dół lub w górę z jednego cementowego basenu do drugiego; ich szyny wyginają się stromo w górę jak kolejka powietrzna lunaparku.

Gdy stoi się na pomoście statku, widać, jak woda płynie do najbliższej komory. Unożąc się w górę, piniąc i srożąc, musi ona dążyć stamtąd, gdzie jej już nie potrzebują, tam, gdzie jest potrzebna.

Gdy wdrapaliśmy się na trzy piętra od strony Atlantyku, elektryczni burłacy<sup>232</sup> przestają nas ciągnąć i tylko Murzyni, którzy połączyli nas, a potem odłączyli od małych

<sup>230</sup>Gauguin, Paul (1848–1903) — francuski malarz, postimpresjonista. [przypis edytorski]

<sup>231</sup>tank (daw.) — czołg. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>burłak — robotnik rzeczny w dawnej Rosji, pracujący przy wiosłach lub holowaniu statków na linie. [przypis edytorski]

lokomotywy, pozostają na pokładzie i grają przez czternaście godzin w domino. Podczas tych czternastu godzin jedziemy zupełnie powoli, własnym popędem, aby wynurzyć się około północy na morzu innej części świata.

Którędy prowadził nas ten dzień? Koło flamingów i pogłębiarek, koło krokodyli i świetlnych boi, koło kolibrów i pływających żurawi Demag „Ajax” i „Herkules” o 50-tonowej sile nośnej, koło portu Miguel z jego oszklonymi werandami i ogrodami palmowymi, koło szczątków maszyn francuskich z czasów pierwszego snu o Panamie i motyli barwy kobaltu, koło fruwających ryb i pływającej siłowni.

I koło mniej radosnych rzeczy, na przykład koło koszar, zbudowanych na kształt bungalowów, ale mimo to widocznie niezamieszkałych, gdyż przed nimi stoją długie rzędy namiotów z wejściem zawieszonym gazą. Tam śpią ci, którzy pozwolili się skusić plakatem werbunkowym na rogach ulic.

Dwóch chłopców, nie wiadomo, czy są traperami, czy żołnierzami, siedzi na brzegu śluzy. Pytamy ich: „*Hallo, guys, you belong to the army?*” — „*Sure, we stay in Camp Clayton*”<sup>233</sup> — i: „*Have you been here a long time?*” — „*Two months and jail looks good to us*”<sup>234</sup>.

Rozumieją przez to, że każde więzienie wydaje im się rajem, od czasu gdy służą w tujejszym garnizonie.

Widzimy także i więzienie. Czarni, zaprzestając gry w domino i zerkając lękliwie na brzeg, szepczą do mnie, że kto wieczorem dotknie się drutów, pada natychmiast trupem.

Więzienie strefy kanałowej jest zamkniętym drewnianym budynkiem w zagłębieniu wzgórza Gambo; oszklona wieża z karabinem maszynowym dla wartowników; na tarasowatym podwyższeniu domy urzędników. Cała ta dolina: klatka ze stalowego drutu.

Marynarka — „niebieska flota” — płynie przed nami, obok nas i za nami. Wszędzie widać fortyfikacje i armaty. Między basenami są szerokie groble, a na nich rozgrywa się to, o czym już zapomnieliśmy: życie.

Życie stałego lądu. Patrzymy w podziwie w dół. Trzy dziewczęta — trzymając się pod ręce — idą na spacer. Jakiś biało odziany pan zdejmuje na ich widok swój słomkowy kapelusz, ozdobiony otworkami wentylacyjnymi. Tam, gdzie gentleman nosi rewolwer, panowie bez marynarek noszą telefon, to jest słuchawkę wraz z mikrofonem i drutem; od czasu do czasu dochodzą do jednego z cementowych słupów, włączają i rozmawiają.

Po raz pierwszy od dziesięciu dni włożyłem skarpetki i buty, spodnie oraz koszulę z kołnierzykiem i krawatem.

W Miraflores, ostatniej śluzy, zapytałem z pokładu jednego z chłopców bawiących się na brzegu, czy chciałby pojechać z nami. Mały nie odpowiada. „*Ne sais-tu répondre?*”<sup>235</sup> — łaje guwernantka. „*Oh, Madame est française?*” — „*Non, monsieur, je suis de la Suisse*” — „*De quelle ville, Madame?*” — „*De Berne*”<sup>236</sup> — Niemka. Tak, Niemka. Mówimy po niemiecku. O obywatelach Berna. Od dawna już nie słyszała mowy niemieckiej. Owszem, owszem, zna tutaj dr. W., jest przyjacielem jej ojca.

Stoimy teraz naprzeciw siebie, na jednym poziomie. Gdy rozmowa się zaczynała, wołałem z wysokości czterech metrów w dół, teraz pokład i brzeg tworzą jedną płaszczyznę.

— Pan dr. W. to bardzo wykształcony człowiek i solidny, ale tutaj nie ma wcale solidnych ludzi, w ogóle nie ma o tym mowy, chciałabym...

Za każdym słowem musi zrobić krok naprzód, gdyż nasz okręt opada, jest już blisko liny od lokomotywy, wygląda, jakby chciał przeskoczyć!

— Zostaje pan dziś w Balboa? — pyta ona w dół.

— Nie, jedziemy zaraz dalej! — krzyczę w górę, gdzie widzę tylko jej nogi.

— Szkoda — mówi.

— Wielka szkoda — wołam. Nie widzę już nawet jej nóg. Ostatnie wrota ostatniej śluzy otwierają się, Kanał Panamski wypuszcza nas, wyjeżdżamy na Ocean Spokojny.

<sup>233</sup> *Hallo, guys, you belong to the army? Sure, we stay in Camp Clayton* (ang.) — „Cześć, chłopaki, należycie do armii?”; „Pewnie, stacjonujemy w Camp Clayton”. [przypis edytorski]

<sup>234</sup> *Have you been here a long time? Two months and jail looks good to us* — „Od dawna tu jesteście?”; „Dwa miesiące i więzienie wydaje nam się dobre”. [przypis edytorski]

<sup>235</sup> *Ne sais-tu répondre?* (fr.) — Nie możesz odpowiedzieć? [przypis edytorski]

<sup>236</sup> *Oh, Madame est française? Non, monsieur (...) De Berne* (fr.) — Och, pani jest Francuzką? — Nie, proszę pana, jestem Szwajcarką. — Z jakiego miasta, proszę pani? — Z Berna. [przypis edytorski]



Na krańcu śluzu Miraflores świecąca się strzała pokazuje drogę nocnym okrętom. Pod nią stoi dziewczynka z Berna. Macha chusteczką. Troje dzieci, którymi ma się opiekować, musi także machać, chociaż nie wiedzą dlaczego.

Teraz rozgrywa się koniec powieści, która nie ma początku. Być może, napisałby ją Claude Farrère<sup>237</sup>.

Nadjeżdża motorówka, przymocowują ją do statku i pilot schodzi w dół po sznurowanej drabince. Po nim robią to Murzyni i cisną się przy poręczy łodzi.

Oświetlone są ulice Panamy, stolicy republiki, oświetlone okna Balboa, twierdzy kanału i jego portów, zbudowanych za cenę 12 milionów dolarów na wysepkach. Nawet w Palo Seco, gdzie przyjmuje się trędowatych do amerykańskiej kolonii w Agua Bendita w Kolumbii, płoną światła. Migoce strzała nad służą w Miraflores. Ale pod nią nie ma już nikogo, kto by mnie zęgnął.

Stara Panama pogrążona jest w ciemności, jest ruiną. Przed trzystu laty wielki pirat Morgan obrócił miasto w perzynę.

Płyniemy na południowy zachód do Cap Mala wzdłuż siódmego stopnia szerokości, bardzo blisko równika. Przy wyspie Quileo, należącej do Republiki Panamy, skręcamy na północny zachód. Mijamy wiele państw: Kostarykę, Nikaraguę, Honduras, San Salvador, Gwatemalę, Meksyk.

---

Z pewnością i praca malarza ma swoje ujemne strony.

Lęk, że pętla, na której umocowano jego chwiejne siedzenie na wysokości sześciu metrów, nie jest związana na stałe, należy do niemiłych uczuć. Na równej ziemi pracuje się pewniej. Ale i w dole nie można nic robić zupełnie mechanicznie.

Po zużyciu określone części muszą być pomalowane odpowiednimi farbami: bloki kotwiczne i wewnętrzna strona wentylatorów, dzwony alarmowe, gaśnice, hydranty i poręcze mostku kapitańskiego na cynobrową czerwień, drzwi na brunatno, stalowe i drewniane maszty na żółto, pokład, reling, maszyny i windy najpierw czerwoną ołowianą farbą, a potem na czarno, łodzi ratunkowe na białą, od dołu zaś na ciemnożółto. („*Finishing color*”<sup>238</sup> napisano na pojemnikach z farbami — nigdy nie przypuszczałem, że słowo „*firmis*”<sup>239</sup> pochodzi od łacińskiego „*finis*”<sup>240</sup>). Trzeba zwracać baczną uwagę, żeby pędzel z farbą nie zeslizgnął się na miejsce, pomalowane na inny kolor — gdyż wtedy przepadło.

Pokosty walają ciało malarza, a tropikalne słońce wypala te plamy. Na zawsze? Od gorącej wody i mydła nie schodzą, trzeba użyć co najmniej prysznicu z wody morskiej.

Progi i klamki u drzwi są z mosiądzu i poleruje się je *grease*<sup>241</sup> (czort wie, jak te maści i inne świństwa nazywają się po niemiecku czy też w niemieckim żargonie marynarskim).

Najgorsze zaś jest zeskrobywanie starej farby i znajdującej się pod nią rdzy z żelaznych płyt pokładu.

*Steel scraper*<sup>242</sup>, który trzyma się mocno obydwoma rękami, nie robi cienkich rys. Należy go przyciskać, inaczej nic nie wychodzi, nie zeskrobie się nawet pyłku głęboko wżartej rdzy.

Gdy się jednak naciska, powstaje na wielkim palcu prawej ręki pęcherz, a na obu dłoniach odciski. Kto chce być chytry, opiera ten skrobacz nie o wielki palec, ale o inne palce. Ale i tu tworzą się pęcherze i początkujący myśli, że przez to jest zwolniony z dalszego odkrobywania rdzy mimo niewykończenia nawet jednej płyty.

Ale to okazuje się pomyłką. Może przecież włożyć rękawiczki, co mu nie wpadło przedtem do głowy, gdyż inni ich nie posiadają.

W stanie osobowym naszego okrętu zaszły dwie zupełne i kilka chwilowych zmian: wkrótce po odjeździe z Jacsonville zachorował marynarz i jęczał całymi nocami z powodu bólów w dole brzucha. Dopiero w Lemon Bay przybył na pokład lekarz, stwierdził

---

<sup>237</sup> Claude Farrère (pseud.), właśc. Frédéric-Charles Bargone (1876–1957) — francuski oficer marynarki, autor powieści, których akcja często rozgrywała się w egzotycznych miejscach. [przypis edytorski]

<sup>238</sup> *finishing color* (ang.) — kolor wykończenia. [przypis edytorski]

<sup>239</sup> *firmis* (niem.) — pokost. [przypis tłumacza]

<sup>240</sup> *finis* (łac.) — koniec. [przypis edytorski]

<sup>241</sup> *grease* (ang.) — smar; maź; tłusta substancja. [przypis edytorski]

<sup>242</sup> *steel scraper* (ang.) — stalowy skrobak. [przypis edytorski]

zapalenie wyrostka robaczkowego i biedaka, którego stan podczas długotrwałej podróży morskiej wyraźnie się pogorszył, zabrał do Colon celem zoperowania go: spuszczone go na materacu, zawieszonym na linach, do łodzi szpitalnej.

Lepiej udało się palaczowi, który przewrócił się w kotłowni i złamał sobie prawe przedramię i miednicę. Dlatego był szczęśliwy, że wypadek zdarzył się w Culebra Cut i już w parę godzin potem otrzymał pomoc lekarską w Pedro Miguel; pokulał z pokładu do auta pobliskiego szpitala.

Inne przypadki były to stłuczenia nóg i biegunka z gorączką. Chorzy musieli być zastąpieni i pełniłem funkcję stewarda przez dwa dni w jadalni załogi i przez cztery dni w jadalni oficerskiej. W jadalni załogi przynosi się cynowe talerze z zupą, potem z mięsem i jarzynami, w końcu zaś z puddingiem, jako deser zaś blaszane filiżanki kawy. W jadalni oficerskiej przed jedzeniem nakrywa się stół, nakrycia, cukierniczki, maselnice i serwetki umocowuje się w ich pierścieniach.

Istnieje spis potraw i każdy oficer może sobie wybrać jedno z dań mięsnych; podaje się tu na porcelanowych talerzach i w porcelanowych filiżankach. *Steam table*<sup>243</sup>, gdzie podgrzewa się przyniesione z kuchni potrawy, nie znajduje się tu w samej jadalni, ale w pomieszczeniu sąsiednim, tzw. *pantry*. Należy zawsze zostawić dwa obiady: dla oficera pełniącego służbę i dla dyżurnego inżyniera. Po śniadaniu (o wpół do dziesiątej) należy w *pantry* zmyć talerze, szklanki, półmiski i filiżanki, wyrzucić resztki jedzenia i sprzętując jadalnię. Zimne mięso i chłodzona na lodzie herbata zostają na stole po kolacji dla oficerów, którzy w nocy wracają z wachty.

Gdy podaję lub oparty o kredens czekam na spożycie jakiegoś dania, kapitan lub oficerowie wciągają mnie w rozmowę, wypytują i dysputują ze mną. Podkreślanie zewnętrzne różnicy społecznej, trzymanie się na odległość, pojęcie zachowania respektu, słowem to wszystko, czego w Europie, a zwłaszcza w Niemczech żąda każdy szef od swego „podwładnego”, nie istnieje w Ameryce. Z właścicielem fabryki, prezesem rady nadzorczej rozmawia się tak samo jak z chłopcem na posyłki; kapitan prosi smarowacza o papierosa, marynarz — pierwszego inżyniera o ogień.

Nie są bynajmniej wszyscy równi, nierówność jest nawet większa niż w Europie, ale że każdy mierzy się tylko dolarem i wie o innym, „ile jest wart” (to pojęcie cyfrowe używane jest we wszystkich biografiach, nekrologach, podręcznikach i uroczystych przemówieniach), a z drugiej strony przybytek dolarów oznacza podniesienie stopy życiowej, która nie może być inaczej wyrównana — wysuwanie różnic klasowych jest zbyteczne.

Opowiadają o cesarzu Franciszku I, że miał zamiar co wieczór grywać z chłopami w kręgle, zaniechał jednak tego planu, gdy przy pierwszej partii zapytano go, kiedy zniesie poddaństwo.

Żaden z amerykańskich cesarzy nie potrzebuje obawiać się takiego pytania, gdyż tu cesarze i chłopci jednakowo myślą o wszystkim i są przeciwni nie tylko poddaństwu cielesnemu, ale i umysłowemu. Cesarz i chłop czytają zupełnie te same, stojące na tym samym poziomie pisma, zupełnie te same ogłupiające magazyny, te same pozbawione fantazji sensacyjne historyjki, oglądają te same filmy i słyszą ujednolicony program radia, gramofonu i niedzielnego nabożeństwa. Czy głosowali za Hooverem, czy za Smithem, są zachwyceni, że Hoover został wybrany, gdyż osobiście jest on bardzo przyzwoitym człowiekiem — gdyby Smith został wybrany, on znowu byłby bardzo przyzwoitym człowiekiem.

Poza tym Smith jest katolikiem, a religia lepiej powinna trzymać się z daleka od polityki. Kiedy dorzuca się skromnie, że Hoover jest protestantem, a zatem i jego wyznanie nie trzyma się z dala od polityki, słyszy się w odpowiedzi: to zupełnie coś innego, protestant nigdy... ale u katolików, ha, „znałem jednego katolika...” „w naszym mieście była rodzina katolicka...”

Co do mniejszej wartości Murzynów, co do konieczności kary śmierci, że Sacco i Vanzetti byli być może niewinni, ale nie można było dać się nastraszyć krzykaczom, że diabłu się zda nie móc wypić szklanki piwa, ale prohibicję należy utrzymać, „gdyż robotnicy przepijaliby w sobotę swoje wynagrodzenie”, co do marek automobilowych i zagadnień życiowych — rozprawia się wszędzie zupełnie zgodnie. Rozmowy, poglądy i wyrażenia,

<sup>243</sup>*steam table* (ang.) — stół z podgrzewaniem parowym. [przypis edytorski]

które są matematycznie zgodne i które słyszało się u kupców z Manhattanu, urzędników z Waszyngtonu i robotników z Pensylwanii — słyszy się znów w jadalni oficerskiej i na pokładzie. Main Street świadomej ograniczoności prowadzi nie tylko — jak myśli Sinclair Lewis<sup>244</sup> — z miasteczka wschodu do miasteczka zachodu, lecz przebiega ona także przez Broadway Nowego Jorku aż do przystani, a potem przez obydwa oceany.

Płyniemy do Gopher Prairie<sup>245</sup> przez odnogę morską Tehuantepec.

O co mnie pytają? Dlaczego „*the Kaiser*”<sup>246</sup> sprowokował wojnę? Czy był sadystą? Czy Niemcy cieszą się, że Ameryka uwolniła ich od cesarza?

Jestem w zabawnym położeniu, zmuszony bronić Wilhelma II<sup>247</sup>, mówiąc o przyczynach wojny. Biada! Dopiero teraz dowiaduję się, że cesarz Wilhelm osobiście zorganizował mord w Sarajewie, ażeby posadzić na tronie swoich licznych synów.

„A że kapitan Schweiger był przyjacielem, najlepszym przyjacielem cesarza — o tym pan także nie wie?” Nie, nie wiem nawet, kto to był kapitan Schweiger! „To ten, co zatopił «Luzitanie» z tysiącami kobiet i dzieci, ze stu Amerykanami, i dlatego natychmiast wypowiedzieliśmy wojnę Niemcom”. Tak? Zdaje mi się, że wypowiedzenie wojny miało miejsce więcej niż o rok później. Spieramy się, aż w końcu zostaje przyniesiony *World Almanac*<sup>248</sup>, książka o licznych wydaniach, gdyż rozstrzyga ona wszelkie zakłady i jest niezbędną pomocą przy rozwiązywaniu krzyżówek.

Pożyczam sobie ten rocznik i czytam go wieczorem: prawa federalne i prawa pojedynczych stanów, kara więzienia za zerwanie małżeństwa i złamanie przyrzeczenia ożenku, zakazy przedstawień w teatrze i sportów w niedzielę oraz nauczania o rozwoju gatunków; dożywotnie więzienie dla każdego, kto będzie skazany po raz czwarty, chociażby przekroczył tylko prawo o prohibicji. Czytam projekt prawa skierowanego przeciwko wciąż powtarzającym się linczom na Murzynach.

I czytam nie bez pewnego osobistego zainteresowania prawo emigracyjne, zwłaszcza ustęp drugiego artykułu: „*Excluded classes*”<sup>249</sup>, który zabrania wjazdu tym, którzy są zwolennikami gwałtownego przewrotu względnie członkami organizacji, które szerzą niewiarę (*disbelief*) lub opozycję w stosunku do rządu; za przekroczenie tej „bolszewickiej” klauzuli grozi najsurowsza kara prawa emigracyjnego: pięć lat więzienia i grzywna do 5 tysięcy dolarów.

Czytam to przed pójściem spać w pokoju mierniczym, nie zaś na swym hamaku, gdyż nie oświetla go lampka. Już od dawna leżymy na świeżym powietrzu, nawet w nocy.

Cały dzień chodzimy nago, tylko z kapeluszem na głowie, nie dlatego, że „ktoś mógłby nadejść”, ale że udar słoneczny jest niezbyt przyjemny. Chciałoby się nawet zedrzeć skórę z ciała, tę zbyt obcisłą, niewygodną odzież. Taki żar panuje. Cali rozpaleni, płyniemy wzdłuż brzegów Meksyku i co widzimy tam, na stałym lądzie, co patrzy na nas szydlerczo z góry? Śnieg! Są to, jak czerpię z mapy, dwie ziejące ogniem góry: Vulcano de Safa (14 118 stóp<sup>250</sup> wysoki), po indiańsku zwący się Pico Hellada, i Vulcano Colima, liczący 12 745 stóp.

---

Przylądek San Lucas jest południowym cypem Półwyspu Kalifornijskiego, którego dolna część należy do Meksyku. Posunęliśmy się w górę do dwudziestego czwartego stopnia szerokości, a mimo to płyniemy jeszcze pod Krzyżem Południa i śpimy jeszcze na pokładzie. Nosimy jednak przynajmniej spodnie przy pracy. Dave Dunge bez wątpienia mnie nienawidzi. Wiedziałem już o tym od pierwszych tygodni podróży, chociaż despe-

---

<sup>244</sup>Lewis, Sinclair (1885–1951) — amerykański pisarz i dramaturg; krytyk społeczeństwa amerykańskiego i wartości kapitalistycznych; pierwszy amerykański laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (1930). [przypis edytorski]

<sup>245</sup>Gopher Prairie — fikcyjne miasto w stanie Minnesota w USA w powieści *Ulica Główna* (oryg. *Main Street*, wyd. 1920) Harry’ego Sinclaira Lewisa. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>*the Kaiser* (ang. i niem.) — cesarz. [przypis edytorski]

<sup>247</sup>Wilhelm II (1859–1941) — ostatni niemiecki cesarz i król Prus, przedstawiciel dynastii Hohenzollernów; militarysta i imperialista, zwolennik polityki wojennej; abdykował po zakończeniu I wojny światowej. [przypis edytorski]

<sup>248</sup>*The World Almanac and Book of Facts* (ang.: Almanach świata i książka faktów) — popularna jednotomowa amerykańska publikacja informacyjna, wydawana corocznie od 1886. [przypis edytorski]

<sup>249</sup>*excluded classes* (ang.) — klasy (tu: kategorie, grupy) wykluczone. [przypis edytorski]

<sup>250</sup>*stopa* — anglosaska jednostka długości, ok. 30 cm. [przypis edytorski]

racko się hamował — obawiał się, że zdezerteruję w pierwszym lepszym porcie. Wtedy straciłby swoje, to znaczy moje pieniądze.

W Jacsonville zobaczyłem agenta kompanii okrętowej, przybyłego na pokład z pocztą. Po paru minutach oficerowie i kilku marynarzy stało lub siedziało dookoła, czytając listy. Ja nie otrzymałem nic. Było to dla mnie niezrozumiałe, gdyż pisałem w Nowym Jorku, aby mi tu wszystko wysłać! Dopiero w nocy zjawily się na mym hamaku dwa listy, których przedtem tam nie było. Nierozpieczętowane.

Dave Dunge dał z pewnością polecenie zatrzymania i wręczenia mu moich listów, gdy przyjdzie z miasta. Chciał się przekonać, czy pisuje do mnie Debora. Możliwe, że to uczyniła — wtedy miał właśnie jej list. Nie jestem ciekawy.

Piszę te notatki w pokoju mierniczym, albo — jeśli słońce nie wżera się zbyt głęboko w moje ciało — siedząc gdziekolwiek na blasze, osłaniającej biegnące wzdłuż całego statku cztery rury dla pary, wody bieżącej, wody do mycia i wody dla węży przeciwpożarowych.

W pierwszych dniach podróży zbliżył się do mnie Sid, kreatura<sup>251</sup> Dave'a.

— Co ty tam piesz?

— Artykuł do gazety o naszej podróży.

— Pokaż, co już napisałeś.

Nie rozumie oczywiście po niemiecku, chociaż był na statku zbożowym w Bremie, zбочył stamtąd do Berlina i częściej od innych mówi ze mną po „niemiecku”: „Przynies mi dwie piwa”. A zaimponowawszy dostatecznie swymi wiadomościami językowymi, zapewnia: „*Oh, i like Berlin. Kölnische Fischmarkt — that's a wonderful place*”<sup>252</sup>. Nie zauważyłem zupełnie, że w Berlinie są *places*, które są *wonderful* jak właśnie koloński rynek rybny (*Kölnische Fischmarkt*), ale mówię „*Oh, yes it's really a fine place*”<sup>253</sup>.

Chce więc zobaczyć, co napisałem. Daję mu parę stron; w moim nabazgranym manuskrypcie ja sam, a cóż dopiero Sid, z trudnością mógłbym znaleźć to, czego on szuka: imienia „Debora”.

To nie jest list do niej, stwierdził z łatwością, gdyż jest napisany po niemiecku, a Debora nie rozumie nawet słów „podaj mi dwie piwa” i „koloński rynek rybny”.

Być może jednak można będzie poznać, jak daleko posunęła się moja miłość do Debory, względnie, czy sztydę z Dave'a Dunge'a jako z kochanka, któremu przyprawiłem rogi.

Jak to można tyle napisać o naszej nudnej podróży? Przetłumacz mi coś z tego.

Czytam mu, co napisałem właśnie o Kanale Panamskim, i Sid odchodzi. Dave Dunge nie wątpi widocznie w niemieckie wiadomości swego szpiega i z tajnych doniesień przypuszcza, że moje kartki nie zawierają osobistych wiadomości. Mimo to Dave obarcza mnie najuciążliwszymi pracami, jak pomalowanie syreny okrętowej, która jest umocowana na wysokiej żerdzi przed kominem, albo pokostowanie otworów ustępowych załogi. Czynię to z widoczną przyjemnością. Sarkam jedynie na nocną służbę na pokładzie, aby Dave poruczył mi właśnie to zadanie.

Nie może otwarcie okazywać mi nienawiści, gdyż nie ma jeszcze w kieszeni mojej pensji. Ze źle odegraną serdecznością wdaje się ze mną w rozmowę. Zastanawiam się, czy nie wręczyć mu pieniędzy dopiero po wylądowaniu na brzegu, na pewniejszym gruncie. Na pokładzie mógłbym uciepieć przy jakiejś bójce. A może Dave wyrwie mi drabinkę sznurową, gdy będę schodzić...

Bez jakichś wyrafinowanych zwrotów w rozmowie pewnego wieczora pokazuję w jadalni mój browning<sup>254</sup>.

— Muszę go zawsze trzymać przy sobie, mieszkam w Berlinie w niebezpiecznej dzielnicy i gdy się odbywa tyle podróży...

— Czyś go już kiedy używał?

— Niestety — szepcę — to było nieszczęściem mego życia.

<sup>251</sup>*kreatura* (daw., z łac.) — osoba zawdzięczająca swoją pozycję komuś wpływowemu, wykreowana przez kogoś. [przypis edytorski]

<sup>252</sup>*Oh, i like Berlin. Kölnische Fischmarkt that's a wonderful place* (ang. i niem.) — Och, lubię Berlin. Koloński targ rybny to wspaniałe miejsce. [przypis edytorski]

<sup>253</sup>*Oh, yes it's really a fine place* (ang.) — O tak, to naprawdę ładne miejsce. [przypis edytorski]

<sup>254</sup>*browning* — niewielki, poręczny pistolet szybkostrzelny, popularny w okresie międzywojennym jako broń kieszonkowa; nazwa pochodzi od nazwiska amerykańskiego konstruktora Johna Browninga. [przypis edytorski]

— Czy wiesz, że grubo wpadniesz — mówi jeden — jeśli się dowiedzą, że zabrałeś broń palną na pokład?

Nie, o tym nie wiedziałem, podpisałem przecież paragrafy regulaminu okrętowego bez czytania. Odpowiadam jednak:

— Pokazałem rewolwer kapitanowi, kazał mi się z tego wytłumaczyć i oddał mi go.

Od tej pewnej demonstracji mojej broni noszę ją oczywiście w kieszeni moich spodni. W nocy kładę ją pod poduszkę maty. Inaczej wkrótce by znikła.

Jestem znowu kelnerem w jadalni oficerskiej. Rozmowy znam już na pamięć. Każdy oficer ma inny stopień wykształcenia. Jeden skończył wyższą szkołę inżynierską, inny jeszcze podczas zeszłej podróży był smarowaczem; inny znów czytał Willa Dunanta, jednego z dziesięciu modnych właśnie filozofów amerykańskich; jeden jest poinformowany o Zygmuncie Freudzie (wymawia: profesor Fruhd), gdyż żona jego jest całkowicie „crazy”<sup>255</sup> z psychoanalizą; jeden jest kwakrem<sup>256</sup> i głosował na Smitha, kapitan — według jego szczerego wyznania — jest nawet członkiem Ku-Kux-Klanu, organizacji nacjonalistyczno-amerykańsko-protestanckiej, i jednocześnie — patrz na jego oznakę — należy do wolnomularzy<sup>257</sup>, którzy propagują miłość bliźniego i braterstwo ludzkości.

We wszystkim są zgodni. „Pakt Kellogga”<sup>258</sup> uniemożliwia w przeciągu najbliższych trzydziestu lat każdą wojnę zaczepną”. — „Oczywiście, że amerykańska flota wojenna (radio przynosi wiadomości o roztrząsanej właśnie w Senacie ustawie o krążownikach<sup>259</sup>) musi być najpotężniejsza w świecie, ale tylko dlatego, że musimy bronić największego wybrzeża świata”. Wojskowa okupacja Nikaragui<sup>260</sup> była konieczna, aby zrobić tam porządek; trzeba tak zrobić ze wszystkimi państwami Ameryki Środkowej i Południowej. Kobiety i „pacyfistów” trzeba w ogóle przymknąć, o socjalistach i radykałach w ogóle się już nie mówi; nie ma żadnej różnicy zdań, co o nich sądzić! „Te łajdaki chcą tylko zarobić pieniądze!” „Lenin?” „Ależ nie bądź pan taki naiwny, na pewno ma porządne konto w banku, jak oni wszyscy”.

Po jedzeniu wszyscy wychodzą śpiesznie z ostatnim kęsem w ustach — nie potrzebują nawet przynosić popielniczek. Moi goście należą do rzędu tych, którzy co rano i co wieczór połykają to samo żarcie w automatycznej restauracji, przed i po pracy wypychani są w masę jadącą podziemną kolejką. Są tego pokroju, co i ci, którzy zaspakajają swoje zamiłowanie do sportu telegraficznymi wiadomościami o zawodach baseballowych, swoje poczucie towarzyskości czytaniem „Society News”, swój pociąg do wiedzy oglądaniem drapaczy nieba, a swój popęd płciowy bywaniem w „burleskach” i innych *leg shows*<sup>261</sup>. Swoje czytanie czerpią z brudnych historii magazynów i filmów, dla wykształ-

<sup>255</sup>crazy (ang.) — zwariowany, zbikowany. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>kwakier — potoczne określenie członka chrześcijańskiej wspólnoty noszącej nazwę Religijne Towarzystwo Przyjaciół, wywodzącej się z purytanizmu, silnie akcentującej rolę osobistego wewnętrznego objawienia, głoszącej pokojowe zasady i prostotę sposobu życia, rozpowszechnionej głównie w Anglii i Stanach Zjednoczonych, dokąd wyemigrowali w wyniku prześladowań w XVII w. Członkowie wspólnoty byli określane prześmiewczo jako kwakrzy (z ang. *quakers*: drzący), co miało się odnosić do fizycznych reakcji towarzyszących praktykom doświadczenia mistycznego. [przypis edytorski]

<sup>257</sup>wolnomularze — członkowie wolnomularstwa (masonerii), powstałego w XVIII w. hermetycznego stowarzyszenia międzynarodowego o hierarchicznej strukturze wewnętrznej, pielęgnującego zasady moralne i idee Oświecenia. [przypis edytorski]

<sup>258</sup>pakt Brianda-Kellogga (1928) — międzynarodowy traktat ustanawiający wyrzeczenie się wojny jako instrumentu polityki narodowej; zaproponowany w 1927 przez Aristide Brianda, ministra spraw zagranicznych Francji, jako traktat między Stanami Zjednoczonymi i Francją, zakazujący prowadzenia wojny między tymi krajami; rozszerzony przez propozycję Franka Billingsa Kellogga, sekretarza stanu Stanów Zjednoczonych: zawarcia wielostronnego paktu odrzucającego wojnę jako instrument prowadzenia polityki; do dnia wejścia paktu w życie (24 lipca 1929) przystąpiły do niego 44 państwa z różnych kontynentów. [przypis edytorski]

<sup>259</sup>ustawa o krążownikach — ang. *Cruiser Act*, amerykański akt prawny, przyjęty przez Kongres 13 lutego 1929, przyznający środki na budowę 19 krążowników i pierwszego specjalnie skonstruowanego lotniskowca Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. [przypis edytorski]

<sup>260</sup>wojskowa okupacja Nikaragui — w roku 1909, wykorzystując konflikt wewnętrzny, USA dokonało inwazji na Nikaraguę, w 1912 wybuchła zorganizowana przez siły liberałów antyrządowa rebelia, tłumiona przez prezydenta z użyciem stacjonujących w kraju żołnierzy amerykańskich; w 1925 Amerykanie zakończyli okupację kraju, ale szybko powrócili pod pretekstem obecności „meksykańskich agentów bolszewizmu”; po przejściu władzy w Nikaraguę przez liberałów w 1927 obecności wojsk amerykańskich sprzeciwił się jeden z ich liderów, Augusto Sandino, który rozpoczął rebelię przeciwko siłom amerykańskim i elicie kraju, uważanej za rasistowską i autokratyczną; na skutek szeregu porażek w walce z sandinistami w 1933 wojska amerykańskie opuściły kraj. [przypis edytorski]

<sup>261</sup>leg shows (ang.) — pokazy nóg. [przypis edytorski]

cenia naukowego wstępują owozym pędem do *high schools*<sup>262</sup> i *colleges*<sup>263</sup>, a politycznie są uświadamiani przez szkołę, potem zaś przez pisma codzienne. Dokąd można się śpieszyć na statku podczas przerwy obiadowej? Dwaj mają zamiar udać się do kotłowni do dżurznego smarowacza, aby wspólnie rozwiązać krzyżówkę z pisma „Individuality”. Inny znów chce przeczytać do końca biografię Henry’ego Forda<sup>264</sup> w magazynie „Personality”. Paru gra w szachy i w halmę<sup>265</sup> w kajucie młodszego oficera.

Większość wypożyczyła sobie z szafki z książkami, urządzonej przez American Merchant Marine Library Ass., jakąś erotyczną powieść z kolorowymi ilustracjami. Kapitan i naczelnny inżynier nie opuszczają ani jednej audycji radiowej, chociaż często wszystkie 35 amerykańskich stacji broadcastingowych<sup>266</sup> jedna po drugiej nadają te same kawałki muzyczne — przerywane przez reklamę papierosów „Lucky Strike”.

Chłopka bałkańska ma bardziej samodzielne myśli, Eskimos więcej interesuje się zagadnieniami życiowymi od Amerykanina. Wygląda to zupełnie tak, jakby olbrzymi megafon rozkazywał 120-milionowemu narodowi, ustawionemu w szeregu, wykonywać jednakowe ćwiczenia „w indywidualnym ujęciu”.

Z góry zna się już każde słowo, które mają zamiar wypowiedzieć — jest ich zresztą niewiele. Na przykład: „*all right*”. Oznacza to: „zupełnie słusznie” — „tak, bardzo chętnie” — „nie, nie szkodzi” — „już dobrze” — „ale proszę” — „w porządku”. A jeśli muszą coś dodać między ich „*sure*”<sup>267</sup> i „*all right*”, to poprzedza to „*damned*”<sup>268</sup> dla zyskania na czasie, zanim wydobędą odpowiednie słowo ze swoich zakamarków mózgowych.

Spieszą się po jedzeniu i stoją przy pracy, są narodem, który w przerwach się śpieszy, a na pracę ma dosyć czasu. (Niewolników i emigrantów nie będzie to dotyczyło). Ze szczególnym upodobaniem rozmawiają o wojnie. Jakże mógłbym zaprzeczać, że Niemcy krzyżowali jeńców w rowach strzeleckich, obcinali im Johna Henry’ego<sup>269</sup> i wkładali w usta. „*Well*”<sup>270</sup>, pan tego nie widział, front miał wiele tysięcy mil długości, ale u nas pisały o tym gazety i głoszone to z ambony”. Oburzam się — mogą się wstydzić, że w 10 lat po wojnie wierzą w takie bzdury, które usiłowano lansować i u nas w 1919 roku o Serbach i Belgach. Teraz przypuszczają, że moja duma narodowa została dotknięta, i sprawia im to przykrość; nie mają przecież nic przeciwko Niemcom, przeciwnie, są teraz przeciwko Anglii: „Nie chcemy przecież mówić, że czynił to naród niemiecki — między milionami żołnierzy znajdzie się zawsze paru sadyistów, zbrodniczych natur, to jest zrozumiałe samo przez się. A inni naśladują ich tylko”.

O Rosji wiedzą tylko to, co wydaje się mieć związek z polityką, ale ma pożądaną posmak seksualny, o socjalizacji kobiet (czas użycia: pół godziny) i o milionach rabujących, gwałcących i chorych wenerycznie chłopców. „W Moskwie ludzie na ulicach żebrzą nawet w nocy, a nawet i dzieci”. Odpowiadam, że nawet bogata Ameryka ma tyłuż żebraków, nielegalnych i „koncesjonowanych”, że praca dzieci jest jeszcze gorsza od ich żebrania i podczas Halloween<sup>271</sup> i Thanksgiving Day<sup>272</sup> ulice Nowego Jorku są pełne biednych

Lud

Dziecko, Praca, Obyczaje,  
Interes

<sup>262</sup>*high schools* (ang.) — szkoły średnie; licea. [przypis edytorski]

<sup>263</sup>*colleges* (ang.) — uczelnia, szkoła wyższa; kolegium. [przypis edytorski]

<sup>264</sup>*Ford, Henry* (1863–1947) — inżynier i przemysłowiec amerykański, założyciel Ford Motor Company (1903) w Detroit. [przypis edytorski]

<sup>265</sup>*halma* — gra planszowa wymyślona w 1883/1884 r. przez Amerykanina George’a Howarda Monksa. Rozgrywana jest na kwadratowej szachownicy złożonej z 256 pól (16x16). W grze mogą uczestniczyć 2 lub 4 osoby. Zadaniem jest przeprowadzenie wszystkich pionków (znajdujących się na początku partii w przydzielonym danemu zawodnikowi rogu) do przeciwległego narożnika. Rozpoczynającą grę wyznacza się przez losowanie. [przypis edytorski]

<sup>266</sup>*broadcastingowy* (neol. z ang.) — nadający audycje. [przypis edytorski]

<sup>267</sup>*sure* (ang.) — pewnie, z pewnością. [przypis edytorski]

<sup>268</sup>*damned* (ang.) — przeklęty; cholerny. [przypis edytorski]

<sup>269</sup>*John Henry* — popularne oznaczenie członka męskiego. [przypis tłumacza]

<sup>270</sup>*well* (ang.) — dobrze; cóż, no. [przypis edytorski]

<sup>271</sup>*Halloween* — popularne anglosaskie święto ludowe, obchodzone wieczorem 31 października; dzieci przebijają się podczas niego za duchy, demony i czarownice i chodzą od domu do domu, prosząc o dorosłych słodczyce; od 1920 w Stanach Zjednoczonych odbywają się parady z okazji Halloween. [przypis edytorski]

<sup>272</sup>*Thanksgiving Day* (ang.) — Święto Dziękczynienia, amerykańskie święto narodowe obchodzone pod koniec listopada; związane ze obchodami dziękczynnymi za pierwsze żniwa zebrane przez angielskich osadników purytańskich, którzy w grudniu 1620 na statku „Mayflower” przybyli do Ameryki i założyli osadę w Plymouth, w ob. stanie Massachusetts; w 1621 świętowali oni dobre zbiory mijającego roku wspólnie z Indianami z plemienia Wampanoagów, którzy wsparli ich żywnością i pomogli im przetrwać poprzednią zimę. [przypis edytorski]

małaństw, przebranych przez swoich rodziców i obcych „chlebodawców” i zmuszanych do tańczenia, śpiewania i żebrania.

A chłopcy, którzy wykrzykują, biegają po nocnych wagonach kolei podziemnej z niesłychanie ciężkimi pakietami gazet? A dziesięciolatki w łachmanach, czyszczące na Wall Street buty bywalcom giełdy, zamiast iść do szkoły? A... Moi przeciwnicy śmieją się z mych wywodów. „To jest *business*<sup>273</sup>, kochanku. Nasi najwięksi milionerzy zaczęli w ten sposób”.

---

Nadszedł luty. Mamy jeszcze 1200 mil do przebycia, a porcja dzienna wynosi 240. Wszyscy piorą swoje chustki do nosa, skarpetki i kalesony. I ja także. Udaje się to niezbyt dobrze. Ale wybielić to wszystko nie jest tak wielką sztuką, jak chcą w nas wmówić<sup>274</sup> kobiety.

Kucharz, przystojny chłopak irlandzki, dał mi wczoraj adresy lokali w Los Angeles, gdzie można potańczyć i dostać whisky, dokąd przychodzą dziewczęta grające w filmach, oczywiście tylko małe role, hotelu, gdzie można mieszkać tanio i spokojnie, oraz dobrej restauracji. Na moje pytanie, skąd on tak dobrze jest z tym obeznany, odpowiada, że jego narzeczona pracuje w magazynie modniarskim w Los Angeles. Pokazał mi jej podobiznę, leżącą na pakiecie listów. Pisz do niego do każdego portu i on do niej również.

— Jesteś szczęśliwy, że pojutrze będziesz w Los Angeles.

— A, niech to diabli!

Później mruczał coś o przeklętej *Navy*<sup>275</sup>, a gdy go zapytałem, co marynarka wojenna ma wspólnego z jego przyjaciółką, wyjaśnił mi tragikomiczną sytuację miłości marynarza.

— Każdy statek naszej kompanii robi w ciągu roku cztery i pół razy ten sam kurs z Portland (Oregon) do Nowego Jorku i z powrotem. Zatrzymujemy się więc w portach dziewięć razy. Podczas jednego z tych dziewięciu postojów w portach w Los Angeles przed trzema laty poznałem moją narzeczoną i od tego czasu każdego roku widywałem ją dziewięć razy. Pływałem na „Hiawacie”. Przeklęte piekło chce, że „Hiawatha” zawsze dziesiątego dnia w miesiącu zatrzymuje się w Pedro (w porcie w Los Angeles), czasem dzień później, czasem dzień wcześniej, ale zawsze koło dziesiątego, a to jest akurat zły czas dla mojej dziewczynki, ty to rozumiesz. Dwa lata to trwało, aż straciłem cierpliwość i w Nowym Jorku zmieniłem się z kucharzem z „Hannawah”. Ten był, naturalnie, chętny znaleźć się dwa tygodnie wcześniej u swojej rodziny w Portland. „Hiawatha” wypłynęła więc 3 grudnia z Nowego Jorku, a myśmy mieli wyruszyć w czternaście dni później. Ale przeklęte piekło chciało, że wmieszało się w to zatopienie „Vestris”, towarzystwo żegluga wysłało komisję do badania urzędów ratunkowych, później zjawia się komisja z urzędu portowego, i musimy święcić Boże Narodzenie w Nowym Jorku. Nie myślałem, że tracimy osiem dni, gdyż czy zarzucę kotwicę u mojej przyjaciółki 24 stycznia, czy 1 lutego, było mi wszystko jedno. Ale ładujemy w Baltimore jeden ładunek za drugim i zostajemy cztery dni dłużej.

Niech to diabli, myślę, jeżeli to będzie jeszcze jeden dzień więcej! Niech to szlag! No i wypływamy drugiego z Baltimore, i cieszę się, że przybędę na czas. Bums, i oto jest tu cała marynarka wojenna z powodu jej przeklętych szalonych manewrów, i musimy dwa dni siedzieć w Lemon Bay, zanim będziemy mogli przepłynąć przez Kanał Panamski. A pojutrze jesteśmy w Los Angeles — dziesiątego.

Spojrzał raz jeszcze na kalendarz, tak jak Polikuszka<sup>276</sup>, pełen beznadziejnej nadziei, przeszukuje podszewkę swej futrzanej czapki, zanim się wiesza. Nie, zgubionych pieniędzy nie ma w czapce Polikuszki, a w kalendarzu kucharza widnieje dziesiątka — krwawoczerwona.

---

Pojutrze będziemy w Los Angeles, zejść z pokładu. Od trzech dni płyniemy wzdłuż Półwyspu Kalifornijskiego, który jest meksykański i wilgotny, jutro przekraczamy gra-

---

<sup>273</sup>*business* (ang.) — biznes, interes. [przypis edytorski]

<sup>274</sup>wybielić (...) nie jest tak wielką sztuką, jak chcą w nas wmówić — nieprzetłumaczalna gra słów: „weismachen” (wmówić) i „machen weiss” (wybielić). [przypis tłumacza]

<sup>275</sup>*Navy* (ang.) — marynarka wojenna. [przypis edytorski]

<sup>276</sup>*Polikuszka* — bohater noweli Tolstoja pod tymże tytułem. [przypis tłumacza]

nię alkoholową. Tijuana<sup>277</sup>, niegdyś wslawiona wyścigami konnymi, jest teraz celem odbywających się co wieczór wyścigów aut: państwo z Hollywoodu przejeżdżają tędy, aby dobrze pić.

Pierwszy mat, namiętny amator fotografii, miał do mnie prośbę: żebym mu przysłał katalog Zeissa<sup>278</sup> z Jeny.

— Chętnie, mam także w domu katalog, którego nie potrzebuję.

— Ach, pan na pewno zapomni!

Wtedy wpadło mi coś do głowy.

— Mat, zróbmy zamianę; zrób mi pan zdjęcie, kiedy w porcie będę zląził z pokładu, i pošlij mi fotografię. Gdy ją otrzymam, zdobędzie pan dwa firmowe katalogi.

Mysłał, że je przyślę, zanim jeszcze wysiądę.

Minęły już te dni, kiedyśmy z wywieszonym językiem leżeli w żarze słonecznym. Zimno, nikt nie śpi więcej na pokładzie. Dzisiaj termometr pokazuje 50 stopni Fahrenheita<sup>279</sup>, a ostry wiatr zachodni uderza i pcha naszą łódkę. Pcha naszą łódź do portu.

Wyplacono moją pensję i przynoszę Dave'owi Dunge'mu moje 42 dolary 50 centów na pokład, widoczny z mostku kapitańskiego. Na górze stoi kapitan. Dave nie mówi ani słowa i wsuwa moją pensję do kieszeni bluzy.

Jeszcze tylko trzydzieści mil do San Pedro, portu Los Angeles. Miejscowy wiatr, nazywany „Santa Ana”, wiejący ze wschodu, usiłuje jeszcze w ostatniej chwili nas odepchnąć. Kiwając się, płyniemy naprzód. Teraz jest okres przyboru wód.

Na przestrzeni dwudziestu dwóch mil mamy po stronie bakburty<sup>280</sup> brzeg Santa Catalina, wyspy gumy do żucia. Jest to sławna wyspa, mieści się na niej teatr i kino, ptaszarnia ze złocistymi pawiami, srebrzystymi łabędziami i ogród podmorski, nad którym pływają statki ze szklanym dnem, tak że można obserwować florę i faunę morza. Wszystkich tych zbytków nie było, gdy wylądowali tu hiszpańscy żeglarze i poświęcili wyspę św. Katarzynie.

Obecnie nie należy ona do świętej, należy do Mr. Wrigleya, fabrykanta gumy do żucia, który nabył wyspę za jeden czy dwa miliony, aby posiadać państwo i być władcą. Wynaleziono i wszczepiono ludzkości nowy nałóg. Zęby i szczęki Amerykan i tych, którzy chcą za nich uchodzić, zostały wprowadzone w niepowstrzymany ruch, na skutek czego król gumy do żucia zdobył prawdziwe królestwo, wielką wyspę wyłącznie dla siebie.

Mr. Wrigley rozważał jak marzycielski rosyjski handlarz skórek zajęczych: gdybym został carem, byłbym czymś więcej niż car, gdyż mógłbym poza tym chodzić po domach ze skórkami zajęczymi! W ten sposób Mr. Wrigley udostępnił swoje spokojne, prywatne i samotne państwo każdemu płacącemu za to gościowi jako publiczne miejsce rozrywki. Santa Catalina di Chewing Gum!<sup>281</sup>

Mijamy podobne przedsiębiorstwo, zanim dosiegamy latarni morskiej Fermin Point, południowego cypla Los Angeles. Stary, pomalowany na cytrynowożółto okręt stoi od lat na kotwicy pośrodku morza. Przed dziesięciu laty nikt nie dałby za tego grata pięciuset dolarów, obecnie zaś przynosi on swym właścicielom więcej niż najwspanialszy statek pasażerski. Stał się on jaskinią gry w ruletkę, bakarata<sup>282</sup> i pokera, nocnym lokalem z damami, jazz-bandem i tańcami, wyszynkiem ze szkocką whisky, niemieckim i francuskim koniakiem. Regularna komunikacja łodziami przynosi co wieczór gości z Los Angeles. Purytanizm i prohibicja nie mogą nic zrobić występniemu okrętowi, gdyż jest zakotwiczony — właściwie tylko pięć kroków — poza granicą brzegową. Adres handlowy: 35,35° szerokości północnej, 118,15° długości zachodniej. Na pokład przybywa pilot i doprowadza nas do portu. Zielono i złociście lśnią pagórki, zielono i złociście. Pynie za Long Beach, na horyzoncie widać wieże wiertnicze Signal Hill, osławionego wielkim

<sup>277</sup>Tijuana — duże miasto w płn.-zach. Meksyku, w stanie Kalifornia Dolna, leżące przy granicy z USA, w pobliżu wybrzeża Pacyfiku. [przypis edytorski]

<sup>278</sup>Zeiss, właśc. Carl Zeiss AG — niemieckie przedsiębiorstwo zajmujące się produkcją sprzętu optycznego, zał. w 1846 w Jenie przez rzemieślnika Carla Zeissa. [przypis edytorski]

<sup>279</sup>50 stopni Fahrenheita — w skali pomiaru temperatury używanej w Skanach Zjednoczonych, co odpowiada 10 stopniom Celsjusza. [przypis edytorski]

<sup>280</sup>bakburta (żegl.) — lewa burta statku. [przypis edytorski]

<sup>281</sup>Santa Catalina di Chewing Gum! (hiszp. i ang.) — Święta Katarzyna od Gummy do Żucia. [przypis edytorski]

<sup>282</sup>bakarata — hazardowa gra w karty. [przypis edytorski]

Interes

Alkohol, Interes, Państwo,  
Prawo



skandalem naftowym. Prawie wszystko w porcie jest nas usługi nafcie: statki i wagony-cysterny, przewody zbiorników, węże, zwisające jak jelita ze statków, rafinerie i zbiorniki rozsiane na wszystkich wzgórzach, spichlerze, na których płaskich dachach siedzą setki tysięcy mew — wszystko ma czerwono-żółte napisy: „Shell”, „Standard Oil Company”, „General Petroleum Corporation” czy też „Pan American Oil Co”.

Co nie jest składem nafty, jest składem drzewa — olbrzymie lasy Kalifornii leżą na prawo, na lewo naszej drogi, zwalone i pocięte na deski, fabryki kreozotu<sup>283</sup> łączą oba te produkty portu San Pedro, tutaj konserwuje się drzewo przetworem naftowym.

Zarzucamy liny i przybijamy do nabrzeża 158. Robotnicy, którzy wylądowują statek, nie są już Niemcami i Włochami jak w Nowym Jorku, ani Polakami, jak w Maryland, ani marynarzami, jak w Południowej Wirginii i Florydzie, ani Indianami, jak w Kana- le Panamskim, lecz bogatymi Meksykanami o gładkich włosach (Amerykanami nie są w żadnym przypadku).

Na pokładzie zjawiają się trzej urzędnicy portowi i wystawiają świadectwa kończą- cym swą służbę marynarzom. Ja otrzymuję do rąk ostemplowane amerykańskim orłem „Certificate of Discharge”, w którym U. S. Shipping Commisioner i kapitan podpisem swym stwierdzają, że marynarz E. E. K. został zwolniony według przepisów i jego cha- rakter, zarówno jak i zdolności są *very good*. Lecz nie bez uczucia dumy chowa marynarz do kieszeni podobne zaświadczenie.

Jestem gotów. Kładę swoje cywilne ubranie, kołnierzyk, krawat i kapelusz, pakuję swoje rzeczy (których liczba nie przekracza siedmiu). Mostek jest już przerzucony na przystań — stoi na nim Dave Dunge z pałką w ręku.

Udaję się do kabiny pierwszego mata.

— Chce pan mnie teraz fotografować?

— *All right*.

Dave'a Dunge'a zdejmuję lęk, gdy widzi mnie z przełożonym.

— Jestem przesądny, mat — mówię do mego towarzysza — spluwam zawsze w dło- nie, zanim zrobię zdjęcie, wtedy fotografia się udaje.

Dave Dunge weźmie to z pewnością za groźbę.

Obracając w tył głowę, z ręką na pochwie rewolweru, schodzę z S. S. „Hannawah” w dół na nabrzeże 158. Nic się nie staje.

Dopiero, gdy znajduję się na dole, Dave Dunge wykrzykuje mi najgorsze amerykań- skie przekleństwo, aby mnie zhańbić: „... *yourself, ye son of a bitch*”<sup>284</sup>.

Marynarze stojący obok niego śmieją się. Wołam w górę: „*I don't need to do it. I have your girl for that*”. — „Nie potrzebuję. Na to mam twoją dziewczynę!”

Spluwa za mną.

Z twardej rzeczywistości udaję się teraz do Hollywood.

## LENIWY CZARODZIEJ

### I. Dzikie Zachód

Byliśmy już raz tutaj. Dawno, dawno temu. Z Karolem Mayem<sup>285</sup> wędrowaliśmy po Kalifornii. Mieliliśmy ratować Allana Marshalla, poszukiwacza złota, przeciwko któremu dwaj łotrzy, Morganowie, ojciec i syn, uplanowali mord rabunkowy. Z nami byli oprócz Old Shatterhanda i jego czerwonego brata, Winnetou, jeszcze Bernard Sansear, który zawsze mówił „na przykład” i dodawał „hi, hi, hi”, i Murzyn Bob.

Tutaj w pobliżu Cahunga Passes zarzuciliśmy lasso na bizona, zarżnęliśmy go, Bernard Marshall został za to schwytyany na lasso przez gaucho<sup>286</sup> z pobliskiej hacjendy<sup>287</sup>, rzucony

<sup>283</sup>kreozot — substancja dezynfekująca pozyskiwana ze smoly z drewna. [przypis edytorski]

<sup>284</sup>... *yourself, ye son of a bitch* (ang.) — ...się, sukinsynu (ciężkie przekleństwo). [przypis edytorski]

<sup>285</sup>May, Karol (1842–1912) — powieściopisarz niemiecki; znany głównie z popularnych powieści przygodo- wych z akcją toczącą się na Dzikim Zachodzie, których głównymi bohaterami są Old Shatterhand oraz jego przyjaciel, syn wodza Apaczów, Winnetou. [przypis edytorski]

<sup>286</sup>gaucho (port.) — południowoamerykański pasterz była, odpowiednik północnoamerykańskiego kowboja. [przypis edytorski]

<sup>287</sup>hacjenda — w Hiszpanii i Ameryce Łacińskiej: wiejska posiadłość a. duże gospodarstwo rolno-hodowlane (plantacja); tu: odpowiednik północnoamerykańskiego rancza; także: dom, zabudowania należące do posiadłości wiejskiej. [przypis edytorski]

na ziemię i byłby na pewno przy tym uśmiercony, gdyby na przykład Old Shatterhand nie zabił swoją srebrną strzelbą mustanga kowboja i nie uwolnił brata Marshalla, hi, hi, hi.

Spotkaliśmy także czerwonoskórych, Szoszonów, Indian znanych jako Węże, na wojennym szlaku, ale to nie byli cuchnący Kojotowie ani Komancze, tylko chwaccy czerwoni mężczyźni, przyjaciele Apaczów, jak nam objaśnił Winnetou, a zatem także i nasi przyjaciele. To wszystko może jeszcze dziś przytrafić się z nami, jeżeli wyjedziemy na ścieżkę Cahunga, na przykład tramwajem, hi, hi, hi, do filmowego atelier Universal. Tam znajdujemy prerie i szereg blokhauzów z magazynem, w którym za pełną garść nuggetów możemy kupić mokasyny, siodło i amunicję.

Hollywood kręci sto pięćdziesiąt do dwustu *western pictures*, tzn. filmów z Dzikiego Zachodu, w ciągu roku i potrzebuje do tego celu ulicy, która przynajmniej raz nie jest kulisami, tylko rzeczywistością. W rzeczy samej, jeśli się potrzebuje tego koniecznego miejsca do innego celu, wtedy oblicza się, że następny western będzie można sfilmować w obcym atelier za opłatą stu dolarów, a Western Street będzie mogła być usunięta.

Jak można Western Street najoszczędniej usunąć? Jeżeli się ją spali. A w jaki sposób najbardziej się opłaci pożar Western Street? Jeżeli się przy tej sposobności nakręci *western pictures*.

W każdym przeciętnym mieście Ameryki pokazuje się przed głównym filmem albo *collegian picture*, albo *western picture*, które dochodzą do Europy jedynie w karykaturze wielkiego komika filmowego. *Collegian picture* ma zawsze ten sam temat: niezgrabny student, wyśmiewany przez kolegów, wzgardzony przez ukochaną, bierze w ostatniej chwili udział w zawodach i zdobywa dla swych ludzi zwycięstwo, a dla siebie sławę i *girl*.

*Western pictures* są nieco bogatsze w treść, gdyż nie mają wciąż jednej i tej samej akcji, ale dają przynajmniej dwie, zupełnie odrębne akcje, hi, hi, hi!

Albo: szlachetny kowboj kocha piękną córkę farmera, która zostaje porwana przez *heavy*, łotra kowboja.

Lub też: szlachetny kowboj kocha piękną córkę farmera, ale jej ojciec chce ją bezwarunkowo oddać *heavy* z miasta, który go kiedyś na podstawie hipoteki wypędzi z domu i dworu albo ludzi i bydło w ranczu pozbawi wody.

W obydwóch przypadkach zwycięża, zresztą i w życiu przeważnie tak się dzieje, szlachetny kowboj, tak samo jak i niezgrabny student, w końcu osiąga nagrodę i co wieczór wesoło zaintrygowana publiczność wyje z radości, oczarowana.

W prawie każdym z tych filmów jest nowy odtwórca bohatera. Co roku odbywają się w jednym z miast Arizony zawody kowbojów, rodeo, ujeżdżanie dzikich mustangów, chwytanie bawołów, rzucanie lassem, sztuki jeźdźców; zwycięzca zostaje zaangażowany przez jakieś towarzystwo filmowe jako *cowboy star*<sup>288</sup>, i tak pastuch krów dostaje się do jakiejś willi w Beverly Hills albo do bungalowu w Maliboo Beach i rozdaje na przykład autografy, hi, hi, hi. Tom Mix dostał się w ten sposób z hacjendy do atelier i osiągnął trzy tysiące dolarów tygodniowej pensji, ale teraz jest bez *engagement*. Hoot Gibson i Ken Maynard zaćmili jego sławę, tak samo Fred Thompson.

Ten był prawdziwym kowbojem, gdyż zmarł, zaledwie dostał się ze świeżego powietrza w światło jupiterów, a jego rumak Silver Kuing stoi bez zajęcia w atelier „Famous Players”, zrzucając wszystkich kowbojów, wszystkich zwycięzców rodea, odpierając uparcie wszelkie zachęcanie go przy pomocy cukru i żłobu — jedyny charakter w Hollywood.

Rumaki innych jeźdźców mają również niewiele roboty. Podczas miłosnych scen z córką farmera pasą się przed domem, w trzecim *reel* (*western pictures* mają tylko trzy akty) pozwalają, żeby na ich końskim grzbiecie trząśł się *heavy* z porwaną dziewczyną, względnie szlachetny kowboj, chcąc tamtego dogonić. To są wielkie zdjęcia.

Ale podczas tego pościgu goniący nie siedzi więcej na koniu, chociaż na przykład cała Ameryka tak myśli, hi, hi hi. Siedzi on wygodnie na siodle, umocowanym na aucie operatora i kołującym się na biegunach.

Kowboj trzyma cugle w ręku, chociaż żadnego konia koło auta nie ma, tylko kawałek grzywy końskiej — peruka konia! Tak pędzi po asfaltowanej ulicy odważnie przez pustkowie. Kamera jest w ten sposób skierowana na niego, że ścigany jeździec wraz ze

<sup>288</sup>*cowboy star* (ang.) — kowbojska gwiazda. [przypis edytorski]

swoją trocinową lalką widnieją na obrazie w dalekiej perspektywie. Coraz mniejsza jest odległość, lalka nie jest już lalką, tylko *double*, osobą zastępującą główną odtwórczynią, a w końcu nawet samą odtwórczynią. Szlachetny porywa ją z konia złoczyńcy na swoje, obok auta umocowane siodło, pod którym znajduje się na przykład sofa, ażeby wszystko było wygodnie i nic nie mogło się przytrafić, hi, hi, hi.

Zdjęciami trzech aktów kieruje początkujący reżyser i trwają one zaledwie trzy dni. Gdyż wszystko, co nie jest wielkim zdjęciem, na przykład: pościg z szeryfem, pęd mustanga, walka na brzegu, hi, hi, hi — to wszystko, wiele tysięcy metrów, jest wzięte z dawniejszych *western pictures*.

Należy to tylko wybrać, a gdzieby się nie wpakowało — wszędzie jest ciekawe.

Publiczność nie spostrzega, że widzi tę samą akcję z tymi samymi obrazami, jeżeli tylko kowboj jest nowym kowbojem, bohaterem wszystkich starych i młodych. Podobnie jak z polityką i sportem, tak samo jest w Ameryce z kowbojem: zapomniana generacja sama stworzyła z szaleńczej odwagi lub romantyzmu te arcydzieła konnej jazdy, następna zachwycała się tylko, czytając przy tym książki o Buffalo Billu<sup>289</sup>, trzecia nie zadała sobie nawet trudu czytania, tylko siedzi, żując gumę, w krześle bujającym i spogląda coraz innym okiem na za każdym razem świeżo rozwodniony kicz, wciąż na nowo, hi, hi, hi.

## II. Dobra, szlachetna perspektywa

Patrzcie no, na stare lata zaczyna robić kawały.

Istniała wiele tysięcy lat i trzeba było się liczyć z jej egzystencją, często uważało się ją za komiczną, często, że jest miłutką, ale za pożyteczną, nie, za pożyteczną nikt jej nie uważał.

Ona sama, ogarnięta żądzą uciech i pędem do opanowania czasu, wstąpiła do filmu i z początku była używana jako komiczna staruszka. Ale teraz, po latach, została uznana za główną osobę, słyszy się, jak budowniczy filmowi ją przeklinają, gdyż nie ma więcej olbrzymich budowli, słyszy się, jak artyści ją przeklinają, gdyż nie ma więcej podróży dla dokonania zdjęć w naturze, słyszy się, jak dyrektorzy filmowi ją błogosławią, gdyż zaoszczędza miliony wydatków.

W każdym studio w Hollywood są dla niej wzniesione dwie świątynie, które się ciągle powiększają przez przybudówki: fabryka miniatur i Trick Department<sup>290</sup>.

Przed pracującym aparatem filmowym stoi na wysokim wzniesieniu nędzny model kopuły kościelnej, górnego piętra domu wraz z dachem, pionowy przekrój całej ulicy. I wielkie budowle, w których poruszają się aktorzy, kończą się tuż nad ich głową, wszystko jest niewiele wzniesione nad ziemię, gdyż model przysunięty blisko do kamery działa podobnie jak prostopadłe przedłużenie rzeczywistości.

W składzie z miniaturami dowiadujemy się zdziwieni, że kilkaset ustawionych na stole armat i tanków było armatami i tankami, z którymi armie wojny światowej, statyści filmu *Rywale* (*What's prize glory*), szły w pole. Aeroplany, francuskie i ozdobione żelaznym krzyżem, wiszą na drutach jak skromna zabawka dziecięca, te same, które widzieliśmy potężnie walczące nad kolumnami wojsk. I to zrobiła perspektywa.

Okręcik, który chętnie przynieśliśmy małemu Piotrusiowi — zmieściłby się akurat w naszym kufrze — miliony bywalców kinowych obserwują z dreszczem trwogi podczas zderzenia z górą lodową, kiedy ginie w morzu z żywymi ludźmi, kobietami, dziećmi, marynarzami i starcami, z rzeczywistymi artystami i statystami, którzy stoją na ich szczęście nie na statku, lecz tak daleko z tyłu, aż jego wielkość odpowiadać będzie ich rozmiarom.

Olbrzymie koło w Praterze z *Karuzeli życia* (*Merry go round*), które obracało się w głębi jak jakiś gigantyczny niebiański zegar, przedstawia się z bliska jako mające dwadzieścia centymetrów średnicy, i to jest całe koło przeznaczenia.

Temu filigranowemu pociągowi dawali ludzie znaki we *Wschodzie słońca*. Peron z artystami był oddalony od kamery, aby utrzymać odpowiedni stosunek rozmiarów.

A to, co ustawione jest na półkach na ścianie: wozy strażackie, auta, pompy dla studzien artezyjskich, drzewa, słupy telegraficzne, kotły okrętowe, wiatraki, dom kata oraz

<sup>289</sup> *Buffalo Bill*, właśc. *William Frederick Cody* (1846–1917) — myśliwy, zwiadowca armii amerykańskiej, organizator i aktor widowisk rozrywkowych przedstawiających wydarzenia z historii amerykańskiego Dzikiego Zachodu. [przypis edytorski]

<sup>290</sup> *Trick Department* (ang.) — Dział Sztuczek. [przypis edytorski]

inne budynki (niektóre uszkodzone przez pożar, który buchał ze wszystkich ich okien i widocznie strawił dach) — ho, ho! Piotruś miałby się czym bawić, bez tylnego planu, bez perspektywy i z nieco większą fantazją, niż to czyni film.

Nie tylko ta fabryka zabawek w atelier istnieje po to, aby oszukać bywalca kinowego za jego pieniądze, ale i taśma filmowa dopuszcza się teraz oszustw, o rozmiarze których nasi przodkowie nie mieli pojęcia.

Jakaś para kochanków gra swoją scenę na wygodnej płycie kamiennej. Wszechobecny operator kręci, ale w ten sposób, że zdejmuje tę scenę tylko na jednej szóstej powierzchni. Resztę przykrywa tak, że pięć szóstych pozostaje niewyświetlone. Malarz atelier trików dodaje teraz tylny albo przedni plan, który, nawet jeśli nie jest powiększoną fotografią, zwie się *enlargement*<sup>291</sup>. I co się stało z tej spokojnej sceny! Na zawrotnej wysokości sterczy głaz ponad odłamami skał. Jeden jedyny ruch w tej jednej szóstej — i kochankowie zostają zmiażdżeni. Między nimi zieje teraz wąska, lecz głęboka szczelina. Trzy szóste zdjęcia zajmuje ten przejmujący zgrozą, niebezpieczny krajobraz, gdy taśma — nagrana już jedna szósta i jeszcze dwie przykryte szóste części — zostaje odwinęta z *enlargement*.

Kręci się po raz trzeci, ale bez aktorów. Z magazynu przynosi się stare zdjęcia błyskawic i chmur, i na pozostałych dwóch szóstych obrazka kłębią się i srożą nad głową zakochanych kosmiczne niebezpieczeństwa. Przy tej *double exposure*<sup>292</sup> mogą na jednym zdjęciu filmowym być nagrane dwie lub nawet trzy równoległe sceny. Ruch uliczny w dole, zawierucha śnieżna wysoko w górach, scena miłosna przed bramą domu, z okien trzech pięter wyglądają ludzie, a na skraju dachu walczy w śmiertelnym zmaganiu się detektyw z mordercą. Palić nie wolno jednak żadnemu artyście, gdyż w przeciwnym razie dym papierosów zostałby nagle ostro odcięty.

Gdy prócz *enlargement* musi być jeszcze zaznaczona akcja, olbrzymie koła, życie uliczne lub jazda pociągiem, to to wszystko, namalowane na szkłe, ustawia się przed miniaturami. Wszystko porusza się bez szmeru, nie ma przy tym zdjęciu reżysera, nikt nie krzyczy przez megafon, maszyny do pisania nie wystukują protokołu zdjęć, nie podnoszą się i nie opuszczają ciężkie reflektory i nie woła się wciąż z powrotem artystów i statystów.

Martwa cisza panuje podczas zdjęcia *double print* i *double exposure*, gdzie wijącą się taśmę wypełnia się akcją, nie ma przy tym nikogo poza tą, która stała się władczynią, wszystkim rządzi i wszystko rozstrzyga: dobra, szacowna perspektywa.

## OSOBOWOŚĆ WYTWORZONA PRZY BIEGĄCEJ WSTĘDZE

Jasne, że Mr. Sears posiada drukowaną biografię, gdyż zrobił wielki interes, będąc przy tym Wspaniałym, Godnym naśladowania.

Słuchajmy, jak zbudził się geniusz w Mr. Searsie: „W roku 1886 był urzędnikiem kolejowym w North Redwood, Minnesota, gdzie kursują dwa pociągi na dobę. Pewnego dnia miał odesłać paczkę zegarków, która nie została przyjęta przez adresata, miejscowego kupca. Sears rozsprzedał zegarki między swymi znajomymi, a że żądali oni więcej, niż było w paczce, wpadł na śmiałą myśl, aby przy płaceniu za pierwszą przesyłkę natychmiast zamówić drugą...”

Przesiedlił się potem do Chicago, wziął za wspólnika zegarmistrza, Mr. Roebucka (ten zadziwiający nr 2) i po krótkim pobycie w Minneapolis powrócił znów do Chicago. „Sears, Roebuck & Co” wysyłali nie tylko zegarki, lecz w ogóle wszystko.

Teraz firma ma osiem milionów klientów, wiele filii, 32 000 urzędników i nie zadowala się bynajmniej zapytywaniem fabrykantów o cenę towaru i dodawaniem do każdej sztuki porta<sup>293</sup>, lecz utrzymuje warsztaty, własny dworzec, własny urząd pocztowy, własny bank — oczywiście, jest towarzystwem akcyjnym z generałem jako prezesem.

Tajemnicą powodzenia jest — poza biernością prowincji amerykańskiej i stuprocentowym instynktem stadnym wszystkich krewnych Wuja Sama<sup>294</sup> — katalog. Trzeba to omówić bliżej.

<sup>291</sup>*enlargement* (ang.) — powiększenie. [przypis edytorski]

<sup>292</sup>*double exposure* (ang.) — podwójna ekspozycja. [przypis edytorski]

<sup>293</sup>*porto* (z wł.) — opłata za przesyłkę. [przypis edytorski]

<sup>294</sup>*Wuj Sam* (ang. *Uncle Sam*) — narodowa personifikacja Stanów Zjednoczonych; przedstawiany najczęściej jako srogi, starszy mężczyzna z siwymi włosami i bródką, w ubraniu o barwach i elementach zaczerpniętych z flagi amerykańskiej. [przypis edytorski]

Jest to chyba najbardziej rozpowszechniona książka wszystkich stuleci. Corocznie ukazuje się dwukrotnie w nakładach dziesięciomilionowych. Chociaż tekst i klisze ulegają tylko nieznacznym zmianom, masowy nakład udostępnia cenę papieru, maszyna oprawia 1500 egzemplarzy na godzinę, wysyłka następuje zaś jako druk — katalog kosztuje firmę dolara.

Gruba książka, marzenie małomieszczanina. Opowiadają, że pewien mężczyzna, który w Sears-Roebuck obstał dwanaście rolek papieru toaletowego, został zapytany, czy żąda nr 1160, czy 1161 z katalogu. „Gdybym miał wasz katalog — odpowiedział — nie potrzebowałbym przecież robić mego zamówienia”.

Tysiąc stron papieru katalogowego są przesyłane gratis i franko<sup>295</sup>. Franko rozumie się zresztą samo przez się, u Sears i Roebucka wszystko jest franko, porto jest zawsze włączone do cen towarów. Klient winien jedynie na dołączonej do katalogu karcie zamówienia wypełnić numer żadanego towaru i włożyć czek do załączonej również koperty. (Niektórzy wkładają banknoty lub znaczki pocztowe).

W przeciągu dwudziestu czterech godzin nadchodzi towar. Pierwszym etapem jest urząd pocztowy nadchodzących listów. Zostają one zważone, aby ocenić przybliżoną liczbę pakietów, które mają być tego dnia wysłane. Czterdzieści kart idzie na funt.

Oczywiście nie wiadomo jeszcze, czy w liście żąda się siedmiopokojowego domu w stylu kolonialnym (nr C 3255), czy fiaszeczki atramentu (3 R 3452), czy załączony czek opiewa na 6000 dolarów czy na 27 centów.

No, ale to prędko się wyjaśnia. Obok wagi pracuje otwieracz listów, który swymi elektrycznymi nożycami rozcina 4600 kopert na minutę. Obok siedzą dziewczęta z ramionami sprawniejszymi niż elektryczne. W przeciągu minuty każda opróżnia 400 kopert, rzuca lewą ręką pieniądze lub czek na biegnącą po lewej stronie wstęgę, notuje prawą ręką załączoną należność na karcie zamówień i rzuca ją na wstęgę biegnącą po stronie prawej. W ciągu 17 minut zostaje załatwionych dwadzieścia koszy pocztowych z zamówieniami.

Pieniądze pędzą ze zrozumiałym pośpiechem do okratowanej części sali, zamówienia do pomieszczeń manipulacyjnych, gdzie zostają ponumerowane i skopiowane. Stamtąd zawiadamia się pocztą rurową odpowiedni skład towarów, jaki ostateczny pakiet ma wysłać do adresata. Odważnik 20-kilowy tworzy jedną paczkę z kapeluszem damskim, bandaż rupturowy z parą obrączek ślubnych.

W międzyczasie karty zostały ułożone według urzędów pocztowych miejsc przeznaczonych. Na podstawie rozkładu jazdy oznacza się, co ma być wysłane najpierw, z dokładnością do minuty. 58 wagonów towarowych czeka na dworcu firmy, 160 samochodów ciężarowych w garażu.

Zamówienia trafiają jeszcze do trzeciego działu w innym miejscu domu: sprawdza się w kartotece, czy figuruje już w niej nazwisko i adres zamawiającego. Jeśli nie, musi to szybko nastąpić, gdyż od następnego dnia będzie on miał prawo dożywotniego otrzymywania katalogu.

USA nie posiada urzędów meldunkowych, gdzie możemy się dowiedzieć adresu obywatela, który zmienił miejsce zamieszkania lub znikł bez wieści. Ale Sears, Roebuck & Co posiadają skorowidz nazwisk narodu.

Jak to, i tutaj nie znaleźliśmy tego, kogo szukamy? Czyż stał się nędzarzem lub umarł? W przeciwnym razie jest to przecież niemożliwe, by nigdy nie zamówił książek: *Czerwony Popiół* (katalog nr 3R 526) albo *Rebecca of Sunnybroke Farm* (5R 742), ba, nawet *Kobiety, której sobie życzyłem* (5 R 947)

Gdyby nie zmarł lub nie zbiedniał, z pewnością sprowadziłby sobie oleodruk *Stara Wenecja* (8 R 5714) lub *Brama ogrodowa* (8R 5716), lub *Samotny wilk w śniegu* (8R 5712), („*this popular picture is still the best seller, noted for simplicity and depth of coloring*”<sup>296</sup>).

Gdyby żył jeszcze, w żadnym razie nie mógł być tak zakamieniały, by mieszkać w pokojku, którego nie zdobi jeden z wydrukowanych i oprawionych wierszy (nr 8R 5761 do 5772). Cennik poleca je z zupełną słusznością w ten sposób: „każdy dom ma kąt lub

<sup>295</sup>franko, właśc. porto-franko (z wł.) — bez opłacania kosztów pocztowych przesyłki przez odbiorcę. [przypis edytorski]

<sup>296</sup>*this popular picture is still the best seller, noted for simplicity and depth of coloring* (ang.) — ten popularny obraz jest nadal bestsellerem słynnym z prostoty i głębi kolorystyki. [przypis edytorski]

ścianę dla jednej z tych ogólnie znanych sentencji. Wiersze o matce, ukochanej, ukochanym (któż mógłby nie być *sweetheart*? — uwaga autora) lub o przyjaźni są troskliwie wybrane i doskonale nadają się do wyrażeniażądanego uczucia. Ładne ramy zdobią każdy obrazek”.

I tego nie otrzymał. Umarł zatem. Nie, nie umarł. Musiałby przecież zostać obstalowany dla niego nagrobek. Pozostaje nam jeszcze nadzieja; mógł to kupić w Montgomery, Ward & Co, w drugim domu wysyłkowym. Lecz jeśli i tam nam zakomunikowano, że nie należy do otrzymujących katalogi, wtedy jest bezapelacyjnie stracony.

Wtedy każe swój dom budować budowniczemu, a nie sprowadza go z domu wysyłkowego, wtedy kupuje sobie książki u księgarzy, a obrazy u kupca obrazów... wtedy stał się więc bolszewikiem, jednym z tych czczych, ujednoczonych ludzi, wtedy przestał być wolnym Amerykaninem, indywidualistą, jak wszyscy inni o podobnej osobowości.

Nie chcemy już nic o nim wiedzieć, a gdy umrze, nie zamówimy mu wieńca nieśmiertelników (3 C 127) dla jego okratowanego grobowca (9 J 2928).

## POMOCY! DZIAŁKI GRUNTOWE OSZALAŁY!

To jest najbardziej zadziwiające, niespodziewane, nieprzygotowani jesteśmy, ponieważ to przytłacza.

A jednak: czyż to nie pokrywa się najprędzej z pojęciem „Ameryki”, któreśmy sobie po dziecięcemu wytworzyli, czytając o preriach i Sierra Nevada, i Grand Canyon, i Colorado, o Indianach, kopaczach złota i traperach?

Gorączka, szal, przygody, dzicz, polowanie stają przed nami...

Gdzie? Na dobrze wybrukowanych, pełnych przejeżdżających pojazdów ulicach cywilizowanego miasta Los Angeles w Kalifornii.

Przed każdą bramą na Main Street stoi starsza dama albo elegancko ubrany pan, który bawi się ołówkiem. Trzymają w ręku stos kartek i kiwają, mówią, wołają, krzyczą do wszystkich wyglądających od biedy na zasługujących na udzielenie kredytu przechodniów, ażeby wzięli od nich kartkę.

Do czego zobowiązuje to tak natrętnie wyproszone przyjęcie kartki? Nie zobowiązuje do niczego, upoważnia, upoważnia do całodziennej bezpłatnej wycieczki w cudowne, dzikie strony Kalifornii z srebrnymi, złotymi, diamentowymi, rajskimi, riwierowymi, śródziemnomorskimi i weneckimi nazwami.

I do czego zobowiązuje udział w tej bezpłatnej, romantycznej podróży w autobusach, które stoją przygotowane na rogach ulicy? Nie zobowiązuje on do niczego, upoważnia do zjedzenia dobrego obiadu, dobrej kolacji i do wysłuchania odczytów.

Wszystko to jest propagandą dla jakiegoś kawałka ziemi, nabytego przez „podparcelatorów”, którego parcele, *lots*, chcą sprzedawać tylko pojedynczo. Wiele zrobili, aby przedstawić tę ziemię jako miasto, bądź jako *town*, do czego potrzebna jest kanalizacja, oświetlenie i podział ulic, bądź jako *city* z wodociągami, bądź nawet jako *county*.

Spekulanci wybrali *aldermana* albo radę miejską, ukonstytuowaną z *mayorem* na czele; osadzili naturalnie na tym gruncie dziesięć rodzin bez otrzymania zwierzchniczego pozwolenia na ustanowienie miejsca; przydzielili przyszłe wielkie miasto na okręgi; w tym okręgu będzie prowadzony handel, w tamtym zakwitnie przemysł, w owym każdy w swoim mieszkaniu będzie szczęśliwy, tam będą rozgrywane międzynarodowe mistrzostwa piłki nożnej, tutaj będzie stał wspaniały gmach opery, a tam będzie się można kazać pogrzebać.

Wszystko jest na miejscu, ulice są asfaltowane i mają tabliczki uliczne, wznoszą się elektryczne świateczniki, kamienie ograniczają posiadłość — brakuje tylko domów.

Wznosi się już jedyny dom, farma, na której będzie się hodować kury. Jednocześnie służy on jako Tract Office, otrzymuje się w nim wiadomości albo grunty, i tutaj zatrzymuje się także omawiany autobus, ażeby jego pasażerowie mogli dostać obiad wraz z wychwalającym odczytem.

Bieg jak przez różgi przez gęsty, bez przerw szpaler pośredników i werbowanie przez wycieczki na wieś — jest to tylko drobna część propagandy gruntowej, która Bogu ducha winnego odwiedzającego Los Angeles atakuje z niesłychaną gwałtownością. „Podparcelatorzy” utrzymują w mieście ogromne sklepy, na wystawach których pływają ryby, mały

Interes

Miasto, Interes, Handel

pokazują swoje akrobatyczne sztuki, bujają się złociste bażanty, mrówkojady zdają się szukać wyjścia przez szklaną szybę, bobry w kole próbują biec naprzód, bez żadnego jednak skutku, gdyż koło kręci się i one same pozostają ciągle na tym samym miejscu... Wewnątrz sklepu: plastyczne karty jutrzejszego miasta, na ścianach wiszą plany terytorium, tabele cen akra<sup>297</sup>, plakaty z wiadomościami głoszą: „Sprzedajemy ten raj jak nietkniętą pustynię”, albo „Nie prześpijcie znowu okazji! Teraz jest czas na nią!”.

Zamieszanie wprowadza radio. W Ameryce stacje nadawcze (tak samo jak telegraf i kolej żelazna) należą do prywatnych firm, słuchający nie płaci nic za słuchanie. Mówione ogłoszenia przekształcają *broadcasting* w zyskowne przedsiębiorstwo, i wszędzie słyszy się pomiędzy ustępami symfonii, jak zachwala przedmioty codziennego użytku, od papierosów do odkurzaczy.

Tylko w Kalifornii nie ma na to prawie wcale miejsca. Czterdzieści procent reklam wydzierżawił przemysł automobilowy i czterdzieści procent spekulacja ziemską. A więc przez godzinę zachęca się do tego kraju przyszłości, jest on odmalowywany, dopóki eter się poddaje. Karalne jest wprawdzie kłamstwo w prywatnym liście (nadużycie poczty, a więc państwowej instytucji), ale bezkarnie można kłamać przez radio, wprowadzając w błąd i oszukując miliony ludzi. Z tego amerykańskiego prawa pośrednictwo realności<sup>298</sup> południowego zachodu robi tego rodzaju rozpowszechnione użycie, że w Kalifornii rozpoczął się prąd żądający wprowadzenia prawa karzącego rozpowszechnianie fałszywych wiadomości przez radio.

To wszystko, ten cały wir stwarzają udziałowcy przedsiębiorstwa — właściciele gruntów. Ale agentury, które poszukują osobistego kontaktu z kupującym i mają procenty tylko z udziału w interesie, robią jeszcze wiele, znacznie więcej.

Kalifornia sama ma 62 tysiące urzędowo uznanych maklerów, z których znowu wielu ma jeszcze liczny personel.

Mieszkają oni w nędznych bungalowach i we wspaniałych narożnych sklepach; oznajmniają, że przeprowadzają kupno, sprzedaż, wynajmowanie, dzierżawę, pożyczki, inwestycje, hipoteki, wpisy, zawiadomienia, dozorowanie, odnawianie, sprawy podatkowe i kontrolę dodatków do pensji; czarno na białym pokazują oni, jakie mają do sprzedania domy murowane, drewniane i niezabudowane przestrzenie; City Hall i Hall of Records są osobliwościami godnymi widzenia w Los Angeles, tam cisną się tłumy posiadaczy ziemskich po księgi gruntowe; nie można porozmawiać z człowiekiem, żeby nie dowiedzieć się o jakiejś parceli; jeśli nie należy on sam do *real estate business*<sup>299</sup>, to należą tam przynajmniej dwie jego siostry albo dwóch jego krewnych.

Pojechać z agentem do jego rewiru jest szczególnie korzystne (jeżeli nawet nie dla agenta). Czuje się on twórcą miasta, przy nim Piotr Wielki<sup>300</sup> jest małym maklerem ziemskim, kocha on swoją ojczyznę z jej cudownymi parkami i drapaczami chmur, niezależnie od najważniejszej rzeczy, że ich jeszcze nie ma. Mądrze kieruje swoim małym autem najpierw przez inne okręgi na południe Los Angeles, przez Huntington Park, Bell, Maywood i Southgate, gdzie rzeczywiście stoi już dom przy domu i rozjeżdżają uliczne pojazdy, chociaż przed pięciu, sześciu laty był to kraj ugięty, który dzisiaj kosztuje 1800 dolarów, można było kupić za 80 dolarów. Później dopiero jedzie on do swojej rezydencji.

Chociaż głucha jest i pusta — najważniejsze jest już zrobione. Istotnie najważniejsze: Chińczycy, którzy jeszcze w zeszłym roku uprawiali tu jarzyny, są przepędzeni, ha, ha! Istnieje mianowicie prawo, że dzierżawa działek gruntu przez cudzoziemców jest wzbroniona, a Chińczyk nie może być obywatelem, ha, ha! A tam, po drugiej stronie, z tamtej strony pola mieszkali Meksykanie, których takżeśmy szczęśliwie przepędzili, ha, ha!

<sup>297</sup> *akra* — anglosaska jednostka równa 0,4 hektara. [przypis edytorski]

<sup>298</sup> *realność* (daw.) — tu: posiadłość ziemska a. nieruchomości. [przypis edytorski]

<sup>299</sup> *real estate business* (ang.) — biznes nieruchomości. [przypis edytorski]

<sup>300</sup> *Piotr I Wielki* (1672–1725) — car rosyjski (od 1682) z dynastii Romanowów, cesarz (imperator) Rosji (od 1721); zintensyfikował kontakty z Zachodem; wzmacniał absolutyzm i centralizację państwa, wprowadził reformy, zastępując tradycyjne systemy społeczne i polityczne systemami wzorowanymi na państwach zachodnich; opracował doktrynę wojenną opartą na koncepcji armii ofensywnej; prowadził politykę wielkomocarstwową, dzięki podbojom poszerzył państwo, które stało się jedną z potęg europejskich; założył nową stolicę, Sankt Petersburg. [przypis edytorski]

Wiecie przecież, że tam, gdzie żyją kolorowi, nie osiedli się żaden biały, i cała okolica nie byłaby nic warta!...

Zaczyna się królestwo maklerów. Ponad ulicą powiewa transparent: „Tutaj żyj!”

Na polach wyrastają jaskrawe flagi i tablice z reklamami. Największa głosi: „Tu jest plac ratuszowy”. I strzałka wskazuje na budynek fabryczny w budowie. „Tam! Zatrudnia trzy tysiące ludzi”.

Tak. Fabryka. To jest największy aktyw i dlatego rzeczywiście powstanie tu miasto, które mały makler, siedząc w swym aucie, tworzy. Opowiada mi: „Grunt otrzymał fabrykant od towarzystwa gruntowego bezpłatnie. Do budowy nie potrzebuje on wiele, gdyż nie ma tu ani zimna, ani wiatru. Drzewo jest tanie, a prąd elektryczny będzie miał założony przez nas. To się opłaca. Robotnicy muszą się sprowadzić do domków albo wynająć sobie mieszkania. Gdzie żyją ludzie, powstają interesy i gospody — niech pan kupi, radzę panu dobrze, w ciągu roku będzie można sprzedać za podwójną cenę!”

Co za lekcja! Podwyższanie cen przez spekulantów żąda ofiary robotnika fabrycznego, który zostanie tutaj przeniesiony. Z jego komornego jest opłacona posiadłość fabryczna. Z jego płacy budują towarzystwa ziemskie i maklerzy, za jego pieniądze wznoszą się domy handlowe i gospody.

Klimat (popierany przez niepowstrzymaną propagandę) jest taki, że powoduje pęd na zachód, jak dawniej złoto, a później nafta pędziły tłumy do Kalifornii. Czy także ten ogromny interes gruntowy skończy się jak *boom*, jak manewr spekulacji z następczym olbrzymim krachem?

Dotychczas miasto staje się tym większe, im krótszą ma nazwę: karłowate Pueblo de Nuestra Señora la Reina de Los Angeles de Porciuncula<sup>301</sup> urosło w olbrzymie Los Angeles. Ale nazwy Los Angeles więcej skrócić nie można.

Oprócz masowego interesu z parcelami i budynkami mieszkalnymi istnieje jeszcze inny, jeszcze większy, który porwał płaski kraj i związał z rządowym projektem.

Thustym drukiem niech będą zaznaczone dwa słowa „*Boulder Dam*”, które już podczas wyboru prezydenta dawały sposobność do różnic między kandydatami i które się słyszało głoszone tym intensywniej, im się szło dalej na zachód.

Przyjęty przez kongres projekt, ażeby rzekę Colorado opatrzyć groblą i założyć gigantyczny rezerwuuar, stworzy z jednej strony możliwość osiedlania się w dorzeczu tej rzeki, z drugiej strony nawodnienie dalszych połaci kraju w Arizonie, Newadzie i Kalifornii, po trzecie da siłę wodną o milionie koni<sup>302</sup>. Budujący się akwedukt na Colorado zaopatrzy w wodę siedem i pół miliona ludzi z południowego zachodu.

W ten sposób czterystuletnie staranie się o zaludnienie Ameryki powinno być zakończone, Zachód w końcu zdobyty. Brzmi to jak powieść: Stań się podobny do pionierów, staraj się stać twórcą nowego pokolenia milionerów! *Take a chance!*<sup>303</sup>

Był raz w Nowym Jorku wariat, który powiedział, że skoczy do wody z Mostu Brooklińskiego, aby zrobić reklamę dla swojej gospody. Dotrzymał słowa i utopił się w East River. W ten sposób postąpił wielki południowy zachód. Szał, szął Boulder Dam ogarnął wszystkich, każdy służący, każdy *piccolo*<sup>304</sup> spekuluje.

Porównuje się ten projekt z Kanałem Panamskim i z szalem giełdowym pierwszego przedsięwzięcia panamskiego, mianowicie Lessepsa, nastrój ma rzeczywiście pewne podobieństwo. Rząd ostrzega, a przy tym zachęca: najlepsze grunty nad brzegiem rzeki Lower Colorado są zastrzeżone dla weteranów wojennych. Jakżeż więc inaczej można to nazywać, jeśli nie w ten sposób, że nowe grunty, z których niektóre parcele pozostawiono bohaterom ojczyzny, są istnym rajem! Na to „ostrzeżenie” departamentu „of Water and

Robotnik, Interes

Miasto

<sup>301</sup> *Pueblo de Nuestra Señora la Reina de Los Angeles de Porciuncula* (hiszp.) — Wioska Matki Boskiej Królowej Anielskiej z Porcjunkuli (Porcjunkula, z łac.: skrawek gruntu, to nazwa położonej pod Asyżem kaplicy pod wezwaniem Matki Bożej Anielskiej, którą w XIII w. św. Franciszek wskutek wizji odbudował własnymi rękami i przy której zapoczątkowany został ruch franciszkański). [przypis edytorski]

<sup>302</sup> *o milionie koni* — tj. o mocy miliona koni mechanicznych; koń mechaniczny (KM) to jednostka używana do określenia mocy silników spalinowych, wymyślona w XIX w. w celu porównania mocy maszyn parowych z koniem. [przypis edytorski]

<sup>303</sup> *Take a chance!* (ang.) — Skorzystaj z szansy! [przypis edytorski]

<sup>304</sup> *piccolo* (wł., dosł.: mały) — chłopak usługujący w restauracji, hotelu itp. [przypis edytorski]



Power<sup>305</sup> wybuchnął wylew spekulacji tak wysoko, że trudno będzie zbudować przeciw niemu dostatecznie wysoką i długą tamę.

## SZEŚĆ TYSIĘCY RAZY: „*Nothing in*”

Pewnego dnia dobry Bóg źle spał i przewracając się w złym humorze po łóżku, słuchał modlitw ludzi.

— Właściwie to diabelsko komiczne uczucie pozwalać się wysławiać za coś, co się stworzyło przed wieloma tysiącami lat i czego się nawet zupełnie nie pamięta!

Zadzwoił na Piotra:

— Powiedz no, co ja stworzyłem wtedy, no, wiesz już, w tym historycznym tygodniu podczas dwóch ostatnich dni?

Piotr spojrział z naganą na swego Szefa i zaczął cytować historię stworzenia: „...i Bóg pobłogosławił im i rzekł: bądźcie płodne, i niech wody wypełnią morza, niech zwierza mnoży się na ziemi, a ptactwo w powietrzu.... i stworzył Bóg człowieka na Swoje podobieństwo... I zobaczył, że to było dobre”.

— Zobaczył, zobaczył — przerwał Bóg, niezadowolony — co to znaczy: „zobaczył”. Co wtedy uważałem za dobre, mogło się stać największym łajnem. Łatwo zadowolić się zakończeniem swego pierwszego dzieła. Chciałbym znowu zobaczyć to, co ujrzałem wtedy, te rzeczy z piątego i szóstego dnia... Gdzie można to zobaczyć, ale wszystko, rozumiesz?

Piotr skinął głową, podał Panu, który wymawiając ostatnie słowa, zeszedł z chmury, letnie palto i rzekł:

— Hollywood.

W ten sposób jechał dobry Bóg krótką chwilę na dół na ziemię, a potem długą chwilę w windzie Hollywood Western Building (róg Hollywood Boulevard i Western Boulevard) z powrotem w górę. „Central Casting Corporation” widniało na mlecznym szkle drzwi, które otworzył.

Musiał długo czekać („co robiłem siódmego dnia” — wpadło mu mimo woli na myśl), ale w końcu zbliżył się do Niego mężczyzna, niezbyt reprezentacyjny („kiedy właściwie stworzyłem to słowo?” — zapytał siebie Bóg).

— Jaką pan ma specjalność?

— Jestem dobrym Bogiem — brzmiała skromna odpowiedź.

— Dobrym Bogiem? — roześmiał się mister Allan. — Pan ma chyba źle w głowie. Po pierwsze dobry Bóg jest zupełnie innym typem, a po drugie mamy dwudziestu dwóch lepszych dobrych Bogów. Nasze zapotrzebowanie na dobrego Boga jest pokryte.

Mister Allan odwrócił się, aby odejść:

— Pan nie może się tu zarejestrować.

— Nie chcę się bynajmniej rejestrować, chcę tylko zwiedzić...

— Ach, tak — rzekł Mr. Allan z lękiem i pokorą, gdyż przypuszczał ni mniej, ni więcej, tylko, że stary pan jest człowiekiem Association of Motion Pictures<sup>306</sup>, kimś z rady nadzorczej CCC.

Mógł więc Bóg przez drzwiczki w drewnianej barierze wejść do biura.

— Chciałbym zobaczyć, jaki tu macie tryb życia — zagadnął.

— Mamy tu wszystko, co się dzieje w życiu.

— Wszystko?

— Wszystko. Bez wyjątków. Proszę obejrzeć — rzekł Mr. Allan — tutaj w szafach jest kartoteka wraz z fotosami. A tutaj spis, ułożony według typów.

Na nadmiernie długim stole, którego przeznaczenie nie było dla dobrego Boga zupełnie jasne, położył folia<sup>307</sup>:

— Tutaj mieszczą się wszyscy.

Nie bez lęku — żeby powiedzieć prawdę — patrzył stary Bóg na księgę, którą pokazywał mu nowy Pan tych hufców.

<sup>305</sup>of *Water and Power* (ang.) — Wody i Energii. [przypis edytorski]

<sup>306</sup>*Association of Motion Pictures* — amerykańskie stowarzyszenie mające na celu dbanie o interesy amerykańskich studiów filmowych założone w roku 1922. [przypis edytorski]

<sup>307</sup>*folia* — księga; wielka, gruba książka. [przypis edytorski]

W niej mieściło się zatem wszystko, co pozostało z mężczyzny i kobiety, których On sam pobłogosławił kiedyś, by byli płodni i mnożyli się. Co się stało ze światem? I wszechmogący Bóg chwycił książkę.

Na pierwszych stronach widnieli panowie we frakach i panie, nadające się do wieczornych toalet, młode, stare i w średnim wieku, potem następowali Europejczycy (*Latin dress*) i Amerykanie (*American dress*), a potem, z każdej grupy po stronie, reszta świata, męska i żeńska:

Łysi. Policjanci. Jeźdźcy. Stare panny. Oficerowie (mający własny mundur z orderami). Kamerdynerzy, z bakami i gładko ogoleni. Młodzieńcy, 18-, 17-, 16-letni. Wiedźmy. Morfimiści. Długie brody. Lotnicy. Szminkujący. Olbrzymi (pospolici i elegancy). Tancerze. Chłopcy hotelowi. Akrobaci. Otyli kowboje. Karły. Świat podziemny (zbrodniarze i prostytutki). Bezzębni. Kelnerzy. Pływacy. Ekscentrycy. Blondyni. Karciarze. Długowłose kobiety. Skoczki o tyczce. Łykający szable. Niania. Kapelmistrzowie (z grzywą i zwykli). Modele do aktów. Dżokeje. Dziewczęta z ciemnymi loczkami. Muzycy. Miotacze łąs. Łyżwiarze. Gracze w golfa. Fechmistrze. Bokserzy. Atleci. Narciarze. Tenisiści. Łucznicy. Miotacze bumeranga. Toreadorzy. Ekwilibryści. Kierowcy. Rzucający dyskiem.

— Co tu tego, co tu tego — szeptał dobry Bóg, ocierając pot z czoła, ale rejestr świata był jeszcze daleki od końca, i przed jego wszechwiedzącymi oczyma wirowali dalej:

Ślepi (także dzieci). Kobiety z brodami. Garbaci. *College cheerleaders* (organizujący dopingowanie przy zawodach uniwersyteckich). Masażyści. Pożeracze ognia. Niosący pierwszą pomoc. Krzywonozdy. Zezowate kobiety (także zezowaty starzec). Ludzie-węże. Tamburmajorzy. Sędziowie zawodów bokserskich. Czarownicy. Pianista bez palców. Właściciele marionetek. Umiejący pływać w canoe<sup>308</sup> po wodospadach. Wycinacze sylwetek. Mistrzowie w oswoadzaniu się z więzów. Wdrapujący się na ściany (ewentualnie na wieże). Tancerze na linach. Mistrzowie bicza. Jiu-jitsu. Naśladowcy kobiet. Naśladowczyźnie mężczyzn.

— Gdybym wiedział, co to wszystko znaczy — szepnął cicho Wszechwiedzący do siebie, ale Mr. Allan widocznie to dosłyszał, gdyż odparł:

— Musimy oczywiście mieć i mniej ciekawych osobników, na przykład cieśli, łukarzy, blacharzy, telegrafistów, malarzy, kowali, palaczy, górników, elektrotechników, malarzy szyldów itp. Bierzymy ich zwykle spośród robotników atelier. Mamy jednak także specjalistów: wyszywaczki dywanów, tkaczy ręcznych, prządki — widzi pan przecież.

— Na przykład tych „*technicians*” — zauważył dobry Bóg grzecznie, aby okazać, że rozumie książkę.

— Nie — uśmiechnął się Pan hufców — to nie są technicy, to są fachowcy. Zaznaczone jest zawsze, jaki fach posiada. *Catholic technician* — to taki, co może zorganizować katolickie nabożeństwo. Mamy techników od etykiety, ceremonii dworskich, neapolitańskiego życia ulicznego, perskich karawan, przede wszystkim jednak *drillmen* — byłych oficerów lub podoficerów, którzy mogą wyszkolić żołnierzy i marynarzy w musztrach wszystkich państw...

— Rozumiem już — chciał przerwać dobry Bóg, ale ten drugi nie pozwolił na to.

— ...Możemy wyćwiczyć tylu ludzi i koni, ilu tylko chcemy. Niech pan odwróci 420 stronę, a znajdzie pan pogromców lwów, nauczycieli jazdy konnej, którzy stojąc na jednym koniu, mogą kierować sześcioma innymi, jeźdźców na psich zaprzęgach, poganiaczy wielbłądów, tresujących małpy, jeźdźców na strusiach, zaklinaczy węży, poskramiaczy krokodyli — wszystkich ze swoimi zwierzętami. Psy i koty mają osobny spis, tak samo, jak narodowości: Hindusi, Murzyni, Meksykanie, Chińczycy, Japończycy, Hiszpanie, Włosi, Holendrzy, Persowie, Arabowie i Żydzi.

— Nie, rzeczywiście, niczego wam nie brakuje — powiedział dobry Bóg w swej nieskończonej dobroci i dodał, nie bez pewnego samochwalstwa: — chociaż dzieło Stwórcy jest tak bogate.

— Tak bogate? — Pogardliwy uśmieszek ukazał się na bez tego szlachetnym obliczu męża z Hollywood. — Bogate? Wciąż to samo! Niech mi pan wierzy: wszechświat jest mocno przeceniany! Nie ma w nim za grosz fantazji, żadnej odmiany, wszystko się

<sup>308</sup>canoe — tradycyjna łódź wiosłowa Indian północnoamerykańskich. [przypis edytorski]

powtarza. Możemy mieć tyle egzemplarzy każdego typu, ile tylko chcemy. Niech pan spojrzysz tylko na naszych *doubles*.

— Na kogo?

— Na naszych *doubles*: zastępców artystów. Tych, którzy są podobni do gwiazd lub innych sław. Mamy tu na przykład czterech Napoleonów Bonaparte, jednego Jerzego Washingtona, trzech Abrahamów Lincolnów, jednego Mussoliniego...

— Lenina macie także?

— Nie, tego zostawiamy panom Rosjanom dla ich filmów. Ale cara możemy mieć pięć razy — potrzebujemy tego więcej, bo może on być jednocześnie królem angielskim Jerzym V; królowej Wiktorii jeden egzemplarz, Edwarda VII dwa egzemplarze, generała Pershinga dwa egzemplarze, księcia Wellingtona jeden egzemplarz, cesarza Franciszka Józefa dwa, Roosevelta dwa, Wilsona dwa, Mc. Kinleya jeden egzemplarz... Nie mamy tylko Coolidge'a dla inauguracyjnego balu w Białym Domu. Musieliśmy właściwie tylko dla paru metrów ściągnąć z Teksasu jednego kupca automobilowego, który jest doń podobny. Kazał sobie słono zapłacić. Ale za to mamy Ludwika XVI — nie znam oryginału, ale panowie z Europy mówią, że jest doń bardzo podobny. Mam nawet żywe postaci fantastyczne: Uncle Sam, John Bull i inne. Większość tworzą jednak *doubles* naszych gwiazd.

— Jak to? Przecież one same grają!

— Ha, ha, ha, ale nie wszystko grają same. Kiedy „Wielkość” ma stanąć tyłem do publiczności, biec przez łąkę lub coś w tym rodzaju, czyni to zastępca. Zwłaszcza przy wstępnych przygotowaniach, gdy trzeba przez trzy do czterech godzin wypróbować pozycję artystki i obiektywu, wzywa się *double*. Gwiazda musi być chroniona przed stratą energii i przed szkodliwym oświetleniem. Poza tym przed niebezpieczeństwem. Skoki, pływanie, boks, upadek, bójka nie są bynajmniej wykonywane przez Fairbanksa, otrzymującego 4000 dolarów tygodniowo. Na to jest zastępca, otrzymujący ten sam strój, chociaż w nieco skromniejszym wykonaniu.

— Ale płaca?...

— Oczywiście, wynagrodzenie statysty, 5 do 15 dolarów dziennie.

— A gwiazda?

— Często 800 dolarów dziennie. Są to przecież ulubieńcy publiczności i oni właśnie wyrabiają powodzenie. Poza tym kobiece gwiazdy każą się zastępować nie tylko przy niebezpiecznych scenach, ale i w drobiazgach, ścieraniu kurzu, sprzątanii mieszkania, pisaniu na maszynie, zdejmowaniu towaru z półki — tego nie umieją, gdy pochodzą z dystyngowanych domów.

— Chowają się za zielonymi żaluzjami — dodał dobry Bóg.

— Najprawdopodobniej, i dlatego mamy pod ręką *doubles*, które są do nich podobne. Mamy na składzie dziewczęta ładniejsze i bardziej utalentowane od zastępowanych przez nie kobiet.

— Dlaczegoż więc nie dają im się dużych ról?

— Ach, mój Boże, przecież one nie są zaangażowane, nie należą do zespołu towarzystwa filmowego, są tylko zarejestrowane jako statystki, jako *extra*.

— Ale przecież można by je zaangażować?

— Po cóż? Komu na tym zależy? Mamy przecież gwiazdy o atrakcyjnych nazwiskach, wspaniałych toaletach, z rutyną i wpływowymi małżonkami, względnie przyjaciółmi.

— I dlatego nowy talent nie otrzymuje dużej roli?

— Przeciwnie. Często nowy talent otrzymuje właśnie dlatego wielką rolę. Mamy mniejsze firmy, *independent producers*<sup>309</sup>, którzy nie mogą angażować sławy na parę miesięcy, zawierają przeto umowę na tydzień, płacą 3000 dolarów i robią z nią tylko duże zdjęcia. A resztę roli, wszystkie zdjęcia w naturze, gra miesiącami *double*. Biedak nie otrzymuje, oczywiście, gaży bogatej gwiazdy, co najwyżej 15 dolarów dziennie.

„Tak wygląda więc mój świat, który uważałem za dobry” — myślał dobry Bóg. Nie powiedział jednak tego głośno, a gdyby nawet powiedział, nikt by nie usłyszał, gdyż w międzyczasie wybiła piąta i zaczęto bez przerwy wołać: „*Nothing in*”, „*Nothing in*”.

<sup>309</sup>*independent producers* (ang.) — niezależni producenci. [przypis edytorski]

Przy nadmiernie długim stole siedziało dziewięciu mężczyzn przed dziewięcioma telefonami i dziewięcioma szklanymi mikrofonami.

Przed nimi leżały listy z nazwiskami, ułożone według dzisiejszych zarządzeń atelier filmowego. Na każdym *Requisition sheet* pomocnik reżysera napisał, jakie typy życzy sobie mieć jutro rano na dziewiątą, na deszcz lub słoneczną pogodę — formuła ta powstała wtedy, gdy robiono zdjęcia w szklanych domach przy świetle naturalnym.

Było również zaznaczone, czy wymagany jest określony *bit* (mała sposobność do indywidualnego ujęcia), czy *part*, rola, zbyt błaha dla zaangażowanego artysty, ale dla *extra* nieoczekiwane szczęście.

Ludzie z Casting Office, dziewięciu panów przy dziewięciu telefonach i dziewięciu szklanymi mikrofonami, znaleźli nazwiska żądanych typów i czekali tylko, aby wymienionych zawiadomić o tej rezolucji.

Na podwyższonym podium przed tablicą rozdzielczą siedziały dwie telefonistki ze słuchawkami na uszach i podczas wędrówki kontaktów wymieniały nazwisko, dodawały: „*nothing in*”, inne nazwisko i znów „*nothing in*”.

Dobry Bóg jakoś nie mógł sobie przypomnieć, żeby miał to stworzyć, i ponieważ nie rozumiał ani roli dziewięciu panów, ani obu pań, Wszewiedzący, chcąc nie chcąc, musiał prosić o wyjaśnienie. Otrzymał je.

Ludzie, przybywający do Hollywood, którzy nie znaleźli *engagement* w towarzystwie filmowym, prawie wszyscy zgłaszają się w Central Casting, aby otrzymać przynajmniej „*extra talent*”, to znaczy sposobność pracy w charakterze statysty. 96 procent przybyłych zostaje odrzuconych, gdyż albo ich typy nie nadają się do filmu, albo jest już dość przedstawicieli tego fachu.

Pozostałe cztery procent mają szczęście być oficjalnie zarejestrowanymi jako *extra*, obecnie 5000 mężczyzn, 6000 kobiet i 2000–3000 dzieci. Każdy zarejestrowany musi o piątej zgłosić się do jednego z 46 telefonów Casting Office i wymienić swoje nazwisko, tylko nazwisko. Telefonistka powtarza, aby mogli je usłyszeć urzędnicy, którzy mają przed sobą listę kandydatów.

Jeśli jest wymienione w niej to nazwisko, urzędnik daje znak i zostaje połączony ze zgłaszającym się. W przeciwnym wypadku panienska odpowiada słowami „*nothing in*”, co w tłumaczeniu oznacza: „Jutro nie będzie pracy, zarobku, i przez to jeden człowiek lub cała rodzina nie będą mieli przez 3–4 dni co jeść”.

Dobry Bóg, który wyobraził sobie katastrofalne skutki tych dwóch słów, ujrzał te domy z „*nothing in*”, zdał sobie sprawę z zamków na lodzie ich z daleka przybyłych do Hollywood właścicieli, przez godzinę usłyszał 850 razy to przekleństwo.

— Tak — pysznił się Mr. Allan. — mamy takie zapotrzebowanie. Sześć tysięcy wezwań dziennie. Z 13 000 ludzi zatrudnia się przeciętnie dziennie tylko 750. Z 5000 mężczyzn tylko 135 może uzyskać zajęcie przez trzy dni w tygodniu, z 6000 kobiet tylko 43. Przeciętna gaża dzienna wynosi osiem dolarów dziewięćdziesiąt cztery centy. To jest statystyka statystów.

— Mam już tego dość! — krzyknął dobry Bóg, gdyż jego niewyczerpana cierpliwość została wyczerpana. — *Nothing in, nothing in.*

— To jeszcze jest nic — ciągnął Allan bez zająknięcia — powinien pan przyjść rano, kiedy odwiedzają nas ludzie. Dwa razy w tygodniu mają *interviewing day*<sup>310</sup> mężczyźni, dwa razy kobiety i raz dzieci. Opowiadają oni, że sami lub ich zwierzę nauczyli się jakiejś nowej sztuczki, kupili jakieś nowe ubranie lub coś w tym rodzaju.

Gdy dowiadują się, że gdzieś będzie się kręcić masowy film perski, zjawiają się z przyjaciółmi po persku brodami; gdy planuje się wielki film z angielskiego życia wojskowego, wąsy ich są wypomadowane. Przeważnie chcą wzbudzić w nas litość. Ale nie jesteśmy przecież towarzystwem dobroczynności. Gdy potrzebujemy chłopca sabaudzkiego, a jeden z nich ma zabawną małpkę, nie może uzyskać miejsca inny chłopiec sabaudzki, chociaż ma głodnego dziadka. Nie możemy również nic pomóc kobiecie, zamówionej wreszcie po wielu miesiącach i natychmiast odprowadzonej z kwitkiem, chociażby rozdierająco płakała: kobieta ciężarna nie nadaje się do filmu. Nas obchodzi tylko istota filmu...

— *Nothing in... nothing in* — zawołała panienska po raz sześćotysięczny.

<sup>310</sup>*interviewing day* (ang.) — dzień rozmowy kwalifikacyjnej. [przypis edytorski]

Dobry Bóg wypadł z biura i jęczał jeszcze na ulicy:  
— Więc to jest mój słynny świat! Nie chciałem tego, nie, tego nie chciałem.

\*

— Widzi pan tego jegomościa? — zapytał reżyser filmowy, z którym przechodził właśnie doktor Becker. — Typowy *extra* hollywoodzki. Przychodzi tu jak z nieba, myśli, że znajdzie tu całe szczęście ludzkości, a gdy usłyszy „*nothing in*”, szaleje i przysięga, że nie chciał tego.

## PŁUCZKI PŁUCZĄ ZŁOTO

Na pytanie dziennikarza z San Francisco, co doktorowi Beckerowi nie podobało się w Kalifornii, odpowiedział ten ostatni: praca płuczek złota. W dwa dni po ogłoszeniu wywiadu zostały wydrukowane w pismach listy otwarte: miejscowi mieszkańcy przyznawali doktorowi Beckerowi rację i uważali wprost za uderzające, że obcy pierwszy włożył palec do krwawiącej rany.

Doktor Becker nie dowiedział się, czy redakcja otrzymała dalsze listy. Z pewnością jednak leczenie tej rany zostało skutecznie przez inny palec — palec zainteresowanej grupy kapitalistów, położony na ustach — milczeć! Nad brzegami Sacramento i okolicznymi wyniosłościami, dokąd ciągnęli przed 80 laty awanturnicy wszystkich krajów, gdzie jeden czatował na drugiego i jeden zabijał drugiego, w tej okolicy wciąż jeszcze szuka się złota i zabija się dla złota — ach, jak biedermeierowskim był ten dziki okres wiercenia, kopania i zabijania w porównaniu z dzisiejszym masowym mordem rabunkowym. Morduje się na mile rozciągające się przestrzenie, z których żyje człowiek i bydło.

Wszędzie można ujrzeć zwłoki ofiar, gdy wędruje się wzdłuż i w szerz dolin Sacramento. Trudno natknąć się na samego mordercę. Otoczył się kamiennymi murami i fosami, a z wieżyczki obwarowania obserwuje okolicę uzbrojony wartownik.

Poza tymi wszystkimi średniowiecznymi urządzeniami usadowił się potwór współczesności, smok ze szponami z pittsburskiej stali, z paszczką poruszaną motorami elektrycznymi, z elektrycznymi mackami.

To jest płuczka.

Znane są okręty-płuczki na morzach, w portach, w rzekach. Na stałym lądzie okręt nie mógłby się poruszać — ależ skądże może? Gdzie chodzi o złoto, nie ma niemożliwości, okręty-płuczki Kalifornii pływają po lądzie.

Z grobli doprowadza się tutaj wodę, zalewa się ziemię na wysokość półtora metra, na półtora metra wznosi się ponton.

I już płynie potwór do swojej zdobyczy.

Stalowe wiadra, przymocowane do ogłuszającego skrzypiącego zębatego łańcucha, szarpią sobą i płuczka. Gryzą ziemię. Połykają ją. Wracają do zbiornika. Wypływają ją. Rzucając się na następną kęs. Bez końca jest łańcuch, bez zatrzymania się, nienasycony.

Na dachu płuczki są windy maszyny i wartownik, gotów zatrzeć na alarm, gdy nadejdzie banda, by obrabować poszukiwaczy złota.

O piętro niżej mieści się *mud floor*, dokąd wiadra wyrzgują swój łup. Tutaj oddziela się kamienie od ziemi i odrzuca za płuczka do wody.

Z mułu jednak, z drogiego mułu nie wyrzuca się nawet odrobiny, cały przechodzi pod ciśnieniem przez sita i koncentratory, wytrząsa go się na stołach, dopóki ostatnie ziarenko zawarte w nim ciężkiego metalu nie odpadnie do stalowych retort, gdzie pochłania go rtęć i oddaje jako to, do czego się dąży: złoto.

Naprzód płuczka wżera się swoją paszczką z wiader, swoim sokiem żołądkowym z rtęci i swymi jelitami ze stali. Pochłania kwitnące łąki, pola, ogrody warzywne, winnice Sacramento County z zasiewami bez śladu, doszczętnie.

Farmerzy, do których należy ziemia, sprzedają ją angielskiemu towarzystwu Natomas Consolidated Gold Dredging Company. Jako odszkodowanie otrzymują tyle, ile mogłyby im przynieść ziemia przez lat dziesięć. Płaci im się więc za dziesięć lat, niszczy zaś na wieczność. To, cośmy nazwali zwłokami ofiar, to nagie kamieniste bruzdy za płuczka, stosy kamieni, gdzie i za tysiąc lat nie wyrośnie nawet źdźbło trawy.

Potwór, Maszyna

Poświęca się prawdziwe wartości dla fikcyjnej — złota.

Angielscy koncesjonariusze wydobywają corocznie złota prawie za dwanaście milionów dolarów. Wszędzie w dystrykcie Sacramento, w Mother Love, El Dorado, Placer County, Sierra, Butte, Nevada, Shasta, Siskiyou, Trinity stoją na niedostępnym prawie gruncie, otoczone przez pagórki pokruszonych cegieł i ponuro wyglądające krwawe kałuże *dredgers* — płuczki. I na każdej z nich pracują — powalane mułem, rozdzierająco kaszlące i męczone zeszaryłym reumatyzmem — trzy zmiany po dwudziestu ludzi, z płacą pięciu dolarów dziennie.

W lecie, gdy cuchnąca woda paruje, w zimie, gdy grunt szczyrbi stalowe szczęki płuczki.

Nie tylko w dzień, ale i podczas trzystu sześćdziesięciu nocy roku pochyla się lubieżnie, chciwie i pożądliwie reflektor nad trzęsącymi się stołami, czy nie zajaśnieje metaliczny pyłek.

Nocna praca odbywa się nawet w USA tylko tam, gdzie chodzi o zawody niezbędne dla życia lub gdzie (przy budowie) trzeba szybko usunąć przeszkodę w ruchu.

Wydobywanie złota dla Anglii<sup>311</sup> jest tak niezbędnym dla życia zawodem, że od dziesiątków lat noc zamieniona bywa w dzień. Już w 1885 roku, po krachu prywatnego płuczkarstwa złota, towarzystwa zaczęły drogą hydrauliczną wydobywać najgłębsze warstwy na powierzchnię. Wszystko, co w wielkim promieniu płynęło, szemrało i sączyło się, zostało wtłoczone do węzów i skierowane na wyniosłości, podejrzone o zawartość złota.

Strumienie wody grubości ramienia ryły ziemię, miażdżyły i niszczyły rośliny, wyrwały minerały, całe bloki kamieni z ich podstawy i zmywały mętny strumień mułu, piasku, ziemi, żwiru do niżej położonych niecek.

Tam na sitach o małych okach sortowano większe kamienie, aby dać odpływ wodzie, a muł przeszukiwano na rynnach, szukając błyszczącego złota, które zanoszono do nadzorców przedsiębiorstwa.

Robotnicy, którzy latami stali schyleni w zimnej wodzie byli synami kopaczy złota z 1848 roku.

I dzisiaj pracują przy turbinach elektrycznych i koncentratorach płuczki za wynagrodzenie 5 dolarów w dzień i w nocy tylko ludzie z okolicy Sacramento — już nie synowie, ale wnukowie kopaczy złota, wnukowie tych, którzy z niezmierzonej dali przybyli tu z niewypowiedzianą męczarnią, aby znaleźć płodne ziemie i zostawić swoim bogactwo — złoto!

## KRYMINALISTYKA W WASZYNGTONIE

Mało jest tu policjantów regulujących ruch i komenda główna policji nie nastęrcza tylu tematów do mówienia o sobie jak w Nowym Jorku lub w Chicago, nie reklamując się ani nie odpowiadając na zaczepki.

Kto — jak np. doktor Becker — ma wielu znajomych, a między nimi i takich, którzy są wprawdzie solidnymi obywatelami, ale obywatelstwo ich nie jest zbyt starej daty, podczas wojny byli czynni w Genewie, a także zamieszani w jakiś proces o dokumenty, dobrze robi, gdy spotkawszy kogoś z nich, nie rzuca mu się przyjaźnie na szyję. Doktor Becker przywitał w tak gwałtowny sposób w Waszyngtonie pewnego starego wiedeńskiego przyjaciela i okazało się, że stary wiedeński przyjaciel nie był bynajmniej starym wiedeńskim przyjacielem, lecz oschłym z dziada pradziada Amerykaninem, który umiał odpowiedzieć tylko po angielsku. Nie zmienił tego fakt, że następnego dnia dr Becker w Ritz-Carlton<sup>312</sup> słyszał oschłego Amerykanina mówiącego płynnie po wiedeńsku.

Uczestnicy *Big Game* lubią bezimiennność i rezygnują — zresztą podobnie do policji waszyngtońskiej — ze sławy. Ministerstwo Spraw Zagranicznych prowadzi Wielką Grę i ofiaruje na to corocznie setki tysięcy dolarów, z których przed nikim nie zdaje rachunku. Chcemy mieć nadzieję, że te fundusze w ważnych wypadkach są podwyższone lub przekraczane, gdyż cel ich jest ważny.

<sup>311</sup>Wydobywanie złota dla Anglii — tak w oryginale; mowa o złocie, które Stany Zjednoczone eksportowały do Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

<sup>312</sup>Ritz-Carlton — nazwa światowej sieci hoteli najwyższej klasy, ob. należącej do Marriott International. [przypis edytorski]

Ponieważ z dochodów Stanów Zjednoczonych przeszło trzecia część idzie na armię i flotę, można sobie wyobrazić, ile z tego się wydaje na szpiegostwo i na zdobywanie wiadomości.

Doktor Becker rozmawiał na Pennsylvania Avenue ze swoim byłym towarzyszem wojennym, który nie zapierał się tego jak ten stary przyjaciel z Wiednia. Wieczorem miał doktor Becker odwiedzić detektywa, który pragnął się dowiedzieć, co doktor Becker robi w Waszyngtonie i czy posiada stopień wojskowy. Przy okazji zapytał, czy doktor Becker ma znajomych w Waszyngtonie, czy spotkał kogoś z nich i gdzie zawarł tę znajomość.

Za każdym doryckim czy też korynckim portykiem<sup>313</sup>, za którym ma siedzibę jakiś urząd centralny, urzęduje i tajny wydział. Prezydent nie jest tak niestrzeżony, jak na to wygląda — gdy w Białym Domu po południu potrząsa od dwunastej piętnaście do drugiej rękę poddanym — dwie żywe kariatydy<sup>314</sup> stoją bliżej odwiedzającego niż prezydenta, gotowe przeszkodzić, by do dwóch zabitych w Waszyngtonie prezydentów<sup>315</sup> dołączono trzeciego.

Jeszcze lepiej jest strzeżony oczywiście prawdziwy pan Ameryki — mister Dolar. Ten nie jest wybierany na parę lat, nie przybywa i nie odchodzi stąd jako obcy. W Waszyngtonie urodził się i w Waszyngtonie umiera.

Doktor Becker mógł towarzyszyć jego królewskiej gości Dolarowi na jego drodze życia.

W Bureau of Engraving corocznie drukuje się dwa i pół miliarda banknotów dolarowych, za dziesięć miliardów papierów państwowych, za 854 miliardy znaczków pocztowych, nie licząc certyfikatów i czeków, zaś w maceratorze urzędu skarbowego niszczy się co dzień bez śladu banknoty na sumę 151 milionów dolarów.

Miejsce, gdzie się to odbywa, jest strzeżone; wały i rowy dokoła, hufce strażników, mile płyt stalowych i klatek, zegary alarmowe, zbrojownia w pokojach urzędników, centrala telefoniczna z bezpośrednim połączeniem z policją, koszarami piechoty i kawalerii, artylerią połową arsenału, a nawet z artylerią forteczną fortu Meyera.

Poprzez okratowane, wiszące galerie oprowadza się zwiedzających przez parę pomieszczeń. Doktor Becker mógł stamtąd oglądać białych i czarnych pracowników, młode i stare kobiety przy prasach, walcach, przy aparatach, dziurkujących i tnących, przy wiadrach z farbą, przy pasach transmisyjnych.

Przenośnik dostarcza wciąż nowego materiału, który robotnicy mechanicznymi ruchami obu rąk składają, wygładzają, sprawdzają i pakują. Miliardy, miliardy dolarów! Przy błędach w pracy straty potrącają się z wynagrodzenia.

— Czy można zabierać robotę do domu? — zapytał dr. Becker.

— Nie, proszę pana — odparła stropiona przewodniczka, nie zrozumiałszy ironii.

Poza strategicznymi i fortyfikacyjnymi środkami przeciwko zawładnięciu fabryką dolarów (kto by ją zagarnął w posiadanie, miałby w ręku całą Amerykę i wszystkich Amerykanów) istnieją godne podziwu środki zapobiegawcze przeciwko fałszerstwu pieniędzy i kradzieży.

Nawet naśladowanie niezadrukowanego papieru z jedwabnymi nićmi bywa karane jako przestępstwo fałszerstwa pieniędzy.

Dla kontroli i stałej obserwacji papieru podczas jego fabrykacji wypracowano system, który kosztuje półtora centa od banknotu. Chociaż drukuje się dziennie za przeszło milion banknotów dolarów, podczas ostatnich piętnastu lat tylko raz brakowało jednego arkusza; urzędnicy twierdzili, że to pewno wskutek błędu w rachunku, jednak robotnicy pracowni, gdzie wykryto stratę, musieli zapłacić jej pełną wartość.

Pieniądz

<sup>313</sup>doryckim czy też korynckim portykiem — portyk: popularny w staroż. architekturze greckiej i rzymskiej rodzaj otwartej frontowej części budowli z rzędem kolumn wspierających dach; dorycki i koryncki: antyczne style architektoniczne, wykształcone w Grecji, przejęte przez Rzymian; w Stanach Zjednoczonych budynki rządowe zbudowano w stylu klasycyzmu, odwołującym się do tradycji greckiej i rzymskiej. [przypis edytorski]

<sup>314</sup>kariatyda — rzeźba stojącej kobiety, dźwigającej na głowie belkowanie budowli, gzyms lub balkon, spełniająca funkcję kolumny lub filaru; najbardziej znane są kariatydy portyku świątyni Erechtejon na ateńskim Akropolu. [przypis edytorski]

<sup>315</sup>dwóch zabitych w Waszyngtonie prezydentów — wskutek zamachów zginęli w Waszyngtonie dwaj prezydenci USA: Abraham Lincoln (14 kwietnia 1865, w teatrze) oraz James Garfield (2 lipca 1881, na dworcu kolejowym); dwaj inni zostali zamordowani w zamachach poza stolicą: William McKinley (6 września 1901 w Buffalo) i John F. Kennedy (22 listopada 1963 w Dallas). [przypis edytorski]

Na każde trzy miliardy przechodzące przez urząd skarbowy przypada przeciętnie dwaście tysięcy fałszywych dolarów. Wykrycie ich pochodzenia jest zadaniem oddziału Secret Service; pracowni kryminologiczne i brygady detektywów śledzą wstecz drogę fałszyfikatu. Ich zasługą jest wykrycie fabryki pieniędzy w St. Louis, z której istnienia państwo odniosło właściwie korzyść. Falszerze bowiem wydrążali prawdziwe złote monety i wypełniali ich wnętrza platyną, mającą podobną wagę i dźwięk do złota, a kosztującą wtedy o wiele taniej. Zanim pierwsze 60000 monet z tej prywatnej mennicy ukazało się w obiegu, cena platyny poszła bardzo w górę, kosztowała ona znacznie więcej od złota i skarb na zasekwestrowanych monetach zrobił świetny interes.

Na przedstawienie warsztatów fałszerzy pieniędzy na filmie, nawet gdy dzieje się to zupełnie nieudolnie i niezgodnie z rzeczywistością, Secret Service nie zezwala. Nie wolno nikomu nasuwać podobnej myśli: czyż filmowi nie wystarczą inne, bardziej niewinne zbrodnie: napady rabunkowe, otrucia, włamania? Poza moim nie ma innych dolarów i nie wolno ci odtwarzać ich podobizny.

Dolary nie są badane jedynie dla stwierdzenia fałszerstwa, często konieczne są metody kryminologiczne, aby dowieść i stwierdzić ich prawdziwość. Pewna krowa zeżarła ukryte w sianie papierowe pieniądze farmera. Po mikroskopowym zbadaniu w Treasury ekskrementów tej prawdziwie amerykańskiej krowy wieśniak otrzymał połowę wartości połkniętego majątku. Po trzęsieniu ziemi w San Francisco do Waszyngtonu nadesłano dla sprawdzenia olbrzymie ilości stopionych monet i spalonych banknotów.

Aby zwalczać przemytnictwo, niezbędny jest rozgałęziony aparat urzędniczy. Wszędzie, gdzie może wylądować statek przemytniczy, musi być komora celna; ale tam, gdzie ona stoi, nie ląduje żaden z przemytniczych statków. Z tego powodu w Beaufort North Carolina ściągnięcie dolara i 55 centów cła kosztuje państwo 1500 dolarów, a w porcie Maryland wydatki państwa dla ściągnięcia każdego 61 centów opłat celnych wynoszą nie mniej jak tysiąc dolarów!

Przy zwalczaniu przywozu alkoholu współdziałają organa policyjne, a czynią to w większym lub mniejszym stopniu w zależności od tego, jak dany stan ustosunkował się do Volstead Act<sup>316</sup> lub jak wielki jest *graft*, taryfa i poziom miejscowej korupcji, przemytnictwa innych towarów, zwłaszcza klejnotów, walkę prowadzą jedynie urzędnicy celni, małą wojnę o błahę rzecz.

Już na Weesper Plein w Amsterdamie lub w Hotton Garden, londyńskim rynku brylantowym, są czynni amerykańscy detektywi. Każda osoba podejrzana o przemykanie klejnotów jest trzymana w ewidencji tajnej służby waszyngtońskiej; o wszystkich większych kupnach brylantów donosi się z Europy i wciąga do kartoteki. Nabywca przybywa do Hoboken: „Gdzie masz towar, który przed ośmioma dniami nabyłeś w antwerpskim klubie diamentowym?”

Nienawleczone perły według taryfy celnej uchodzą za drogie kamienie. Cło wwozowe za szlachetne kamienie wynosi dziesięć procent wartości. Sznury pereł są jednak gotową ozdobą i opłaca się za nie cło w wysokości sześćdziesięciu procent. Oczywiście kupcy wyciągają w prosty sposób jedwabną nitkę.

Władze celne przyjęły jednak następujący punkt widzenia: nie obecność nitki jest miarodajna dla pojęcia „sznur pereł”, lecz czy pojedyncze perły nadają się i zostały dobrane do wspólnego nawleczenia.

Na podstawie tego poglądu na importera podobnego zestawu nałożono cło w wysokości 110 000 dolarów. Protest został uwzględniony przez Sąd Najwyższy, który osądził, że należało zapłacić tylko 18 000 dolarów, tak że brakujący sznureczek okazał się wartości 92 000 dolarów.

Rozgałęzioną siecią detektywów jako urzędnikami innych stanów posługuje się Post Office Department<sup>317</sup> rządu USA, gdyż tam śledzi się nie tylko zaginione przesyłki. Przede wszystkim należy chronić przed napadami listonoszy prerii i okolic leżących na Dzikim Zachodzie. Poza tym w tych właśnie okolicach stanów jeszcze teraz używa się żywych istot jako maszyn piekielnych: w paczce posyła się wrogowi jadowitego węża z życzeniami Bożego Narodzenia.

<sup>316</sup>Volstead Act (ang.) — ustawa Volsteada, potoczna nazwa amerykańskiego federalnego aktu prawnego, który od 17 stycznia 1920 zaprowadzał prohibicję na terenie Stanów Zjednoczonych. [przypis edytorski]

<sup>317</sup>Post Office Department (ang.) — Departament Poczty. [przypis edytorski]



W Ameryce niektóre czynności są uważane za występki tylko wtedy, gdy dla ich spełnienia używa się poczty. Tak więc pornografia wtedy tylko karana jest więzieniem, gdy list czy też druk nie jest wręczany osobiście, lecz przesyłany pocztą; podobnie postępuje się ze środkami zapobiegającymi zająciu w ciężę, zaproszeniem do gry hazardowej, a nawet zwierzyną zabitą poza sezonem polowań.

Że urząd statystyczny (Census Bureau) utrzymuje policyjną służbę śledczą, aby sprawdzić dane swoich współpracowników i korespondentów, musi wydać się zadziwiająco każdemu, kto nie zna Uncle Sama, jego żądy reklamy i szaleństwa rekordów.

Kto jednak zna, temu wyda się podejrzane, że zaludnienie Seattle i San Francisco ogromnie wzrosło od ostatniego spisu ludności. Ale wkrótce zdumienie ustępuje: oba miasta zaprzysięgły sobie, aby zostać po Los Angeles największymi miastami zachodu. I Ameryka ma swych Czyczyków<sup>318</sup>: urzędników gminnych, którzy na listy ludności wciągają martwe dusze, aby otrzymać wyższe uposażenie na podstawie zwiększonej liczby zaludnienia.

Od końca wojny w urzędzie patentowym w Waszyngtonie zgłoszono do 80 000 wynalazków objętych ochroną własności — płyty pancerne, urządzenia alarmowe, zamki bezpieczeństwa i sztucznego psa, stróżującego z wyszczerzonymi zębami, skrzącymi, czerwonymi oczyma i groźnym szczekaniem.

Wiele z tego, co zostaje wykryte przez tajne organa Waszyngtonu, jak: uchylanie od opłaty podatków, przemytnictwo, afery z przekupstwem, nadużycia pocztowe, fałszerstwa monet i oszustwa, zbyt jawne przekroczenie prawa przeciwtrustowego, zagraniczne szpiegostwo handlowe i wojskowe na gruncie amerykańskim, potajemne gorzelnictwo w najbardziej zapadłym kącie — przybywa jako wielka sprawa sądowa z powrotem do Waszyngtonu, gdzie debatuje nad nią ministerstwo sprawiedliwości, sąd lub sąd handlowy lub też wypowiada ostateczny wyrok Sąd Najwyższy pod kopułami Kapitolu.

Każdy deputowany, senator czy też urzędnik waszyngtoński jest zaprzętnięty jakąś wielką aferą kryminalną i każdy uchodzi w tych sprawach za fachowca, jak zgodnie zapewniano doktora Beckera podczas jego podróży przez USA.

## Raj amerykański

CZEŚĆ DRUGA

### JEJ KRÓLEWSKA MOŚĆ GUMA DO ŻUCIA

Fabrykanci gumy do żucia twierdzą: pierwotni mieszkańcy Ameryki Środkowej podczas swych polowań trzymali w ustach żywicę drzewa sapotylli<sup>319</sup> (*Achras sapota*), aby pobudzić wydzielanie się śliny i przemóc w ten sposób pragnienie.

To twierdzenie jest niezgodne z prawdą. Prawdą jest za to, że podobnej uwagi nie znajdzie się w żadnym opisie hiszpańskich konkwistadorów<sup>320</sup> i że właśnie w tych okolicach, gdzie rośnie ten gatunek sosny<sup>321</sup>, żująca zaraza nie znalazła do dziś dnia ofiary.

Prawdopodobniejsza jest inna historia jej powstania. Pewien kupiec w Nowym Jorku otrzymał z Meksyku ładunek okrętowy tej żywicy z żądaniem przerobienia jej na gumę. Było to jednak niemożliwe, gdyż materiał okazał się niepodatny. Co trzeba było zrobić z przesyłką? Odbiorca — chyba ten Mr. Thomas Adams<sup>322</sup>, którego przemysł gumo-

Interes, Handel

<sup>318</sup>Czyczyków — bohater słynnej powieści Gogola *Martwe dusze*. [przypis tłumacza]

<sup>319</sup>sapotylla a. sapodilla (*Manilkara zapota*) — także: pigwica właściwa, sączyńiec właściwy; gatunek wiecznie zielonego drzewa z rodziny sączyńcowatych (*Sapotaceae*); w jego korze, gałęziach i młodych owocach znajduje się sok mleczny zawierający 25–50% gumy (lateksu) zw. „chicle”, służącej do wyrobu gumy do żucia; materiał ten pozyskuje się z roślin dziko rosnących, gł. w Meksyku i Gwatemali. [przypis edytorski]

<sup>320</sup>hiszpańscy konkwistadorzy — uczestnicy hiszpańskich wypraw mających na celu podbicie Ameryki Południowej i Środkowej, prowadzonych w XV–XVI w. [przypis edytorski]

<sup>321</sup>ten gatunek sosny — sapotylla nie jest sosną, lecz należy do rodziny sączyńcowatych (*Sapotaceae*), z rzędu wrzosowców (*Ericales*). [przypis edytorski]

<sup>322</sup>Adams, Thomas (1818–1905) — fotograf ze State Island, zainspirowany przez meksykańskiego generała, który miał w zwyczaju żuć kawałki *chicle*, wyprodukował pierwszą gumę, używając tego surowca; pierwsza partia trafiła do sprzedaży w lutym 1871 r. [przypis edytorski]

wy pragnie obdarzyć mianem największego dobroczyńcy narodu — był zwolennikiem amerykańsko-teologicznego poglądu na przyrodę.

„Ryż rośnie w Chinach — rozumował Jankes<sup>323</sup> — nie dlatego, że Chińczycy chętnie go jedzą, lecz dlatego, że w Chinach rośnie ryż, stał on się narodową potrawą Chińczyków; nie dlatego trafiają się w Antarktyku<sup>324</sup> białe niedźwiedzie i psy morskie, ponieważ Eskimosi chętnie odziewają się w ich futra i smarują tranem, lecz na odwrót.

A zatem — myślał Mr. Thomas Adams z właściwą mu bystrością — Amerykanie będą musieli pożerać moją żywicę po prostu z tej przyczyny, że jest ona na miejscu”.

Będą musieli! A od czegoż reklama? W połowie zeszłego stulecia zaczęły ukazywać się krzykliwe plakaty.

Żucie tabaki jest trujące i niehigieniczne!

Żujcie *chiclegummi*!

Guma do żucia oczyszcza zęby!!

Guma do żucia dezynfekuje jamę ustną i podniebienie!!!

Guma do żucia czyni zęby śnieżnobiałymi!!!

Kto żuje *chicle*, ma w krótkim czasie przyjemny zapach z ust!!!

Guma do żucia sprzyja trawieniu — a przeto po każdym posiłku guma do żucia!!!

Chcesz być zdrowy i piękny? Żuj więc gumę!!!!

---

Któż nie zechciałby być zdrowy i piękny? Dojrzała Ameryka powróciła do żucia gumy.

Przy intymnych stosunkach, jakie zachodzą w Ameryce między przedsiębiorcami i urzędnymi, można uznać za pewnik, że zakaz palenia w tramwaju i w kolejce podziemnej (tak, podobnie jak w Berlinie, nawet w niektórych kinach i bibliotekach palenie jest wzbronione) został zarządzony przez przemysł gumowy. Automaty są na miejscu: wrzuca się cent, wypada kawałek gumy, który starczy do dwudziestego przystanku.

Wszystko żuje. W latach dziewięćdziesiątych<sup>325</sup>, gdy wykryto wszechobecność bakterii, a jednocześnie stała się modna wiara w zdrowotne działanie mięty, powstała *ruchawka*<sup>326</sup>. Pośpiesznie domieszano tej substancji do gumy do żucia i uchodziła ona za zabójczą dla bakterii.

Główna przyczyna tego leży w amerykańskim charakterze narodowym, który ma skłonność do gorączkowo pracowitego próżnowania. Wciąż coś się robi, a nic się nie dzieje, jest się szalenie zajęty, a nie pracuje się, rozpętane są wielkie prądy, ale wszystko zostaje po dawnemu, o *headlines* — ogromnych tytułach artykułów wszystkich gazet — dziś rozprawia się namiętnie, aby jutro zupełnie o nich zapomnieć.

Człowiek w *subway*<sup>327</sup> lub na promie rozmawia o czymkolwiek z przyjacielem, czyta przy tym w gazecie o czymś zupełnie innym, myśli zapewne o czymś innym jeszcze, może o krzyżówce, którą rozwiązuje, wyciąga do czyszciciela butów nogi i żuje gumę, aby zęby i język oswobodzić w ten sposób od nieczystości.

W automatycznych restauracjach nowojorczyki pochłaniają posiłek w ciągu pięciu minut, aby potem godzinami gryźć i ssać lasy amerykańskie.

Przy gryzieniu lukrecji, przy żuciu betelu<sup>328</sup> czy tabaki, przy łuskaniu słonecznika czuje się smak. Smak gumy do żucia zatraci się po minucie i przez resztę godziny pozostają w ustach kleiste kłaczki.

Wytwarzanie gumy do żucia jest narodowym pomysłem USA. Wzrósł on zwłaszcza od wojny światowej; jako żołnierz podczas marszu i na warcie przyzwyczaił się Amery-

<sup>323</sup>*Jankes* — żartobliwe określenie Amerykanina, osoby pochodzącej z pñ. części Stanów Zjednoczonych; używane gł. w znaczeniu negatywnym, pogardliwym. [przypis edytorski]

<sup>324</sup>*Antarktyk* (z gr. *antarktikos*: naprzeciw północy) — Antarktyka; obszar leżący na południowej półkuli kuli ziemskiej, obejmujący kontynent Antarktydy oraz wody Oceanu Południowego wraz z otaczającymi go wyspami. [przypis edytorski]

<sup>325</sup>*w latach dziewięćdziesiątych* — chodzi o lata 90. XIX w. [przypis edytorski]

<sup>326</sup>*ruchawka* (pot.) — zamieszki, niepokoje społeczne. [przypis edytorski]

<sup>327</sup>*subway* — daw. nazwa przejścia podziemnego a. metra. [przypis edytorski]

<sup>328</sup>*betel* — używka popularna od starożytności w Azji Południowej i na Dalekim Wschodzie, składająca się z liści pieprzu żuwnego oraz zawierająca nasiona palmy areki. [przypis edytorski]

kanin do żucia i zdobył dla tej czynności całe połacie Europy. Podczas gdy przed wojną jedynie 74 fabryki z personelem 2689 osób, a wynagrodzeniem rocznym 1 648 000 dolarów przerabiała surowiec wartości 320 000 dolarów na produkt wartości 17 159 000 dolarów, dzisiaj płaci konsument już 150 milionów dolarów rocznie, chociaż liczba fabryk i personelu nie wzrosła nawet w przybliżonym stosunku. Wszystko bowiem wytwarza się maszynowo.

W olbrzymich halach fabrycznych American Chiclé Company na Long Island widzi się tylko niewielu ludzi i tylko przy wysyłce i w salach kontrolnych pracują setki kobiet, które są zawsze tańsze od najtańszej maszyny, w białych kitlach i białych czepkach, przy biegnących wstęgach.

Laboratorium nie można oglądać. Pozostaje tajemnicą otrzymywanie smaku ananasa, cytryny, pomarańczy i olejku goździkowego, tak jak i barw.

Poza tym walczy się o zdobycie tajemnicy syntetycznego fabrykowania surowca. Gdyby w 1914 roku wojenny konflikt z Meksykiem spowodował to straszliwe niebezpieczeństwo, Ameryka mogłaby pewnego dnia zostać bez gumy do żucia.

Próba ze sprowadzoną z Borneo żywicą „*pontianac*”<sup>329</sup> zawiodła tak samo, jak próby sztucznej fabrykacji *chiclé*.

Wiarogodnym się też staje twierdzenie pewnego socjalistycznego członka kongresu, że imperialistyczne zapędy Stanów Zjednoczonych na Meksyk były inspirowane przez Mr. Wrigleya i pozostałych fabrykantów gumy do żucia.

Praca, Kobieta, Pozycja społeczna, Robotnik

Kolonializm

---

Tymczasem dostawcy surowca są jeszcze cudzoziemcami, nazywają się „*chicleros*” i żyją w meksykańskich lasach sosnowych z nacinania nożami kory drzew, zbierania żywicy wypływającej dla zasklepienia rany, którą po opakowaniu w jutę wysyłają okrętami.

Przyszła guma do żucia leży oto w Long Island City. Każdy kawałek podobny jest do pnia drzewa i zawiera dokładnie tyle ciężkich odpadków, ile można było wepchnąć do krzepnącej żywicy, aby otrzymać jak największy przyrost wagi.

Oczyszczona z nich, pocięta na niewielkie kawałki, sprasowana, stopiona w płyty i filtrowana, spływa żywica o piętro niżej, gdzie stoją mieszadła — co wygląda bardzo dziwnie — nie amerykańskiego pochodzenia, lecz z firmy Werner Pfleiderer, Cannstatt — Stuttgart.

Powietrze w tej hali jest ciężkie i przesycone słodyczą pyłu cukrowego. Do *chiclé* dodaje się drobnoziarnistego cukru, masy o różnych smakach i olejków o różnych zapachach, odróżniających poszczególne gatunki. Praca przy rozżarzonych rynkach, odrywanie bryłek z walców i nowa obróbka masy jest bardzo ciężka; nie wykonują jej Amerykanie, lecz Włosi i Żydzi.

Owoce tej pracy jest ciasto. Posuwa się ono automatycznie dalej przez sale ze sztucznym powietrzem o określonej ciepłocie i gęstości, przez maszyny, krojące formy, gdzie staje się ono pryzmatami, pałeczkami i kulkami.

Dwieście pionowych rynien, czynnych w *Coating department*, który w niemieckiej fabryce gumy do żucia nosiłby nazwę „Oddział drażetek” (autor zna to z przemysłu pralinek).

Na ścianie wiszą tablice z „rekordami” poszczególnych robotników — fabrykanci starają się wyteżoną pracę, wykonywaną dla ich korzyści, przedstawić jako wyczyn sportowy.

W ruchomych rynkach podskakują kule, w niektórych nieobrobione pryzmaty. Ocieniają się o siebie, przylegają, uderzają, aż stają się gładkie, polerowane i błyszczące.

Te kształtne kawałki o różnobarwnych odcieniach są zatem identyczne z trójgraniastymi belkami, które przybyły z Meksyku. Wkrótce zaś staną się identyczne z kleistą bryłką, którą jakiś chłopak rzuca pod krzesło, ssąc ją przedtem godzinami w ustach.

Tak zachęcająco, niewinnie i nęcąco wyglądają będące w sprzedaży kuleczki, sześcianki i pastylki. Są już gotowe i toczą się jedne za drugimi w salach pakowania, wysyłki i ładowania, gdzie maszyny pracują indywidualnie i różnolicie, ludzie zaś mechanicznie i jednostajnie.

Kolonializm

Robotnik, Praca

---

<sup>329</sup>żywica „*pontianac*” — najpewniej żywica pochodząca z regionu Pontianac na Borneo. [przypis edytorski]

## NOCNY SĄD

— Zdaje mi się, że jeszcze teraz jesteście pijani.

— Nie piję nigdy, *sir*.

— Proszę powiedzieć: Konstantynopol.

— Kolstantip — Konstaltinkopel.

— Czy byliście kiedyś karani?

— Nie, *sir*.

— Uznaję was za winnego.

---

— Stałem właśnie na Lexington Avenue, kiedy przyszedł policjant z tą panią i zaprowadził mnie tu.

— Panie sędzio, ten człowiek prześladowuje panienkę z naszego sklepu swymi propozycjami miłosnymi. Cały dzień sterczy przed wystawą, handlujemy konfekcją damską, i gapi się w okno. Nasze klientki to krępuje.

— Jeśli jeszcze raz zajrzycie do sklepu, dostaniecie trzydzieści dni.

---

— Zatrzymałem tego człowieka, bo wciąż zaczepiał przechodniów na Madison Square.

— Czy byliście karani?

— Nie, wielmożny panie.

— Uznaję was za winnego.

---

— Mam piekarnię na Walker Street. Dziś około piątej po południu rzucono dwa kamienie, które stukły obie szyby. Wybiegam i widzę uciekających chłopców. Jeden z nich — ten właśnie — został i poszedł mi spokojnie naprzeciw. Zatrzymałem go, a moja żona sprowadziła policjanta.

— Ile masz lat?

— Szesnaście.

— Dlaczego stukłeś szybę?

— Nie mam z tym nic wspólnego, nie znam tych chłopców, którzy przebiegli obok mnie. Poszedłem po tytoń do fajki dla mego ojca.

— Chcesz zostać zaprzysiężony?

— Tak, panie sędzio.

— Wstań, podnieś rękę i powtarzaj za mną przysięgę.

— *...so help me God*<sup>330</sup>.

— Czy jest tu twój ojciec?

— To ja, panie sędzio. Jest tak, jak mówi mój syn.

— Jeśli chłopak jeszcze raz będzie choćby podejrzany o stłuczenie szyby, pójdzie na trzy lata do domu poprawczego. — (do oskarżonego) — Jesteś wolny.

---

— Sprzedawał zabawki na Dworcu Centralnym. Spytałem go o pozwolenie, odpowiedział, że na Boże Narodzenie nie trzeba pozwolenia.

— Uznaję was za winnego.

---

— Przychodzi przed godziną pijany do domu i rzuca we mnie garnkami. Posłałam córkę po policję.

— Nie, *sir*. Przychodzę właśnie po pracy do domu...

— Z pracy, ty kłamczuchu!

— Proszę się uspokoić!

— I ta kobieta, która jest moją żoną, mówi do mnie, że jestem synem suki i jeszcze coś w tym rodzaju. Rzuciłem w nią czymś!

---

<sup>330</sup>*so help me God* (ang.) — tak mi dopomóż Bóg. [przypis edytorski]

— Uznaję was za winnego.

---

— Ten człowiek — (ślepy Murzyn) — zebrze codziennie w kolei podziemnej między Bowling Green i South Ferry.

Przedstawiciel magistratu:

— Był 41 razy karany.

— Trzydzieści dni.

---

W ten sposób i w tym tempie *guilty, not guilty*<sup>331</sup>, idzie przez całą noc, pięćdziesiąt do trzystu spraw, w sobotę jeszcze więcej.

Najwyższa ilość: 495 przez noc, 33000 przez rok.

Uznany za winnego zostaje zaprowadzony do oddziału daktyloskopijnego, gdzie sprawdza się w kartotece, czy i jak często był karany. Później sprowadza go się do sędziego, który mu wymierza karę.

Na zewnątrz, w wielkiej klatce czekają aresztowani, podnieceni sprawą i wstrząśnięci skazaniem. Świadkowie ze zdenerwowaniem na twarzach siedzą w sali. Policjanci dostarczają wciąż nowych aresztantów, przed domem czekają „zielone Minny”<sup>332</sup>, tutaj zwane „Black Maria”.

Przywiozły one oskarżonych i uwożą skazanych. Tych, co dostali mniej niż pięć dni, do Seventh District Prison na wschodniej połowie 53 ulicy. Skazanych na nieokreślony przeciąg czasu lub do sześciu miesięcy, lub na pięć miesięcy 29 dni (co jest gorsze od najwyższego wymiaru sześciu miesięcy, gdyż przy tym odpada ewentualne obniżenie kary o 5 dni w miesiącu za dobre sprawowanie się) w dół na piekielną Wyspę Pomyślności. Małoletnich do Reformatory Prison na wyspie Hart.

W Brooklynie urzęduje nocny sąd tylko dla kobiet, w Nowym Jorku sądzi się kobiety i mężczyźni, którzy tegoż dnia po czwartej popołudniu zostali podejrzani o drobne wykroczenia, podlegające kompetencji niższego sądu kryminalnego. Nocna sesja jego zwie się *Night Court* i ma liczną klientelę: pijanych i prostytutki, rzemieślników oskarżonych o zatrudnianie dzieci, dyrektorów teatrów, przez których wystawiony utwór skierował zgorzzonego widza z widowni do policji (reżyserka Mae West<sup>333</sup> dostała dziesięć dni aresztu za sztukę *Plec*); gospodarzy, w których domu uprawiano prostytutkę; chłopców zamieszanych w bójkę; kupców za nieuczciwą konkurencję; rodziców nieposyłających dzieci do szkoły; ludzi, którzy przekroczyli przepisy o ruchu ulicznym, którzy splunęli w kolei powietrznej, popełnili kradzież na sumę poniżej 100 dolarów, zebrali lub zajmowali się handlem ulicznym bez pozwolenia, spowodowali u kogoś lekkie uszkodzenie ciała, przeszkrobali coś takiego, jak to biedni ludzie, którzy nie mogą sobą pokierować i dlatego są sądzeni<sup>334</sup>.

Każdy oskarżony może zrzec się przysięgi albo uchylić od zeznania jako świadek, jeśli to dla niego było kłopotliwe. Obecny zawsze przy tym jest urzędnik magistracki, „*bridgeman*”, aby monotonnym głosem pouczyć oskarżonych o zasadach prawnych, że mogą wezwać świadków i natychmiast ich sprowadzić, mogą wziąć obrońcę lub zażądać odłożenia sprawy do dnia następnego.

Uniewinniony nie traci dzięki nocnemu wymiarowi sprawiedliwości dnia robocze-

Sprawiedliwość, Interes

---

<sup>331</sup>*guilty, not guilty* (ang.) — winny, niewinny. [przypis edytorski]

<sup>332</sup>*zielone Minny* — nazwa karetek więziennych. [przypis tłumacza]

<sup>333</sup>*Mae West*, właśc. *Mary Jane West* (1893–1980) — amerykańska aktorka teatralna i filmowa, piosenkarka, dramatopisarka, scenarzystka i komiczka; szczyt jej popularności przypadł na lata 30. XX w., jednakże ostatni raz zagrała w filmie *Sextette* (1978); słynęła ze skandalizujących ról i swobodnego trybu życia, przelamywania tabu (szczególnie dotyczących seksualności) w swoich sztukach teatralnych oraz w życiu; była symbolem seksu; w kinie zadebiutowała w *Night After Night* (1932), największym sukcesem stał się film *Nie jestem aniołem* (*I'm No Angel*, 1933); wspomniany przez Egona Kischę skandal wiąże się z pierwszą napisaną i wyreżyszerowaną przez Mae West sztuką teatralną pt. *Sex* (1926), w której zagrała swą pierwszą rolę broadwayowską: aktorkę oraz resztę obsady aresztowano i postawiono przed sądem pod zarzutem obrazy moralności, a w kwietniu 1927 Mae West została skazana na 10 dni więzienia, wyrok skrócono ze względu na dobre sprawowanie, sprawa nadała jej rozgłos i zapewniła rozwój kariery jako aktorki i autorki tekstów scenicznych (m.in. *The Drug* z 1927 r., poruszająca temat miłości homoseksualnej, *Diamond Lil* z 1928 r., sukces komercyjny na Broadwayu). [przypis edytorski]

<sup>334</sup>*biedni ludzie, którzy nie mogą sobą pokierować i dlatego są sądzeni* — w oryginale gra słów *richten*: kierować, sądzić. [przypis tłumacza]

go i nie ma zatargu z pracodawcą, uznany za winnego może dzięki nocnemu sądowi stracić swą nieskazitelność, rok życia, a często mieć złamaną karierę życiową. (Srożąc się o północy sprawiedliwość powinna wydawać tylko wyroki uniewinniające, naznaczać kary pieniężne lub ostrzeżenia, wszystkie zaś inne kary przekazywać właściwym sądom — wtedy miałyby jakiś cel społeczny).

Poniżej, obok i naprzeciw budynku sądowego widać oświetlone szyby: kancelarie adwokatów. Za pomocą reklam świetlnych obwieszczają oni, że za każdego mogą złożyć żadaną kaucję. Ich przedstawiciele — często są nimi własne małżonki — zbliżają się do ludzi wchodzących do sądu dla zyskania klienta.

— *Somebody in trouble*<sup>335</sup>? — „czy ma pan nieprzyjemności?” — zapytuje, aby rozpocząć rozmowę.

Reporterzy siedzą w sali. Ale jeśli by nawet udało im się pochwycić coś niezwyklego z biegnącego pasa sprawiedliwości — dla wydawcy sensacja z nocnego sądu nie jest sensacją godną Nowego Jorku i rzuciłby tę wzmiankę do kosza.

Małymi człowieczkami są tutaj adwokaci, reporter, oskarżony i sędzia, który jest wszechmocny.

## SAMIUTKI W FILADELFII

Doktor Becker znajduje się po raz pierwszy w mieście, zamieszkałym przez miliony ludzi, z których nie zna nikogo, nikt nie zna jego, ba, nie mógłby nawet nikogo odwiedzić lub powołać się na kogoś lub na coś. Nie jest to zbyt przyjemne i napełnia doktora Beckera specyficznym poczuciem samotności i obcości.

Aby zaznaczyć się z tym miastem, Filadelfią, w którym nie zna nikogo, niczego, czyta na tramwajach nazwy stacji końcowych i ogląda widokówki. Z pierwszych wyłania się przystanek o nazwie Delaware River Bridge, z czego wnioskuje, że miasto leży nad Delaware. Widokówki pouczają, względnie przypominają mu, że Filadelfia wraz z Pensylwanią została założona przez Williama Penna, że tutaj nastąpiło ogłoszenie niepodległości Ameryki i że poza najbardziej czczonym człowiekiem Ameryki, a mianowicie Jerzym Waszyngtonem, działał tutaj drugi najbardziej szanowany bohater narodowy, mianowicie Benjamin Franklin<sup>336</sup>. Posiadają oni pomniki, odtworzone na widokówkach, zaś pomnik Williama Penna stoi też na dachu ratusza.

Istnieje również zgodnie z widokówkami Independence Hall i doktor Becker, zadowolony, że istnieje coś, o co może się zapytać, udaje się tam. Z jego hotelu na Chestnut Street (zawdzięcza go czarnemu tragarzowi) ma tylko parę kroków do budynku mającego takie znaczenie dla niego i dla historii ludzkości.

Po drodze zatrzymał się jednak, skuszony przez tablicę z napisem, który głosił: „*The Drs. La Grange and Jordan European Museum; established in Philadelphia in 1858, open daily, except Sunday, for gentlemen only*”<sup>337</sup>. Doktor Becker wszedł i znalazł się w *panopticum*<sup>338</sup>.

Na człowieka, który, jak wzmiankowano na wstępie, nie podejrzewał w milionowym mieście istnienia nawet jednego znajomego, musiało być nie lada niespodzianką, gdy nagle ujrzał naprzeciw siebie Wenus<sup>339</sup> i Kupidyna<sup>340</sup>, braci syjamskich<sup>341</sup> i wielu innych dawnych przyjaciół.

Ze szczególnym wzruszeniem ogląda doktor Becker nr 206, który przypomina mu popełnione w jego niemieckiej ojczyźnie przestępstwo: zamach bombowy w Bremerhaven dla zdobycia sumy ubezpieczeniowej; nie wpada jednak na domysł, że biust<sup>342</sup> J. G. Thomasa znalazł się tu tylko dlatego, że był on Anglikiem. Dopiero po chwili zauważa,

<sup>335</sup>*Somebody in trouble* (ang.) — ktoś ma kłopoty. [przypis edytorski]

<sup>336</sup>*Franklin, Benjamin* (1706–1790) — jeden z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych. [przypis edytorski]

<sup>337</sup>*The Drs. La Grange and Jordan European Museum; established in Philadelphia in 1858, open daily, except Sunday, for gentlemen only* (ang.) — Muzeum Europejskie dr. La Grange’a i dr. Jordana, założone w Filadelfii w 1858 r., otwarte codziennie, z wyjątkiem niedziel, tylko dla dżentelmenów. [przypis edytorski]

<sup>338</sup>*panopticum* — muzeum figur woskowych sławnych osób. [przypis edytorski]

<sup>339</sup>*Wenus* (mit. rzym.) — bogini miłości. [przypis edytorski]

<sup>340</sup>*Kupidyn* (mit. rzym.) — syn Wenus, bóg i uosobienie miłości. [przypis edytorski]

<sup>341</sup>*bracia syjamscy* — tu zapewne: Remus i Romulus, mityczni założyciele Rzymu. [przypis edytorski]

<sup>342</sup>*biust* (daw.) — popiersie. [przypis edytorski]

porównując katalog z woskową rzeczywistością, że wszystkie niemieckie postaci są z tego European Museum usunięte — prawdopodobnie od czasu wzięcia przez Amerykę udziału w wojnie<sup>343</sup>.

Znajduje jedynie Bismarcka — ale gdzież to go znajduje — zepchniętego w najdalszy kąt działu chorób wenerycznych. Boli to doktora Beckera i dlatego nie daje posłuchu kustoszowi muzeum, który zbliża się właśnie do niego, z brodą i w okularach, przedstawia jako specjalista chorób męskich i poleca przy sposobności.

Poleca się i doktor Becker. Udaje się do hallu Niepodległości i sąsiedniego Kongresowego<sup>344</sup>. Poza paru relikwiami znajduje się tam namalowana historia Ameryki w obrazach rodzajowych. Doktor Becker dziwi się, jak idyllicznie toczyła się historia Ameryki. Wszystko szło gładko od tego wieczoru dziesiątego października 1492 roku, gdy Krzysztof Kolumb szczególnie gorąco odmówił *Salve Regina* i pośmylny wiatr zagnał go bardzo szybko do utęsknionego brzegu Stanów Zjednoczonych, aż do dnia, gdy matka Washingtona żegna syna, nie bez dania swemu Jerzemu rady, aby pobił Anglików na Long Island i wziął 42000 jeńców. Dalej malarze XIX wieku uwiecznili w wesołych barwach uroczyste lądowania i święta, w których brali udział promieniejący szczęściem Indianie, ale nigdzie nie zaznaczono, w jaki to sposób ci goście zniknęli na zawsze z tego świata.

Nie znalazł również doktor Becker sceny uwożenia Murzynów, którzy odegrali przecież decydującą rolę w historii Ameryki.

Wkrótce potem zauważyliśmy pod gołym niebem wschodniej części Filadelfii człowieka, który wydał nam się znajomy. I rzeczywiście, był to doktor Becker, który wszedł do pierwszego lepszego tramwaju i wysiadł, gdy skusiła go do tego okolica. Spełniła, czego się od niej spodziewano. Doktor Becker przechadzał się po umajonych wzgórzach, obok altanek, niestrzyżonych trawników i nęcącej murawy, po skalistych ścieżkach i szerokich uliczkach, a park w zimowej osłonie był najpiękniejszy ze wszystkich, jakie widział kiedykolwiek.

Zaznajomiwszy się za pośrednictwem dziecka w wózek z jego babką, zapytuje doktor Becker o nazwę tej okolicy. Wyjaśnienie, że jest to Fairmont Park, jest wypowiedziane tak zdziwionym tonem, że doktor Becker uważa za stosowne, by dla zatarcia tej luki w swym wykształceniu pochłubić się wiadomościami zaczerpniętymi z tablic tramwajowych. Wskazując na rzekę u swoich nóg, zaznacza, że Delaware jest wspaniałe.

— Nie, panie, to nie jest Delaware, to Schuylkill River, Delaware płynie po przeciwnej stronie Filadelfii. Czy rzeczywiście nigdy pan nie był w naszym mieście?

Filadelfia należy do największych miast kuli ziemskiej i pytanie to, z lekką domieszką niedowierzania zadane, jest tu bardziej na miejscu niż na przykład w herbaciarni wioski Karpilowa na Kaukazie, gdzie odpowiedź doktora Beckera na podobne pytanie wzbudziła wesołe ożywienie przy wszystkich stołach: ten człowiek jest pierwszy raz w życiu w Karpilowie. Na szczęście w chwili, gdy babcia z Fairmont Park zaczynała wątpić o nieświadomości cudzoziemca, *baby*<sup>345</sup> uśmiecha się, a gdy wnuczek się śmieje, miękną serca wszystkich babek. Przebacza doktorowi Beckerowi, że rzeczywiście czy też pozornie nie był jeszcze nigdy w Filadelfii, staje się gotowa do udzielenia dalszych wyjaśnień i wskazuje mu willę na wzgórkach.

Patrzy w kierunku jej ręki.

— Piękny dom — mówi, ale okazuje się to błędem.

— To hańba Filadelfii, należałoby go usunąć.

— Tak — dodaje doktor Becker — zawadza trochę tam na górze.

Ach, popęlnia wciąż błędy, babka zauważa twardo:

— Nie, wygląda cudownie i dlatego zostawia się go w spokoju, chociaż jest hańbą. Czy słyszał pan już o generale Benedyckie Arnoldzie<sup>346</sup>?

<sup>343</sup>od czasu wzięcia przez Amerykę udziału w wojnie — chodzi tu o I wojnę światową 1914–1918. [przypis edytorski]

<sup>344</sup>hallu Niepodległości i sąsiedniego Kongresowego — Independence Hall oraz Congress Hall w Filadelfii. [przypis edytorski]

<sup>345</sup>*baby* (ang.) — dziecko, niemowlę. [przypis edytorski]

<sup>346</sup>*Benedict Arnold V* (1741–1801) — kupiec z Connecticut, generał Armii Kontynentalnej podczas wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych (1775–1783), zasłużony w walkach o zajęcie Fortu Ticonderoga (1775), podczas inwazji na Kanadę brytyjską (1775), w zwycięskiej bitwie o wyspę Valcour na jeziorze Champlain (1776) oraz w bitwie pod Saratogą (1777); zapamiętany został jednak przez Amerykanów głównie z powodu nieudanej

Oczywiście, jest głośny w Europie. Znakomity... Był to wielki łajdak i zdradził Amerykę podczas wojny o wolność. Największy łotr Ameryki żył współcześnie w Filadelfii z jej najszlachetniejszym człowiekiem. A ten dom na górze był jego domem. My, Patriotyczna Liga Kobiet, chcielibyśmy go zburzyć, lecz...

Lecz *baby* wydaje się to śmieszne.

Babcia wskazuje inną rzecz, godną widzenia.

— Tam, na skalistych urwiskach, znajdzie pan wiele jaskiń, gdzie przed stu laty przebywali ich mieszkańcy — sami Niemcy. Gminę niemiecką opanował jakiś szaleńczy poryw, aby żyć w lesie i żywić się korzeniami. Matka moja знаła jeszcze kilku z tych eremitów. Opowiadała mi, że byli to dobrzy ludzie. Ale ja w to nie wierzę.

Wiemy, jacy są Niemcy i jak straszliwie torturowali oni podczas wojny jeńców amerykańskich.

*Baby* dość już się naśmiała, a doktor Becker otrzymał wystarczającą ilość ustnych wyjaśnień, w każdym razie więcej, niż mógłby oczekiwać po obcym milionowym mieście. Jedzie, zadowolony z Filadelfii, z powrotem do swego hotelu.

## HANDEL LUDŹMI W HOLLYWOOD

Nie tylko nędza statystów wstrząsa szczęśliwcem, któremu udało się przekroczyć próg państwa filmu. Wielką jest często nędza gwiazd.

Mieliśmy nieopisane szczęście spotkać u wejścia pewnej willi wszechświatowej sławy królową filmu X, która się właśnie oddalała.

— Chciała mnie naciągnąć — rzekł właściciel domu.

— Naciągnąć? Po co? Dlaczego?

— Nie może zapłacić komornego.

— Nie rozumiem.

— Nie ma pan pojęcia, co to jest kontrakt, panie Kisch.

Jak to! Mr. Kisch nauczył się podczas wojny, że kontrakty są strzępkim papieru. Ale teraz Mr. Kisch widzi, że są nim tylko w prawie narodów, tylko tam, gdzie można je po prostu podrzeć i poświęcić miliony ludzi, gdy wymaga tego korzyść paru ludzi.

Nie są one żadną miarą strzępkim papieru w przemyśle na przykład filmowym. Tutaj nie można porwać kontraktu, bez względu na to, czy dzięki niemu uprawia się jawnie handel ludźmi i niewolnictwo, czy też nie.

Rzadko można się czegoś o tym dowiedzieć. Ci właśnie, którzy na tym cierpią, najmniej sobie życzą wyjawienia tych tajemnic. Od dawna już nie używa się szklanych domów do zdjęć filmowych — mieszka się w nich teraz. Rzadkie są teraz zdjęcia zewnętrzne, ale życie prywatne przeniosło się na zewnątrz. Diva nie zdejmuje biustonosza, idąc spać. Czyż może być pewna, że w kącie pokoju nie ukryła się jakaś wielbicielka, reporter filmowy lub co najmniej aparat?

— Co! — krzyknięto by z przestachem. — Chce pan pisać o kontraktach, panie Kisch? Cóż to może obchodzić ogół i co to ma wspólnego ze sztuką?

Bądź co bądź obchodzi to ogół o wiele więcej niż małżeńskie czy też osobiste życie artystów filmowych, a ze sztuką ma przynajmniej tyle wspólnego, co hollywoodzki film. Gdyby wszelkie stosunki społecznie nie były tam tak zakłamanie, inaczej by wyglądały wytwory Hollywoodu.

Mr. Kisch chce pisać o kontraktach.

Korzyść, Handel, Niewola

---

próby poddania wojskom brytyjskim amerykańskiego fortu w West Point w stanie Nowy Jork w 1780 r. Spisek został wykryty i udaremniony: Amerykanie złapali brytyjskiego majora Johna André z kompromitującymi dokumentami, na wieść o tym gen. Arnold uciekł na stronę brytyjską w dół rzeki Hudson na statku „Vulture”, umknąwszy pościgowi wysłanemu przez gen. George’a Waszyngtona, który zajął jego miejsce w West Point; imię Benedicta Arnolda stało się synonimem spiskowca i zdrajcy. [przypis edytorski]



Niegdyś w filmie Lubitscha<sup>347</sup> *Pocałuj mnie jeszcze raz*<sup>348</sup> grała młoda dziewczyna, nazwiskiem Clara Bow<sup>349</sup>, i spodobała się. Ben Schuberg, wtedy drobny producent filmowy, zaangażował ją z niewielką pensją i pięcioletnim zobowiązaniem (oczywiście jednostronnym — z jej strony) dla swoich bardzo tanich filmów. Ben Schuberg zrobił karierę, stał się kierownikiem produkcji „Famous Players” i miał prawo kupowania dla tej bogatej firmy ludzi — czyli kontraktów.

Któż może być bliższym obecnemu *general producer*’owi<sup>350</sup>, Schubergowi, od dawnego *independent producer*’a<sup>351</sup>, Schuberga? Kupuje zatem Schuberg od Schuberga kontrakt z Clarą Bow. Sprzedawca Schuberg robi dobry interes, ale i nabywca źle na tym nie wychodzi i może z powodzeniem pochlubić się wobec firmy tym kupnem. Clara Bow otrzymuje przecież co tydzień 4–5 tysięcy listów od wielbicieli, a ta *fan mail*<sup>352</sup> (fan — skrót od fanatyk) posiada na hollywoodzkiej giełdzie ludzkiej wartość akcji jako oznaka popularności. Jeszcze większe ma zresztą znaczenie raport kasowy kinoteatrów. Ale i *box office*<sup>353</sup> jest stale pełne przy Clarze Bow.

Clara nie ma zupełnie materialnego udziału w interesie. Gdyby chciała zerwać kontrakt, nie mogłaby filmować dla innego towarzystwa, gdyż wszystkie one są między sobą skartelowane. Otrzymuje co najwyżej dodatek do pensji *to be happy*<sup>354</sup>, gdyż inaczej biegałaby po sądach, a może i do prasy, a wiadomości o kontraktach są jedynym rodzajem *publicity*<sup>355</sup>, której nie lubią w Hollywood.

---

Sue Carrol, *recte*<sup>356</sup> panna Lederer z Chicago, przybyła do Hollywood i poznała tam Mac Leana, młodego komika, produkującego filmy. Zaangażował dziewczynę z pięcioletnim kontraktem, wzrastającym od 150 do 300 dolarów. Ponieważ jego produkcja była bardzo skąpa, wypożyczał Sue Carrol w przerwach za dobrą cenę innym firmom, w końcu za 1500 dolarów gaży miesięcznej Fox Filmowi na przeciąg roku. Płaca panny Sue Carrol wzrosła właśnie na podstawie kontraktu ze 150 do 200 dolarów.

Proponuje ona swemu posiadaczowi 5000 dolarów gotówką jako odstępnę, ale on nie zgadza się na rozwiązanie kontraktu. Wtedy wniosła ona skargę do sądu, i sąd rozstrzygnie tę sprawę.

— Tak, Mr. Kisch, kontrakt to kontrakt! Mogła go przecież nie podpisywać!

---

Gdyby ten Mac Lean, właściciel, na podstawie kontraktu, Sue Carrol, był jeszcze wciąż producentem, nie mógłby za wypożyczenie żądać osiem razy tyle, wiele wynosi gaża<sup>357</sup>. Firmy ułożyły się bowiem między sobą, aby za wypożyczenie ludzi płacić tylko ich gażę plus 25 procent. Trzeba zatem używać już innych tricków, aby obejść tę prostą klauzulę i móc otrzymać wyższą cenę za wypożyczenie.

Na przykład Lupe Velez ma 1250 dolarów gaży. Konkurencja proponuje, że mogłaby chętnie zatrudnić tę damę na przeciąg sześć do ośmiu tygodni — czyli za 10 000 dolarów. „Nie — mówi pryncypał damy z zimną krwią — możesz ją mieć zaraz, ale tylko za 35 000 dolarów”. „Nanu? — pyta konkurencja w płynnej angielszczyźnie”. „Tak — chcemy

---

<sup>347</sup>Ernst Lubitsch (1892–1947) — niem. reżyser, scenarzysta i producent filmowy współpracujący z Hollywood; współpracował m.in. z Gretą Garbo i Polą Negri; do najbardziej znanych filmów w jego reżyserii należą: *Madame Dubarry* (film niemy, 1919), *Patriota* (1928), *Sztuka życia* (*Design for Living*, 1933), *Wesola wdówka* (*Merry Widow*, 1934), *Ninoczka* (1939), *Sklep za rogiem* (*The Shop Around the Corner*, 1940), *Być albo nie być* (*To Be or Not to Be* 1942) czy *Niebiosa mogą zaczekać* (*Heaven Can Wait* 1943); kilkakrotnie nominowany do Oskara, w 1946 roku otrzymał Nagrodę Akademii za całokształt twórczości. [przypis edytorski]

<sup>348</sup>*Pocałuj mnie jeszcze raz* — oryg. *Kiss Me Again*, film niemy w reż. Ernsta Lubitscha z 1925 r. na podst. scenariusza Hannsa Kräly; powstał w niemieckim okresie twórczości reżysera, obecnie obraz jest uznany za zaginiony. [przypis edytorski]

<sup>349</sup>*Gordon Bow, Clara* (1905–1965) — amerykańska aktorka filmowa niezwykle popularna w epoce kina niemego, symbol seksu lat 20. XX wieku. [przypis edytorski]

<sup>350</sup>*General Producer* (ang.) — producent generalny. [przypis edytorski]

<sup>351</sup>*Independent Producer* (ang.) — niezależny producent. [przypis edytorski]

<sup>352</sup>*fan mail* (ang.) — poczta od fanów. [przypis edytorski]

<sup>353</sup>*box office* (ang.) — kasa biletowa. [przypis edytorski]

<sup>354</sup>*to be happy* (ang.) — aby być szczęśliwa. [przypis edytorski]

<sup>355</sup>*publicity* (ang.) — reklama. [przypis edytorski]

<sup>356</sup>*recte* (łac.) — właściwie. [przypis edytorski]

<sup>357</sup>*gaża* — wynagrodzenie dla pracownika scenicznego, np. aktora. [przypis edytorski]

za pięć tygodni rozpocząć z nią nakręcanie filmu — łże sprzedawca — a jeśli ma grać u was, nic z tego nie wyjdzie. Mogłaby wziąć się do tego dopiero za pięć miesięcy. Musisz zapłacić za te pięć miesięcy plus 25 procent”. A tamten płaci.

— Oczywiście, Mr. Kisch, to zdarza się nawet bardzo często, ostatecznie towarzystwa nie płacą swoim aktorom pensji po to, aby posługiwała się nimi w razie potrzeby konkurencja!

---

Towarzystwo filmowe A chce zaangażować reżysera, który jest zatrudniony w firmie B, skąd mógłby wystąpić na własne żądanie.

Wstępna umowa między A i reżyserem opiewa na tysiąc pięćset dolarów tygodniowo.

— A jaką pan ma teraz gażę? — pyta A.

Zmyślanie nie miałooby celu, gdyż A i tak poinformuje się u B. Firmy zobowiązały się zresztą między sobą do udzielania zgodnych z prawdą informacji o cenach ludzi, a nawet o wysokości wygasłych właśnie umów. Reżyser odpowiada zatem uczciwie „900”.

— Niech pan nie weźmie nam tego za złe — mówi na to A, rozdzierając kontrakt — oczywiście kupimy teraz pana od B!

---

Kontrakty opiewają najwyżej na pięć lat, roczna lub półroczna umowa jest jednostronna, to znaczy, że może być przedłużona jedynie przez firmę.

Nawet prywatnie nie wolno artyście porozumiewać się z inną firmą, nawet prywatnie nie wolno żadnej firmie porozumiewać się z gdzie indziej zaangażowanym artystą. Jest to zerwanie kontraktu, karane pięcioletnim pozbawieniem pracy.

Bardzo często ma miejsce fakt następujący: w ostatnim tygodniu listopada artysta zwraca się do firmy zapytaniem, czy może rozwiązać kontrakt, wiedząc, że chce go zaangażować inna firma. W jej nowym filmie jest jedna rola, dla której reżyser chce go pozyskać. Pyta zatem swych szefów: „Czy mogę rozwiązać kontrakt?” — „Nie”. Ale w tydzień później, 30 listopada, towarzystwo nie przedłuża umowy, a jego rola w innej firmie jest już obsadzona. Może teraz wałęsać się, szukając pracy, albo zwrócić się do jednego z „czternastu ratujących w potrzebie”, aby to zrobił za niego.

Ale czternastu hollywoodzkich agentów tego nie robi. Posyłają jedynie spisy do przedsiębiorców, „Zastępujemy...”.

Jeśli ta propozycja pociągnie za sobą odpowiedź albo aktor sam zdobędzie sobie *engagement*<sup>358</sup>, agent otrzymuje dziesięć procent gaży. Szachrajstwa są wykluczone. Wysokość gaży nie jest traktowana w międzypaństwowych stosunkach firm jako tajemnica zawodowa. Aktor otrzymuje teraz co najwyżej tyleż, co podczas poprzedniego *engagement*, gdyż jest teraz bez miejsca, wolnym artystą, *freelancer*<sup>359</sup>. Rzadko wzrasta czyjaś gaża cyfrowo: gdy aktor osiąga powodzenie lub stara się o niego jednocześnie kilka firm.

Osiągnął powodzenie! Powodzenie zależy od właściwej roli. Kto jej nie otrzyma, ucho- dzi w najlepszym razie za dobrego, o ile stwarza dla cieszącego się powodzeniem filmu dobre warunki dla zachowania go dalej. W ogóle tego rodzaju aktorzy pracują w znacznie gorszych warunkach niż artysta czołowy, muszą obejmować każdą rolę, nawet czarnego charakteru, przez co wielu traci swój cały kapitał — popularność sympatycznego młodzieńca. Dzięki filmowi bowiem kula ziemską stała się ową wioską tyrolską, która wygwizdała odtwórcę Franciszka Moora<sup>360</sup>.

Odrzucić rolę? Maurycy Stiller<sup>361</sup> wzbraniał się reżyserować *Drogę żądzy* i marnować swój artyzm, doskonałych artystów i miliony dolarów na urzeczywistnienie tak idiotycznego scenariusza.

— Czy wie pan — zapytał z góry Schuberg — że przez tę odmowę traci pan swoją gażę 25 000 dolarów?

— No to co? — odpowiedział Szwed po berlińsku.

---

<sup>358</sup>*engagement* (ang.) — zaangażowanie, zatrudnienie. [przypis edytorski]

<sup>359</sup>*freelancer* (ang.) — wolny strzelec. [przypis edytorski]

<sup>360</sup>odtwórcę *Franciszka Moora* — pierwszym odtwórcą tej roli był August Wilhelm Iffland, niemiecki aktor. [przypis edytorski]

<sup>361</sup>*Stiller, Maurycy* (1883–1928) — fiński reżyser, scenarzysta, aktor filmowy i teatralny, jeden z czołowych twórców kina niemieckiego. [przypis edytorski]

Nie każdy zostaje z tym samym wymiarem kary wtrącony do Sing Sing<sup>362</sup> filmowego, jednemu jest łatwiej, innemu ciężiej, jeden uważa się za szczęśliwego, jeśli jego klatka jest ze złota, inny, jeśli uważa swoją klatkę za złotą, a inny znów, gdy pozostali w ojczyźnie uważają jego klatkę za złotą...

Przychodzi się w odwiedziny do młodej artystki. Mieszka więcej niż skromnie, więcej niż ubogo. Za to z dumą pokazuje pisma swojej ojczyzny, powiedzmy Hiszpanii. Jej portret widnieje na karcie tytułowej, pocztówki, które ona posyła, są zaopatrzone autografem, każde ojczyste pismo telegrafuje po jej aforyzm dla świątecznego numeru, podlotki i młodzi chłopcy zapytują ją listownie, jak dopiąć tego, żeby też osiąść w szczęśliwym Hollywoodzie, otrzymuje propozycje matrymonialne. Ona zaś pozostaje w Hollywoodzie być może dlatego, być może w nadziei, że choć raz dostanie rolę.

Miłość i małżeństwo są objęte ścisłymi przepisami. W każdym kontrakcie jest zaznaczone, że firma może go rozwiązać, jeśli sprawowanie się zaangażowanego względnie zaangażowanej wzbudza jawne zgorszenie.

A często to robi, gdyż mimo że potężny jest przemysł filmowy, potężniejsza jest klaka, szczególnie głośzona przez prasę, a jeszcze bardziej wszechwładna potęga obłudy seksualnej na tym purytańskim, świętoszkowatym kontynencie.

Jeśli jakiś sławny artysta wpadł w sidła jednej damy, która wślizgnęła się doń jako uczennica gry scenicznej, a osiągnąwszy cel, wystąpiła z propozycjami małżeńskimi — dobrze robi, jeśli skorzysta z samolotu, wylatującego o 6:00 z Los Angeles do Nowego Jorku, aby zdążyć na najbliższy statek do Europy. Koledzy pomogą mu przy wyjeździe. Nie bez zazdrości słuchają czczone, ubóstwiane wielkości kinowe, gdy przybysz z Europy wspomni o jakiejś skromnej przygodzie. Nie mogą sobie na to pozwolić. Jeśli idzie się w Los Angeles trochę pohulać z ulubieńcem świata, przebiera on się i daje towarzyszowi wskazówki — aby nie robić żadnych aluzji, nie mówić nawet o filmie; lęka się — błahy figiel może być powodem szantażu lub skandalicznego artykułu. Co gdzie indziej uchodzi za flirt, tutaj jest postępkami ryzykownym, co jest samo przez się zrozumiałe w atelier filmowym starego świata, w nowym jest wyjątkiem. Reżyser w Hollywood wyrzeka się w atelier podania panience ręki celem pomocy.

Małżeństwo i miłość przebiegają bez tarć jedynie w tej samej kategorii gaź. Najrozsądniejsze jest, gdy Douglas Fairbanks<sup>363</sup> poślubia Mary Pickford<sup>364</sup> i obydwójce pędzą życie razem. Ale, niestety, nie zawsze stosunki przedstawiają się tak prosto. Często artystce odbierają na skutek braku zdolności rolę, podczas gdy małżonek jej otrzymuje nowe wspaniałe *engagement*. W tydzień później małżeństwo, które stało się megaliansem<sup>365</sup>, rozchodzi się. On szuka sobie gwiazdy na małżonkę.

Ale nie każdy, którego publiczność nazywa tak lęklwym szeptem, ma prawo do tytułu gwiazdy. Są okrzykane wielkości, które miesiącami pozostają bez zajęcia i bez gaży i, jak widzieliśmy, muszą sobie pożyczać na komorne. A i ten nawet, który jest szczerzej wynagradzany od Piotra Schlemihla<sup>366</sup> za sprzedaż swego cienia, otrzymuje jedynie drobny ułamek tego, co zarabiają przemysłowcy filmowi, Mr. Irving Thalberg, mający 28 lat, *general producer* Metro Goldwyn, zarabia na przykład milion dolarów rocznie. Jak

<sup>362</sup>*Sing Sing* — zakład karny o zaostrożnym rygorze. [przypis edytorski]

<sup>363</sup>*Fairbanks, Douglas* (1883–1939) — amerykański aktor filmowy, znany z ról nieustraszonych bohaterów w filmach przygodowych: *Znak Zorro* (1920, tytułowy bohater), *Trzej muszkietierowie* (1921; d'Artagnan) *Żelazna maska* (1929, d'Artagnan), *Robin Hood* (1922, rola tytułowa); producent, scenarzysta i reżyser; współzałożyciel wytwórni United Artists w 1919 r. oraz Amerykańskiej Akademii Filmowej w 1927 r. [przypis edytorski]

<sup>364</sup>*Pickford, Mary*, właśc. *Gladys Marie Smitbur* (1892–1979) — aktorka, producentka filmowa i scenarzystka amerykańska kanadyjskiego pochodzenia, gwiazda kina niemego, znana m.in. z ekranizacji filmowych powieści dla młodzieży (*Mala księżniczka* 1917, *Polyanna* 1920), roli w *Rosicie* (1923) Ernsta Lubitscha, a także roli w filmie dźwiękowym *Kokietka* (1929); prywatnie żona Douglasa Fairbanka, z którym założyła w 1919 r. pierwszą niezależną wytwórnię filmową, United Artists przy współudziale Charliego Chaplina i D.W. Griffithem. [przypis edytorski]

<sup>365</sup>*mezalian* — małżeństwo nierówne, z osobą z niższego stanu. [przypis edytorski]

<sup>366</sup>*Schlemihl, Peter* — tytułowa postać noweli Adelberta von Chamisso (1781–1838) *Peter Schlemihls wundersame Geschichte* (*Historia cudowna Petera Schlemihla*; 1814); bohater opowieści sprzedał diabłu swój cień w zamian za portfel bez dna, co spowodowało na niego szereg niepowodzeń i odrzucenie społeczne. [przypis edytorski]

widzicie, jest to interes, który coś niecoś przynosi. (Ale nie każdy to potrafi, musi się pan na to zgodzić, Mr. Kisch).

## O ROBOTNIKACH KONFEKCYJNYCH

Wieczorem przed *Thanksgiving Day*<sup>367</sup>, świętem narodowym, urządziły panie Garment Workers liczne zebranie w Webster Hall.

Jedna z bram do Webster Hall, świątecznie oświetlona, prowadziła do sali, w której grupa młodych kupców i przedstawiciele handlowych obchodziła swój *Thanksgiving-Ball*. Przez ten portal omyłkowo wszedł doktor Becker, ale ponieważ było o pół godziny za wcześnie, usiadł w przedpokoju na krześle.

Co chwila przychodziło wielu innych ludzi, którzy podobnie weszli niewłaściwie; włączający się wokół komitet balowy pouczali ich, że zebranie krawców damskich jest tuż obok. Za każdym razem była ta wiadomość dawana ironicznie, i gdy robotnicy zawracali, świątecznie postrojona kupiecka młodzież robiła uwagi, dowcipy, stroiła grymasy, miny albo śmiała się poza nimi z zastanawiającym brakiem zrozumienia, z którym się w tym kraju wychodzi naprzeciw ruchowi robotniczemu. Obywatel uważa walkę o zapłatę za bezmyślną, a strajk za nieinteresujący. „Nasz robotnik jedzie własnym autem, ma w domu radio i więcej wcale nie chce” — to jest sąd stuprocentowego Amerykanina (który rzeczywiście jest tym bardziej stuprocentowym, im większy procent europejskich błędów ma do ukrycia).

Pół godziny później nie mylił się już nikt więcej w obydwóch bramach wejściowych do Webster Hall. Ulica była czarna od ludzi, którzy się cisnęli na *miting*<sup>368</sup>. Nikt nie przybył we własnym aucie, rzadko kto wyglądał, jakby miał w domu auto, a na to, żeby już nic więcej nie chcieli, zupełnie przebieg zebrania nie wskazywał.

Był to dla europejskich pojęć doktora Beckera przebieg prawdziwie godny uwagi. Referat był wygłoszony w angielskim języku, ale już następny mówca oponował po włosku, jak gdyby to było naturalne i dla każdego zrozumiałe, mówił namiętnie, długo i głośno i bronił anarchistycznego stanowiska nowojorskiej gazety „Rova di Liberta”; silnie przeczyło mu dwóch mówców żydowskich. W zadziwiającej angielszczyźnie referował pewien Grek z Local Union of Greek Fur Workers; greccy robotnicy tworzą lwią część warsztatów, które należą do kapitalistycznych podobnie zamkniętych zorganizowanych ziomków. (*United Manufacturers Organisation*). Tak więc słyszał doktor Becker tutaj, w południowo-wschodnim Nowym Jorku, jak wśród biednych pracowników igły referuje się w języku *Boskiej Komedii*, odpowiada w języku *Odysei* i replikuje w języku *Nibelungów*, po niemiecku, a później w drugiej językowej odmianie — po żydowsku. Ten opanował zebranie.

Ciężki i wyczerpujący przemysł krawiecki składa się po większej części z uciekinierów przed pogromem i ich synów; są oni czytelnikami wielkich żydowskich pism ludowych, socjaldemokratycznego „Forwerts” i komunistycznej „Freiheit”, i przywódcami organizacji krawieckich, przeciwko którym przedsiębiorcy operują oczywiście antysemitycznymi argumentami i znajdują w tym oddźwięk u wielu chrześcijańskich robotników.

Choć mówcy i słuchacze zebrania byli różnych przekonań politycznych i wielojęzyczni, zgodni byli zupełnie w swoim zwątpieniu. Powody tego były wyjawione. Międzynarodowe stowarzyszenie krawców damskich, które dawniej liczyło 125 000 członków, jest od czasu 14 miesięcy trwającego strajku od 1926 do 1927 prawie skazane na bezczynność, czterdziestogodzinny tydzień pracy zniesiony, ludzie są zmuszeni pracować 54 i więcej godzin tygodniowo w *speed-up*<sup>369</sup>, systemie poganiania, często także w sobotę po południu i w niedzielę, zapłata tygodniowa jest zniesiona i prawie wszędzie wprowadzona zapłata od sztuki, dochód spadł o 30 procent, fundusz zapomogowy dla bezrobocia, który przed dwoma laty wynosił jeszcze pół miliona dolarów, został zupełnie zlikwidowany, a bezrobocie jest ogromne.

<sup>367</sup> *Thanksgiving Day* (ang.) — Święto Dziękczynienia, obchodzone w Kanadzie w drugi poniedziałek października, zaś w Stanach Zjednoczonych w czwarty czwartek listopada jako pamiątka pierwszych dożynek mieszkańców kolonii Plymouth w 1621 r. [przypis edytorski]

<sup>368</sup> *miting* (z ang. *meeting*) — spotkanie. [przypis edytorski]

<sup>369</sup> *speed-up* (ang.) — przyspieszenie. [przypis edytorski]

Gdy przy obserwacji nowojorskiego życia ulicznego nie ograniczyć się tylko do eleganckiej Fifth Avenue, ale do spekulującej i gestykułującej Wall Street, do krzyczącej światłem Broadway, to spotyka się rezerwę armii przemysłowej, bezrobotnych i szukających pracy. Tam, gdzie się Siódma ulica krzyżuje z 36., 37. i 38. ulicą, jest rynek bezrobotnych. Starzy krawcy z Galicji i z Bukowiny, z Besarabii i z Ukrainy, spod Mińska, Kijowa, Kiszyniowa, Wilna, i Whitechapel — przed 40 laty, żywiąc nadzieję, śniąc i modląc się, przybyli przez morze i stoją teraz na rogach ulic, żywiąc nadzieję, śniąc i modląc się, że przyjdzie jakiś pracodawca, ażeby na tydzień albo przynajmniej na jeden dzień, albo przynajmniej na tuzin płaszczy futrzanych dać zamówienie.

Niektórzy mają posiwiałą brodę i włosy ufarbowane na czarno, chcąc się wydać przedsiębiorcy młodszymi. Daremnie. Są oni tragicznym wydaniem dowcipu o starym Żydzie przed kasą teatralną w Czerniowcach: zasłaniając obiema rękami swoją wijącą się brodę, żąda studenckiego biletu. Kilka bloków dalej, na ulicy 27., 28. i 29. pomocnicy kuśnierscy, siwi i młodzi, krojcy i wykończarze, stebnujący i szyjący, czekają przez cały dzień na szczęście, które giełda pracy przyniesie — istotnie najskromniejsze szczęście giełdowe.

Okna sklepowe, w które zazdrośnie spoglądają pozbawieni pracy robotnicy kuśnierskiej branży, nie odróżniają się niczym od Leipziger Brühl: brązowe futra niedźwiedzie, srebrno-szare lisy, biało nakrapiane skóry antylopy, brązowy bóbr i czarny karakuł zostaje w świetle ulicy skrojony, podczas gdy handel w rembrandtowskim wnętrzu sklepu odbywa się z widoczną żywością.

Lokale handlowe są standaryzowane tak samo, jak i szyldy firmowe. Na oknach wysokich domów w dzielnicy krawieckiej widnieje dwieście albo trzysta razy ten sam napis: „*Cloak and Dressmaker*”<sup>370</sup>, a poniżej za każdym razem inna nazwa firmy. Podobnie jest w posępnych domach przecznic, które stają się tym posępniejsze, im bardziej oddalają się od Siódmej Avenue na wschód i na zachód.

Windy nie wykazują żadnego podobieństwa do wind innych gmachów City, do eleganckich wind domów mieszkalnych, hoteli, banków, i biur, są to elewatory fabryczne, obliczone na towary i robotników, a więc bez posadzki, bez dywanu i bez obicia, tak, nawet bez bocznej ściany, a windziarz nie posiada prócz liberii jeszcze wielu innych rzeczy.

Dziesięciu do piętnastu ludzi mieści śpiesząca się klatka, a zawsze przewozi żelazne taczki z lalkami modelowymi — każda nosi mnóstwo toalet<sup>371</sup> na swym wzorowym cieple — jadąc do góry i na dół. Od majstra do *jobbera*<sup>372</sup>, który wydaje materiał i polecenie, dyktuje ceny i termin, wznoszą się i opuszczają ubrane manekiny, do góry do obejrzenia, na dół do wykończenia, na górę do dostarczenia klientowi. Jeden warsztat jest podobny do drugiego, czy jest fabryką mającą więcej niż stu robotników, przeważnie Włochów i Murzynów, czy też małym *contracting shop*<sup>373</sup> z dwunastoma, przeważnie wschodnio-żydowskimi krawcami, czy wewnątrz szyje się suknie damskie, czy płaszcze, czy też ubrania męskie: wzdłuż okien szerokie, zawalone towarami stoły krojczego. Na małych stołach ma on nożyce, na większych nóż, poruszający się przy pomocy elektryczności, aby skroić podług podłożonego wzoru trzydzieści materiałów w rozmaitych kolorach na suknie takiego samego fasonu i wielkości. Wewnątrz tej ramy z szerokich stołów pracują mężczyźni; kobiety są zajęte przy maszynach do szycia albo dziergają w ręku dziurki do guzików. Jak marionetki poruszają się prasowacze z żelazkami, do których prowadzi trzydzieści zaplątanych drutów przewodzących. Egzaminujący ubierają lalki z modelami, patrząc bacznym wzrokiem.

W *shops* na Trzeciej Avenue robotnicy uczuwają w odstępach jednonumitowych jakby uderzenie w głowę: migocąca ciemność przebiega przed oczyma i mózg ich drga. To jest kolej powietrzna; miejscowe pociągi i ekspresy z północy na południe i z południa na północ muskają okna. Najgłębiej schowane naczynia tłuką się, nie rozumie się swych własnych słów, i przez sen nawet turkoczą wagony, ale pracować tutaj trzeba, prawie połowa pracowników konfekcyjnych znajduje się na chodniku. Krawcy są już przyzwyczajeni do huku pociągów, doktor Becker wzdryga się jeszcze. Stąpa po pstrych galgankach, odpadkach z materiałów i przędzy, wędrując po tych warsztatach, reprezentant starej Rosji

<sup>370</sup>*cloak and dressmaker* (ang.) — szycie płaszczy i sukni. [przypis edytorski]

<sup>371</sup>*toaleta* (daw.) — suknia, strój. [przypis edytorski]

<sup>372</sup>*jobber* (ang.) — hurtownik. [przypis edytorski]

<sup>373</sup>*contracting shop* (ang.) — sklep wykonawczy. [przypis edytorski]

w Nowej Ameryce. Przy maszynach do szycia, przy zwojach materiałów, przy dziurkach do guzików, przy manekinach i przy żelazkach zatrzymuje się robota, gdy doktor Becker przechodzi; usiłują jego, mniemanego kupca konfekcji z Berlina, wciągnąć w rozmowę.

Jedni, i ci wyglądają jak mówcy z Webster Hall na *Thanksgiving Day*, chcą się dowiedzieć o zapłatę i czas pracy fabrycznych krawców w Niemczech, o siłę stowarzyszeń<sup>374</sup>. Inni zaś pytają, jaki kapitał jest konieczny, aby się osiedlić w Niemczech, i wiele<sup>375</sup> pieniędzy można tam zarobić jako przedsiębiorca, upodabniając się w tej chwili do chciwego *contractor'a*, który jest wściekły, gdyż zjawienie się odwiedzającego odciąga jego ludzi od pracy.

## CMENTARZ BOGATYCH PSÓW

Nie udało się doktorowi Beckerowi dotrzeć do Potter's Field, na cmentarz ubogich na wyspie Hart.

Był już bardzo blisko, na półwyspie City Island, skąd odjeżdżała motorówka. Właśnie gdy doktor Becker chciał wejść na pokład, ładowano na niego kilka trumien.

Dzień był zimny i przesiąknięty wilgocią.

Dwaj strażnicy, wysunięci, że się tak wyrażę, jak przyczółek mostowy, sprawdzili legitymację doktora Beckera. Była ona wystawiona przez władze sądowe stanu Nowy Jork dla wszystkich podległych jej instytucji, a ponieważ dwie z nich są na wyspie umarłych, nic więc nie mogło stanąć na przeszkodzie odjazdowi doktora Beckera. Ale niestety termin ważności przepustki wygasł przed tygodniem.

Daremnie starał się doktor Becker przekonać przednią straż, że nie jest żadnym podejrzanym wścibskim. Jest chyba niemożliwe, aby na odwiedzenie cmentarza potrzeba było specjalnego pozwolenia, kto wetknie pogrzebanemu trupowi rewolwer, kto zechce mieszkańcom cmentarza być pomocnym w ucieczce?

— Co by było — ciągnął dalej doktor Becker — co by było, gdybym był osieroconym przez jednego z tych obywateli?

— Jeśli tylko wykazałby pan stopień pokrewieństwa, dostałby pan urzędowe pozwolenie.

— A jeśli chcę odwiedzić grób jednego z wielu nieznanych?

— Wtedy musi pan wyjaśnić w City Hall, który ogólny grób chciałby pan odwiedzić.

Na pewno nie z niezyczliwości nie pozwolili obydwaj strażnicy na odjazd. Przeciwnie, kazali motorówce z trupami w trumnach czekać, aż doktor Becker skończył swój wywód i przyjął do wiadomości ich odpowiedź; dali mu nawet do dyspozycji telefon, aby mógł pertraktować z zarządcą tej tak dobrze strzeżonej wyspy.

Temu odczytał doktor Becker z mocnym akcentowaniem otrzymane z Departament of Correction w Albany, głównego miasta stanu Nowy Jork, pozwolenie, zgodnie z którym udzielona jest doktorowi Beckerowi przepustka, zwłaszcza zaś akcentował te ustępy, gdzie (zresztą nawet nie pod nazwiskiem „doktor Becker”, którym nie posługiwał się stale na gruncie amerykańskim) był charakteryzowany jako jedyna publicystyczna socjologiczno-kryminalistyczna osobistość starego świata. (Każda o jeden tylko stopień skromniejsza charakterystyka uważana jest już w Ameryce za zniewagę).

To jednak nie przydało się na nic. Doktor Becker nie dosięgnął drugiego brzegu, odniósł jedynie wrażenie, że na przejazd w celu odwiedzenia więzień dano by mu na pewno pozwolenie. Tylko zwiedzenia cmentarza, „gdzie rzeczywiście jest coś niecoś do zobaczenia”, chciano właśnie tak wybitnej osobistości zakazać.

Krótko mówiąc, doktor Becker oddalił się od przyczółka mostowego cmentarza nieuskuteczionych zamiarów i mógłby nieszczęsnego reportażu nie napisać wcale lub w najlepszym wypadku dopiero wtedy, gdy o zmierzchu życia, zajmąwszy się pisaniem pamiętników, doszedłby do rozdziału „Nieudane reporterki”.

---

<sup>374</sup>stowarzyszenie — tu: związek zawodowy. [przypis edytorski]

<sup>375</sup>wiele (...) można tam zarobić (daw.) — dziś: ile można tam zarobić. [przypis edytorski]

Pewnego dnia w miejscowości podmiejskiej Hartsdale otwarty portal z napisem „*Canine Cemetery*” skusił doktora Beckera do wejścia do tego miasta umarłych, które wznosiło się na łagodnej wyniosłości, marmurowe, brązowe i ukwiecone.

Znowu mżyło i jako że pogoda przypomniła mu wyżej wspomnianą nieudaną reporterkę, pożałował, że pada. Pogodniejszy dzień z żałobnymi gośćmi przy zachwycających grobach podkreśliłby jaskrawiej różnicę między biednymi i bogatymi psami. Wkrótce jednak zapomniał o swym zmartwieniu — rzeczywiście kontrast z każdą inną siedzibą zmarłych był wystarczająco duży.

Hartsdale jest najpopularniejszym psim cmentarzem Ameryki, ceny grobów są podobno niedostępne dla zwykłych śmiertelników. Nie jest zatem przepelniony, chociaż ufundował go subtelny przyjaciel zwierząt, dr Samuel Johns już w 1896 roku. Trzeba przyznać, że wszystkie leżą tu tak, jak żyły: wygodnie.

Nagrobki zostały stworzone przez najbardziej znanych rzeźbiarzy Ameryki i urzędnik cmentarny pokazuje doktorowi Beckerowi te rzeźby, które kosztowały ponad 80 000 dolarów. Jedynym kryterium estetycznym jest — zresztą nie tylko dla grabarzy martwych psów — dolar. Doktor Becker ogląda wykute dętym dolary. Popiersia, posągi naturalnej wielkości, płaskorzeźby z marmuru, bazaltu i brązu, alabastrowe różańce i arabeski, malowane medaliony, monumentalne płyty, otoczone wspaniałymi łańcuchami, kamienne drzewo, powalone nieubłaganym losem. Zbyteczne jest nadmienić, że wszystkie wizerunki przedstawiają psy, z rzadka koty.

Z napisów doktor Becker miał sposobność stwierdzić zasługi i zalety, przez które zdobywa się prawo miejsca ostatniego i wieczystego spoczynku w tej pięknej okolicy.

Nad Dolly nie ma niczego podobnego na jej marmurowym obelisku. Tylko duże daty: urodzona 24 października 1914, zmarła 6 października 1918. Mimo to długo patrzy doktor Becker na te litery i cyfry. Nie każdy, kto się w tym czasie urodził, nie każdy, kto w tym czasie umarł, ma chociaż taki grób, jak ten czteroletni piesek.

Cornelius Vanderbilt, który włada niezliczoną ilością stworzeń, wymienia na płycie, wmurowanej w ziemię, imiona trzech z nich, których pamięć chce uczcić, trzech psów: Lassy, Sportie i Happy boy. Pani Astor za to nie wymienia żadnego imienia, nie jest jednak przez to skąpsza w słowach. Na należącym do niej potężnym pomniku widnieje napis: „We wdzięcznym wspomnieniu wszystkich moich psów i koni — moich wiernych i stałych towarzyszy”.

„Byłeś naszym ulubieńcem” — „Opłakujemy naszego drogiego towarzysza” — „Tu spoczywa Bella, nasza jasna przyjaciółka” — „*Beloved Pico, 1916–1924, beautiful, intelligent, heroic*” — „Słodki byłeś, nasz mały Billu”. — „*Proud, sunny, loving*”. — „Śnieżko, pamięć o tobie nie zginie nigdy w naszych sercach”. — „Grumpy, 4 sierpnia 1913 — 20 września 1916. Twoja miłość, przywiązanie i rozum umilały nasze życie. Czekaj na nas!”

Przy czytaniu epitafium „Negra, starego gentlemana” nie może doktor Becker ustrzec się od myśli, że osieroceni przez tego czarnego pudła nigdy nie nazwaliby jego imiennika „starym gentlemanem”, gdyż jest on dla nich biegunowym przeciwieństwem tego — Murzynem. Wprawdzie wypowiada się niekiedy słowo: „kolorowy gentleman”, ale jest to zwykle pomyślane jako przeciwstawienie — w rodzaju, na przykład „gentleman-włamywacz”.

Na jednym tylko kamieniu widnieje zdanie podobające się doktorowi Beckerowi, gdyż kryje się w nim myśl: „*Jack as ever preceeds his master a few steps* — Jack jak zawsze o parę kroków przed swoim panem”.

Jakiś osierocony wspomina w napisie, dokładnie wymieniając nazwisko i zawód, o swoich podróżach, zaświadczać martwemu psu: „Ah-sum-pupp przebył ze swym panem 6600 mil”. Innemu znowu pieskowi postawiła demonstracyjny pomnik liga przeciwwiwisekcyjna za przecierpiane przezeń męczarnie.

Tam, gdzie nad pagórkami powiewa gwiazdzisty sztandar, mieści się grób wojenny, czyli grób wojennego psa. I — myśli stale doktor Becker — nawet psy wojenne prowadziły na froncie to, co psy nazywają chyba między sobą „psim życiem”. Wątpliwe jest jednak, czy były to te, które są tutaj pogrzebane.

Cmentarz, Śmierć, Pies

Pies, Obyczaje, Pozycja społeczna

Grób, Pozycja społeczna

Żaden uczuciowy pies nie mógł, łając radośnie, wrócić przez ocean ze świata do domu, gdzie cuchnęło nienadające się do spożycia mięso i nieużyteczne kości. Wiele uczuciowych psów zginęło tam, gdzie żaden sztandar nie powiewa nad umarłymi.

Widocznie poczuły to miarodajne sfery, gdyż aby pogodzić poczucie honoru przyszłej psiej generacji, zbudowały olbrzymi pomnik ku czci nieznanego Psa Wojennego w najwyższym punkcie psiego cmentarza w Hartsdale. Wyekwipowany polowo patrzy on odważnie na wroga ojczyzny. O co właściwie chodzi, wiedzą tylko o tyle, o ile jego dwunożni towarzysze broni.

Schodząc z pagórka, mijając zieloną murawę, białe rzeźby i kwieciste trawniki, pod którymi spoczywają w łonie ziemi pokojowe pieski<sup>376</sup>, doktor Becker nie widzi sprzeczności między tym wspaniałym miejscem i cmentarzem ubogich, na który wstęp został mu wzbroniony. Bogaty pies został pogrzebany tak, jak żył, a w górze w Potter's Field dzieje się to samo z biednym człowiekiem.

## SZKICE Z GŁĘBI CHICAGO

### 1. Jarmark ludzki

Jedno auto trąciło, jadąc, drugie, złamało zablocone skrzydła i tablicę z numerem. Zdarza się to prawie codziennie i wszędzie. Przy tym zbiera się, jak to tutaj — między Union Station i Northestern Station — miało miejsce, w okamgnieniu kilkaset osób, aby obejrzeć szkody i wziąć udział w kłótni dwóch szoferów. Przyjechał na koniu policjant i rozgląda się — ogon jego konia jest kunsztownie związany na węzeł — w ogólnej sytuacji.

Ludzie, którzy się skupili na widowni małego wypadku automobilowego, uważają go za miłe urozmaicenie ich czynności. Ich czynność polega na szukaniu zajęcia, gdyż go nie mają, a chętnie by mieli. W końcu zostają nasyчени, ale także nie w pełnym znaczeniu tego słowa.

Wieszają się na stopniach stojących aut, stoją na trotuarze i cisną się w sieniach, rozważają przed wystawami sklepów z pamiątkami, czy mają za swoje ostatnie dwadzieścia centów kupić tafelkę z perłowej masy z kolorowym widoczkiem chicagowskiego drapacza chmur i posłać do Europy, do ojczystej wsi, umacniając w ten sposób przekonanie, że w Ameryce stali się milionerami.

Czekając, spędzają dni na deszczu i zimnie. Wprawdzie jest dosyć sposobności do siedzenia, gdyż prawie każdy lokal handlowy jest urządzony jak poczekalnia i zaopatrzony w ławki, jednak nie można tam wejść bez ceremonii, po to są pośrednictwa pracy, *Labor Offices*<sup>377</sup>, *employment agencies*<sup>378</sup>. Jedynie wtedy, gdy przychodzi właśnie zapotrzebowanie, zostają wpuszczeni ludzie z ulicy, wybiera się młodszych i silniejszych i ci mogą siedzieć na ławkach, dopóki ich papiery nie będą doprowadzone do porządku, względnie nie zostaną odnalezione.

Inni włączają się znowu po wielkiej poczekalni, na świeżym powietrzu nad Chicago River, i jedyną odmianą w ich trybie życia jest właśnie auto, które uderzyło drugie.

Każdego rogu ulicy pilnują policjanci, a prócz tego bloki domów tego okręgu, który się oficjalnie nazywa „*Slave market*”<sup>379</sup>, są powierzone opiece policyjnych kawalerzystów, których rumaki mają kunsztownie związane na węzeł ogony.

### 2. Floptown

Przylegające ulice tworzą dzielnicę nędzarzy. Pokruszony albo zawałony mur, spróchniałe albo zgniłe deski stanowią front, znikają jednak poza żelaznymi, z okien na ulicę prowadzącymi, pożarowymi schodami. Nędzne pokoje służą jako masowe kwatery; można się tam do spania rzucić na ziemię, „*flop*”.

<sup>376</sup>spoczywają w łonie ziemi pokojowe pieski — nieprzetłumaczalna gra słów: *Schoss der* [tzn. łono czyjeś] i *Schossbündchen* [tzn. piesek salonowy; red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>377</sup>*Labor Office* (ang.) — Urząd Pracy. [przypis edytorski]

<sup>378</sup>*employment agency* (ang.) — agencja pracy, zatrudnienia; biuro pośrednictwa pracy. [przypis edytorski]

<sup>379</sup>*slave market* (ang.) — targ niewolników. [przypis edytorski]





Oskarżeni o współudział w rzucaniu bomby niemieccy przywódcy robotniczy zostali 11 listopada 1887 roku powieszani, kilku zakończyło życie w więzieniu (Lingg w dzień przed skazaniem) samobójstwem albo wskutek metod śledztwa.

Haymarket, obecnie Commission Row, jest targiem jarzynowym i pomocnicy jarmarczni użytkowali — mniej z politycznych powodów, jak z naturalnej potrzeby — pomnik szturmującego z wyciągniętą ręką policjanta jako *pissoir*, tak że musiał w końcu zostać przeniesiony na Union Square, na plac, na którym nic nie ma do roboty i który jest dostatecznie ukryty. Drugi pomnik został w pobliżu wzniesiony chicagowskiemu burmistrzowi i politykowi tamtych czasów, Carterowi H. Harrisonowi, który w roku 1893 podczas wystawy światowej zmarł naturalną śmiercią: został zastrzelony.

Drugi zbiór podobnych pośliskłych fotografii zdobi w City Hall przedpokój prezydenta policji wraz z pięćdziesięcioma srebrnymi pucharami, które jego ludzie zdobyli przy baseballu i rozgrywkach footballowych, zwycięskie trofea chicagowskiej policji. (Przed miesiącem siedmiu przemytników alkoholu zostało w garażu napadniętych przez inną bandę, postawionych na ulicy pod ścianą i maszynową bronią literalnie rozstrzelanych na miazgę. O sprawcach, wśród których znajdowali się policjanci w uniformach, nie ma żadnego śladu, ich fotografia nie wisi w przedpokoju w City Hall).

#### 5. Skrzyżowanie uliczne krwawej zemsty

Tam, gdzie się krzyżuje Tailor Street i Halstead, znajduje się róg śmierci. *Vendetta* czyha w dzielnicy emigrantów, tak jak w ojczyźnie czyha na jej mieszkańców. Ale za krew nie płaci się krwią, tylko alkoholem z krwią. Kto przeszedł przez *high jacking*<sup>383</sup>, przez wykradanie transportów ze sznapssem, musi być wytępiony wraz z całym swoim rodzajem, dziećmi i wnukami. Włoska cześć rodzinna pokrywa się na amerykańskim gruncie z interesem handlowym, walkę konkurencyjną rozgrywa się rycersko przy pomocy kul i ołowiu. Bez względu na to, czy w innej stronie Capuletti i Monecchi dzielą się partię przez swoją przynależność do potężnych koncernów przemytników — Capone'a bądź Morana.

Ten okrąg szmuglu alkoholem nazywa się jeszcze dzisiaj krajem Genna, chociaż trzej bracia Genna błogo zasnęli w Panu, każdy od innej kuli rewolwerowej: ich generałowie Enrico Spinola i Oratio Tropea padli na rogu śmierci.

Jeszcze teraz wznosi się rezydencja braci Genna Whisky-Mussolinich na Miller Street w postaci dwupiętrowego domu z cegieł i panuje tytanicznie nad otoczeniem. (Ameryka nie składa się z samych tylko drapaczy chmur!). Podobną rolę jak komisariat Desplaines Street odgrywa w historii policji chicagowskiej Palazzo Genna, który posiada pięć ulicznych wyjść.

W procesie przeciw przemytnikom Scalis i Anselmi z powodu zastrzelenia przez przemytnika potężnego detektywa wyszło na jaw, że dom Gennów objął komendę nad załogą policyjną i że wiele setek urzędników odwachu na Maxwell Street przychodziło co tydzień, aby odebrać swoje wynagrodzenie za współudział. Scalis i Anselmi, ponieważ Włosi mają w Chicago wielkie wpływy wyborcze, zostali uwolnieni.

Ale przeciwko wprowadzającym otwarcie korupcję urzędnikom wystąpiła zwierchność z drakońską surowością, którą zawsze i wszędzie stosują przeciwko dochodzącym do wiadomości bezprawiom personelu policyjnego: winni zostają wszyscy razem i każdy z osobna przeniesieni do innego rewiru.

#### 6. Jarmark tandeciarski

Przez kogo teraz jest opłacany rewir policyjny Maxwell Street — publiczność wcale nie wie. W każdym razie rozbija się o własny próg jarmark nędzoty chicagowskiej, przed południem najpotężniej w niedzielę.

Kupujący składają się z Polaków i Meksykanów, którzy bardzo lubią katolickie wytwory dewocji — święte obrazki, książki do nabożeństwa, krucyfiksy, różańce i medaliony — leżące bez wyjątku w budach żydowskich sprzedawców.

Jedyna ich konkurencja, Indianie, biją w wojenne bębny na skrzyżowaniu bocznych ulic. Do tego tańczą ci czerwono-brunatni pierwotni mieszkańcy kraju w ozdobach z piór święte tańce plemienia, aby znieść nabywców dla swoich wyrobów.

<sup>383</sup>*high jacking* (ang.) — uprowadzenie, porwanie. [przypis edytorski]

Maxwell Street, której handel przeszkadza każdemu innemu handlowi, jest niewybrukowana. To stwierdza się natychmiast. I dopiero na jakimś miejscu, gdzie widać pęknięcie w gruncie, zauważa się, że pod tym leży asfalt. Jest on pokryty przez wysoką na cal, od dziesięciu lat mocno wktą warstwą ulicznego błota. Przejeżdżające wózki dzielą i bez tego ulicę na trzy ulice, czwarty i piąty rząd tworzą sklepy w domach, przed którymi pracują chwytający za poły zachwalacze i łapacze klientów.

Miasto, Handel, Brud

Największe i najbardziej zadziwiające miejsca są te, gdzie wystawiają na sprzedaż kompletny inwentarz gorzelni spirytusowej, oślepiąco białe miedziane kotły, aparaty do destylacji, retorty, termometry, rury i to wszystko, co jest potrzebne do fabrykacji whisky w każdym amerykańskim gospodarstwie. Chmiel w woreczkach dla krajowego piwowarstwa i szlachetne drożdże do wyrobu piwa otrzymuje się w sąsiednich kramach.

Alkohol

Używane stojące kołnierzyki kosztują 5 centów za sztukę, za stare koszule żądają 30 centów, ale tandeciarz daje ze sobą mówić.

Ogromne ilości płyt gramofonowych leżą na sprzedaż po 5 centów za sztukę, 50 centów za tuzin.

Nie dowierza się — czy można za tę śmieszna cenę kupić porządną płytę? Sprzedawca kładzie chętnie każdą, którą się wyszukało, na swój gramofon, i patrz no: gra bez zarzutu. Kupuje się jeden tuzin i dopiero w domu spostrzega się, że płyty nie funkcjonują: fonografy Edisona, do których one pasują, nie są już więcej wyrabiane od dwudziestu lat.

Wóz z książkami ma jednakowe ceny pięciu i dziesięciu centów, stare kalendarze i stare magazyny, hiszpańskie plugawe romanse, polskie bible i kilku oklepanych szkolnych klasyków, np. w żydowskim języku romans Goethego: *Die Zores fūn jūngen Werther*.

#### 7. Kto zna ludy

Im dalej na zachód, tym nędzniejsza staje się okolica, tym bardziej rozwalone domy, aż w dzielnicy przestępców w Cicero widok chat i brudu wprost przejmuje fizycznie. Zachód Chicago odpowiada wschodowi wszystkich innych wielkich miast, jest to dzielnica nędzy; wschodnią granicą miasta jest Michigan-See, nad brzegami którego panuje luksus.

W zamkniętym okręgu mieszkają Polacy w liczbie 320 000, 130 000 Włochów, 116 000 Czechosłowaków, 110 000 Murzynów, 61 000 Węgrów, 27 000 Greków, którzy na „delcie” na Blue Island Avenue żyją z tego, że są częściowo właścicielami, a częściowo codziennymi gośćmi kawiarni. Liczba Chińczyków wynosi zaledwie 3000, ale pomimo tego ich plemiona i związki napastują się wzajemnie. Najgwałtowniejsza z tych Tong-wojen była stoczona między Hip Singsami a On Leongsami<sup>384</sup>, narobiła ona hałasu wśród Chińczyków całej Ameryki, a szczególnie w Chicago pochłonęła wiele śmiertelnych ofiar.

Można zrozumieć, że młodemu norweskiemu konduktorowi halstead'skiego tramwaju nie było miło na duszy, gdy w jego wagonie grupa Irlandczyków, napompowanych whisky, nie chciała zapłacić za przejazd. Można łatwo zrozumieć, że młody konduktor norweski wobec takich okoliczności porzucił i ten zawód, i miasto, wrócił do ojczyzny, spróbował swych sił jako pisarz i stał się Knutem Hamsunem.

Literat

#### 8. Rewolucja niemiecka

Niemcy nie tworzą ani socjalnie, ani geograficznie zamkniętej masy, są między nimi fabrykanci z luksusowymi mieszkaniami na Złotym Wybrzeżu, średnia klasa koło parku Lincoln od 1600 do 2000 North i pozbawieni schronienia pomocnicy kelnerów w Hull House.

Dochodzi do tego, że np. Włosi znacznie energiczniej występują na widowni politycznej niż liczbowo dwa razy tak liczni Niemcy. Oni i Skandynawowie stanowią zresztą najmniejszy odsetek wśród obwinionych o przekroczenie prohibicji cudzoziemców, co jest godne uwagi, gdyż pierwsze powstanie przeciwko ograniczeniu sprzedaży alkoholu wyszło od Niemców.

Alkohol, Bijatyka,  
Obyczaje, Prawo

<sup>384</sup> *Tong-wojen (...) między Hip Singsami a On Leongsami* — walka rywalizujących ze sobą chińskich organizacji, powstałych jako związki zawodowe w obronie przeciw atnycchińskim uprzedzeniom w Ameryce i przekształconych z czasem w gangi (Tong): Hip Sing Tong przeciw Four Brothers i On Leong Tong, prowadzonych na początku XX w. o kontrolę nad dzielnicami chińskimi (Chinatowns) wielkich miast USA: Chicago, Nowego Jorku, Seattle i San Francisco. [przypis edytorski]

Dawno, dawno to było, ale wspomnienie o *the Lager Beer Riot* z 1885 roku żyje jeszcze dzisiaj z dawną siłą. Z północnego brzegu miasta, z niemieckiej kolonii toczy się tłum ludzki pod hasłem zdobycie Bastylia na Court House, gdzie siedzi uwięzionych kilku gospodarzy, gdyż w niedzielę szynkowali piwem. Na North Clark Street chciał kordon policji zatrzymać demonstracyjny pochód, ale dawniej pokojowo usposobieni Niemcy byli tym razem nie do poznania; na wojenny okrzyk: „To jest łajdactwo zamykać w niedzielę piwiarnie” rzucili się na straż, zaczęto strzelać, zabijać i ranić ludzi.

Jak wielka była liczba ofiar, nie można było ustalić, gdyż z tego wypadku nie są zachowane w pokoju prezydenta policji żadne trofea ani żaden pomnik nie przypomina o tym zderzeniu się. Skończyło się zresztą zwycięstwem piwa w beczkach. Zwierzchność tak została nastraszona rewolucyjną żądzą walki Niemców i zawartym pomiędzy nimi a Irlandczykami związkiem piwowarsko-wódczanym, że zniosła zakaz niedzielnego wyszynku. Złote czasy!

## BANK NA WALL STREET

Po drodze, idąc podjąć swój czek, znalazł się doktor Becker na Wall Street. Przyszło mu na myśl, że pacjenci jakiegoś oddziału dla wariatów, przekonani, że są zupełnie normalni, zjednoczyli się na jakąś uroczystość pod dewizą: „u prawdziwych szaleńców”.

A może wplątał się w krwawą rewolucję? A może znajduje się na widowni prasowego mordu?

— Co się stało? — pytał doktor Becker.

— Och, giełda jest dzisiaj słaba i tylko dlatego jest tutaj tak spokojnie.

Kręcąc głową, doktor Becker skierował swe kroki do banku, o którym nic jeszcze nie słyszał w Europie.

Wybrał sobie jedną z dziewiętnastu wind osobowych z napisem „Express”. Albowiem myślał: moje konto mieści się w ważnym oddziale, przy którym nawet „Express” musi się zatrzymać.

Winda wzniosła się na 35 piętro, co go z jednej strony uraziło (przypuszczał, że umieścił swój majątek na elegantszym piętrze), z drugiej strony jednak uspokoiło co do solidności przedsiębiorstwa — jakiś pokątny bank nie mógłby sobie wybudować gmachu — drapacza nieba.

Zresztą nie znalazł swego majątku na górze, skutkiem czego wziął inny *express*, aby znowu zjechać w dół i poinformować się lepiej u portiera. Ku swemu zdumieniu zjechał nie 35 pięter, lecz 39. Zagadka wyjaśniła się dopiero, gdy wysiadł i dowiedział się, że także pod ziemią znajdują się piętra.

Znajdował się właśnie przed pewnym miejscem, które w krajach niemówiących po angielsku oznacza się słowem *safe*s, podczas gdy tutaj nazywa się *vaults*<sup>385</sup>. Doktor Becker obserwował je z chciwością, jego zaś obserwowano podejrzliwie. Zapytano go nawet, czy ma tutaj jakieś zajęcie. Zaprzeczył temu, przywiódł go tu prywatny interes, a nie jego zawód. Jest klientem banku. Na to urzędnik zwrócił się do niego z zabronionym najsurowiej w postępowaniu z klientami uśmiechem i wyjaśnił doktorowi Beckerowi urządzenia, przede wszystkim zaś wejście do skarbcza, którego modny mechanizm przypominał niemądrze doktorowi Beckerowi mechanizm średniowiecznego zegara wieżowego z poruszającymi się figurami.

Drzwi te, dowiadywał się, zbudowane z nierdzewiącej stali, na metr grube, wagi 45 ton, będą wieczorem zamknięte przez trzech urzędników i mogłyby zostać otwarte tylko przez nich w oznaczonej ściśle na zegarze przez nadkontrolera godzinie.

Że zaznaczone przepisy ostrożnościowe istnieją tylko dla uspokojenia posiadaczy depozytów, a nie przeciwko włamywaczom, i że opancerzony skarbiec starego systemu tak samo dużo, to znaczy tak samo mało daje pewności przeciwko wypadkowi i włamaniu, było dla doktora Beckera, który wiedział coś niecoś o technice włamywaczy, zupełnie jasne.

Nie dał jednak poznać tego po sobie. Ba, udał nawet obłudnie podziw nad optycznym trickiem (uniemożliwiającym zauważenie kombinacji liter nawet dla stojącej obok osoby

<sup>385</sup>*vaults* (ang.) — sklepienie, krypta, grobowiec; tu: skarbiec, sejf. [przypis edytorski]

lub ciekawie zerkającego sąsiada), chociaż z kryminalistyki nie był mu znany nawet pojedynczy przypadek użycia przez nieuprawnionego kombinacji cyfr dla otworzenia kasy bankowej.

Umieszczono tu około trzech miliardów dolarów w gotówce, przedmiotach i papierach wartościowych — opowiadał urzędnik. Ciekawe były ich przenosiny do tego pomieszczenia. Między starym i nowym budynkiem bankowym przez szpaler detektywów jeździło tam i z powrotem osiemnaście aut pancernych, każde obsadzone przez pięciu policjantów z bombami łzawiącymi i karabinem maszynowym.

Tylko jeden z osiemnastu samochodów ukrywał słodki ciężar, pozostałe siedemnaście stanowiło konwój. Każda jazda trwała pięć minut i trzeba było sto dziesięć razy odbyć tę drogę, zanim bogactwo, wystarczające dla złagodzenia nędzy całego świata, zostało przeniesione z jednej piwnicy do drugiej. Zresztą urzędnik nic nie mówił o nędzy i piwnicy, przeciwnie, dodał z pewną dumą, że nie ma tu wcale piwnicznego powietrza; mimo że *vaults* leżą tak głęboko pod skalistym gruntem Manhattanu, powietrze jest w nich doskonale, gdyż doprowadzone jest przez rurę z wysokości drugiego piętra, a warstwa oleju oczyszcza je z pyłu i kurzu.

Wobec powyższych okoliczności doktor Becker nie mógł zrobić nic innego, jak przyrzec, że przy najbliższej sposobności wynajmie jedną z pięciu tysięcy kasetek depozytowych i nie z tych małych po 7 dolarów 50, ale za 15 tysięcy dolarów opłaty rocznej.

Niezadowolony z takiego interesu, który przedstawiał jedynie pewne widoki dla banku, urzędnik chciał coś zarobić i dla siebie, czy to pochwałą, czy prowizję, i doktor Becker przyrzekł mu użyć jego przewodnictwa przy wynajmowaniu wielkiej kasy. Przede wszystkim chciał jednak doktor Becker podjąć swój czek. Ze znacznie mniejszym poczuciem własnej godności nie myślał już, że windy zatrzymują się przed jego kontem, i wszedł do zwykłego dźwigu.

O piętro ponad *safes*'ami, ale wciąż jeszcze pod ziemią, wpadł w gromadę liczącą dwieście do trzystu młodocianych postaci, które już na pierwszy rzut oka wziął za rabusiów, a po usłyszeniu pierwszych słów za giełdowców.

Byli oni mało ekskluzywni, niezbyt opanowani, otoczyli nowego gościa i wtajemniczali go, niewiedzącego, czy mówi z Pierpontem Morganem, czy z Johnem Rockefellerem, z całym zaufaniem w sprawy zawodowe. Najważniejszym wydawało się, że szyba w okienku urzędnika była z opornego na kule szkła, a cienka tafla marmurowa między pomieszczeniem urzędników i interesantów obita od wewnątrz zabezpieczającą od włamania stalą pancerną.

Dlaczego zbierali się tutaj maklerzy giełdowi, domyślił się już doktor Becker z napisu „*Overnight-Loans*”<sup>386</sup>.

Usłyszał tu ku swemu ostrzeżeniu, że papiery wartościowe, zastawione za gotówkę lub zdeponowane, są zabezpieczone nie tylko przed kulami rewolwerowym i narzędziami włamywaczy, ale i przed spadkiem; służba informacyjna umożliwiła bankowi możliwie najkorzystniejsze pozbycie się zastawu w przeciągu dwudziestu minut po dowiedzeniu się o defraudacji, bankructwie lub samobójstwie.

Zadowolony pojechał doktor Becker w górę. Ku swemu zdziwieniu ujrzał, że wszystkie pomieszczenia są dostępne; oszklone drzwi, które prawie wszędzie zastępowały ściany, były przeważnie otwarte; przeszedł przez wspaniałe sale, po puszystych dywanach obok dziewcząt przy cichych maszynach do pisania i dziewcząt przy cichych maszynach rachunkowych, obok konferujących, dyktujących, spekulujących lub odmawiających kredytu dyrektorów — zupełnie niezauważony, co go zresztą w stosunku do dyrektorów i prokurentów mało dotknęło. Z wyjątkiem okienek kasowych w pomieszczeniach dla interesantów nie zauważył nigdzie przegrody między klientem i urzędnikiem.

Nawet do sali posiedzeń Rady Zarządzającej, gdzie bloki do pisania i dobrze zaostrzone ołówki zdawały się być dla niego przygotowane, wszedł doktor Becker bez przeszkody. Była to piękna pół-eliptyczna sala, zbudowana widocznie na wzór sali Sądu Najwyższego w Waszyngtonie. Na każdym fotelu klubowym była przytwierdzona błyszcząca złota tabliczka, i doktor Becker przeczytał, jak nazywają się kardynałowie tego zebrania finansowego.

<sup>386</sup>*overnight loans* (ang.) — pożyczki jednodniowe. [przypis edytorski]

W sali telefonów policzył plecy dwudziestu pięciu dziewcząt, nie mógł ich ujrzeć z przodu, gdyż zwrócone były do podziurkowanej ściany. Zresztą, gdyby tak nawet nie było, nie miałby doktor Becker żadnej przyjemności, gdyż każda miała usta przytknięte do trąbki telefonicznej, a na uszach słuchawki.

— Ile połączeń? — zapytał doktor Becker naczelniczkę surowo jak kontroler. Odpowiedziała z miłym uśmiechem:

— 150 połączeń państwowych, 900 dodatkowych i 100 bezpośrednich linii do giełdy i filii.

Niewzruszony uśmiechem indagował dalej:

— Ile rozmów macie tu codziennie?

— W zeszłym tygodniu przeciętnie 27 500 dziennie, maximum 31 200.

— *Thank you*<sup>387</sup>.

Odważnie wkroczył doktor do sąsiedniego połączenia. Nie zdumiał go bynajmniej jakiś niezrozumiały aparat.

Domyślał się jedynie w przybliżeniu, że to, co obok pracowało, było pośpieszną tłocznią czy też powielaczem.

— Na czym polega wasza praca? — zapytał niezdecydowanie i prasa zaturkotała. „Zużywamy tylko minutę i ćwierć na reprodukcję wraz z wywołaniem i odbitką”. Oblicze doktora Beckera zachowało krytycyzm, wskazał na zagadkowy olbrzymi aparat: — A co reprodukuje? — „Fotostat sporządza kopie weksli i wpływających dokumentów”. — *Thank you*.

Inspektor doktor Becker udał się do sali wypełnionej rurami.

— Wyjaśnić. — „Jest to centrala dla elektrycznej poczty pneumatycznej międzdyziałowej. Przeciętnie wysyła się do 800 przesyłek”. — *All right*<sup>388</sup>.

I w „krematorium”, gdzie spala się wylosowane kupony z zabezpieczeniem od włamania i pożaru, nie miał nic do zarzucenia. Kazał sobie wygłosić prelekcję o obchodzeniu się z zasłonami, które na wypadek pożaru zamykają wszystkie oddziały i otwierają dostęp do szybu ogniowego jedynie dla pogorzalców.

Szafy do garderoby uznał za celowe, zwłaszcza zaś urządzenie, za pomocą którego wieszka się parasol na zewnątrz, można go jednak zdjąć dopiero po otwarciu drzwi szafy.

W sali wplat i wyplat poinformował go kierownik oddziału, że co godzinę przy okienkach załatwia się 3000 transakcji. „*All right*” — powiedział doktor Becker... zobaczył wtedy nad stołem tablicę „*Lettres of Credit*”. Nie zastanawiał się nawet przez chwilę, czy ma pozostawić jeszcze swój list kredytowy w tak godnym zaufania banku. Potrzebował przypadkowo tej sumy.

Krótko mówiąc, doktor Becker zrealizował swój list kredytowy, opiewający wszystkie na sumę sto dolarów, rezygnując w ten sposób z błyszczącej złotej tabliczki ze swoim nazwiskiem, która w przeciwnym razie zablasyłaby być może na fotelu klubowym w pół-eliptycznej sali posiedzeń.

## KATOWSKI OBIAD PODANY PRZEZ MISTERA STEINA

Był to dzień, w którym doktor Becker przybył do Chicago. Zaledwie reporterzy opuścili jego pokój, gdy zadzwoniła do niego pewna redakcja: czy nie zechciałby napisać jako gość reportażu o mającym się dziś wieczór odbyć straceniu. Ale kim jest ten, który dzisiaj za pomocą elektryczności zostanie usunięty z drogi?

Jest to Murzyn, odpowiedział wydawca, ale jego nazwisko wypadło mu nagle z głowy.

W godzinę później doktor Becker trzymał w ręku pozwolenie „*to witness the execution of David Shanks at the County Jail at 12.05 a.m.*”<sup>389</sup>, ostemplowane i podpisane przez Johna E. Tragera, szeryfa.

W gmachu sądu i więzienia, gdzie znalazł się w nocy doktor Becker, dowiedział się, że stracenie zostało odwołane, co go ani wprawić w zły humor, ani też ucieszyć nie mogło, gdyż nie wiedział, czy ta zmiana jest dla biednego czarnego diabła, Dawida Shanks, tylko jednym ze zwykłych w Ameryce przedłużeń katuszy śmierci, czy też jego ratunkiem.

<sup>387</sup> *thank you* (ang.) — dziękuję. [przypis edytorski]

<sup>388</sup> *all right* (ang.) — w porządku. [przypis edytorski]

<sup>389</sup> *to witness the execution of David Shanks at the County Jail at 12.05 a.m.* (ang.) — aby być świadkiem egzekucji Davida Shanksa w więzieniu okręgowym o godz. 12:05 w nocy. [przypis edytorski]

W każdym razie doktor Becker opuścił sąd i udał się do sąsiedniego domu, ażeby się w barze napić kawy.

Tutaj jednak zobaczył, że wpadł z deszczu pod rynną albo — nieobrazowo powie-  
dziawszy, chociaż tu chodzi o obrazy — z jednego stracenia w wiele.

Obrazy wisiały na ścianie lokalu, gdzie ten, kto ma apetyt, może spożyć kolację i po-  
grążyć się w myślach nad tym, że w sąsiednim domu biedny grzesznik otrzymuje takie  
same menu jako ostatnie i jedyne dobrodzieństwo.

A więc doktor Becker miał dosyć powodów, ażeby szczegółowo obejrzeć tapetę z wi-  
zerunkami straceni, a nawet wyciągnąć swój ołówek i coś niecoś sobie zanotować, wyda-  
wało się to jakby stworzone do zilustrowania kulturalnego poziomu kraju z jednej strony  
i metody katowskich pacholków z drugiej.

Lecz zaledwie doktor Becker wyciągnął ołówek, przyszedł mister Stein, ażeby się  
przedstawić podejrzanemu o dziennikarstwo jako właściciel baru i jako ten, kto uwiecz-  
nionym na fotografii delikwentom dostarcza katowskiego obiadu, tzw. *chickendinner*,  
z pieczoną kurą, za który nie bierze żadnej opłaty.

Doktor Becker podczas tej rekomendacji był bez przerwy wpatrzony w jakiś obraz  
i spytał Mr. Steina, kto z jego klientów jest na nim uwieczniony. To była w rzeczywi-  
stości omyłka, gdyż okazało się, że był to jedyny skazaniec, któremu Mr. Stein nie podał  
ostatniego wieczornego obiadu.

Obraz przedstawiał niewątpliwie umarłego ze szklanymi oczyma i okaleczoną szczęką.

Górną połowę ciała leżącego na ziemi trupa szarpie drab, na którego uniformowym  
płaszczu widnieje słowo: „*guard*”<sup>390</sup> naprzeciwko soczewki fotograficznej, podczas gdy  
drugi drągał, z napisem „*warden*” na czapce, śmieje się do fotografa. Nieboszczyk nie był  
jeszcze martwy, jak się doktor Becker dowiedział od Mr. Steina, tylko w agonii. On to  
właśnie — niejaki Harvey Church — z jakiegoś nieznanego publiczności powodu na-  
leżał do strajku głodowego. Na trzydziesty dzień nieprzyjmowania posiłków został on,  
względnie *warden* (dyrektor więzienia) Mr. Werstbroke sfotografowany dla prasy. Później  
założono Harvey Churchowi powróż na szyję, chociaż to do uśmiercenia go nie było już  
potrzebne.

Na innym obrazie zobaczył doktor Becker drobnego młodzieńca o dziewczęcej twarzy  
i usłyszał, że był to chórzysta, imieniem Viani, który w swojej celi tak pięknie śpiewał,  
że ludzie tłoczyli się na ulicy. W dniu jego osiemnastych urodzin podano mu pieczoną  
kurę...

Dopiero od kwietnia 1928 roku przestano wieszać, tylko zabijano prądem elektrycz-  
nym.

Pierwszym był doktor ze szpitala na Azhlane-Boulevard, dr Rougetti, wobec prze-  
stępstwa, dla którego szubienica i prąd elektryczny wydawały się łagodną karą; dokonał  
on na pewnej dziewczynie zakazanej operacji za umówione honorarium pięćdziesięciu  
dolarów, z czego wypłacono mu dwadzieścia pięć; gdy następnego dnia reszta nie została  
złożona przez przyjaciela pacjentki, doktor ten nie dokonał następnej koniecznej operacji  
i pozwolił pacjentce umrzeć wśród strasznych cierpień. Takiego ordynarnego, bestialskie-  
go świństwa nie można sobie wyobrazić, bez wątpienia jest ono w Ameryce odosobnione.  
A jednak, a jednak — przyczyna tego jest amerykańska.

W społecznym znaczeniu godny uwagi jest przypadek młodego, na fotografii już ły-  
sawego Niemca amerykańskiego, nazwiskiem Wunder, który pewnego wieczoru wezwał  
policję: został w mieszkaniu swoim napadnięty przez jakiegoś obcego, wywiązała się wal-  
ka, w której bandyta zabił małżonkę Wundera, Wunder zaś bandytę. Obydwa trupy zo-  
stały pochowane, a broń do dzisiaj nierozpoznanego mordercy zwrócona władzom wojs-  
kowym, gdyż był to rewolwer wojskowy.

Jakież było jednak zdumienie policji, gdy dowiedziała się od władz wojskowych, że  
rewolwer tego numeru był wydany podczas wojny Karolowi Wunderowi i dotychczas  
niezwrócony. Zaarrestowany wdowiec przyznał się, że aby pozbyć się żony, udał się na  
„rynek niewolników” na Canal Street i wynajął pierwszego lepszego poszukującego za-  
jęcia, który za sto dolarów podjął się zastrzelić kobietę wręczonym sobie rewolwerem.  
Gdy nieszczęsny opryszek zjawił się w jego domu i wykonał polecenie, Wunder zastrzelił

<sup>390</sup>*guard* (ang.) — straż. [przypis edytorski]

go, aby pozbyć się świadka i zaoszczędzić sto dolarów. Zapomniał jedynie o usunięciu numeru z rewolweru, przez co dostał się na krzesło elektryczne.

— Temu — mówi Mr. Stein, wskazując fotografię niejakiego Russela Scotta — czterokrotnie dostarczałem kurę, czterokrotnie ją zjadał i czterokrotnie stracenie zostawało w ostatniej chwili odwoływane. Za piątym razem, gdy było już zupełnie pewne, znaleziono go w celi martwego — powiesił się.

Większość tych na ścianie zdobyła sobie prawo na jednorazowe najedzenie się do syta przez *hold up*, amerykański sposób napaści, przy której bandyta podnosi broń, a urzędnicy przy kasie ręce; jeśli się to nie uda, mamy zabitych rewolwerem, a potem elektrycznością. Wielu z nich to szmuglerzy alkoholu; próbowali, strzelając, uniknąć aresztowania, zabijając przy tym policjanta (utrupiając — tłumaczy Mr. Stein, albo, przypuszczając, że doktor Becker nie zrozumie angielskiego słowa *killed*, albo chcąc pokazać, że umie po „niemiecku”).

Co się dzieje z aresztowanymi w cyrkułe policyjnym, pokazują niektóre obrazy z zdziwiającym bezwstydem: ujęci mają okrwawione policzki i zmiażdżone nosy.

Filiżanka kawy, którą zamówił doktor Becker, wystygła na stoliku, podczas gdy on oglądał obrazy na ścianie. Doktor Becker nie zamawia drugiej filiżanki. Miał w tym czasie widzieć jedno amerykańskie stracenie, ale *in effigie* zaznajomił się ze wszystkimi. Oddala się zatem, nie uniknąwszy otrzymania od żywiciela skazanych następującej karty reklamowej:

*Delaware 4262*

*Joe Stein*

*Court Restaurant*

*66 W Austin Ave. Chicago III.*

## KOSTIUMY FILMOWE

— Było to przed wielu, wielu laty, gdy na świecie nie było jeszcze w ogóle kina...

— To będzie ładne — zawołały dzieci — nareszcie porządna bajka...

— ...wtedy więc, w 1905, przybył na wszechświatową wystawę do Saint Louis młody Amerykanin nazwiskiem L. L. Burns, z trupą złożoną z dziesięciu Indian...

— Babciu, czyż wtedy byli już w Ameryce Indianie?

— Tak, dzieciaczki, wtedy w Ameryce było jeszcze dziesięciu Indian, którzy występowali w takich budach, jak na przykład u L. L. Burnsa. Gdy wystawa się skończyła, Indianie swymi autami powrócili do domów...

— Babciu, co to znaczy „auto”?

— Auta były to samoloty, które mogły ruszać się tylko po ziemi, tak że posuwano się bardzo powoli naprzód...

— Babciu, czy można było przejeżdżać przez domy?

— Nie. Między domami pozostawiono luki, po których poruszały się auta, musiały jednak co chwila zatrzymać się, wymijając lub trąbić — to był straszliwie powolny okres. Ale nie przerywajcie mi wciąż, bo nie będę mogła opowiedzieć wam bajeczki do końca, zrozumiałyście, dzieciaczki?

— Tak, tak, opowiedz nam bajkę. Będziemy ciche jak trusie.

— Tak więc, dziesięciu Indian powróciło do domu w swoich starych ubraniach, w których przybyli. Mr. Burns uważał je za mało frapujące i zbyt mało indiańskie i dlatego uszył im u krawca w St. Louis dziwaczne szaty. Z tymi właśnie strojami pozostał Mr. Burns. Poradzono mu udać się do Los Angeles i otworzyć sobie niewielki sklep. Miasto to ma meksykańską krew w żyłach i lubi maskarady. „Dobrze — powiedział sobie Mr. Burns — jeśli każdy z tych dziesięciu kostiumów wynajmę tylko dwa razy w miesiącu, będę mógł zarobić sześćdziesiąt dolarów i od biedy żyć z tego”.

— Musiał chyba zrobić ze sklepu mieszkanie, aby dać sobie radę z 15 dolarami tygodniowo — obliczało jedno z dzieci.

— Tak, zrobił to, ale powodziło mu się bardzo kiepsko. Wynajął tylko sześć kostiumów.

Pewnego pięknego dnia przybył do sklepu jakiś mężczyzna, mówiąc, że nazywa się pułkownik Selig, który na pustych pagórkach Hollywoodu fotografuje ruchome obrazki.



Tym razem miała to być wielka sztuka z życia Indian. Potrzebuje na ten cel osiem kostiumów indiańskich na półtora dnia. Potem przybył pułkownik Selig raz jeszcze i powiedział, że chce teraz kręcić największy ze swych *western pictures*<sup>391</sup>, kolosalne przedsięwzięcie, na które wyda osiemdziesiąt dolarów...

— Osiemdziesiąt dolarów za jeden film — zawołały dzieci, klasnąwszy w dłonie.

— Czy wtedy nie było gwiazd? — zapytało jedno z dzieci.

— Nie, wtedy nie było jeszcze gwiazd — odpowiedziała babka.

— Obawiałem się tego — zawołał najmniejszy chłopczyk i przytulił się do babci.

— Tak, tak, pułkownik Selig chciał kręcić dla swego olbrzymiego filmu scenę masową z niemniej jak piętnastu Indianami w oryginalnych kostiumach. „Czy posiada je pan, panie Burns?” — „Oczywiście, że posiadam” — odpowiedział Mr. Burns, w rzeczywistości nie miał ich wcale, tylko kazał uszyć w nocy. I czynił to stale, gdy inne towarzystwa przybywały do Hollywood nakręcać filmy i wynajmowały od niego kostiumy, i w ten sposób powodziło mu się coraz lepiej i lepiej....

— I Mr. Burns, założył Towarzystwo Akcyjne, prawda, babciu?

— Tak, moje dzieci. Założył Western Costume Comp., która teraz rozporządza kapitałem akcyjnym trzech milionów dolarów...

— Trzy miliony dwieście tysięcy — poprawiły dzieci.

— ...którego prezesem został Mr. Burns. Żyje on jeszcze.

— O, to musi być stary! — zawołały dzieci.

Mimo swoich 44 lat Mr. L. L. Burns, prezes, jest jeszcze czerstwym mężczyzną, zawsze chętnym oprowadzić nas po swoim sklepie, który jest stanowczo za duży na dziesięć indiańskich kostiumów.

Stojąc na tarasie, pokazywał nam z zadowoloną miną Hollywood, Beverly Hills, gdzie mieszkają jego klienci. Wszystko to podlega jemu i jego władza jest potężna, gdyż z dachu, gdzie stoją auta klientów i urzędników, dziesięć armat spogląda groźnie na Kalifornię i Ocean Spokojny.

— Dla filmów wojennych — wyjaśnia Mr. Burns.

— Jaki kraj interesuje pana? — zapytuje. — Może pan ujrzeć wszystkie, z armią, ludnością cywilną i dworem królewskim. Chiny, Indie, Anglię, Serbię, Kongo, Persję, Austrię...

— Ale Mr. Burns, Austria nie ma przecież armii, ani ludności cywilnej, ani dworu królewskiego.

— Oczywiście, że nie ma tego u siebie. Za to my mamy to tutaj. Niech pan pozwoli!

Zjechaliśmy bardzo nisko windą, na dziesiąte piętro do monarchii austro-węgierskiej. Stała tam i wisiała, zakurzona, stęchła i pompatyczna, taka, jaką była za życia. Minęliśmy żandarmerię i gwardię, to znaczy: białe kurtki ze złotem i sznurami, wysokie po kolana, lakierowane buty i czerwono-czarne czapki i obejrzelśmy wiedeńskich policjantów miejskich, których mające wzbudzać postrach pruskie pikielhauby<sup>392</sup> mają szpic symbolicznie złagodzony kulką. Przemknęliśmy obok orkiestry c.k.<sup>393</sup> pułku piechoty z lirą na wylogach, kazaliśmy defilować II pułkowi ułanów, hełmom dragońskim, kaskom oficerów sztabowych, opaskom polowym, szablon oficerów piechoty, bagnetom, wozom saperskim, pałaszom.

Obejrzelśmy jedwabne podszewki i wyszyte na nich firmy krawieckie „Józef Mattura, Göding”, „Józef Szalay, Wiedeń 1913”, „Alex Sohn, Wiedeń I”. I na każdym guziku widnieje firma, na kurtce „F.J.I.”, na spodniach „Moritz Tiller, Wiedeń VII” lub „Franciszek Józef Zimmler c.k. dost. nadw.”.

<sup>391</sup>*western pictures* (daw. ang.) — westerny, filmy z akcją rozgrywającą się na Dzikim Zachodzie. [przypis edytorski]

<sup>392</sup>*pikielhauba* (niem. *Pickelhaube*) — hełm skórzany, z elementami metalowymi, zwieńczony na czubku wysokim szpikulcem, wprowadzony w 1842 r. przez króla Fryderyka Wilhelma IV jako ochronne nakrycie głowy pruskiej piechoty. Pikielhauba była wykonana z utwardzonej, barwionej na czarno i lakierowanej na wysokości połysk skóry, metalowy szpikuliec, najbardziej charakterystyczny element, służył do mocowania na hełmie ozdobnego pióropusza z włosia końskiego, używanego w połączeniu z mundurem galowym. W całości wykonane z metalu pikielhauby stosowane były przez kirasjerów (ciężką jazdę), w takim rodzaju hełmu występował kanclerz Otto von Bismarck. [przypis edytorski]

<sup>393</sup>*c.k.* — cesarsko-królewski. [przypis edytorski]

Na jednej bluzie kamgarnowej<sup>394</sup> wyszyta jest firma: „Max Kamareith Co. Alsergrund” Materiał pochodzi z czasów pokojowych. Wiemy o tym, bo znaleźliśmy Maxa Kamareitha, któremu w połowie lipca 1914 r. wyznaczono upadłość. Gdyby mógł ją odroczyć, w miesiąc później byłby bogaczem, a samobójstwo jego byłoby niepotrzebne...

I nazwisko właściciela widnieje przy każdym prawie ubraniu, „Nadpor. Hubert hr. Wojkffy, „hr. Deym” lub coś w tym rodzaju. Oficerowie, intendenci i kanceliści, każdy na swój sposób troskliwie wymazali przed sprzedażą swoje nazwiska.

Fraki poselskie, wyszyte złotem, smukłe i niewspółczesne, trzymają się na stronie.

A potem uderza się piętami, prezentuj broń! trąbić sygnał zbliżania się! warta występ! potem c.k. generalicja. Są oni tam zgromadzeni z czerwonymi lampasami, zielonymi pióropuszcami, złotymi wyszyciami, a przede wszystkim z medalem uczestnika wojny 1859 r., który uprawniał ich do prowadzenia wojny 1914 r. We wspaniałych uniformach i pod zielonymi pióropuszcami sterczą, zdaje się, osoby: nie, nie ma nikogo.

A teraz: zostawione przybory wojskowe, urzędowe, cały lombard.

A najważniejsza — złotem, srebrem, masą perłową i kością słoniową wysadzana kareta dworska Habsburgów.

Wszystko to jest autentyczne i kupione w Wiedniu. Przeważnie na zamówienie reżysera Ericha von Stroheima<sup>395</sup>, który w ojczyźnie pozbawiony został stopnia porucznika, a na obczyźnie zdobył austriackie szlachectwo. (Wskazówka dla emigrantów: nadajcie sobie w Ameryce szlachectwo lub tytuł! Im będzie wspanialszy, tym większe będzie mieć znaczenie. Otwiera wszelkie drzwi i serca córek milionerów. *It's toasted*<sup>396</sup>).

Porucznik Stroheim, którego „kupili sobie” zwierzchnicy, „kupił sobie” potem zwierzchników. On, któremu odebrano prawo dowodzenia półkompanią, dowodzi teraz armią austriacko-węgierską wraz z martwym dworem cesarskim, martwym Franciszkiem Józefem I i żyjącym arcyksięciem na dodatek. W ogniotrwałej szafie leżą dwa autentyczne egzemplarze „Złotego Runa” z wstęgą komandora i miniaturą fraka. Ujrzymy je po przejściu do oddziału „Orderów i medali”.

Ważniejsze od królestw austriackich są rekwizyty gwiazd. Kostium jest szyty na nich, ale tylko wypożyczany. Wszystko powraca do Costume Comp. Czapka Jackie Coogana, buty Charlie Chaplina. (Ma on jeszcze dwie pary, stanowiące jego własność osobistą oczywiście, może sobie na to pozwolić!) Ozdoby Normy Talmadge. Czapeczka studencka ze starego Heidelbergu Ramona Novarro. Spodenki chłopiące Mary Pickford. Suknia *empire* lady Hamilton *recte* Corinne Griffith. Płaszcz futrzany cara Pawła *recte* Emila Janningsa. Kaftan muszkietera d'Artagnana *recte* Douglasa Fairbanka.

Brak tylko turbana i burnusa, który nosił syn szejka *recte* Rudolf Valentino — wielbicielka kupiła je za 5000 dolarów.

Mijamy stare filmy — *Rywal*, tysiące mundurów z wojny światowej — *Król Królów*, tysiące pancerzy rzymskich legionów — *Intrygant*, tysiące mundurów gwardii carskiej — *Dwie sieroty*, tysiące spodni sankiulotów<sup>397</sup> — obok autentycznego inwentarza, noszącego barwy korporacji, wstęga zielono-biało-złota, wyszyte imionami przeciwników pojedynkowych, sztandar — obok hełmów Lohengrina i mantylli Carmen — obok lektyk i łodzi — obok pirackiego statku Czarnego Korsarza z rzeźbionym kilem, sterem, malowaną figurą i brązowymi moździerzami — obok olbrzymiego muzeum hełmów i sandałów — obok fryderykowskiej gwiazdy „*Pour la Mérite*” z pomarańczową wstęgą — obok biblioteki kostiumierstwa, przepisów wojskowych i pism ilustrowanych — obok broni —

<sup>394</sup>kamgarnowy — wykonany z kamgarnu: wełnianej przędzy dobrego gatunku; gładka tkanina z wełny czesankowej. [przypis edytorski]

<sup>395</sup>Stroheim, Erich Oswald (1885–1957) — aktor, reżyser, scenarzysta i producent filmowy; ur. w Cesarstwie Austro-Węgierskim jako syn żydowskiego kapelusznika, po odbyciu służby wojskowej, ok. 1908 r. emigrował do Ameryki, gdzie rozpoczął karierę aktorską w niemych filmach D.W. Griffitha (*Narodziny narodu* 1915, *Nietolerancja* 1916); następnie stał się twarzą filmów niemych, takich jak *Ślepi mężowie* (1919), *Szalone żony* (1922), *Marsz weselny* (1928). Najwybitniejsze jego dzieło reżyserskie stanowi *Chciwość* z 1924 r., zaś niezapomniane kreacje aktorskie w kinie dźwiękowym to kapitan von Rauffenstein w *Towarzyszach broni* (1937) Jeana Renoira oraz kamerdyner Max von Mayerling w *Bulwarze Zachodzącego Słońca* (1950) Billy'ego Wildera. [przypis edytorski]

<sup>396</sup>*It's toasted* (ang.) — tu: oplaca się. [przypis edytorski]

<sup>397</sup>sankiulota (z fr. *sans-culottes*: bez spodni) — w czasie Rewolucji Francuskiej nazwa nadawana rewolucjonistom, którzy nosili spodnie długie, zamiast modnych wówczas wśród szlachty krótkich spodni z koronkami (fr. *culotte*). [przypis edytorski]

obok peruk — przechodzi się przez wszystkie kraje, przez stulecia, których nie znała jeszcze prababcia, ale które znają prawnuki w ściśle prawdziwym odtworzeniu, w najautentyczniejszych kostiumach w groteskowym pomniejszeniu i skarykaturowaniu.

— To wszystko prawdziwe — chwali się Mr. L. L. Burns, który dziesięć fałszywych kostiumów indiańskich rozmnożył według wszelkich przepisów biblijnych. — Prawdziwość jest naszą zasadą, gdyż nigdy nie można wiedzieć, jaki szczegół uchwyci kamera przy *long shot*<sup>398</sup>, nie można przewidzieć, czego trzeba będzie użyć przy masowych zdjęciach i ilu fachowców znajdzie się pomiędzy milionami, które oglądać będą film, na przykład Chińczycy film chiński. Wszystko jest prawdziwe — chełpi się Mr. Burns, którego fałszywe kostiumy indiańskie przyniosły mu procenty i procenty od procentów — często nawet zbyt prawdziwe.

Musimy wziąć pod uwagę, że kamera jest ślepa na kolory. Jasnozielone i jasnobrunatne barwy wychodzą białe, czerwone i ciemnozielone — czarno. Metalowe guziki, daszki czapek i lakierki rzucałyby psujące zdjęcia odblaski, gdybyśmy nie posmarowali ich mydłem lub woskiem. Musimy więc zrezygnować z części prawdy — o resztę troszczy się fabryka filmowa.

## MASKARADA I MIASTO KWAKRÓW

Aby ujrzeć uroczystość noworoczną, pochód 15 000 masek, ludność Filadelfii stała w szpalerze od 11 rano do wpół do piątej po południu. Stała? Wisiała na świecznikach. Wdrapywała się na brązowe pomniki założyciela domu towarowego, Wanamakera (kiedy, u diabła, Tietz i Wertheim otrzymają swoje posągi w Berlinie) i innych wielkich Amerykanów. Wychylała się karkołomnie i lekkomyślnie z okien. Chwiała się na skrzyniach z owocami. Siedziała na ledwie ociosanych estradach, pod którymi przechodzili ludzie.

Gołębie sprzed ratusza dostały obficie grochu do dziobania. Około drugiej gołębie, przestraszone zagrażającym ich życiu posuwaniem się tłumów i lawiną *confetti* sypiących się z drapaczy nieba, odleciały.

Zbliżył się pochód zapustny. Ciągnął się dwie i pół godziny, a nudny był na dwa i pół dnia. Wyciągając ciekawie szyje, ale bez poruszenia i zaciekawienia, ogląda tłum tańczących mężczyzn w czerwonych perukach i maskach murzyńskich, frantowskich błaznów z dzwonkiem i biczem, czerwono pomalowanych Indian w ozdobach z piór, fantastyczne postacie z kolorowymi maskarami *à la* Haller-Revue, w biedermeierowskich ubrankach, tworzące razem gwiazdę, pojazdy przybrane girlandami. Miejsce na skrzynce kosztowało ćwierć dolara, na skrzyni z bawełną 50 centów, miejsce na trybunie — dolara. Im wyżej, tym drożej.

Jeszcze wyżej, najwyżej, na wieży ratusza stał z wyciągniętą przed siebie ręką William Penn. Założył miasto z małą gromadką kwakrów<sup>399</sup>.

W Anglii byli oni prześladowani, gdyż sprzeciwiali się przepychowi dworu, wojska i kościoła.

Kamienny William Penn wyciąga rękę. Błogosławiąc czy odpychając?

Zabawa

---

Wciąż jeszcze nosi Filadelfia przydomek „Miasto kwakrów”, chociaż jej założyciele stanowią obecnie zanikającą stale mniejszość. W całym świecie istnieje jedynie 150 tysięcy kwakrów.

Przed niezbyt dawnym jeszcze czasem widywano ich jeszcze, kroczących z godnością po ulicach w swoich starodawnych ubiorach. Teraz również chodzą po ulicach, lecz można ich odróżnić od innych przechodniów.

Trzeba ich odwiedzić, gdy chce się ich poznać. W Filadelfii mają pięć czy sześć kościołów, są przeciwnikami kościołów i domów modlitwy, nie mają również cmentarza,

<sup>398</sup>*long shot* (ang.) — długie ujęcie. [przypis edytorski]

<sup>399</sup>*kwakrzy* — chrześcijańska wspólnota o nazwie Religijne Towarzystwo Przyjaciół, wywodząca się z purytanizmu, silnie akcentująca rolę osobistego wewnętrznego objawienia, głosząca pokojowe zasady i prostotę sposobu życia; początki tej grupy religijnej sięgają 1646 i działalności George'a Foxa (1621–1691), prześladowania spowodowały ich emigrację m.in. do Ameryki i Niemiec i dopiero w 1689 na mocy dekretu tolerancyjnego uzyskali wolność wyznania w Anglii; popularnie byli określanymi prześmiewczo jako kwakrzy (z ang. *quakers*: drzący), co miało się odnosić do fizycznych reakcji towarzyszących praktykom doświadczenia mistycznego. [przypis edytorski]

jedynie „*meetinghouses*” — domy zebrań i „*burial grounds*” — miejsca grzebania. Niedziela ich jest poniedziałek, od którego zaczyna się tydzień, tak że ich środa odpowiada czwartkowi innych wyznań. Słów „styczeń”, „luty” i tak dalej nie używają, liczą miesiące w ich kolejności, uważając łacińskie nazwy za niepotrzebny zbytek.

Nieznany im jest dalej zwrot „pan”, chociaż potoczna angielszczyzna nie zna słowa „ty”; kwakrzy używają zamiast „you”, „your” i „yours” — powiedzeń „*thou*”, „*thee*” i „*thy*”.

Negatywna osobliwość — ich cmentarze. Nie ma wzgórków, kaplicy, katakumb, zagonów, kwiatów, krat. Na łące małe białe płytki kamienne, sterczące zaledwie na 10 centymetrów od ziemi, mówią, że jest to grób. Na nich — litery początkowe nazwiska, rok narodzenia i zgonu. Ani śladu jakichś sentencji czy życzeń.

I dom modlitwy jest ciekawy przez swoje braki. Brak jest organów, chóru, kazalnicy, wzniesienia, pulpitu dla ksiązek do śpiewu lub nabożeństwa, gdyż kwakrzy nie uznają duchowieństwa, ksiązek do śpiewu i do nabożeństwa.

W sali nabożeństw stoją rzędy wyścielanych ławek, w oknach zwieszają się angielskie żaluzje.

W milczeniu siedzi gmina podczas swych zebrań, a każdy czeka, żeby Pan doń przemówił. W ten sposób mijają godziny, póki nie oświeci kogoś Światło Wewnętrzne. Wtedy powstaje on i wyjawia posłannictwo boskie; przemawia ze swego miejsca, przyjaciel do przyjaciela. Istnieją tylko przyjaciele, słowa „kwakier” nie używa się w sekcje tych, których ono oznacza. Obok sali tych prawie niemych nabożeństw mieści się sala towarzyska z fortepianem i staroangielskimi sztychami z życia kwaków. Jeden z nich przedstawia, jak przyjaciółka E. Frey wyklada słowo boże skazanym kobietom z Newmarket; obszarpane, dzięki zbrodniarki są widocznie ogarnięte skruczą, jak gdyby wszystkie zbrodnie, które wtrąciły je do więzienia, popełniły jedynie z miłości do grzechu, z nieświadomości cnoty lub lekkomyślności.

I Jerzy Fox (1624–1690) wisi na sztychu na ścianie. Syn tkacza, sam pasterz owiec i szewc, założył w 1648 roku w Nottinghamshire (Anglia) pierwsze zgromadzenie przyjaciół; nazywało się ono wtedy „Dzieci światła”. Głosił on, że Bóg rozmawia bezpośrednio z duszą ludzką, która we wzajemnym gorącym oddaniu myśli o Nim. Nikt nie może usłyszeć słów Pana bez dreszczu — *to quake*. Fox zdobył wielkie uznanie u ludu, gdyż nazywał kapłaństwo zbytecznym i szkodliwym, zaś chrzest i komunię odrzucał jako niepotrzebny balast (do dzisiaj jeszcze żaden z kwaków nie jest ochrzczony). Potępiał wojny i przygotowania wojenne, zabraniał składać przysięgi, a później odmówił dziesięciny oficjalnemu kościołowi. Przede wszystkim jednak przez to, że zrównał kobiety z mężczyznami, co na owe czasy było oczywiście czynem rewolucyjnym.

Ta łączność ideowa z kobietami w pierwszej linii umożliwiała kwakrom przetrwanie uwięzienia ich wodza, Focha, i długoletnie prześladowania.

Gdy William Penn, jeden z zaufanych Focha, powziął postanowienie wywędrowania ze swymi braćmi w Chrystusie z Anglii, zwrócił się do króla Karola II i przez poufale „ty” zażądał, by „przyjaciel Karol” wyznaczył mu jakąś kolonię jako zapłatę za dług, zaciągnięty przez koronę angielską u ojca jego, admirała. Zadowolony z pozbycia się nie milego towarzystwa król angielski podarował mu lesisty półwysep między Delaware i Schnyckil River, nazwał ten kraj „Pensylwania”, szczerze życząc towarzyszom Penna, by już nigdy stamtąd nie powracali.

Nie uczynili tego w rzeczywistości, żyjąc w przyjaźni z Indianami, jak nakazał im z naciskiem Fox. Inni pionierzy amerykańscy odnosili się do nich z wielką wrogością. We współczesnej nocie protestacyjnej jako dowód niewątpliwego pomieszenia zmysłów u Penna przytoczone jest, „że w kraju, który otrzymał w lenno jako zapłatę długu państwowego, obchodzi się z Indianami, jak gdyby mogli oni sobie rościć jakieś godne choćby najmniejszej uwagi pretensje”.

Na szczęście dla Szwecji Penna byli tam jeszcze ludzie innego pokroju i Indianie, jak w pozostałych stanach, wybijani byli do nogi.

Kwakrzy zajęli również stanowisko przeciwko niewolnictwu. Na zebraniu ich w Germantown, Pa, w 1688 roku handel ludźmi został potępiony. Siedemdziesiąt lat później odłam Johna Woolmansa zażądał w Filadelfii, by każdy kwakier, trudniący się importem, kupnem lub sprzedażą niewolników, został usunięty z ich społeczeństwa. Dość długo

Grób, Świątynia

Religia, Ksiądz, Wiara, Bóg,  
Modlitwa, Chrzest,  
Kobieta, Mężczyzna,  
Rewolucja

Niewola, Prawda, Religia

potem wypędzano i piętnowano także takich, którzy wzbraniali się uwolnić swoich niewolników.

Zarówno w sprawie czerwono- jak i czarnoskórych nie wywarli jednak wielkiego skutku, gdyż od tego protestu w Germantown musiało przejść prawie dwieście lat, zanim przeciwstawili się sobie stanowczo zwolennicy i przeciwnicy niewolnictwa.

Podczas wojny światowej kwakrzy nie zaprotestowali przeciwko przelewowi krwi, mimo że wzięwszy dosłownie kazanie na górze, głosili powszechne braterstwo i niestawianie oporu i na skutek swego pacyfizmu byli prześladowani w ojczyźnie. (Ograniczyli się do przynoszenia pomocy ofiarom rzezi).

Gminy kwakerskie brały czynny udział w *American Relief Administration* która niosła pomoc głodującym podczas wojny w Belgii, Francji, Rosji i Serbii, a po zawieszeniu broni i w Niemczech. Była to na szeroką miarę zakrojona akcja dobroczynna, ale tylko dobroczynna.

Amerykanin, rozczulony do łez własną szlachetnością, obdarzył swą sympatią tych, którym powierzył odpowiedzialność za sprawne rozdawnictwo swych darów. Chwaląc swoich wykonawców, chwalił siebie samego. Dlatego też słał kwaków i ich Herberta Hoovera<sup>400</sup>.

I gdy kandydował ten ostatni na prezydenta Stanów Zjednoczonych, nie podniosła się przeciw niemu najmniejsza kampania religijna. Chociaż w USA żyje 18 i pół miliona katolików, wszystkie ambony protestanckie głosiły, o, biada! O Alu Smith'ie<sup>401</sup>, że jako katolik jest on tylko czcicielem bożków i posłusznym echem papieża.

Przeciwko Hooverowi nie podniesiono jednak ani jednego zarzutu życia w pogaństwie i w konkubinacie, chociaż ani nie jest chrzczony, ani nie otrzymał sakramentu małżeństwa.

Gdyż kwakrzy są lubiani; minęły już czasy, gdy musieli znosić męki więzienia, emigracji i denuncjowania; kwakrzy nie występują już przeciwko gwałtom i uciskowi, żaden Amerykanin nie potrzebuje obawiać się u „przyjaciela” Hoovera uczuć społecznych Williama Penna. Kwakrzy objawiają swój pacyfizm, żyjąc w pokoju (*pax, pacis*) z panoszącym się gwałtem, nie noszą już swych ostentacyjnie skromnych ubrań, nie pogardzają już zabawami — a ich miastem jest założona przez Penna — Filadelfia, *quaker city*, przez którą dziś przez przeszło cztery godziny przesuwał się pochód zapustny, z tańczącymi maskarami murzyńskimi w czerwonych frakach, ze skaczącymi błaznami i Indianami w ozdobach z piór, z dziećmi i dorosłymi we wspaniałych kostiumach.

## A POCZTYLION NA TRĄBCE GRA...

Kierownik poczty nowojorskiej, mały, korpulentny pan, którego ofrankowanie byłoby dosyć kosztowne, udziela nam pozwolenia rzucenia okiem na urząd pocztowy.

— Przedtem chcę panu przedstawić zasięg naszej pracy, chce pan?

— Proszę bardzo.

Wtedy mały pocztmistrz wielkiego Nowego Jorku zaczyna śpiewać piosenkę o słowach następujących:

„Mamy 1800 urzędników.

Codziennie otrzymujemy, dostarczamy i wysyłamy 16 milionów zwykłych listów.

Codziennie otrzymujemy, dostarczamy i wysyłamy 156 000 listów poleconych.

Otrzymujemy i dostarczamy codziennie 75 000 paczek wartościowych i za pobraniem.

Ważymy i dostarczamy codziennie 600 000 funtów gazet i czasopism.

Znajdujemy codziennie sto dolarów w listach, które nie mogą być dostarczone.

Corocznie uzyskujemy 30 000 dolarów z licytacji takichże paczek.

Codziennie otrzymujemy 2100 zawiadomień o zmianie adresu.

Codziennie mamy 350 000 błędnie skierowanych listów.

Codziennie wynajdujemy miejsca przeznaczenia 200 niezaadresowanych paczek.

<sup>400</sup>Hoover, Herbert Clark (1874–1964) — amerykański polityk, działacz Partii Republikańskiej; 31. prezydent Stanów Zjednoczonych w latach 1929–1933, tj. w okresie Wielkiego kryzysu gospodarczego (24 października 1929, czyli siedem miesięcy od zaprzysiężenia Hoovera na prezydenta, miał miejsce Czarny czwartek, tj. krach na giełdzie nowojorskiej). [przypis edytorski]

<sup>401</sup>Smith, Alfred Emanuel (1873–1944) — także: Al Smith; amerykański polityk, faworyt Stowarzyszenia Tammany Hall, związanego z Partią Demokratyczną, pochodził z rodziny katolickiej. [przypis edytorski]

Codziennie otrzymujemy 80 000 listów bez podania ulicy.

Codziennie zaopatrujemy 36 000 listów w ulicę i numer domu, korzystając z książki adresowej.

Codziennie pobieramy 250 000 dolarów za opłaty pocztowe.

Corocznie wypłacamy 165 milionów dolarów przekazami pocztowymi.

W Pocztovej Kasie Oszczędności mamy wkład 25 milionów dolarów.

Mamy 92 000 korzystających z pocztowych kas oszczędności.

Pobraliśmy od 30 czerwca 1927 roku do 30 czerwca 1928 roku 77 167 071 dolarów wobec 74 443 632 dolarów w roku ubiegłym”.

Tymi słowami zakończył pocztmistrz nowojorski swą piosenkę, obiecując przydzielić nam do oprowadzania znakomitego fachowca pocztowego.

Najznakomitszym fachowcem pocztowym jest z pewnością sam pocztmistrz (według zdania młodego człowieka, który nas zameldował). Z pewnością pocztmistrz jest równie znakomitym republikaninem jak fachowcem; gdyby jednak obrano prezydentem Stanów zamiast republikanina Hoovera demokratę Smitha, znakomity fachowiec pocztowy musiałby opuścić swój urząd i objąć jakieś stanowisko prywatne (zapewne z góry przygotowane), a na miejsce jego przyszedłby z pewnością jeszcze znakomitszy fachowiec pocztowy o zabarwieniu demokratycznym.

(Życzliwy czytelnik wybaczy zapewne częste używanie słowa „z pewnością”, musi ono jednak ukazać się choć raz w każdym zwrocie amerykańskim, zdanie bez tego słowa nie jest całkowite. *Sure!*).

Podczas gdy oddajemy się tego rodzaju głębokim filozoficznym rozmyśleniom o znikomości wszystkich potęg ziemskich w obrębie nowojorskiego urzędu pocztowego, zbliża się człowiek, który ma nas oprowadzać, będący również jednym z najznakomitszych fachowców pocztowych Ameryki. Wygląda tak po amerykańsku, jak gdyby jego przodek przybył przed trzystu laty na karaweli „New Netherland” do wyspy Manhattan i rozpoczął handel z Indianami. Z drugiej strony jest także podobny do pewnego prokuratora naszej ojczyzny, co zresztą nie jest takie zadziwiające, gdyż pasażerowie karaweli „New Netherland” pozostawili przecież braci i siostry w Europie.

— *Mr. Kisch, meet Mr. Mautner* — przedstawia nas pocztmistrz, wskutek czego nie pozostaje nam nic innego, jak zapytać:

— *How do you do, Mr. Mautner*<sup>402</sup> — jemu zaś:

— *How do you do, Mr. Kisch.*

— *You have a brother in Prague, a lawyer, haven't you?*<sup>403</sup>

— *Sure!* Prokuratora Ryszarda Mautnera — odpowiada, i oprowadzanie rozpoczyna się od stwierdzenia, że obydwa służyliśmy jako jednoroczni ochotnicy w II c. k. pułku piechoty, on zresztą znacznie wcześniej — trzeba przecież osiągnąć pewien wiek, nim zostaje się uznany za znakomitego fachowca pocztowego. (I w Ameryce... To, że tutaj przychodzi się na świat jako dyrektor naczelny, że chłopcy są prezydentami towarzystw akcyjnych, a młodzieńcy honorowymi prezydentami, jest wynalazkiem zbyt pochopnych pisarzy-podróżników).

Przechodzimy przez halę budynku pocztowego, który od zewnątrz jest marmurową świątynią grecką, od wewnątrz zaś brzydką fabryką.

Obok piszących, dzwigających lub spełniających jakieś inne czynności białych, pośród których znajdujemy natychmiast znajomych, obok Murzynów, wśród których ani Mr. Mautner, ani my nie możemy znaleźć ani ziomek, ani krewnych, ani towarzyszy broni.

Nad głowami wszystkich zatrudnionych w tym pomieszczeniu ludzi przesuwają się w plecionych z drutu rurach przesyłki pocztowe, przed nimi posuwają się ruchome taśmy, a pod podłogą, na której stoją — pociągi.

Dziesięciu mężczyzn otacza stalowy stół, *pace-up-table*<sup>404</sup> i dwadzieścia rąk pracuje, aby szeleszczące listy skierować w dwóch kierunkach — listy w dłuższych kopertach w jednym, mniejsze zaś i pocztówki w drugim. Szyny prowadzą do dwóch maszyn stemplujących, które co godzina pozbawiają wartości tylko 30 000 marek pocztowych przez

<sup>402</sup>*How do you do* (ang.) — zwrot używany wyłącznie przy zapoznawaniu się z nową osobą. [przypis edytorski]

<sup>403</sup>*You have a brother in Prague, a lawyer, haven't you* (ang.) — Ma pan brata w Pradze, prawnika, czyż nie? [przypis edytorski]

<sup>404</sup>*pace-up-table* (ang.) — dosł. stół przyspieszający (w domyśle: pracę). [przypis edytorski]

nadruk Nowy Jork, roku, daty i czasu z dokładnością do pół godziny. Nie więcej jak 30 000 na godzinę, czyli tylko 720 000 dziennie. Jak pięknie jednak śpiewał nam pocztylion:

„Otrzymujemy, wysyłamy i dostarczamy codziennie 16 milionów zwykłych przesyłek pocztowych”.

Tak śpiewał, a przecież nawet po ostemplowaniu bieżącej poczty pozostaje jej jeszcze zbyt dużo, aby ta cherlawa maszyna mogła sobie dać radę. Dlatego jest ich szesnaście na ośmiu stołach *pace up*, każda otoczona przez dziesięciu mężczyzn o dwudziestu szalejących rękach. Praca pocztowa, praca pocztowa!

Przy stołach korespondencji polecanej jest nieco spokojniej, ale za to przerażenie wzbudza broń, wystająca z tylnej kieszeni spodni pracujących z zakasnymi rękawami urzędników, przerażająco wielkie rewolwery, raczej na pół armaty.

Strzela się także. Stąd lub tutaj. Nie świszczą jednak kule rewolwerowe, lecz granaty, prawdziwe pociski 32-centymetrowe. Są one wypełnione listami zamiast materiału wybuchowego, przesyłane są w przebiegających przez cały Nowy Jork rurach pneumatycznych z i do trzystu filii pocztowych. 16 takich granatów można wystrzelić na sekundę; z żalością myśli się na ich widok o sielankowych rurach ojczystej poczty pneumatycznej.

Tam, gdzie padają te pociski, i tam, gdzie są one ładowane, pracują robotnicy, ociekający oliwą i potem, o których Lenau<sup>405</sup> nie napisałby życzliwych wierszy. Ramię przy ramieniu pracują obok nich zwinni chłopcy; nie mają oni nic do czynienia z wyrzucaniem olbrzymiej torpedy, której zapalnik jest już odśrubowany, a zawartość wyjęta. Rozdzielają oni listy. Trzymając całą paczkę w lewym ręku, z rutyną starych krupierów z Monte Carlo, rzucają jeden list do Filadelfii, drugi do Europy, trzeci do Massachusetts, czwarty do Chicago, piąty do Texas, szósty do San Francisco, czyli inaczej mówiąc, do worków, noszących nazwy tych miast i państw. Listy migocą jak węże papierowe w swej powietrznej drodze we wszystkich kierunkach.

Rampa, na której składa się lub posyła dalej dary ofiarne, nazywa się *transportation platform*. Murzyni wyładowują ciężarowe auta ferm i urzędów pocztowych (karoseria ich jest przeważnie zrobiona z siatki drucianej) i wnoszą zawartość bądź do wnętrza urzędu, bądź rzucają do szybów czy też do składów. I ruchome żurawie wytaczają się ze stacji manipulacyjnej, aby wypróżnić swą zawartość.

Głęboko w dole: pociągi, trzydzieści pięć obok siebie. Nie przybędzie tam żaden przechodzień, nie jedzie żaden pasażer, którzy mogliby się poranić, wysuwając głowę lub rękę. Na nikogo nie czeka się tam. Dlatego też nie ma tam peronu, hali i wstydliwego przyozdabiania opoki.

Pociągi pocztowe ocierają się o grubo ciosane ściany tunelu, tak blisko opoki biegną one.

Pokoje kancelaryjne różnią się tylko rozmiarami od pomieszczeń firm prywatnych.

Wiele spośród przedmiotów zamawianych z wszechobejmującego katalogu „Sears, Roebuck, Chicago” lub jakiegoś innego domu wysyłkowego przechodzi przez Nowy Jork.

Mimo że zlecenie bywa załatwiane bardzo szybko, warunki życiowe drobnomieszczanina zmieniają się jeszcze szybciej. W międzyczasie zmienił miejsce pobytu, stracił zajęcie lub przegrał na giełdzie swoje ostatnie parę dolarów. Należy odnaleźć nowy adres lub wstrzymać przesyłkę. Magazyn pocztowy jest wypełniony tak różnorodnymi przedmiotami, jak w domach towarowych.

Sherlok Holmes i Mezzofanti<sup>406</sup> musieliby połączyć swoje umiejętności, aby odcyfrować adresy na przesyłkach, które po większej części wysyłają wieśniacy Włoch, Polski, Słowacji i Bałkanów do swych krewnych, zamieszkałych w Nowej Ziemi. Często brak miejsca przeznaczenia, ale w urzędzie pocztowym znajdują się spisy ulic wszystkich miast Ameryki, i jeśli napisane jest gdzieś: 6404 Washington Street, to wiadomo, że ulica Washingtona z tak wysokim numerem domu może być tylko filadelfijska. Poza tym urzędnicy znają dzielnice cudzoziemców wszystkich miast oraz litery serbskie, bułgarskie i greckie. Nawet listy bez adresu docierały już do swego miejsca przeznaczenia.

<sup>405</sup>Lenau, Nikolaus, właśc. Nikolaus Franz Niembsch (1802–1850) — austriacki pisarz epoki *biedermeier*; od 1820 nosił tytuł i nazwisko razem: Edler von Strehlenau. [przypis edytorski]

<sup>406</sup>Mezzofanti, Giuseppe Gasparo (1774–1849) — kardynał włoski, ur. w Bolonii w niezamożnej rodzinie, kształcił się w szkole piarów; zyskał sławę jako hiperpoliglota. [przypis edytorski]

Przesyłki, których adresatów nie można odnaleźć, otwiera się, ich zawartość sortuje, stare ubrania męskie osobno, starą bieliznę damską osobno, osobno sprzęty domowe i obuwie; w poniedziałki można oglądać te przedmioty, we wtorki sprzedaje się je z licytacji w wypełnionej doszczętnie sali aukcyjnej.

Dzisiaj mamy środę i mamy sposobność widzieć handlarzy i handlarki oglądających z niezadowoleniem rozmaite rupiecie, pakujących je w skrzynie lub wiążących sznurami. Wczoraj nabyli to, dzisiaj zabierają ze sobą, zaprzeczają sobą twierdzeniu naszych kolegów podróżników, że w Ameryce używane rzeczy wyrzuca się po prostu i nikt ich nawet nie podnosi. Ach, obejrzyjcie nędzne bazyry południowschodu Nowego Jorku — jedynie w Kasbach w Algierze uważa się takie odpadki za nadające się do handlu.

„Martwe listy”, takie, co zupełnie już umarły, przed spaleniem w krematorium podlegają jeszcze sekcji, czy nie ukrywa się w ich wnętrzach jakiś dolar czy też czek.

Specjalna maszyna rozcina je, i oto leżą trupy pocztowe z pokrajanymi ciałami. Następnie szperają w nich anatomowie, każdy w 3200 dziennie. Jeśli znajduje się banknot lub przekaz pieniężny, martwy list przechowuje się jeszcze przez rok; jeśli właściciel nie zgłosi się w tym czasie, pieniądze należą do państwa, a list do krematorium.

Krótko mówiąc, klient dość otrzymuje za swoje dwucentowe porto<sup>407</sup> i nie możemy powstrzymać się, by nie wyrazić Mr. Mautnerowi naszego uznania dla jego Ameryki.

## W TEATRZE, KTÓRY ZOSTAŁ ZASTRZELONY

Ten trzypiętrowy szary dom na ulicy Washingtona 10 nie posiada dzwonka.

Stukam do drzwi, nic się nie porusza.

Stukam po raz drugi. Otwiera mi jakiś mężczyzna.

— Chciałbym obejrzeć dom.

— Nie ma tu nic do oglądania.

— Chcę zatem zobaczyć to nic.

— *Go in*<sup>408</sup>.

Rzeczywiście, nie ma tam nic do oglądania. Pusta stodoła z trzema galeriami wzdłuż ścian. Dźwig towarowy na środku. Mały boczny pokójek z umywalniami. (Podczas wojny kwaterował tu jakiś urząd wojskowy).

Stary odźwierny daje mi znak:

— Tam, gdzie pan stoi, była scena, w górze na prawo łoża.

---

Sztuką, którą wystawia się dzisiaj, 14 kwietnia 1865 roku, jest ekscentryczna komedia Toma Taylora *Nasz wujaszek z Ameryki*.

Na wąskich plakatach teatru Forda na rogach ulic można wyczytać, że grać się ją będzie na benefis i pożegnalne przedstawienie aktorki, Laury Keene. Wykona ona rolę Florencji Trenchard.

Wielki szaszczyt spotyka beneficjantkę. Prezydent Lincoln ukazuje się w łoży (w górze na prawo) ze swą żoną. Po raz pierwszy może sobie pozwolić na rozrywkę. W dniu dzisiejszym zakończona została straszliwa wojna między Północą i Południem, a porażka handlarzy niewolnikami przypieczętowana.

Przed tygodniem armia skonfederowanych przeszła do generała Granta, a dziś zakończony został ostatni epizod wojenny, spór o flagi w porcie Sumter.

Nie ma już więcej secesjonistów i nigdy ich już nie będzie.

Nie ma już handlu czarnymi ludźmi i nigdy już nie będzie.

Do historii będą należały ogłoszenia, cenniki i listy handlowe handlarzy niewolników z podaniem wieku, rzemiosła, uzdolnień i ceny.

Nie przyplynie już do Ameryki żaden okręt z „czarną kością słoniową”, porwani i związani mężczyźni, kobiety i dzieci z Afryki. Nie będą już rozlepiane plakaty, wyznaczające 100 dolarów za pojmanie zbiegłego niewolnika Baptysty N; nigdy już nie poświęci farmer tych stu dolarów oraz kosztów druku ogłoszeń, aby odzyskać niewolnika i ukarać go wobec przerażonych współbraci wysmarowaniem smołą i taczaniem w pierzach.

<sup>407</sup>porto — tu: znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>408</sup>go in (ang.) — wejdź; idź do środka. [przypis edytorski]



Jest to dzieło Abrahama Lincolna. Siada; w łoży z prawej strony ponad sceną; z pomocą łoży zwisa gwiazdzisty sztandar. Sztuka rozpoczyna się, jest wesola i odrywa od smutnych rozmyślań.

W drugim akcie, dwadzieścia minut po dziesiątej, rozlega się strzał.

Zanim zorientowano się, co zaszło, jakiś człowiek przeskakuje parapet łoży prezydenta, chce zeskoczyć na scenę, ale zaplątuje się ostrogą w gwiazdzistym sztandarze i pada z krzykiem w tym miejscu, gdzie teraz stoję. Złamał sobie nogę.

Ktoś z publiczności usiłuje dostać się na rampę sceniczną, aby zatrzymać sprawcę, ale ten powstaje — podnosi sztylet — zaskakujące, że nie rewolwer — i nikt nie ośmiela się doń zbliżyć! Bez przeszkód czołga się przez pustą scenę na prawo. Przed wyjściem ze sceny stoi koń, na którym pędzi w ciemności.

Abraham Lincoln, zalany krwią, pada w ramiona swej żony.

Otrzymał postrzał w tył głowy. Zbrodniarz otworzył drzwi łoży i strzelił z bezpośredniej bliskości. Otaczający podnoszą prezydenta, chcąc go odnieść do Białego Domu.

Zasłona spada. Człowiek, na którego padło podejrzenie, że trzymał konia wierzchowego, zostaje uwięziony. Aresztuje się również paru ludzi, którzy zajmowali miejsce na galerii obok łoży prezydenta, jak uczynił to sprawca morderstwa. Wypytuje się ich w policji o ich adresy, pochodzenie, znajomości.

Zaledwie nosze z prezydentem opuściły teatr, gdy traci on przytomność. Lekarze oznajmniają, że Lincoln nie przeżyje transportu do Białego Domu. Przenoszą go zatem do przeciwległego domu Pettersowej, gdzie na parterze kładą go na łóżku.

Następuje usilne śledztwo, ściganie wszystkich podejrzanych o sympatię do Południowych Stanów. O tej samej porze, w której dokonano zamachu na Lincolna, usiłowano zamordować jego chorego sekretarza, Sewarda.

Wyśledzono, gdzie mieszkał sprawca zamachu — sąsiedzi rozpoznali w świetle ramp obcego lokatora Mrs. Mary Surrat. Zostaje ona wraz ze swymi przyjaciółmi aresztowana.

Przestępca nazywa się John Wilkes Booth i jest aktorem. Ojciec jego, który okazuje się zresztą niewinnym, nosi imię Juniusa Brutusa, mordercy tyranów, co zresztą często miało miejsce w okresie Wielkiej Rewolucji.

Całą noc czuwają lekarze przy łożu Lincolna. Rano o siódmej umiera.

Garnizon waszyngtoński ściga zbrodniarza. Wyśledzono, że Booth miał zestawioną złamaną nogę przez doktora Samuela Wudda, następnie zaś przeprowił się promem przez Potomac.

W cztery dni później osaczono kryjówkę zbiega w jakimś lesie.

Podobno strzelał do żołnierzy, na co odpowiedzieli ogniem. Gdy zbliżyli się do niego, ranny śmiertelnie wyzionął ducha.

— Zanieście matce moje ostatnie pozdrowienie. To, co uczyniłem, uczyniłem dla ojczyzny i sądzę, że był to dobry postępek.

Spełniony o parę dni wcześniej czyn ten mógł przechylić szalę wojny na stronę skonfederowanych. Ale któż wie, czy mu o to chodziło, być może, był jednym z przejętych wojenną propagandą nienawiści i nie mógł dopuścić, aby wczorajszy wróg stał się dziś towarzyszem.

7 lipca 1865 roku powieszono w Washingtonie jako współników Booth'a Mrs. Mary Surrat, Levisa Payne, Davida Herolda i Geo Atzerota. Lekarza Wudda, za okazaną przez niego pomoc skazano na dożywotnie więzienie; przewoźnik, który nie miał nawet pojęcia, kogo przewoził, umiera w lochu. Wudd po czterech latach został ułaskawiony przez Andrew Johnsona, wiceprezydenta za czasów Lincolna. (Krażyły pogłoski, że Johnson najął morderców, aby zostać prezydentem. Wytoczono mu później proces, nie z tej jednak przyczyny, lecz z powodu udowodnionych oszustw).

Sztandar gwiazdzisty, który próbował zatrzymać i zranił zbrodniarza, przechowuje się w skarbcu jako trofeum. W domu, gdzie zmarł Lincoln, mieści się małe muzeum, zawierające obrazy i wycinki z gazet, ilustrujące zbrodnię i stracenie. A ponieważ już i tak dotyczą one morderstwa prezydenta, muzeum zawiera również portrety prezydenta Jamesa Abrama Garfielda, zastrzelonego z lipca 1881 r. przez nowojorskiego prokuratora Karola Guiteau, gdyż Garfield nie chciał podpisać jego nominacji na konsula w Marsylii, i prezydenta McKinleya, zamordowanego w 1901 roku na wystawie panamerykańskiej w Buffalo przez anarchistrę Leo Czolgosza. Tam, gdzie stało śmiertelne łoże Lincolna,

wiszą portrety, maski pośmiertne, medale pamiątkowe, relikwie po Lincolnie i pamiątki z tych czasów, gdy niewolnicy nie otrzymywali wynagrodzenia.

Zwłoki Johna Wilkesa Bootha zostały w parę lat potem na prośbę krewnych eks-humowane i pogrzebane w grobie rodzinnym na cmentarzu Green Mount w Baltimore.

---

Tutaj, gdzie strzał zakończył żywot teatru, nie ma nic do oglądania. W górze na prawo była łoża, w dole na lewo scena.

## CUDA TECHNIKI MIASTA CUDÓW, CHICAGO

Doktor Becker zjawia się, powiedzmy, w ambulatorium Western Electric, fabryki wyrabiającej aparaty telefoniczne.

Na dwudziestu stołkach siedzą zakrwawieni robotnicy, jednemu gołą głowę, drugiemu obmywają ranę w kolanie, wielu ma pokaleczone palce, na stole operacyjnym leży mężczyzna ze złamaną ręką.

— *Some hundred*<sup>409</sup> — opowiada jedna z pielęgniarek na pytanie doktora Beckera, wiele<sup>410</sup> razy udziela się dziennie pomocy.

Wzdragacie się? Ba, gdyby nawet w tej fabryce było 340 wypadków dziennie, to stanowiłoby to zaledwie jeden procent, gdyż Western Electric zatrudnia tu 34 000 robotników, którzy zmieniają się tak często, iż jest mało prawdopodobne, by ktoś mógł stracić jeden po drugim wszystkie dziesięć palców lub złamać sobie wszystkie cztery kończyny.

---

Należy obejrzeć „*stockyards*”, słynne na cały świat rzeźnie; możecie się przekonać, moi państwo, że tego rodzaju przedsięwzięcie przyczyniło się do usunięcia tych nieapetycznych rzeczy, opisanych w powieści *Jungle*<sup>411</sup>).

Nie usunięto jedynie strasznych warunków pracy... Upton Sinclair celował w serce Ameryki, trafił zaś w żołądek. Dla użytku przewodnika wydała firma poufną książkę, gdzie omówione jest, jak trzeba odpowiadać na kłopotliwe pytania. Tych pytań i odpowiedzi musi się nauczyć na pamięć, książki zaś nie wolno mu nikomu pokazywać. Doktor Becker wynotował sobie z niej:

*Pytanie.* W jaki sposób mogą dziewczęta w dziale pakowania wytrzymać szalone tempo ich pracy?

*Odpowiedź.* Dziewczęta lubią okazywać swoją szybkość wobec zwiedzających. Odradzamy im ten zbyteczny pośpiech.

Aha, o to więc chodzi, woła doktor Becker, przeczytawszy to miejsce poufnej książeczki.

A to próżne stworzenia te chicagowskie dziewczęta! Przez cały dzień są opieszale w pracy, ale gdy nadejdzie zwiedzający, nogi ich naciskają pedały maszyny jak nogi uczestników sześciu dni<sup>412</sup>, ręce ich czynią chwyt w takim zawrotnym tempie, że zwiedzającego ogarnia zawrót głowy. Tak, zawrót głowy! Ja, doktor Becker, widziałem i czytałem to sam czarne na białym, firma zdradza ten *bluff* i sama oskarża swoje pracownice o udawanie fałszywych faktów. Ha, ha, nie dam się nabrać! Pakowaczki Chicago tak się ze mną liczą, że wszędzie, w walcowniach papieru, w domach wysyłkowych, w fabryce zegarów, w Harrester Comp., wyrabiającej maszyny rolnicze, pracują z szalonym, zabójczym pośpiechem, gdy się przybliżam, li tylko<sup>413</sup> aby mi zaimponować.

Doktor Becker chciałby jednak zadać pytanko. A jak jest z biegnącą wstęgą, panie przewodniku? W jaki to sposób wie wstęga, kiedy i dokąd zbliżają się zwiedzający? W jaki to sposób wpada biegnąca wstęga w taki szalony pęd, że robotnica dąży w samą porę swym udanym — oczywiście, oczywiście! — pośpiechem wykonać swą czynność, z którą związana jest jej sąsiadka?

Robotnik, Kobieta, Fałsz,  
Interes

---

<sup>409</sup>*some hundred* (ang.) — około stu; mniej więcej sto. [przypis edytorski]

<sup>410</sup>*wiele razy* (daw.) — dziś: ile razy. [przypis edytorski]

<sup>411</sup>*Jungle* — *Grzęzawisko* [powieść] Sinclaira. [przypis tłumacza]

<sup>412</sup>*uczestnicy sześciu dni* — [chodzi o] słynny wyścig kolarski, trwający bez przerwy 6 dni. [przypis tłumacza]

<sup>413</sup>*li tylko* — konstrukcja z partykułą wzmacniającą *li*; znaczenie: wyłącznie. [przypis edytorski]

*Pytanie.* W jaki sposób mogą wytrzymać robotnicy w tej atmosferze woni krwi, wydaliny i gorąca, względnie w temperaturze chłodni?

*Odpowiedź.* Robotnicy posiadają specjalne odzienie, które chroni pory!

Doktor Becker nie widzi tego odzienia. Widzi, że są ubrani, jak ubierają się wszędzie rzeźnicy, tam, gdzie praca nie polega na szlachtowaniu na godzinę 750 świń czy też 250 wołów lub na wypatroszeniu ich i pokrajaniu w tempie pasa transmisyjnego. Normalne wynagrodzenie wynosi 42 ½ centa za godzinę przy czterdziestogodzinnym tygodniu roboczym; godziny nadliczbowe są płatne akordowo. Siedemnaście dolarów tygodniowo, sześćdziesiąt osiem miesięcznie — mniej niż skromne wynagrodzenie w najbogatszym okręgu Ameryki.

Robotnikami są przeważnie Polacy i Murzyni. Od czasu jednak, gdy Murzynów, mówiących bądź co bądź językiem miejscowym i posiadających zaczątki zrzeszenia się, nie można już tak wyzyskiwać w Chicago, jak na południowych plantacjach bawełny (dwadzieścia siedem centów dniówka), zastępuje się ich wygonowymi ładunkami Meksykanów. Agenci objeżdżają Meksyk, aby zwerbować robotników i wytransportować wraz z rodzinami do Północnej Ameryki, dokąd inni cudzoziemcy tak łatwo dostać się nie mogą.

Im liczniejsze są rodziny meksykańskie, tym lepiej, gdyż ich swoboda ruchów jest przez to zupełnie zniesiona i stają się zupełnie bezwolni. Meksykanin właśnie jest dziś skazany, by zostać najbezwzględniej wyzyskiwanym i najbardziej obniżyć ceny.

Robotnik, Niewola,  
Pieniądz, Pozycja społeczna

---

Z wyjątkiem zakładów Forda w Detroit i fabryki General Electric Co. w Schenctady, N. Y., nie ma, zdaje się, na kuli ziemskiej potężniejszych fabryk niż w Chicago. To młode miasto stale wzrasta, stale powiększa się. Zaludnienie wzrasta corocznie o siedemdziesiąt tysięcy ludzi. Jezioro Michigan zostało zasypane na olbrzymiej przestrzeni, by uzyskać miejsce dla dróg samochodowych, dla wystawy wszechświatowej 1933 roku, dla stadionu, dla akwarium.

Dawniej mieszkańcy wschodniej części miasta letnią porą udawali się w kostiumach kąpielowych ze swoich domów do jeziora; obecnie muszą tłumnie w kostiumach kąpielowych wsiadać do tramwajów lub do autobusu, by dostać się na brzeg.

Bulwar Michigan, zwany przez paryskich turystów także „Boul Mich”, jest wspaniałą, jaskrawo oświetloną ulicą, biegnącą wzdłuż jeziora. Tutaj i na porytej tunelami Wacker Drive sterczą wysoko drapacze nieba! A mimo to Chicago, gdzie mieści się centrum wielkiego przemysłu, całego handlu zbożem, eksportu mięsa, domów wysyłkowych, a przede wszystkim wszechświatowy szmugiel alkoholu, jest biednym miastem.

Miliarderzy przebywają podczas sezonu jesiennego w Nowym Jorku, w lecie na Florydzie, a w zimie w Beverly Hills w Kalifornii. Często udają się do Nicei.

W Chicago mieszka niewielu kapitalistów, gdyż mimo jeziora Michigan, mimo plaży kąpielowej i Boul Mich jest ono ponurym miejscem, pełnym dymu, błota, kałuż, zimnych wiatrów, bandytów, nędzy.

Miasto, Pozory, Bogactwo,  
Bieda

---

Drapacze chmur dają się fotografować i odtwarzać. Drewniane domy Chicago nie dają się fotografować i odtwarzać. Urągają każdej podobiznie. Trudno by w całej Europie znaleźć coś podobnego do ich opuszczenia, zaniedbania i nędznego wyglądu, ziemianki Armenii i błotne lepianki Besarabii są lepsze, gdyż chronią przynajmniej przed zimnem i deszczem.

Wystarczy obejrzeć od wewnątrz dwie lub trzy budy mieszkalne — wszystkie są do siebie podobne: mimo swej szczupłości mieści każda z nich cztery lub pięć „mieszkań”; za każde właściciel domu żąda 25 do 30 dolarów miesięcznie komornego. Jest to niesłychana cena i jest śrubowana przez to, że w każdym pokoju mieszczą się cztery miejsca do spania dla ośmiu osób w dwóch kondygnacjach. Dzieci śpią w koszach na jarzyny lub w płaskich skrzyniach, wszędzie mógł oglądać doktor Becker trzy lub cztery materace obok siebie.

Wszyscy lokatorzy i sublokatorzy używają tego samego ustępu, zwykle w piwnicy. Często nie ma w ogóle piwnicy, gdyż pod domem mieści się jedna z wiecznych gnojówek

Chicago; wbija się w nią pale i na nich na wysokości dwóch metrów wznosi się dom w zatrutym powietrzu.

W dwie, trzy minuty po opuszczeniu przez kolej powietrzną dzielnicy handlowej przejeżdża ona z hukiem koło tych prymitywnych pomieszczeń. Im dalej zapuszcza się na południe i wschód, tym okolica staje się bardziej przytłaczająca, w Cicero, w Chicago Heights, w Walley, w okolicach, gdzie codziennie jakiś prokurator lub inny bogaty *bootlegger*<sup>414</sup> otrzymuje parę kulek rewolwerowych.

Tam w dole nie ma także kanalizacji. I podobnie jak skandalem stają się te ludzkie psie budy na tle wspaniałych pałaców pięćdziesięciopiętrowych wież handlowych, zaniedbane stosunki zdrowotne tych okolic stają się tym straszniejsze, gdy pozna się potężne wodociągi i ścieki Chicago.

---

Rzeka Chicago, która od stworzenia świata wpadała do jeziora Michigan, została nagle odwrócona. Chicago czerpie bowiem z jeziora wodę do użytku i do picia, która została by zanieczyszczona przez brudy przepływającej przez miasto rzeki. Dawniej nie stanowiła ona bynajmniej przeszkody, i jezioro używane było jako wiadro do picia, jako miska klozetowa i jako wanna.

Aż wreszcie liczba zgonów na tyfus stała się zbyt wysoka! Czy wiecie, co to oznacza? Przez to zmniejszała się przecież szansa dopięcia gorączkowo pożądanego przez całe Chicago celu — przewyższenia liczby zaludnienia Nowego Jorku.

Zmuszono zatem rzekę na stare lata do zmiany kierunku, i od tego czasu płynie ona od tyłu ku przodowi.

I teraz nie można używać przybrzeżnej wody jeziora, pobierać wody przy brzegu brudnego, zadymionego, bagnistego miasta. Wieże ciśnień trzeba było wybudować pośrodku jeziora, kilometr od brzegu; wykuto tunele pod skalistym dnem — budowa wyniosła milion dolarów za kilometr — i doprowadzają one podziemne rzeki, potężniejsze od rzeki Chicago, do 12 miejskich stacji pomp.

A te stacje pomp. Wm. Thompson Pumping Station, 50. ulica i Western Avenue kosztowała prawie cztery miliony dolarów.

Oglądając jej urządzenia, doktor Becker żałuje po raz pierwszy od dwudziestu lat, że nie poświęcił się zawodowi inżyniera. Cztery miliardy litrów pompuje się dziennie do wszystkich części miasta, na każdego mieszkańca wypada 1100 litrów dziennie, dwa razy tyle, co w Nowym Jorku, prawie dziewięć razy tyle, co w Berlinie, gdzie pojedyncza osoba może zużyć 133 litry.

Woda z jeziora dezynfekowana jest chlorem, przez co jednak mętnieje. W projekcie jest urządzenie filtrów.

Do dziś dnia woda w Chicago jest najtańsza w świecie (płaci się sześć i pół centa za tysiąc galionów — 1 metr sześcienny wynosi 264 galiony, 1 galion — 3,8 litra m<sup>3</sup>); w wielu wielkich miastach jest ona pięciokrotnie droższa.

---

Zakłady przemysłowe, na przykład rzeźnie, dostarczają ścieków, odpowiadających ściekom przeszło miliona ludzi, a zbiorniki wodne na podmiejskich polach wyglądają jak cysterny z naftą, tyle spływa do nich odpadków samochodowych. Wszystko to odprowadza się do odwróconej rzeki i przez kanały do Missisipi.

Jest to istny cud, że powstały te urządzenia pod- i nadwodne, chociaż lwia część wpływów podatkowych zostaje rozkradziona, a zeszłoroczna milionowa dotacja na cele zdrowotne została prawie całkowicie zdefraudowana i podzielona między zainteresowanych.

Gdy Goethe umierał, gdy urodził się Bismarck, wilgotny wiatr świstał tu nad trawą stepową i nie wznosiła się nawet chatynka. Przed dziewięćdziesięciu laty powstała tu spokojna wioska nadbrzeżna, przed sześćdziesięciu laty bank mięsny i targowisko zbożowe. Dzisiaj Chicago, wierne swej dewizie „*I act, I move, I push*”<sup>415</sup>, dąży do rekordu światowego.

---

<sup>414</sup>*bootlegger* — przemytnik alkoholu. [przypis edytorski]

<sup>415</sup>*I act, I move, I push* (ang.) — działam, poruszam się, śpieszę. [przypis tłumacza]

Znaczy to, że trzy miliony ludzi, żyjąc w większości w okropnych warunkach pracy, pożywienia, mieszkaniowych, umysłowych i moralnych, pracuje, porusza się, śpieszy, aby paru miliardów z Nowego Jorku, Miami Beach i Florydy zarobiło jeszcze parę miliardów, ewentualnie uczyniło zapis milionowy, za co przez cały naród są bez przerwy sławieni jako geniusze i dobroczyńcy.

## BALLADA O SUTTERS FORT

Tutaj, do tego pokoiku obwarowanego domu handlowego Sutters Fort 28 stycznia roku 1848 pewnego dnia deszczowego przyprowadził komendant Johannes August Sutter swojego przedstawiciela, Jamesa W. Marshalla.

Marshall, przyjechawszy ze swego wysuniętego naprzód posterunku Coloma, życzył sobie rozmowy z szefem w cztery oczy w szalenie ważnej sprawie.

A na dworze szemrał deszcz.

W pokoju stał stół z papierami, stare niemieckie książki i nowe amerykańskie. Johannes A. Sutter był Niemcem, urodzonym w roku 1803 w Kandern, w Wielkim Księstwie Badeńskim<sup>416</sup>, wcześniej przesiedlił się z rodzicami do Szwajcarii, a później udał się do Paryża jako szwajcar<sup>417</sup> Karola X. Rewolucja lipcowa<sup>418</sup> pozbawiła miejsca lokajów, w tej liczbie i jego, który w swej istocie był przede wszystkim lokajem. Powędrował więc jako handlarz do Afryki, a później do Nowego Jorku i prowadził tam szynk; traperzy opowiadali mu o niewyżyskanych skarbach na dzikim Zachodzie i Sutter wyruszył tam. Z San Francisco pożeglował w roku 1839 z kilkoma indiańskimi kajakami i dwoma białymi do Sacramento, czego przedtem jeszcze nikt nie przedsięwziął. Chciał się tam osiedlić na pustkowiu, zabudować i rozsyłać towary, z dala od nienawiści, konkurentów i hałasu miast...

Z cegieł wysuszonych na słońcu zbudował swój dom — wokoło niego biegł wał. Ochrzcił go „New Helvetia”, wkrótce jednak dom otrzymał nazwę „Sutter Fort”, gdyż Meksykanie, do których wówczas Kalifornia należała, zrobili zeń placówkę wojskową i za komendanta uznali Suttera. Był on ceniony jako lojalny Meksykanin, podobnie jak dawniej był lojalny jako poddany Wielkiego Księstwa Badeńskiego, jako członek związku szwajcarskiego, jako strażnik królewski i jako afrykański handlarz, i później (od wojny północnej Ameryki z Meksykiem<sup>419</sup>) jako amerykański obywatel.

Obecnie jako komendant fortecy wystawił on na czterech rogach warownych murów po armacie, i tak stoją one jeszcze teraz, prawdopodobnie przez całe dziewięćdziesiąt lat nigdy nieużywane. Wojny, w środku której wkrótce się ujrzał, nie mogły rozstrzygnąć wszystkie armaty świata.

Całe szczęście lub nieszczęście — zaraz zobaczymy, co z tych dwojga — zaczęło się tutaj, w tej komórce, gdzie pewnego styczniowego dnia A. D.<sup>420</sup> 1848 przyprowadził Sutter Jamesa W. Marshalla. A na dworze szemrał deszcz.

Do handlowych interesów Suttera należało wówczas spalanie drzewa do San Francisco. Jazda po Sacramento, które przed rokiem i dniem ze swoimi białymi i czerwonymi wioślarzami pozbawił dziewictwa, była teraz miłą małżeńską przyjemnością, nie oczekiwało się żadnych niespodzianek, żadnego niespodziewanego napadu nieznanymi plemion, żadnych podstępów wylewu i żadnych ostrych skał, sterczących z morza. Tylko jedno wymagało trudu: przenieść pnie drzewne z lasu do Nowej Helwecji. Dlatego Sutter prze-

<sup>416</sup>Wielkie Księstwo Badeńskie a. Wielkie Księstwo Badenii (niem. *Großherzogtum Baden*) — historyczne państwo w pld.-zach. Niemczech, na prawym brzegu Renu; istniało w latach 1806–1918. [przypis edytorski]

<sup>417</sup>szwajcar (daw.) — odźwierny, portier; człowiek pełniący służbę przy wejściu do budynku. [przypis edytorski]

<sup>418</sup>rewolucja lipcowa — kilkudniowe powstanie we Francji w 1830 r., mające na celu zapobieżenie przywróceniu absolutyzmu; w jego wyniku obalony został Karol X Bourbon, a na tron powołano Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

<sup>419</sup>wojna amerykańsko-meksykańska — wojna lądowa i morską pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem, toczona w latach 1846–1848 na terenach od Kalifornii i Teksasu aż po obszary położone na pld. od meksykańskiej metropolii, oraz u wybrzeży obu oceanów. Bezpośrednią przyczyną wojny było przyłączenie w 1845 zbuntowanej meksykańskiej prowincji, Republiki Teksasu, jako 28. amerykańskiego stanu; Teksas funkcjonował od 1836 r. jako niezależne państwo, utworzone przez amerykańskich osadników, niezadowolonych z meksykańskiej administracji rządowej. W wyniku wojny Meksyk utracił połowę swojego terytorium. [przypis edytorski]

<sup>420</sup>A. D. (z łac. *anno domini*) — roku Pańskiego. [przypis edytorski]

niósł swego najrzęczniejszego przedstawiciela, Jamesa W. Marshalla, z dwoma czy trzema pomocnikami kilka mil w górę na północno wschód, ażeby tam, nad rzeką American, dopływem Sacramento, wybudował tartak.

I z tej właśnie filii czy też wysuniętej placówki James W. Marshall przyjechał 28 stycznia w deszcz konno do centrali firmy, względnie do dowództwa straży przedniej, z tajemniczą miną zwrócił się z prośbą o prywatną audiencję i został przez szefa wprowadzony do tego pokoju.

Zanim obydwaj panowie zasiedli przy dębowym stole, Marshall poprosił, ażeby Sutter zamknął drzwi. Sutter zrobił to. Zaledwie Marshall zaczął swój raport, gdy szef wstał znowu, przywołał stojącego na zewnątrz urzędnika, ażeby czekano na niego z wyekspe-diowaniem następnej tratwy. A na dworze szemrał deszcz.

Marshall powiedział to, z czym przybył. W okamgnieniu dotarł Sutter do sedna rzeczy. Gdyż nie było to, dla Boga, żadną drobnostką. Marshall zaprowadził na górze drewnianą rynnę, ażeby wodę z rzeki American skierować na skrzydła koła młyńskiego. Przed czterema dniami chciał zobaczyć rynnę, czy jest wystarczająco gruba, i zobaczył, że coś łśni, łśni jak złoto...

— I?— Sutter pochylił się, zdenerwowany, do ust swego sąsiada.

— ...i znalazłem czerwono-złote drzazgi, które ręką wyciągnąłem. Myślę, że to jest złoto.

— Masz je tutaj? — Sutter drżał, a na dworze szemrał deszcz.

— Tak, przyniosłem je ze sobą. — Marshall schwycił się za kieszeń, wyciągnął z niej chustkę, rozwiązał supełek i zabłysło...

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł buchalter Suttera, ażeby o coś zapytać. Zauważył, że przeszkadza, i oddalił się z przeprosinami.

Wściekły Marshall schował chustkę do kieszeni. Sutter, nie wierząc w ważność mającego nastąpić zwierzenia i zajęty innymi myślami, zapomniał był, otworzywszy drzwi, zamknąć je z powrotem. Z trudem zdołał uspokoić srogiego Marshalla, który utrzymywał, że buchalter chciał szpiegować. Dopiero wówczas, gdy drzwi zostały ponownie zamknięte i przystawiono do nich szafę, pokazał Marshall powtórnie owe kawałki.

Sutter wyszukał w encyklopedii amerykańskiej artykuł „Złoto”, przepłukał ziarenka wodą i znalazł, że to jest złoto najlepszego gatunku. Zamknął książkę i przykazał Marshallowi nikomu o tym nie mówić. A na dworze szemrał deszcz.

Tak, to było złoto. W czasach starożytnych podać przyjeżdżali tu argonauci, ażeby je znaleźć, przed czterystu laty przybył po złoto konkwistador Cortez, po nim portugalski żeglarz, Cubrillo, i wreszcie w r. 1537 sir Francisco Drake wylądował w zatoce San Francisco, postanowiwszy wiecznie nęcący minerał wydobyć z jego ukrycia. Nikomu się nie udało. Udało się tokarzowi Marshallowi.

Obydwaj panowie, którzy wzajemnie — tutaj, w tym pokoju — wychwalali przymiot<sup>421</sup> milczenia, podczas gdy na dworze szemrał deszcz, nie byli w stanie zachować tajemnicy. Przypuszczali oni, że będzie to nowe źródło dochodu, być może, mieli nadzieję odkryć całą żyłę, ale o światowym znaczeniu odkrycia nie mieli pojęcia. W trzy tygodnie później uciekło od nich konno kilku parobków, popędziło z naładowanymi złotem kieszeniami do San Francisco, ażeby po latach życia na pustkowiu i wstrzemięźliwości kupić sobie noce w mieście i białe dziewczynki. Powstała panika.

We wtorek 15 marca 1848 roku dowiedziała się o tym nawet gazeta z San Francisco „Californian” i podała na drugiej stronie w trzeciej szpalcie, całkiem u dołu (o, amerykańscy dziennikarze owego czasu!) krótką notatkę.

Po ośmiu dniach gazeta przestała wychodzić: współpracownicy, zecerzy i roznosiciele, wszyscy popędzili w góry.

I nie tylko oni, nie tylko całe San Francisco, z całego świata parla armada poszukiwaczy przygód, setki, tysiące spadły z szumem po metal, którego próby kilka tygodni przedtem błysnęły w węzełku chustki do nosa, podczas gdy na dworze szemrał deszcz.

Wokoło kopalń potworzyły się drewniane osiedla. Przy tartaku Marshalla wystrzeliło w górę miasto: Coloma, wspomniane wszędzie na kuli ziemskiej z dreszczem tęsknoty.

<sup>421</sup>przymiot — cecha, szczególnie: cecha pozytywna; zaleta. [przypis edytorski]

Teraz jedzie się z dreszczem innego rodzaju przez to miejsce: gołe deski, puste, bez dachów i rozwalone domy — żaden człowiek nie mieszka w nich więcej.

Zaledwie dwa kilometry dalej: Placerville, które z początku nazywało się Hangtown<sup>422</sup>, gdyż tutaj najstraszliwiej szalało prawo Lyncha. Kto się nie podobał „wigitantom<sup>423</sup>”, mafii możnych, zostawał powieszony na najbliższym drzewie. Charakterystyczny jest dziś w Ameryce dość silny prąd gloryfikacji „wigitantów” i ich „narodowej samoobrony”.

W Carson Hill znaleziono największą bryłę, ważącą 244 funtów, wartości 90 tysięcy dolarów. W Tuttletown chodził Bret Harte do szkoły, jego miasto „*You Bet*” (zakładamy się) leży w pobliżu. W Grass Valley mieszkała Lola Montez po wygnaniu z Bawarii. W Jackass Hill przeżył Mark Twain wesołą zimę z Bill Gillis. Ale nad Donner Lake zginęli marnie pewnej zimy pierwsi pionierzy, prawie cała grupa przybyła z Illinois Beed-Donner-Party w wicherze, mrozie, zawiei śnieżnej, zwątpieniu i głodzie; padło dwanaście kobiet i dwadzieścioro siedmioro dzieci. W pewnym kraterze zbudowane zostało osiedle „Vokans”. W North San Juan świdy hydrauliczne wiercą otwory, szukając złota; Herbert Hoover miał tutaj zajście w swej młodości.

Whisky Diggins nazywa się jedno miasto, Port Vine (Portwein) — drugie. Wild Yankee Diggins — trzecie.

Nie ma już więcej Nowej Helvetii. Sutters Fort stoi w środku daleko rozpościerającego się miasta: Sacramento. O, śnie Suttera o ciszy leśnej i samotności! Skończył się on pewnego styczniowego dnia, gdy wprowadził do tego pokoju Marshalla. A na dworze szemrał deszcz.

Szopa czy może stajnia znajdowała się obok pewnego pokoju, w którym raz James W. Marshall pokazał swoje odkrycie. Teraz nie ma więcej stajni ani szopy. Peter Slater zapanował tutaj nad *liquor emporium*, powstały pierwszy szynk i pierwsza sala zabaw wschodu i jednocześnie najdziksze miejsce na obu półkulach. Placiło się bryłkami złota, strzałami rewolwerowymi utrzymywało porządek.

Ciężkie konne pojazdy, Concord Stages, i lżejsze, Prarie Schooner, przywoziły w kasetach złote wnętrzości Sierry i złote ości rzek. Obok cwałowali na koniach uzbrojeni aż po zęby właściciele. Gdy zwyciężyli rabusiów, którzy ich napadli, czy też dostarczyli swój ładunek szczęśliwie w dolinę, przychodzili do spelunki Slatera i kazali Chińczykowi podawać gin dla wszystkich przybywających „*ladies and gentlemen*”<sup>424</sup>.

Na wysokim krześle siedział krupier z dwoma rewolwerami przy boku i uważał, czy prawidłowo się gra przy fardo, monte, pokerze, dwadzieścia jeden, rulecie i landsknechcie. Gdy ktoś próbował oszukiwać, dwaj Indianie chwyтали jego ciało — nie mieli nic więcej do roboty, jak je wynieść i pochować na cmentarzu Sutters-Fort.

A na dworze szemrał deszcz.

Pachołcy Suttera uciekli wszyscy razem — kogo mogła znieść miesięczna premia 40 dolarów, kiedy motyka i rynna wystarczały, aby wypłukać sto dolarów dziennie z rzeki albo wybić ze skały. Od dawna już nauczyli się Indianie pić i żyli z napiwków.

Na polu nie zostało nic zebrane, na słomę wyschły kłosa, na gałęziach zgniły owoce, w wymionach krowich psuło się mleko, w młynach pleśniała mąka, w tartakach gniło drzewo, w warsztatach rdzewiały maszyny, kopacze złota chwyтали na lasso pasące się konie Suttera, które im się podobały, i wystrzelali z jego trzód dla kawałka mięsa najdzielniejsze woły pociągowe.

Generał Sutter — ten tytuł ofiarowały mu USA — ogląda z ponurym obliczem podupadłe gospodarstwo i dopiero teraz widzi, jak wspaniałe to wszystko było przed pewnym styczniowym dniem, gdy z chustki do nosa Marshalla błysnęło złotem w mętnym świetle komory i przy ulewnym deszczu na dworze.

Sutter złożył skargę, cały kraj jest jego. I najwyższy sędzia Kalifornii uwzględnił jego skargę w 1885: niezmierzone włości ze wszystkim, co na nich stoi i rośnie, są nieograniczoną własnością generała Jana Augusta Suttera i nikt nie ma prawa bez jego zezwolenia czeokolwiek tam szukać.

<sup>422</sup>Hangtown — z ang. dosł. miasto wieszania. [przypis edytorski]

<sup>423</sup>wigitanci (z ang. *vigilant*: czujny) — strażnicy obywatelscy. [przypis edytorski]

<sup>424</sup>*ladies and gentlemen* (ang.) — pań i panów. [przypis edytorski]

Piętnastego marca 1885 wydano ten wyrok. Dzień, w którym Sutter dowiedział się o nim, był, zda się, jedynym, kiedy generał błogosławił pewien inny dzień, deszczowy dzień przed siedmiu laty. Sutter jest szczęśliwy. Poszukiwacze złota nie chcieli jednak w żaden sposób opuścić pola, złotego pola.

— Czy po to pędziliśmy tysiące mil, czy po to kopaliśmy w wiatr i niepogodę, ażeby dać się przepędzić Szwajcarowi?

Tak mówili, gdy wyrok sądu stał się znany, zgromadzili się razem, wybuchła rewolta, folwark Suttera „Ermitage” i wszystkie budynki, spichlerze i ogrody zostały wraz z trawą, drzewami, kwiatami i płotami spalone, winnice zdeptane i spustoszone, ogień karabinowy skierowany na trzody, nawet ptactwo wytracone kulami karabinowymi, groble przedziurawione, mosty zerwane, śluzy zdruzgotane, jego zbiory etnograficzne, przeważnie z dziedziny folkloru indyjskiego, futra rzadkich zwierząt, minerały, zapasy i książki, wszystko rzucone w płomienie.

Kto ze sług Suttera natknie się na zbuntowanych kopaczy złota, zostaje wytarzany w smole i oblepiony pierzem, a potem martwy albo żywy powieszony na drzewie.

Nic już nie ma tam teraz. Tylko fort pozostał nienaruszony, kwateruje w nim wojsko, fort z pewną fatalną izbą.

Sutter sam był nieobecny, gdy wybuchły rozruchy, był w drodze do Waszyngtonu. Wróciwszy, znajduje gruzy i ruiny. Nie znajduje swych synów, jeden zastrzelił się, drugi został zamordowany, trzeci uciekł. Jego córka, zgwałcona przez czterech mężczyzn, cierpi na rozstrój umysłowy.

Tak stał się Johannes August Sutter, który przed tygodniem uważał się za najbogatszego człowieka na kuli ziemskiej, żebrakiem, mniej jeszcze. W Lilitz, kolonii morawskich braci w Pensylwanii, znajduje schronienie.

Wszczyzna proces o odszkodowanie. Dwadzieścia pięć lat, dwadzieścia pięć lat interweniuje Sutter na Kongresie i w najwyższym sądzie w Waszyngtonie. Pomimo że jest on w pełnym prawie, pomimo że obniżył swoje roszczenia, nie uzyskał żadnego wyroku. Wyroku nie wydano do dzisiejszego dnia.

Johannes A. Sutter, twórca środkowej Kalifornii, umiera w biedzie i nędzy, tylko bracia morawscy odprowadzają go do grobu na lilickim cmentarzu, gdzie leży w północno-wschodnim kącie jako ich jedyny nie-współwyznawca.

James W. Marshall, któremu Kalifornia zawdzięcza miliardy, żył przez dziesięć lat w San Francisco na poddaszu, tłocząc się z czterema osobami. Jego, który znalazł złoto, złoto nie odnalazło. Zbierano dla niego: wezwanie do zbiórki zachowało się do teraz. Dała ona 120 dolarów.

Ale pomniki mają obecnie obaj ci ludzie, którzy niegdyś siedzieli razem w tym pokoju, za którego jedyną szybą okienną teraz — jak wówczas 28 stycznia 1848 roku — szemrze deszcz.

## PRACA Z CHARLIE CHAPLINEM

— Chaplin? Tak, możemy się tymczasem u niego zatrzymać, czy chce pan?

Naturalnie, że chciałem, gdyż jest on jednym ze sprawiedliwych, dla których Ameryka musi być chroniona przed losem Sodomy i Gomory.

Drugim z tych sprawiedliwych jest ten, który mi zadał pytanie, czy chcemy się tymczasem zatrzymać u Charlie Chaplina. Nazywa się on Upton Sinclair<sup>425</sup>.

Byliśmy właśnie w wielkiej wytwórni filmowej w Hollywood, dokąd Upton Sinclair skierował swego „nasha”<sup>426</sup>, ażeby przyniósł film. Dla swojej żony. Sinclair opowiadał

<sup>425</sup> Sinclair, Upton Beall Jr. (1878–1968) — pisarz amerykański, zdeklarowany socjalista, członek partii demokratycznej; wegetarianin, dzięki powieści *Grzęzawisko* (*The Jungle*), ukazującej w realistyczny sposób warunki pracy robotników litewskiego pochodzenia w fabryce konserw zdobył popularność i przyczynił się do uchwalenia federalnego ustawodawstwa dotyczącego inspekcji sanitarnej mięsa; autor wielu powieści zaangażowanych w aktualne tematy społeczne, gospodarcze i polityczne, tłumaczonych na język polski m.in. przez Antoninę Sokolicz. [przypis edytorski]

<sup>426</sup> nash — samochód firmy Nash Motors, amerykańskiego przedsiębiorstwa branży motoryzacyjnej z siedzibą w Kenosha, założonego przez Charlesa Williama Nasha, daw. dyrektora generalnego General Motors; przedsiębiorstwo istniało w latach 1916–1957, zajmując się produkcją samochodów osobowych. Marka należała do amerykańskiego koncernu American Motors. [przypis edytorski]



o jej cierpieniach. Była ogarnięta nieprzełamanym, rozpaczliwym strachem, żeby nie zachorować na raka, chociaż zgodnie z rozumem widziała bezpodstawność tego strachu. Szukając ocalenia przez sugestię i hipnozę, zwróciła uwagę na pewnego magnetyzera, który się przy swoich publicznych eksperymentach nazywał „Nostradamus”, prywatnie zaś Roman Astoja, był Polakiem i potrafił rozwinąć okultystyczne zdolności.

Obraz tych transów, w których Roman Astoja wbijał sobie gwoździe w język i ramię, mieścił się na taśmie filmowej, którą Upton Sinclair kazał przynieść. Opowiadał mi, że film pokazuje także, jak Astoja kazał się w Long Beach żywcem pogrzebać i na swoim grobie grać w foot-ball.

„Gra w foot-ball na grobie fakira — pomyślałem przypadkowo — co za filmowa groteska! Dla Chaplina! Footballista Chaplin czuje ponadzmysłowe zdolności, zostaje na swe żądanie żywcem pogrzebany, wydostaje się podczas meczu na powierzchnię ziemi i odbiera niebezpieczną piłkę”.

Nie wypowiedziałem tego pomysłu, nie odpowiadał powadze naszego tematu. Nie powiedziałem ani słowa. Ale Sinclair odpowiedział. Teraz właśnie przerwał okultystyczną rozmowę propozycją:

— Chaplin? Tak, możemy się tymczasem u niego zatrzymać, chce pan?

Odrzekłem, iż już dawniej wypowiedziałem życzenie, żeby być do niego zaprowadzonym, ale dopiero wczoraj dowiedziałem się od moich filmów, że wszystkie ich próby, aby go poznać, rozbiły się i każdy, kto się w Hollywoodzie chełpi, że jest jego najserdeczniejszym przyjacielem, w najlepszym razie widział go w restauracji Henris jedzącego kolację.

— Tak, on jest strasznie oblegany — mówi Sinclair — więcej niż stu ludzi przychodzi codziennie z najrozmaitszymi interesami, a żeby go zobaczyć, wyrazić mu swój podziw albo z jakimś projektem czy też próbą naciągnięcia go.

Sinclair zatrzymał swój pojazd na rogu Longpré Avenue i La Brea Avenue przed grupą czerwonych domków. Niczego nie można się z ich wyglądu domyślać, a najmniej atelier filmowego, gdyż atelier filmowe w Hollywoodzie są to gigantyczne murowane gmachy z okratowanymi drzwiami i portierami, których każda szczytowa ściana zużyta jest na reklamy kinowe. Tutaj, na małej metalowej tabliczce wyryte jest „Studio Chaplins”. Wchodzimy do gabinetu, tj. właściwie do panny, która kolejno zajmuje się telefonem i załatwia korespondencję. Idziemy naprzód na podwórze, które rzeczywiście jest podwórzem i na którym stoją budowle filmowe. Gdzie indziej nie byłoby podwórzem i byłoby się nazywało „Stage Nr. 35”<sup>427</sup>. Wejście byłoby wzbronione i stałby przed nim majestatyczny strażnik.

Dwóch panów pozdrowiło Sinclaira, odbywały się właśnie zdjęcia — opowiadali — a jeden rzekł:

— Tam idzie właśnie stary!

Stary! Szef! Zwracamy się myślą do niego. Do Charlie Chaplina. Gdyby nawet przyszedł w przyzwoitym stroju, jak przystoi dla szefa, dla starego, zostałby w każdym razie wtedy, gdy nie jest ani szefem, ani „starym” — głęboko smutnym wagabundą z komicznymi pomysłami, którego tak kochamy. Ale on zbliża się teraz w opadających, połatanych spodniach, w połatanych wielkich butach, w przekręconym krawacie i w kaftanie. Przychodzi właśnie z pracy, jest szefem, który pracuje.

— Hallo, Upton — woła już z daleka — że też pan jeszcze raz pozwala się zobaczyć!

Sinclair przedstawia gościa, którego przyprowadził.

— To ślicznie — odpowiada żywy, własnoręczny, we własnej osobie Charlie Chaplin i potrząsamy sobie wzajemnie ręce.

Ucieka, jego robota nie posuwa się naprzód, kręci nowy film *City lights* — *Światła wielkiego miasta*<sup>428</sup> — ale teraz natrafili tam znowu na martwy punkt, diabeł chyba go nadarzył, nie możemy iść dalej — czy chcecie mi pomóc, chłopcy?

Tak, my, chłopcy, chcemy pomóc Charliemu Chaplinowi.

<sup>427</sup> *Stage Nr. 35* (ang.) — plan nr 35. [przypis edytorski]

<sup>428</sup> *Światła wielkiego miasta* — oryg. tytuł *City lights*, amerykański czarno-biały, niemy film Charlesa Chaplina z 1931 r., opowiadający historię miłości między niewidomą kwiaciarką a „eleganckim trampem” (postać charakterystyczna, w którą zwykły się wcielać Chaplin), który szuka pieniędzy na operację wzroku dla ukochanej. [przypis edytorski]

Nie jest to całkowity Charlie Chaplin z filmu. Przychodzi wprawdzie z pracy, lecz nie jest w czasie pracy albo lepiej — nie gra teraz. Nie ma swego kapelusza, wciśniętego melonika, ani bambusowej laseczki, ani czarnej szczoteczki pod nosem. Poza tym buty jego nie są tak przemożnie wielkie i przemożnie śmieszne, jak się wydają na filmie, są to rozdeptane, polatane, podarte, być może trochę za duże, ale w każdym razie zwykłe buty, i dopiero sztuka ich właściciela nadała im komiczny rozmiar. Teraz, gdy śpieszy z nami, którzy mu mamy „pomagać”, do sali zdjęć, buty jego nie są bynajmniej zadziwiający, a właściciel ich wszystkim, tylko nie człowiekiem o płaskich stopach. Nosi okulary w rogowej oprawie. Bez nich nie może się nawet podpisać, takim jest dalekowiedzem.

Dwa pasma srebrnych włosów spadają mu na czoło. Także na karku ma siwe włosy — tam, gdzie one odrastają.

(— Powinien je pan kazać ściąć, Charlie — powiedziałem mu ostrożnie w kilka dni później. Ale on nie robi żadnej tajemnicy ze swych ufarbowanych włosów.

— Pan widzi, że się więcej o nie nie troszczę. Co będzie białe, nie będzie więcej farbowane. Koniec z tym. W czterdziestym roku będę znowu zupełnie biały, jak byłem w trzydziestym piątym.

— A co robi teraz pańska żona?

— Nie wiem — mówi z maską obojętności — ale mam dwoje dzieci i te są u niej).

Teraz jesteśmy w sali zdjęć; podczas gdy taśma jest nakładana, Charlie Chaplin gra na harmonium pieśń „Violetera” i śpiewa hiszpańskie słowa, które nie istnieją; zaprasza mnie, abym przyszedł do jego domu, tam będzie mi grał na organach, aż przestanę słyszeć i widzieć.

— Co, młodzi?

Młodzi, zgodnie z życzeniem szefa, potwierdzili, że ma w domu potężne organy, na których umie grać bardzo głośno i hucząco, niezależnie od tego, czy to się odwiedzającemu podoba czy nie.

— Gram przerażająco pięknie — śmieje się Chaplin — ale wy nic nie rozumiecie z mojej muzyki.

Młodych, którzy zresztą mówią do szefa „Charlie”, jest dwóch; nazywają się Harry Crocker i Henry Clive. Harry Crocker jest młodym Amerykaninem, obdarzonym swetrem i humorem; w cyrku grał tancerza na linie we fraku i szczęśliwego rywala Chaplina, a prócz tego clowna, którego Charlie namydla, i jeszcze kilka ról. Henry Clive jest już starszy, ma lat czterdzieści osiem i ma poza sobą poważny zawód czarodziejskiego sztukmistrza w amerykańskich prowincjonalnych *variétés*. Trzeci z młodych nazywa się Henryk, jak tamci dwaj, i jest dziś nieobecny, ale to jest wyjątek, na przyszłość żadna już wizyta nasza w Studio Chaplina nie obejdzie się bez tego, żeby mister Henry Bergmann z szerokim brzuszkiem nie siedział, rozkraczony, w odpowiadającym jego rozmiarom krześle.

Ale w nocy pra-Bergmann (tak go wolimy nazywać zamiast „mister”, gdyż jest on pra-Węgrem) sam staje się szefem, właścicielem hollywoodzkiej restauracji bulwarowej dla znakomitości i tych, którzy ich chcą zobaczyć. Restauratora Henry stworzył Chaplin i dodał mu jako posag swoją wizytę co wieczór, za którą się Bergmann rewanżuje codzienną wizytą u Chaplina.

Czarną skórą obity fotel i cztery drewniane krzesła są oprócz harmonii jedynym inwentarzem jego gabinetu. Chaplin chce mnie posadzić w obitym skórą fotelu, ale gdy odmawiam, wydaje się bardzo zadowolony, gdyż usadawia się z podwiniętymi pod siebie nogami, musi to być jego zwykłe miejsce.

Chcemy więc, aby zaczęto kręcić film. Na razie jest gotowa czwarta część, czterysta stóp, do czego jeszcze coś niecoś będzie dodane i coś niecoś odjęte. Film się kręci.

Przy miejscu z łańcuszkiem od zegarka (patrz niżej) zaśmiałem się głośno. Ale ktoś kładzie mi rękę na kolanie i nakazuje być cicho. Kto to jest, kto mi chce zaprzeczyć naturalnego prawa szaleńczo się śmiać przy szalonym pomysle Charlie Chaplina? Nazywa się Charlie Chaplin i siedzi obok mnie. Film jest jeszcze niegotowy, powinniśmy „pomóc”, mój śmiech jest nie na miejscu, skoro śmieje się biedny Chaplin, gdyż w *Cyrku* musi nauczyć się „kawałów” klowna.

— Wspaniale — szepczemy, gdy fragment filmowy jest skończony i w atelier robi się widno.

Gospodarz przerywa:

— Czy możecie mi państwo opowiedzieć, coście widzieli?

Naturalnie. Chętnie. A więc dziewczyna sprzedaje kwiaty na rogu ulicy. Wtem nadchodzi Chaplin...

— O, jeszcze nie.

— ...przedtem przychodzi pan ze swoją żoną i kupuje kwiaty...

— Pan? Jaki pan?

— ...pan, który przypomina nieco Adolfa Menjou.

— Tak, elegancki pan z damą. To jest ważne. No, i co dalej?

— Później zza rogu ulicy ukazuje się Chaplin. Spogląda na studnię koło muru i ściąga rękawiczki, aby się napić. To znaczy: nie rękawiczki jako całość, tylko każdy palec oddzielnie, jednego brakuje i Charlie szuka go, nie mogąc znaleźć.

— Widzi pan, Charlie — woła Harry Crocker zwycięsko.

— Nie, to nie jest jasne. Będziemy to miejsce jeszcze raz kręcić — (objaśnia mi, iż błąd polega na tym, że chciał jako pierwszy palec ściągnąć ten, którego nie było, szukał go na ziemi i dopiero później ściągnął istniejące palce rękawiczki).

Teraz bierze Charlie kubek do picia.

— Czyście państwo poznali, co ja przedstawiam?

— ??

— Czy jestem tym razem czymś innym niż zazwyczaj?

— Tak, ma pan krawat — małą muszkę — i rękawiczki. Chce pan być tym razem gapiowatym włóczęgą, nieprawdaż? Na to wskazuje także pomysł z kubkiem do picia.

— Proszę, niech pan i to opowie.

— Chaplin bierze kubek, który wisi na łańcuchu. Łańcuch układa się na jego brzuchu, Chaplinowi przychodzi na myśl, że to byłby wspaniały łańcuszek do zegarka; próbuje go oderwać od muru (patrz wyżej), podczas gdy pije. Nie udaje mu się, zrezygnowany idzie kołyszającym się krokiem do dziewczyny z kwiatami. Mała wyciąga...

— Zaraz, zaraz. Jest tam jeszcze coś w środku.

Chaplin spogląda ostro na Sinclaira i na mnie, pełen lęku, prawie błagalnie.

— Jest tam jeszcze coś.

Nie, absolutnie nie możemy sobie przypomnieć, żeby było coś w środku.

— Nadjeżdża przecież auto!

— Tak, nadjeżdża auto, jakiś pan wysiada i przechodzi koło Chaplina. Chaplin kłania się jak zwykle.

— A co robi auto?

— Nie wiem — mówię.

A Upton Sinclair dodaje:

— Myślę, że odjeżdża.

— Do diabła, do diabła — mruczy Chaplin — wszystko stracone.

Także jego współpracownicy są zmartwieni.

Opowiadam więc, co się działo dalej.

— Dziewczyna podaje Chaplinowi kwiat, kwiat pada na ziemię, oboje nachylają się, Chaplin podnosi go, ale dziewczyna szuka dalej; szuka dalej, pomimo że Chaplin trzyma kwiat. Wtedy poznaje, że dziewczyna jest ślepa. Kupuje kwiat i oddala się.

Ażeby się przekonać, że się nie omylił, człapie jeszcze raz ku niej...

— Nie, nie, on nie człapie.

— Idzie za drugim razem bardzo prędko, jak gdyby się śpieszył, ale będąc na miejscu, zatrzymuje się i tłumi dźwięk swych kroków. Później zawraca cicho, na czubkach palców i siada obok dziewczątka. Opryskiwała właśnie kwiaty i wymierza konewkę — Chaplinowi w twarz. Charlie człapie dalej i przychodzi znowu po raz trzeci. Kupuje znowu kwiat. Mała chce mu go wręczyć i wyczuwa przy tym w dziurce od guzika sprzedany mu przedtem kwiat. Dowiaduje się więc, że ten człowiek dla niej wrócił. Chaplin mówi jej, że druga dziurka jest jeszcze wolna, ale ona odpowiada, że nie można w obydwóch nosić kwiatów. Wtedy prosi ją, ażeby zatrzymała kwiat. Przymocowuje wtedy kwiat do jego gorsu.

— I...

— ...i jest zakochana!

— W kim?

- W Chaplinie!
- Do diabła! do diabła!
- ??
- Czy nikt nie przechodził?
- Nie widziałem.
- Do diabła! Czy znów nie zauważyliście auta i pana?
- Nie.
- A pan, Upton?
- Nie, nie zauważył.

Zrozpaczony ukrywa Chaplin twarz w dłoniach, obraz smutku na tle obitym czarną skórą. Ale co się stało? Co to za nieszczęście, że ja, tutaj przybyły cudzoziemiec, nie rozumiałem jakiegoś tricku, jakiegoś pomysłu?

Och, to jest więcej niż trick, to jest główna idea filmu, która jako zupełnie niejasna, upadła — ni mniej, ni więcej, jak to z mojego dalszego opowiadania wynika. Ulica jest elegancką ulicą, co jest zaznaczone przez pierwszego kupującego i jego damę. Wysiadającego z auta pana bierze sprzedawczyni kwiatów za tego, który kupuje kwiaty i z jej powodu wraca. Auto — myśmy tego zupełnie nie zauważyli — stało podczas całej sceny na rogu ulicy.

Właśnie wtedy, gdy ślepa na życzenie Chaplina przypięła mu drugi kwiat, wraca pan i siada do auta. Do niego, bogatego pana z autem, skierowana jest budząca się miłość. I Chaplin powinien teraz tę omyłkę zauważyć i przez cały film odgrywać rolę bogatego wielbiciela, ukraść pieniądze, których ona potrzebowała na operację mającą przywrócić jej wzrok, złożyć je u lekarza, zostać aresztowanym, znowu po odciernieniu aresztu zobaczyć dziewczynę, ona widzi go po raz pierwszy i wyśmiewa go, nie domyśla się, kim jest, a on wygląda tak komicznie, jak właśnie Chaplin...

Ale jeżeli publiczność nie pochwyli błyskawicznie tragicznego *qui-pro-quo*, wstrząśnienia, namacalności jego żebraczej nędzy i jego nagłego zdecydowania się na występki i kradzież dla tej zamiany ról, dla jej miłości, jeżeli publiczność tego zasadniczo nie pochwyli, to wszystko jest stracone.

— Musimy wszystko kręcić od początku — mówi Chaplin.

I zaczyna się poważna, ciężka, pełna trudu praca dramaturgii i reżyserii nad tym szczegółem, która trwa prawie osiem dni, i nawet podczas nużącej nocnej pracy przerywał nagle Chaplin nastrój:

— Jak by to było, gdybyśmy z tą dziewczyną z kwiatami zrobili tak, że...

Napisano księgi o aktorach, o mimikach, o reżyserach, o dramatycznej sztuce ludowej, dlaczego jeszcze nikt nie podjął próby, by utrwalić przy pracy za pomocą stenografii względnie dyktafonu Charliego Chaplina, którego działalność nie ma w historii sceny sobie równej, który stworzył legendarną postać świętego Charlie, zainscenizował i przedstawia.

Przez osiem dni była ta scena wypróbowywana, każdy z nas był niezliczoną ilością razy dziewczyną z kwiatami (najrzadziej Virginia Cherril, która ją miała grać), każdy z nas był panem z auta, każdy z nas był szoferem, który otwiera drzwiczki auta, ale Charlie Chaplin był zawsze Charlie Chaplinem, w każdej próbie dawał siebie, pełnego nadziei — pozbawionego nadziei.

— Jakby to było, gdyby... — Tak zaczyna się zawsze, jeden z nas zrywa się, rozumiawszy jego pomysł, i rozstawia innych.

Dramaturgiczna niemożliwość początkowej sytuacji zostaje wkrótce ustalona: faktu, że mała bierze Chaplina za pana wysiadającego z auta, nie może widzieć w żaden sposób pojąć, gdyż nie wie jeszcze, że jest ona ślepa. A więc trzeba przedtem ukazać jej ślepotę. Na to się Chaplin nie zgadza, tragicznego odkrycia musi on dokonać razem z publicznością.

Czy można by scenę z autem tak wyraziście przedstawić, ażeby widzowie przynajmniej później przypomnieli sobie o tym? Jakby to było... Pan wysiada z auta i mówi (napis): „Szofer, proszę tutaj zaczekać”. Chaplin zamyka uprzejmie drzwi samochodu obcego pana, dziewczynka robi kilka kroków w stronę auta...

Albo tak: pan idzie za Chaplinem takim samym krokiem, staje, zapala papierosa, tak że Chaplin podawany obcemu panu kwiat odnosi do siebie. Czy pan z autem nie powinien się od niego różnić, być uderzająco pięknym młodym człowiekiem, który śmiało

wyskakuje z auta? Wprawdzie mała go nie widzi, ale publiczność widzi go i myśli: to ten ma na pewno znaczenie dla dziewczyny! Ludzie mają przed oczyma to, co jest iluzją ślepej.

Jakby to było, gdyby dziewczyna, poznana już jako ślepa, powiedziała do Chaplina, dając drugi kwiat (napis): „Niech pan go da swemu szoferowi”.

Jakby to było, gdyby Chaplin pomagał panu w samochodzie, a sprzedawczyni próbowała mu podać drugi kwiat i uderzyła się o szybę, ale to nie było wcale okno, tylko otwarte drzwi auta, poza którymi stoi Chaplin...

— Cudownie, cudownie — woła Chaplin i robi z tego próbę. Jest to rzeczywiście cudowne, jak on to gra, ale nagle wskakuje na swój fotel i zapada się w nim.

— Niedobrze. Nie mogę grać lokaja, kiedy minutę przedtem wzruszyła mnie ślepotą małej i zakochałem się w niej. Jakby to było, gdyby pan powiedział (napis): „Szofer, do domu” albo „Ritz-Carlton” i dziewczynka widzi się we wspaniałym pałacu albo w hallu hotelu...

— Na miłość boską, tylko żadnych wizji!

Jakby to było, gdyby ślepa poprzez Chaplina niby przez powietrze patrzyła na auto...

I Chaplin spostrzega nagle, że ona uważa go za bogatego pana. Musiałoby się pokazać jeszcze auto, jak zakręca na następnym rogu, później na dalszym rogu i znowu na następnym. A w międzyczasie wpatrzona dziewczyna z kwiatami. Wprawdzie żaden człowiek nie może zobaczyć auta, zakręcającego kilka razy, ale mała jest przecież ślepa, więc może...

Tak schodziły, jak powiedziałem, całe dni. Przy budowie rogu ulicy, gdzieby można było pracować nad autem, albo w bungalowie, gdzie się odbywała rada wojenna, albo przed wspaniałym pomnikiem wyobrażającym trzy alegoryczne postaci. Chaplin prosił nas, abyśmy ich znaczenie zachowali tak długo w tajemnicy, póki ten pomnik i ta tajemnica nie zostaną ujawnione przed wszystkimi mieszkańcami wszystkich części świata.

O każdym z tych miejsc daje się opowiedzieć jakiś epizod. Np. o garderobie, która właściwie nie jest garderobą, tylko towarzyskim miejscem całego studio. Na lewo jest pokój, zaopatrzony w stół ze szminkami, po drugiej stronie kąpielowy. Pewnego popołudnia piliśmy herbatę, gdy zastała zameldowana pewna bardzo sławna dama, najlepsza przyjaciółka Chaplina. Wyszedł jej naprzeciw, a ja poszedłem do bocznego pokoiku, aby się uczesać. Przed lustrem leżał grzebień, biały, ale nie bardzo czysty: znajdował się na nim pęczek wyczesanych ciemnych włosów. Wyrwałem je, rzuciłem na ziemię i doprowadziłem moją fryzurę do porządku. Wpadło mi przy tym do głowy, że będzie można zobaczyć na błyszczącej, czystej podłodze mały pęczek włosów i poznać, że ktoś nieuprawniony korzystał z garderoby. Może być, że te włoski były nawet przeznaczone do określonego celu? Podniosłem je zatem i położyłem znowu na grzebieniu.

Wszedł Harry Crocker, ażeby się trochę upiększyć.

— Niech pan zobaczy — powiedział i pokazał mi coś czarnego widniejącego znowu na białym grzebieniu — to są wąsy. Ma je już piętnaście lat, wciąż te same, pewien nowojorski fryzjer teatralny zrobił je dla niego. Żadne inne wąsy nie zniosłyby trwających całymi miesiącami występów przy każdej pogodzie. A nowojorskiego fryzjera nie mogliśmy więcej znaleźć. Jeżeli wąsy będą na nic, mówi Chaplin, będzie grał zupełnie gładko ogolony.

Musiałem zblednąć. Dzieci, pomyślcie, Chaplin bez wąsów — i to ja byłbym winny.

Rozmowy z Chaplinem obracały się stale około jedności estetycznego i socjalnego celu. On, w którego dziele ta jedność się ucieleśnia, on, który był uważany w towarzystwie za „radykała” i „bolszewika”, wyraża wciąż zwątpienie, być może, dla wywołania dyskusji, być może, ażeby usłyszeć nowe argumenty od odwiedzających, być może, zrażony atmosferą Hollywoodu.

— Gdybyż wszystko było tak proste, jak my sobie tego życzymy! Jak to jest z Poem, moim ulubionym autorem? Nie mogę w nim znaleźć zupełnie śladu miłości dla pozbawionych praw — chociaż tak namiętnie szukam. Shakespeare! To nieznośne szyderstwo z przeciętnego człowieka...

Tutaj rozmowa staje się burzliwa. Krzyczymy, że Shakespeare obsypał królów czymś całkiem innym niż szyderstwem i powstawał przeciwko absolutnemu królestwu w obronie następnej klasy społecznej, szlachty, chciał więc pokazać, że szlachta nie jest plebem...

— Nie, nie — przekrzykiwał nas Chaplin — Shakespeare jest homoseksualistą, a homoseksualiści są, być może wbrew woli, kastą, zaś każda kasta myśli arystokratycznie. Wszyscy mężczyźni są u Shakespeare’a przebranymi kobietami, a wszystkie kobiety przebranymi mężczyznami. Julia leży na górze, a Romeo na dole, ona jest oparta na poręczu balkonu i poucza, jest w ogrodzie i grucha. Królewscy starcy są kobietami, lady Makbet jednak jest mężczyzną i Porcja wkłada nawet odpowiednie ubranie i występuje jako obrońca przed sądem. Tak, jak mówi Hamlet do Ofelii, nie mówi żaden mężczyzna do kobiety, to nie jest wyładowanie, poryw płci, to jest pogarda, to jest...

I Chaplin gra Hamleta, mówi Shakespearowskie białe wiersze, które świszczą jak uderzenia batem zadane niewolnicy.

— Nie, nie, tu nie ma wcale wycucia społecznego, a jednak — to jest geniusz.

Udziela mu się tu ostatniego słowa, jakkolwiek bynajmniej go nie otrzymał.

Rozmawiamy często o filmie, Charlie nie zna żadnego z rosyjskich (Hollywood!). Wczoraj był w kinie i denerwował się bez końca, że dany jako wstęp występ taneczny miał falujące srebrne tło, co zepsuło wrażenie.

Opowiada także często epizody o swoich filmach. Małpy w *Cyrku* straszliwie go podrapały i przez sześć tygodni musiał pozostawać pod opieką lekarską. Jeszcze dziś można zobaczyć dwie szramy.

A wrzask właścicieli małp! Mianowicie małpy usłyszały cztery rozkazy, a każdy uważał swój za najważniejszy. „Opuść aparat niżej” — krzyknął jeden do kinooperatora „wiesz przecież, że Jonny jest na ziemi. Zaś drugi: „Teraz, teraz! Mungo podnosi głowę”. Charlie gra scenę: cztery małpy, czterech poskromiciele, siebie samego i zdjęciowca.

*Noce pięknej kobiety* nie miały powodzenia. Co ja, Mr. Kisch, sądzę o *Shoulder the arms*<sup>429</sup>? Nie znam tego filmu, nie wolno było go grać w Niemczech.

— I w Ameryce nie może być grany, gdyż występuje tutaj Hindenburg, prezydent zaprzyjaźnionego państwa. Przy tym nie jest on wyszydzony, tak samo zresztą, jak cesarz i następca tronu! Nie robiłem ani przez sekundę pośmiewiska, nikogo nie skarykaturowałem prócz jednego pruskiego oficera, który się źle obchodził z pruskimi żołnierzami. I gdy mu dają baty, przychodzą niemieccy żołnierze i potrzęsają mi z wdzięcznością ręce. To się nie podobało militarystom: amerykański żołnierz, który z „Hunami” zamienia uścisk dłoni! Jestem bardzo dumny z tego filmu, powstał wśród szalonej psychozy wojennej i pokazuje całe rozprężenie i przerażające rzeczy wojny. Jest to rewolucyjny film — nie, nie, pacyfistyczny, rewolucyjny w obliczu czasu. Musi go pan zobaczyć, musi go pan natychmiast zobaczyć.

Rzuca laseczkę bambusową i kapelusz i biegnie do sali filmowej. Siedzę więc tam, gdzie przed kilku dniami siedziałem, patrząc na fragment z *City Lights*, obok kogoś, kto mi zabraniał wyrażać pochwały. Dzisiaj siedzi ten ktoś obok mnie, łapie mnie za kolana i uderza w plecy.

— Niech pan uważa, teraz będzie śliczna scena.

Ty, drabie po mojej lewicy, nie trącaj mnie, któż potrzebuje mi na filmie Chaplina udzielać rady, abym dobrze uważał!

— Widzi pan, to mi także wzięto za złe, że kazałem ze śmierdzącego sera zrobić przysmak amerykański. I to, że okopy są zalane... — (Żołnierz Chaplin kładzie się do wody, ale bierze lejek do ust, aby nie utonąć. Wczesnym rankiem wyciąga z wody zdrętwiałe nogi i trze je, dopóki nie zauważy, że należą one do jego dwóch sąsiadów).

— Tę scenę — (Chaplin jest przebrany za drzewo poza niemieckimi liniami) — robiliśmy na otwartej przestrzeni. Nikt nie mógł mnie zastąpić, musieliśmy pędzić w morderczym gorącu, dopóki nie połamaliśmy się na kawałki. Widzi pan tego grubego? Zna go pan.

Tak, poznają go, to jest Bergmann, siedzi spokojnie przede mną i wspomina gonitwę w morderczym upale za uciekającym drzewem.

— Widzi pan?... Widzi pan...

— Do diabła ciężkiego, tak, widzę. Widzę wszystko, niech pan mnie nie szturcha!

<sup>429</sup> *Shoulder the arms* — polskie tłumaczenie tytułu: *Charlie żołnierzem*, film z Charliem Chaplinem z 1918 r. [przypis edytorski]

Ale później przychodzi miejsce, ładniejsze niż nowela Gorkiego o starej dziewce publicznej, która prosi pewnego pisarza, aby jej pisał listy do zmyślonego kochanka. Początkowo nic nie przyniosła żołnierzowi Chaplinowi ku jego rozczarowaniu, nawet karty. Więc zadowolona była tym, że spogląda przez ramię swego kolegi, który czyta list z ojczyzny. Chaplin kiwa głową, zadowolony, gdyż dowiedział się, że w domu jest wszystko w porządku. Chaplin śmieje się z uwag, które zrobiły dzieci. Ale brązowa łaciatą krowa przed ośmiu dniami zachorowała i zdechła. Chaplin płacze nad brązową łaciatą krową, i jego łzy padają na kark tego, do którego przyszedł list.

Ten odwraca się, wściekły, a Chaplin poruszył po Chaplinowsku ramionami i począł dalej, pełen winy, gdyż do tej radości i do tego smutku nie miał prawa.

Tu kładę memu sąsiadowi rękę na kolanach.

## W KAŻDEJ PRZEGRODZIE - TRUP

Nie jest tylko przypadkiem, że „Mortuary”, morga<sup>430</sup> nowojorska, znajduje się tak blisko portu, lecz przypadek zrzucił, że muzeum bezpieczeństwa jest oddalone od niej tylko o parę kroków.

W muzeum bezpieczeństwa oglądać można środki ochronne w różnych zawodach, lampy górnicze i maski gazowe, którym nic nie można zarzucić, siatki ochronne, automatyczne semafony i tablice ostrzegawcze, okulary, odtrutki i inne w tym rodzaju.

W mordze leżą ludzie, którym nie pomógł żaden środek ochronny. Przyniesiono ich tu z ulicy lub z wody, wielu bezpośrednio, wielu za pośrednictwem szpitala.

Dobrze chłodzona piwnica jest podzielona przez głębokie szafy z przegrodami. Można je łatwo wysuwać — i oto stoi doktor Becker oko w oko z bohaterami kroniki wypadków, samobójstw i kryminalistyki. Ale oni żyją.

Doktor Becker wysuwa parę przegród, gdyż na nich widnieją nazwiska, które zna z ostatnich gazet. Na przykład przemytnik alkoholu, Sigmund Weiss, który onegdaj miał być przeprowadzony z „Tombs”, więzienia śledczego, na rozprawę, przy czym podczas zawiązywania sznurowadeł wypadł mu rewolwer z kieszeni. Łotr — można było czytać na tytułowej stronie pism wieczorowych — bronił się z niedźwiedzią siłą przeciwko odebraniu mu broni i został zastrzelony przez zagrożonych strażników więziennych. Oto leży tu ten łotr: smukły młodzieniec o jasnych włosach, z ośmioma krwawymi ranami.

Jak wyglądała konieczna obrona, której musieli użyć jego siepacze, dowiaduje się doktor Becker, wysunawszy sąsiednią przegrodę. O leżącym w niej mężczyźnie, nazwisko którego pozostało nieznane, można było również czytać w pismach. Przed paru dniami zjawiał się w paru filiach „Fanny Farmers Kandies” z wydobytym rewolwerem i splądrował kasę. „Fanny Farmers Kandies” zaczęli strzec detektywi. Onegdaj wieczorem został zastrzelony na Lexington Avenue.

Detektywi nie mogli, niestety, wymyślić bohaterkiej historii o brutalnej walce i strzelaninie, gdyż „rewolwer” zabitego okazał się nieszkodliwą imitacją ze szkła...

Zabity, lat około trzydziestu, o słowiańskich rysach, uśmiecha się. Uśmiecha się, być może, dlatego, że personel dał się zapędzić w kozę róg szklaną zabawką, uśmiecha się może dlatego, że kasa była dobrze nabita.

Za ladą czyha śmierć, ale nie uśmiecha się ona, drży za to i strzela, nieprzytomna ze strachu. Można naliczyć cztery rany, z których pierwsza już była śmiertelna. Młodzieniec uśmiecha się.

Ofiary aut, pomiędzy nimi dzieci. Po czaszkach, zmiądzonych przez spadające ciężary lub rozbijane haki dźwigów, poznać można martwych robotników portowych. Droga ich z miejsca pracy do morgi nie była zbyt długa, doki są odległe zaledwie o dwie minuty.

Szafy wypełnione są przez nabrzmiałe zielone ciała topielców o czarnych twarzach. Ofiary Manhattanu, ofiary morderczego łądu stałego. Woda była tylko ostatnią narkozą.

Corocznie przesuwają się przez te przegrody szesnaście tysięcy mieszkańców Nowego Jorku, dwa razy na tydzień ma miejsce na Hart Island pogrzeb co najmniej pięćdziesięciu trupów. Pozostałym wyprawiają pogrzeb bliscy.

<sup>430</sup>morga (daw., z fr. *morgue*) — kostnica; budynek, w którym wystawia się do rozpoznania zwłoki nierozpoznanych zmarłych. [przypis edytorski]

Morga posiada kaplicę; niepodobna jest do innych kościołów i kaplic Nowego Jorku, nie zbudował jej Vanderbilt ani Morgan. Wygląda biednie i opuszczenie, ma cztery rzędy nędznych ławek i zagłębienie, gdzie nie ma nawet świętego obrazka, tylko sześć świec i skromny krucyfiks z pięciocentowego bazaru Woolwortha; Woolworth ma i dziesięciocentowe towary, ale ten jest za pięć centów.

Nie ma o czym mówić! Gdybyż można było przynajmniej zabalsamować zmarłego! W Nowym Jorku balsamuje się prawie wszystkich zamożniejszych nieboszczyków.

Doktor Becker przygląda się pracy człowieka, który czyni to w mordzie. Balsamujący nie lubi, gdy mu się przeszkadza. Zawadza mu tylko ramię nieboszczyka i dlatego założył je sobie na biodro. Wygląda to jak grupa w *panopticum*<sup>431</sup>: chory obejmuje ramieniem lekarza, który pochyla się nad nim z lekarstwem. Mistrz Balsamo wsunął trupowi jedną flaszkę pod głowę. Gdy mikstura ta jest mu akurat potrzebna, używa innej butelki za poduszkę.

Opodal Murzyni zbijają z desek trumny. Po włożeniu zwłok i zabiciu gwoźdźmi zawieszają na niej kartkę z nazwiskiem zmarłego i miejscem, skąd przybył do morgi — „*received from penitentiary*”<sup>432</sup> lub coś w tym rodzaju.

Częstokroć widnieje na niej zamiast nazwiska jedynie „mężczyzna” lub „kobieta”, wiek i numer. Dokładniejsze dane można przeczytać w kancelarii; na jednym arkuszu zapisuje się zawartość kieszeni i części ubrania, które nosił ten numer, wiele mówiący wizerunek milczącego — odciski palców, znaki szczególne, przyczyna śmierci, wynik sekcji. I tu notuje się wiek, nie w okrągłych cyfrach, lecz — tu oglądacz zwłok zwraca doktorowi Beckerowi z naciskiem uwagę — zupełnie dokładnie: „54 lata” na przykład:

— Skąd wiecie o tym z taką pewnością? — pyta doktor Becker.

— To rzecz doświadczenia. Codziennie opisuję przeszło czterdzieści zwłok, a większość z nich zostaje wkrótce rozpoznana. Nabywa się przez to nieomyślne spojrzenia!

Doktor Becker, który dotychczas nie wierzył właściwie w nieomyślne spojrzenia, chciał się dokładnie przekonać, czy zetknął się obecnie z takowym.

— Wiele lat mam według pana oceny? — zapytał.

Nieomyślne spojrzenie wpija się w oczy doktora Beckera, szacuje jego uzębienie i ogląda od tyłu.

— Fałdy skóry na karku są najpewniejszą oznaką — wyjaśnia oglądacz zwłok.

„A, tak — myśli doktor Becker — jeśli są nieomyślne znaki, łatwo nieomyślnemu spojrzeniu stać się nieomyślnym...”

Ten tok myśli zostaje przerwany przez apodyktyczne twierdzenie urzędnika:

— Ma pan 31 lat.

— Och, prawie 33 — odpowiada doktor Becker.

— Kiedy skończy pan 33?

— W kwietniu.

Człowiek o dotychczas nieomyślnym spojrzeniu potrząsa głową.

— Nigdy bym nie przypuszczał! Nigdy jeszcze nie omyliłem się o całe dwa lata. Pan jest specjalnie dobrze zakonserwowany!

Doktor Becker objaśnia, że młodo się ożenił i prowadził solidny tryb życia, co nie pozostało bez wpływu na fałdy skóry na jego karku.

Przechodząc przez salę sekcijną, widzi doktor Becker lekarzy i studentów schylonych nad trupami, które są cennym materiałem. Wczoraj, kiedy żyli jeszcze, byli niepotrzebni światu ani sobie i pozwolono im zdechnąć w więzieniu lub popełnić samobójstwo w porcie. Chowani są bez nazwiska, jedynie z dokładnym podaniem wieku.

Ale doktor Becker ma 44 lata.

## KRAJOBRAZ, KULTURA I RZEŹBY HOLLYWOOD

Każdy wie zapewne, że Hollywood jest rajem, czarodziejskim ogrodem, krainą z bajki. Nie chcemy poddawać wątpliwości ani osłabiać tego ogólnie uznanego pewnika, gdyż

Miasto, Pustynia

<sup>431</sup>*panopticum* — zbiór osobliwości lub wystawa rzeczy osobliwych; muzeum figur woskowych. [przypis edytorski]

<sup>432</sup>*received from penitentiary* (ang.) — otrzymany z zakładu karnego. [przypis edytorski]



dałoby to nam rozgłos zręcznych opozycjonistów lub poszukujących za wszelką cenę oryginalności. Zadowolamy się zatem pewnym uzupełnieniem wzmiankowanego pewnika, a mianowicie, że nie ma na całym świecie nowoczesnego miasta, które stałoby na bardziej zapuszczonej, odstręczającej i nieurodzajnej ziemi niż Hollywood.

Była to pustynia, zanim nie osiedlił się tu przemysł filmowy ze względu na warunki świetlne i brak deszczu, i pustynią pozostała.

Czemuż jednak szczęśliwe współzycie sztuki i bogactwa nie miałyby i na tym gruncie wybudować tych pełnych smaku pałacików, otoczonych barwnymi ogrodami, które podziwiamy z zachwytem w pismach ilustrowanych i na kolorowych pocztówkach jako siedziby naszych ulubieńców? Jedno nie wyklucza drugiego i możemy uważać za nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że wszystkie wille są najgorszego gatunku kiczami, a ogrody składają się z ogródkowej zieloności.

Zadnego plenerowego zdjęcia nie można uskutecznić na tle krajobrazu Hollywoodu, sceny miłosne i polowanie nie stałyby się tutaj *box office*, nie miałyby powodzenia kasego.

W samym Hollywood nie rośnie trawa, ale w atelier reżyser może oczywiście to zarządzić, i tam, gdzie wczoraj wznosiła się sala średniowiecznego zamku, rośnie dzisiaj bujna trawa w żądanych wymiarach. W ten sposób przedstawiają się kawałki murawy przed niektórymi willami, na ulicach zaś miasta, które — to jasne! — nazywają się „Boulevards”, umieszczono nawet palmy, eukaliptusy, drzewa pieprzowe. Tej murawy i tych drzew nikt przez noc nie uprzątnie, pogoda szkodzi im równie mało, jak pomaga, a ukraść — któż by mógł ukraść taką florę!

Zamki na wzgórzach, to poważny gotyk, późny gotyk z 1925 r. po Narodzeniu Chrystusa, ze strzelnicami dla kusz, mostami zwodzonymi dla jeźdźców i wieżami dla grających fanfary strażników, krótko mówiąc, wszystkiego potrzebuje władca filmu, gdy pragnie wymknąć się wieczorem ze świata uludy. Ale góry, na których wznoszą się te dumne skalne gniazda, są prawdziwe: ich szarość i wysokość przypomina śmietniska lub stopy odpadków.

Każdy dom ma swój garaż, do którego prowadzi z ulicy mała rampa. Ale z autami dzieje się to samo, co z palmami i murawą: ponieważ tutaj nie ma ani śniegu, ani deszczu, a aut nie kradnie się (gwiazdy rzadko kradną auta, gdyż i na filmie zdarza się to tylko rzadko, a brak jest innej ku temu podniety), zajeżdżają one przed garaż, ale nie do garażu, w którym trudno jest manewrować. I auta stoją przed swymi siedzibami, jak gdyby operator dopiero co zamknął obiektyw.

Wszystko jest prowizoryczne. Na przykład domy mieszkalne, jednopiętrowe, pokryte dachówkami, w hiszpańskim stylu, doniczka z kwiatami pod każdym okrągłym oknem i balkonik pod co drugim oraz parterowe domy handlowe zbudowane z gotowych części drewnianych.

Między domami zięją kilometrowe luki. Gdzie, zapytuję, można przykleić plakaty, przynależne do każdego porządniejszego bulwaru, jeśli nie ma tam ścian? No, to właśnie luki pomiędzy domami wypełnia się ścianami, podtrzymywanymi przez słupy przeznaczonymi na plakaty.

Jeszcze jeden nowy środek reklamy rozpoczął z Hollywood swój triumfalny pochód przez Stany: pomnik w służbie reklamy.

Zaczątki tego rewelacyjnego pomysłu używania rzeźby dla wzmoczenia przyływu klientów i dania w końcu praktycznego celu temu rodzajowi sztuki istniały już w Ameryce; lepsze firmy, zwłaszcza towarzystwa akcyjne, handlujące nadającymi się do propagandy towarami, stawiały na publicznych placach pomniki swym najrzęczniejszym prezesom zarządu, którzy jednak musieli już nie żyć do tego celu.

W Los Angeles kupcy budują swoje pomniki za życia. Stoi na przykład na kuli ziemskiej nadnaturalnej wielkości mężczyzna. Przystępujemy bliżej i widzimy, że podnosi do ust filiżankę — *advertising* dla jakiegoś gatunku kawy. Brązowy jeździec mknie w brązowym aucie wyścigowym, umocowanym ze swej strony na brązowym cokole — nazwa fabryki wryta jest złotymi literami. Dziewczę z warkoczem doi bawolicę — dla najbliższego sklepu z mlekiem. Posągi swoje mają również chłopcy hotelowi w czerwonych kurtkach z walizką pod pachą — w dole widnieje adres hotelu. Statek płynie po falach postumentu — korzystajcie tylko z tego towarzystwa okrętowego. Ten posąg świętego

Jerzego na koniu, zabijającego smoka, mógłby być dłuta Donatella — mądra reklama drogerii sprzedającej gorące kiełbaski, zimne napoje i powieści brukowe.

Jeśli rzeźba, dlaczego nie i architektura? Budujemy reklamy. Od filmu nauczyliśmy się, jak buduje się do filmu. Cukiernie są wiatrakami, których skrzydła obracają się, sklep z lodami ma wygląd olbrzymiej maszynki do lodów z kręcącą się korbą, kabaret jest wiernym naśladownictwem Moulin Rouge; restauracja, chcąc zareklamować jarską dietę, przybiera kształt szarego lochu z okratowanymi oknami, inna znowu pokazuje, że dostarcza szybko przekąsek, usadawiając się w nowo zbudowanym wraku, nad którym widnieją litery S.O.S.; w kuble jadają bywalcy mleczarni.

Nie zawsze jest zrozumiała ta logika budowlana. Dlaczego restauracja ma kształt twardego, brązowego kapelusza, dlaczego największe kino Hollywoodu jest zbudowane na modłę teatru chińskiego, dlaczego nabożeństwa żydowskie odbywają się w ozdobionym krzyżem kościele z napisem „Unitarian Church”... stop! O małośmy się nie zblamowali<sup>433</sup>. Ten ozdobiony krzyżem kościół jest rzeczywiście kościołem, a nie synagogą, jedynie w święta żydowskie zasłania on swoich świętych, ołtarze i kropielnice i wynajmuje się pobożnym przemysłu filmowego. Jeszcze przed paru laty był oddawany jedynie na dzień pojednania, ale okazało się korzystnym dla obu stron odnajmować go, względnie wynajmować na wszystkie święta żydowskie. Wielkie możliwości dla gorliwie naśladowującej Amerykę Europy: w kościele ku pamięci cesarza Wilhelma<sup>434</sup> wygłasza kazanie nadrabin berliński, a w starej synagodze ksiądz — arcybiskup z Pragi udziela wszystkim wiernym apostołskiego błogosławieństwa. Oczywiście za okrągłą sumkę dolarów.

Bardzo miłym miejscem jest Hollywood, zarówno jego dary naturalne, jak i architektura, rzeźba i w ogóle kultura i widzimy teraz, skąd czerpie źródło duchowa strona jego filmów.

O miejscu tym, o którym powiedziano więcej niż o jakimkolwiek innym na obu półkulach, nie można już więcej powiedzieć — aby odwrócić powiedzenie Hamleta — jest zaludnione przez błaznów i fałszerzy historii.

## U FORDA W DETROIT

Przy pierwszych odwiedzinach w zakładach Forda rzuca się najpierw w oczy, że prawie wszyscy robotnicy mają nabrzmiałe policzki. Zadaje się pytanie, skąd to pochodzi. Otrzymuje się w odpowiedzi: „Tak, mister Ford jest niepalący”.

To znaczy, że nie znosi palących. O, nie tylko przy pracy — zajęty przy transmisyjii nie ma czasu na zaciąganie się papierosami. Ale także przed i po pracy palenie jest wzbronione; w warsztatach, które nie posiadają żadnych przedmiotów groźących pożarem, a i bez tego są pełne kurzu i żaru z pieca, i poza salami fabrycznymi — na ulicach, placach i grzędzawiskach pomiędzy fabrycznymi budynkami, któredy przejeżdżają dymiące pociągi. W autobusie, który obwozi cudzoziemców po gotowych, nadających się do obejrzenia częściach zakładów, w kawiarni, gdzie inżynierowie i urzędnicy jedzą obiad, nie wolno palić.

Ażeby więc zaradzić brakowi papierosów, żują robotnicy przez cały dzień tabakę, tak że się zdaje, że wszyscy mają nabrzmiałe policzki. Od czasu do czasu wypluwają prymkę, obojętnie dokąd. W odlewni żelaza celują do nasyconej sodą wody, która przepływa nad rozżarzoną żelazem i pryska w twarz kolegom...

Gdyż mister Ford jest niepalący.

Wozy z zapasami żywności wjechały do hali warsztatu. Piętnaście centów kosztuje paczuszka złożona z trzech kawałków chleba (dwa z mięsem, jeden z marmoladą). Z kotła z zupą zostaje za pięć centów napełniony kubek papierowy. Za flaszkę gorącej kawy płaci się dziesięć centów, ale za pustą flaszkę otrzymuje się z powrotem pięć centów. Przed wozem i przed kotłem z zupą stoją robotnicy w długim szeregu. Trwa z jakiegoś osiem minut, zanim się tam dojdzie. Przerwa obiadowa w zajęciach na trzy zmiany trwa piętnaście minut, w innych dwadzieścia minut. Dlatego gorąca zupa w papierowym kubku,

<sup>433</sup> O małośmy się nie zblamowali — konstrukcja z przestawną końcówką czasownika; inaczej: o mało się nie zblamowaliśmy. [przypis edytorski]

<sup>434</sup> kościół ku pamięci cesarza Wilhelma — Kaiser Wilhelm Gedachtnis-Kirche: słynna świątynia berlińska. [przypis tłumacza]

chleb, kawa (pije się ją z flaszki), a do tego zawsze jabłko muszą być zjedzone w przeciągu siedmiu minut. Je się, stojąc albo przykucnąwszy na ziemi. Ławek ani krzesel nie ma. Kantyny są wydzierzawione trzem towarzystwom, które odgraniczywszy swoje rejony, nie obawiają się żadnej konkurencji i o rozkosze dla swoich gości się nie troszczą.

Gdyż mister Ford nie tylko nie jest palącym, ale nie jest także stałym gościem wozów.

W środku każdej hali jest estrada, gdzie robotnicy mogą powiesić na wieszaku swoje ubrania, kiedy wciągają kitel. To robi tylko bardzo niewielu. Wolą iść do domu w przepoczonej koszuli i przepocyonym ubraniu bez płaszcza, także zimą, gdyż lepsze części ubrania są kradzione, jeżeli się je zostawia niezamknięte. U Forda odbywa się trzykrotna zmiana nie w ten sposób, że robotnicy zmieniają się wzajemnie partiami; każdy musi być o innej godzinie i minucie na swoim miejscu. Kto więc opuszcza warsztat, gdzie kilka tysięcy ludzi gorączkowo jest zajętych pracą, może niepostrzeżenie zabrać coś niecoś ze sobą.

Jest bardzo mało klozetów i trzeba stać w ogonku.

Gdyż mister Ford jest nie tylko niepalącym i niestałym gościem wozów z żywnością, ale także nie korzysta z klozetów w swoich warsztatach.

---

Nowy zakład Rouge Plant, Czerwona Fabryka, nazywa się tak dlatego, że leży nad rzeką Czerwoną<sup>435</sup>, ale Mr. Flenry chce wprowadzić dla całego okręgu nazwę „City of Fordson”, przeciwko czemu protestuje rada miejska, w której zakresie to leży.

Dawna fabryka, Highland Park, zostaje właśnie zlikwidowana i odstąpiona innemu przemysłowemu przedsiębiorstwu.

Tysiące urzędników i robotników osiedliło się w sąsiedztwie fabryki — no i budzą się któregoś dnia oddaleni od niej o dziesięć mil.

Dziesiątki tysięcy nie mogą dostać mieszkań w Detroit i jadą do Rouge Plant więcej niż dwie godziny, przeważnie stojąc, gdyż autobusy, tramwaje i wozy są przepelnione. Robotnicy mieszkający poza obrębem sieci komunikacyjnej starają się kupić sobie jakieś stare, małe auto i odwożą codziennie kolegów za miesięczne wynagrodzenie — to są te auta robotnicze, które się widzi, stojące masami przed amerykańskimi fabrykami, i o których się słyszy jako o dowodzie panującego dobrobytu. Ale Henry Ford, niepalący, mieszka w Deaborn.

Wewnątrz samych zakładów Forda nie udaje się dopełnić przez rozmowy z robotnikami tego, co pokazują, dlatego że nikt nie ma przede wszystkim czasu, po wtóre zaś ochoty wypłacić coś i potem za to cierpieć. Za to w Detroit albo w okolicy nie sposób jest poznać kogoś, aby rozmowa nie zesłała na Forda. Każdy albo rozpoczął tam pracę, albo pracuje, panowie wszystkich krajów zgromadzili się w kraju jednego pana — legia cudzoziemskiej przemysłu. Ludzie mało rozprawiają o polityce i nie wiedzą nawet, co za człowiekiem jest ziomek, który się tak interesuje ich opowiadaniem o fabryce. A jednak nie słyszy się od nich nic prócz skarg.

Robotnik

---

Najgorszym zaś jest „*lay off*”. I to jest właśnie najgorsze. Za błąd w pracy, za drobną niedokładność (gdyby nie była drobna, robotnik zostałby natychmiast zwolniony) jest się „zawieszonym”. Na dzień lub dłużej, do 14 dni. O tego rodzaju karze nie znajdzie się nawet wzmianki w książkach dotyczących Forda. Także w dziełach z prawa karnego nic o tym nie ma. Piszą w nich, że nikt nie może być pozbawiony swego sędziego, który powinien wyrokować zgodnie z paragrafem prawa po wysłuchaniu świadków, biegłych i oskarżycieli. Prawo karne i nakładanie kar załatwia się nieco prościej w „Ford Motor Company”. Kto wszczął kłótnię, wypił podczas pracy łyk mleka, albo i bez tego dał okazję głównemu majstrowi, zostaje „*lay off*”. Gdyby na przykład na Johna D. Rockefellera nałożono z powodu niedokładności w pracy taką karę, to znaczy połowę jego miesięcznego dochodu, to to nie byłoby to samo, gdyż John D. Rockefeller mógłby milion dolarów zapłacić z oszczędności — zaś pracownik Forda nie. Dla niego oznacza czternaście dni „*lay off*” głód wraz z żoną i dziećmi, wyrzuty i bezcelowe szwendanie się po mieszkaniu.

---

<sup>435</sup>rzeka Czerwona — tu: River Rouge, rzeka o długości 204 km na obszarze Metro Detroit w południowo-wschodniej części stanu Michigan w Stanach Zjednoczonych, wpadająca do Detroit River przy Zug Island, zindustrializowanej wyspie stanowiącej granicę między miastami River Rouge i Detroit. [przypis edytorski]

Mógłby wprawdzie szukać pracy gdzie indziej, w Detroit jest dość fabryk samochodowych: Chrysler — Dodge, General Motors, Packard, Studebaker, ale zanim znajdzie nowe miejsce, termin kary upływa i może wrócić do Forda. Po powrocie płaca tygodniowa zostaje obciążona na dwadzieścia pięć dolarów, co jest z korzyścią dla karającego. Często, jak na przykład wiosną 1927 roku, „zawiesza się” dziesiątki tysięcy „z przyczyn technicznych” i wkrótce przyjmuje z powrotem, nie za od dawna ustalone wynagrodzenie, ale za pięć dolarów dziennie. (Tydzień pracy u Forda ma tylko pięć dni roboczych).

Dodać należy, że Mr. Henry Ford wskutek konkurencji, szczególnie General Motors, nie może już tak gromadzić pieniędzy. Jego upór jest tu winien. Podobnie jak wielu przedsiębiorców, którzy wprowadzili jakiś nowy wynalazek i przez koniunkturę zostali wyniesieni w górę, uważał się za nieomylnego. W procesie, który Henry Ford wytoczył „Chicagowskiej Trybunie”, gdyż zarzucała mu brak inteligencji, nie sprostał najłatwiejszej próbie obrazkowej i oskarżone pismo urzędowało później konkurs z nagrodami: ośmioletnie dzieci ze szkoły odpowiedziały jakoby na pozostawione przez Forda bez odpowiedzi pytania. „Swoich książek” nie napisał i później częściowo ich się zaparł. Uparcie trzymał się automodelu T, chociaż był już dawno udoskonalony, a nawet stał się śmieszny. Zamiast przy pomocy swego tytanicznego aparatu utrzymać w ręku całą fabrykację małych aut, blamował<sup>436</sup> się propagowaniem małych samolotów (*Fliver-Plans*), które masowo spadały, i innymi projektami, zanim się zdecydował na model A i na ośmiocylindrowe wozy Lincoln. W międzyczasie konkurencja prześcignęła go wielokrotnie.

Teraz oszczędza on na wypłatach.

Gdy robotnik zostanie zraniony, otrzymuje pomoc lekarską i musi powrócić na swoje miejsce pracy. Gdy złamie prawe ramię, dostaje wtedy pracę, do której potrzebuje tylko lewej ręki; stał się jednym z wielu upośledzonych.

3595 rodzajów zatrudnień (wszystkich razem jest ich 7882 w zakładach Forda) może być wykonanych przez ograniczonych w zarobkowaniu, z tego 670 przez pozbawionych nóg, 2637 przez mających jedną nogę, 2 przez bezrękich, 715 przez mających jedną rękę i 10 przez ślepych.

Nawet w szpitalu są zatrudnieni robotnicy-metalowcy; czarna, nawoskowana chustka, rozpięta nad łóżkiem chorego, jest warsztatem, na którym pacjenci umocowują śruby na kółkach.

To brzmi tak nieprawdopodobnie, że trzeba zacytować to, co w książce *Moje życie i dzieła* Henry Forda jest powiedziane o wprowadzeniu pracy chorych: „Przebywający w szpitalu byli akurat tak samo zdolni do pracy, jak ludzie w fabrykach, i zapracowywali w ten sposób na swoje zwykłe wynagrodzenie. Tak, ich produkcja była o 20% wyższa niż zwykła produkcja fabryczna. Nikt nie był, naturalnie, do tej pracy zmuszony, ale wszyscy chętnie pracowali. Praca pomagała im przepędzić czas, sen i apetyt były lepsze niż przedtem i wyzdrowienie robiło szybsze postępy”.

Kto nie jest w stanie dalej pracować, nie otrzymuje żadnej zapłaty ani wsparcia przysługującego choremu. Tylko w wypadku trwałego, przy pracy powstałego kalectwa otrzymuje się odszkodowanie na zasadzie *compensation-bill*<sup>437</sup>.

Na pierwszym piętrze w *B-Building* wypłaca się pensje. Trwa przeciętnie pół godziny, zanim każdy otrzyma od płatnika swój zarobek. Proszę to dodać do wielogodzinnej jazdy z i do zajęcia i ośmiogodzinnej, prawie bez przerwy pracy.

---

Sale maszyn, po których odwiedzający są oprowadzani, lśnią czystością. Nigdzie nie ma bardziej oślepiająco czystej fabryki metalowych wyrobów. Że Fordowska huta szklana, papiernia i fabryka skóry odznaczają się nieskazitelną czystością, wydaje się mniej godne podziwu, gdyż ilość zatrudnionych w nich ludzi jest względnie mała. Jednakowoż i zamiatane lub asfaltowane drogi, i place między warsztatami tworzą miły kontrast z resztą Detroit, nawet grzęzawiska w obrębie fabryki mają pielęgnowane brzegi, a lokomotywy Fordowskiej kolei żelaznej Detroit-Toledo-Ironton lśnią zwierciadlanym niklem. Na kołach maszyn w warsztatach nie ma pyłku, a pas transmisyjny lśni jak jezioro alpejskie.

---

<sup>436</sup>blamować się — ośmieszać się, kompromitować się. [przypis edytorski]

<sup>437</sup>*compensation-bill* (ang.) — rachunek na odszkodowanie. [przypis edytorski]

Jeden przy drugim stoją robotnicy, tak że chwytają zbliżającą się odpowiednią część pod ramieniem lewego sąsiada, przed jego twarzą wykonują swoje zadanie, a muszą je kończyć bezpośrednio przed twarzą prawego sąsiada. Dosłownie o włos nad głowami, gdyż muska ich włosy, obraca się *conveyor*<sup>438</sup>, na którego błyszczących łańcuchach wiszą różne przedmioty jak podarunki na choince.

Każdy musi chwycić przeznaczony dla siebie podarunek, w przeciwnym razie posuwa się on niepowstrzymanie dalej, a za to dostaje robotnik odpowiednie podziękowanie.

Dlaczego jednak nie ma miejsca? Czy w obrębie fabryki nie ma wielkich przestrzeni, czyż hale pracy nie są dostatecznie wysokie, aby pas transmisyjny i wał stalowy umieścić na bardziej bezpiecznej odległości od głów?

O! Oddalenie stanowi stratę czasu.

A czas — to wynagrodzenie za pracę. To jest przyczyna ścisku, przyczyna braku ławek lub stołów dla zjedzenia obiadu, braku pomieszczeń dla zmiany ubrania, małej ilości ustępów i umywalni, przyczyna zakazu palenia.

Nie traci się nawet sekundy z wynagrodzenia za pracę, dzień i noc obraca się pas, z którym spleceni są robotnicy.

---

Chwył za łańcuch, umocowanie mutry, chwył za łańcuch, wkręcenie śruby, chwył za łańcuch, dwa uderzenia młota, chwył za łańcuch, nałożenie automatycznego świdra, iskry pryskają, chwył za łańcuch, umocowanie płytki ołowianej, izolacji parafinowej, pokrywy, wiązki świec, wału korbowego, a w międzyczasie wciąż chwył za łańcuch, ruch i skutek, postawa i umocowanie, człowiek i maszyna, stale upodabniający się do siebie. Gotowe motory turkoczą przy próbnej pracy. „*Final Assembly Line*”, ostatni z poruszających się pasów, to już nie strumień, to nurt, długości 268 m z wieloma dopływami. Z kadzi z lakierem wynurza się w górę tylna oś, toczy się, dołączają się już gotowe koła, osadzają błotniki, na ramię montuje się motor, ukazuje się chłodnica, lakiernicy rozpylają farbę, nadwozie ze skórzanymi siedzeniami, lustrzanymi szybami i latarniami przykrywa to z góry jak odrębna całość, należy ją tylko przyśrubować.

Okazuje się wkrótce, że poruszający się pas normuje tempo pracy, ale nie odwrotnie.

Tylko nieliczni robotnicy stoją na swoim miejscu, wielu posuwa się dalej za swoją częścią, siedząc na wózekzku wysokości około 30 centymetrów, jakiego używają beznodzy i żebracy; tutaj nogi ślizgają się po podłodze, nogi robotnika, który musi gonić swoją część, ażeby ją wykończyć i wygładzić, a wszystko w ruchu. Coraz bardziej zbliża się ta suma części składowych do pojęcia samochodu. I nagle wskakuje jakiś człowiek na siedzenie szofera, naciska pedał, rozlega się jakby krzyk noworodka i po pochyłej płaszczyźnie, która biegnie od żyjącej istoty, odrywa się auto z obracającej się pępowiny i pędzi do hali, która nazywa się A-A.

Ośmiu inspektorów obmacuje i ogląda auto. Próbuje się klamki u drzwi, okna, chłodniki, ster.

550 aut przychodzi tu codziennie na świat. Sprzedawcy ich i urzędnicy z numerami w dłoni czekają już, zaopatrują je w benzynę i jadą na nowo narodzonych wozach do domu.

---

W Deaborn, miejscowości, którą nawet Ford musi tak nazywać, znajduje się lotnisko i jego fabryka samolotów. Hangar i dwa inne, które służą jako warsztaty. Ani śladu *conveyor*, ani śladu taylorizmu czy też fordizmu nie daje się tu zaobserwować, metalowy Ford-Tri-Motor, typu Stout na czternastu pasażerów, cena 6500 dolarów, jest tu budowany według metod przyjętych w każdej fabryce samolotów. Mimo to służy fabryka za cel zwiedzania. Znajduje się tu parę przedmiotów zabytkowych, na przykład samolot „*Pride of Detroit*”, który obleciał kulę ziemską w 193 godziny, samolot wyprawy arktycznej kapitana Byrda, kopia dwupłatowca, w którym w 1909 Bleriot przebył kanał. Zwiedzający są natarczywie namawiani przez przewodników na lot nad Detroit. Cena osiem dolarów.

---

<sup>438</sup>*conveyor* (ang.) — transporter, przenośnik. [przypis edytorski]

Na prawo i na lewo od olbrzymiego kompleksu budynków Forda wznosi się pagórek żelastwa, resztki czterechset okrętów wojennych „Eagle Boats”, przekazanych przez ministerstwo marynarki USA mister Fordowi jako szmelc; część przetwarza się na stal wanadową dla budowy aut, część służy za statki dla przewozu aut przez rzekę Czerwoną i rzekę Detroit.

Po przekroczeniu tej rdzawo-czerwonej rzeki kończy się królestwo Forda. Można już zapalić papierosa w aucie lub czekając na tramwaj, i jechać do domu przez wschodnie Detroit, miasto, gdzie ma miejsce więcej zbrodni niż w Chicago, więcej morderstw, zamachów i napadów rabunkowych niż w jakimkolwiek mieście na kuli ziemskiej. Ale mister Ford jest niepalący.

## I TO NAZYWA SIĘ PIŁKĄ NOŻNĄ

„Ta amerykańska piłka nożna jest niebezpieczną zabawą!”

Doktor Becker stwierdził to z całą pewnością, gdy znalazł się w sobotę o wpół do drugiej po południu w hali kolei podziemnej, aby wyruszyć na zawody uniwersytetu nowojorskiego *contra* uniwersytet Missouri.

Nigdy jeszcze nie widział amerykańskiej gry w piłkę nożną. Mimo to pogląd jego, że „ta amerykańska piłka nożna” jest sportem brutalnym i niebezpiecznym dla życia, był dla niego — a była to, jak już zaznaczyliśmy, sobota, punktualnie o drugiej po południu — niewzruszony. Nie stał tak niewzruszenie sam doktor Becker. Początkowo wkliniowany w zwartą masę czekających, był stopniowo spychany na brzeg peronu; przednie rzędy wywalczyły sobie miejsca w kolejce podziemnej, wpędzając wysiadających mimo ich obrony (wyrażającej się w przekleństwach i boksie) z powrotem do wagonów i wciskając się za nimi. Teraz, w sobotę, punktualnie o wpół do trzeciej po południu, wisi doktor Becker, przygwożdżony do sąsiadów, niemal nad szynami.

Niepewne położenie, zaiste. Ale mimo to tęsknił za nim, gdy — było to w sobotę ściśle za kwadrans trzecia po południu — został wciśnięty przez stojących za nim do wagonu, który unosił tłum żadnych rozrywek do stadionu Yankee.

Doktor Becker nie mógł na razie myśleć i dlatego snuł dalej swoje wyobrażenia, że „ta amerykańska piłka nożna” jest niesłychanie brutalna i bezwzględnie niebezpieczna dla życia. Oczywiście, chciał — nie widział przecież zawodów — przez to tylko powiedzieć, że sport zagraża życiu widzów. Teraz zaczął przedstawiać sobie, jak bezpieczni czują się gracze w porównaniu z widzami, jak... Ale co do tego doktor Becker jest w błędzie.

---

### II. Na skraju boiska

W zwartych szeregach płynęli ludzie do stadionu, automobiliści w samochodach, piesi pieszo, oczywiście można specjalnie nie zaznaczać, gdyż tak samo dzieje się u nas.

Uderzająco różny od naszych stosunków jest za to fakt, że ludzie z niebezpieczeństwem życia i poświęceniem, do którego od czasów Winkelrieda zdolna jest jedynie amerykańska walka o byt, rzucają się prawie pod koła aut, z głośnym wołaniem żądają, jeśli zaś jest to bezskuteczne, błagają żywymi gestami kierowców, by zaparkowali u nich auta. Wynajęli miejsce, sobota jest jedynym dniem, w którym może się opłacić spekulacja, stąd pochodzi ich pogarda śmierci. Ale auta mijają na twardych jak stal oponach te przeszkody w mchu.

### III. Oslupiały ze zdziwienia

staje się doktor Becker. Nie możemy mu brać tego za złe. Z tysiącami tłoczył się koło i w środku kolei podziemnej, z dziesiątkami tysięcy pieszych i tysiącami aut przebywał ten ostatni kawałek drogi! — i oto widownia stadionu jest pusta.

Trzeba jednak użyć wyrażenia „pusty” w odniesieniu do stadionu, w którym jest niezajętych nie mniej niż czterdzieści tysięcy miejsc.

Nie zmienia to istoty rzeczy, że zajętych jest czterdzieści pięć tysięcy miejsc. Yankee-Stadion mieści 85 000 osób (berliński 30 000), i brakuje z nich prawie połowa.

#### IV. Preludia gry

Na wstępie na boisku gra marsza orkiestra wojskowa, która jednak nie jest wojskową, lecz składa się z umundurowanych studentów; i kapelmistrz w wysokim białym kapeluszu skórzanym, ocieniającym poważne oblicze, jest prywatnie słuchaczem uniwersytetu nowojorskiego. Odmaszerowują. Oklaski. Jest ich trzynastu. Chociaż tylko jedenastu jest jednocześnie czynnych na polu, potrzebni są zastępcy, co zobaczymy zresztą nieco później.

Wbiega drużyna uniwersytetu nowojorskiego wraz z zastępcami. Burzliwe oklaski. Nowojorczyki mają fioletowe koszulki i zielone spodenki, goście z Missouri noszą ubiór pomarańczowy — czarno-pasiasty. Wszyscy mają hełmy, miejscowi białe, missourijczyki barwy złotej; okrągłe masywne osłonki chronią uszy — przy poważnych zawodach nie wyrzywa się już sobie muszli usznych.

Poza tym gracze wypchani są watą, co nie podoba się doktorowi Beckerowi, gdyż gra w piłkę nożną z opatrunkami i bandażami wydaje mu się (ach, Europejczycy!) nielogiczna. Zjawia się *referee*, rodzaj pomocnika sędziego. Żywe zadowolenie. Pojawia się *umpire*, rodzaj sędziego. Burzliwe zadowolenie.

#### V. Naganiacze ekstazy

Jest już czas chyba, aby powiedzieć cośkolwiek o powstawaniu i znaczeniu tych parokrotnie używanych pojęć: „zadowolenie”, „żywe zadowolenie” i „burzliwe zadowolenie”.

Poza boiskiem grasują sympatyczni młodzieńcy, noszący urzędowo tytuł „*cheer-leaders*”. Ci organizatorzy owacji zatrzymują się podczas gry, uzbrojeni w megafon, przed pojedynczymi odcinkami areny i wrzaskiem zarządzają, jakiej załodze lub jakiemu graczowi należy w tej chwili robić owację. Uczyniwszy to, odkładają megafon i dyrygują zbiorowym aplauzem, wykonując jednocześnie pewne ruchy gimnastyczne: głębokie zginania kolan, wysuwanie rąk do przodu i na boki. Rytuał i rytm ich zdają się być pochodzenia staroindyjskiego, najczęściej słyszy doktor Becker rozbrzmiewające wyrazy uznania na cześć *back'a* Missouri, nazwiskiem Rosemheim, lub lewego członka ataku Nowego Jorku, nazwiskiem Jerry Nemecek.

Rah, rah, rah,

Sis, bum, bah,

N. Y. U., N. Y. U.

Nemecek, Nemecek, Nemecek.

(Bez gwarancji za wierność pisowni).

#### VI. Piłka

Piłka bynajmniej nie jest okrągła jak normalna piłka europejska. Ma ona kształt śliwki, dosyć dużej, ale niedojrzałej i jeszcze niezupełnie okrągłej, a za to posiada ostro ścięte boki. Tak wygląda. Rzeczywiście.

Jakaś detonacja przeraża nieprzygotowanego doktora Beckera: pośrodku granicy boiska rozległ się wybuch ładunku prochu — gra rozpoczyna się.

#### VII. Historia naturalna gry

Amerykański sport narodowy został niewłaściwie nazwany „*football*”, jak gdyby nie było już na świecie innej gry w piłkę nożną i jak gdyby miało to jakikolwiek związek z nogą lub z piłką (patrz niżej). Wprawdzie i w Ameryce jest uprawiana znana w Europie gra w piłkę nożną w cieplarniach (profesjonalizm), bądź też swobodnie rozwija się na wolności (amatorzy), ale nikt nie używa nazwy „*football*” tylko „*soccer*”, co ma być zniekształceniem słowa „*association*”<sup>439</sup>. Tak zwana piłka nożna jest mimo to niczym innym, jak rugby z niektórymi zmienionymi zasadami gry.

Partia rozgrywa się w czterech etapach po piętnaście minut. Boisko ma sto metrów długości, każde pięć metrów zaznaczone jest linią. Istnieją duże bramki (*goals*); poprzeczka nie jest przymocowana do wierzchołka słupków, lecz pośrodku nich. Trzy drążki tworzą razem literę H, co bynajmniej nie oznacza, że bramka jest świętością<sup>440</sup>, jak to dzieje się na

<sup>439</sup> *association* (ang.) — stowarzyszenie, towarzystwo. [przypis edytorski]

<sup>440</sup> Trzy drążki tworzą razem literę H, co bynajmniej nie oznacza, że bramka jest świętością — po niemiecku: *Hailigtum* [tzn. świętość]. [przypis tłumacza]

rozsądnym kontynencie; wprost przeciwnie, odgrywa ona podrzędną rolę i umieszczona jest poza boiskiem.

To ostatnie rozpoczyna się od poprzecznej linii, biegnącej pięć metrów przed bramką przez całe boisko, „goal-line”. Jeśli jednej z drużyn uda się przenieść piłkę poza „goal-line” przeciwnika, zyskuje ona „touchdown” — duży zysk, odpowiadający w przybliżeniu naszej bramce.

Drużyna, która zdobywa „touchdown”, zyskuje sześć punktów i prawo, by jeden z jej graczy bez przeszkód strzelił z odległości dwudziestu metrów do bramki przeciwnika; gdy piłka przejdzie nad poprzeczką, liczy się to za dodatkowy punkt.

Trzy razy może każda ze stron rzucać i podczas tych trzech „kroków naprzód” winna przenieść piłkę co najmniej dziesięć kroków. Gdy kopnięta piłka przejdzie nad poprzeczką, *goal from field*, to liczy się to za trzy punkty.

### VIII. Przebieg gry

Piłkę nosi się zatem stale albo raczej usiłuje nosić. Bo przecież cała nieprzyjacielska jedenastka ma za zadanie nie dopuścić do przejścia tych dziesięciu kroków względnie linii bramkowej. W jaki sposób nie dopuszczają do tego? Nie dopuszczają w ten sposób, że uzbrojona w hełm głową wałą niosącego piłkę w brzuch, chwytają go za nogi, uderzają pięścią w twarz lub obdarzają innymi podobnymi pieszczotami.

Oczywiście każdorazowy posiadacz piłki przewraca się co najpóźniej po piętnastu sekundach, a partnerzy i przeciwnicy padają na niego w splątanym kłębie ciał. Sędzia gwizdże i kłęb rozplątuje się. Jedynie gracz leżący na spodzie, przed chwilą dumny posiadacz piłki, zostaje przeważnie na ziemi, ranny, omdlały lub jedno i drugie.

Czarno ubrani służący klubowi pędzą na miejsce, aby doprowadzić ofiarę do przytomności sztucznym oddychaniem i octem. Zbliża się i lekarz ze skrzynką instrumentów. Sędzia nie może jednak ścierpieć takiego bałaganu na boisku i każe wynieść ten strzęp człowieka. W międzyczasie pozostali przy życiu gracze orzeźwili się wodą z lodem (czas to pieniądz) i spokojna gra toczy się dalej.

Ćwierć minuty, czasem pół.

### IX. Jak rzuca się piłkę?

Rzucająca drużyna ustawia się kołem o trzy kroki za piłką i odbywa, pochylona do przodu, szeptem naradę, „4 rzuca do 7, 9 oddaje 2” i tak dalej.

Następnie dziesięciu graczy wysuwa się do przodu i ustawia w gotowości do skoku w jednym rzędzie; jedenasty, bramkarz, pozostaje z tyłu, i jemu zwykle rzuca się piłkę. Jedyny spośród grających nie nosi ochronnego ubrania.

Pozostała dziesiątka ma naprzeciw siebie w odległości jednego metra jedenastu przyuczajonych wrogów, gotowych bez litości obalić każdego, kto otrzyma piłkę.

### X. Czysto symboliczna piłka

Piłka gra zaledwie rolę pałeczki przy biegu sztafetowym. Można by ją zastąpić innym symbolem, który trzeba przenieść poza linię bramkową. Cała gra jest właściwie biegiem, któremu przeciwnik powinien przeszkodzić. Falanga przeciwko falandze.

Dotykanie piłki nogą rzadko się zdarza w tej dziwnej grze w piłkę nożną i ma małe znaczenie (patrz wyżej).

### XI. 45 000 wstających człowieczków

Zadziwiające jest nie to, że publiczność obserwuje walkę z dzikim wrzaskiem, lecz że to podniecenie wybucha co ćwierć lub co pół minuty.

W chwili rzucania 45 000 (czasem i 85 000) ludzi wyskakuje ze swoich miejsc, by usiąść z powrotem w chwili gwizdka sędziego. Widok tych co pewien czas siadających i zrywających się tłumów jest niebywale komiczny.

W przerwie poza muzyką można usłyszeć przeróżne głupkowate rozprawy, na przykład jakiś człowiek w niedźwiedziem futrze (niedźwiedź jest symbolem Missouri) użera się z fioletowym (zatem nowojorskim) *college-boy*em.

Na trybunie prasowej urzędują sprawozdawcy. Przy aparacie Morse’a, przy telefonie, przy mikrofonie radiowym. Jeden z nich naciska klawiaturę — i w tej samej chwili zjawiają się napisy na fasadach siedzib gazet amerykańskich.



Tłumy ludzi stoją tam, widzą i słyszą, że sędzia odgwizduje, wrzeszczą „Oszustwo”, „Stronniczość”... w St. Louis, w San Francisco, oddaleni o tysiące mil.

## XII. Krytyczne uwagi doktora Beckera

Doktor Becker, operujący europejskimi pojęciami sportowymi, wprowadzony w błąd nazwą „piłka nożna”, obecnością bramki i skórzanej piłki, męczył się prawie trzy kwadransy, aby pojąć sens gry, który został tu wyłożony szczęśliwemu czytelnikowi.

Ogólne podniecenie nie podziało na niego i miał w ten sposób czas powzięcia pewnych wniosków, których wynik jest podany poniżej.

1. Amerykańska piłka nożna podobna jest do europejskiej przez poczucie solidarności graczy, ich szybkość i przytomność umysłu.

2. Wyżej stoi od europejskiej przez swą większą ruchliwość i rozwijanie jednocześnie pracy rąk i tułowia.

3. Niżej stoi od europejskiej przez to, że w Ameryce silniejszy fizycznie gracz ma nad słabszym przewagę, która nie może być wyrównana przez najwyżej nawet stojącą biegłość.

## XIII. Wynik i skalp

Gdy doktor Becker doszedł do tych wyników, odgwizdał sędzia zawody przy stanie 27:6 dla Nowego Jorku. Zwycięska drużyna zdemolowała bramki, aby zabrać je do domu jako trofea.

W kolejce podziemnej, w tramwajach i autobusach — była to sobota, punktualnie o piątej po południu — zaczęły na nowo rozgrywać się na nowo zagrażające życiu walki.

## CZTERNAŚCIE RZECZY W SING SING

Nie wiemy, czemu okratowana brama, którą wychodzi się z pomieszczeń kancelaryjnych w dolne regiony, jest pomalowana na złoto, wchodzimy przez pomalowaną na złoto bramę i stajemy osłupiali z przerażenia.

Wiele już widzieliśmy, czytaliśmy i słyszeliśmy — ale coś podobnego...

Jest to *Man Cell Hall*, teraz nazwany „*Old Cellhouse*”. Wyobraźcie sobie prostokątny blok skalny, długości około osiemdziesięciu metrów, wysokości dziesięciu, a szerokości dziesięciu metrów. W tym froncie, długości 80 metrów, wykuto z przodu 75 dziur, z tyłu zaś również 75, chociaż blok ma tylko pięć metrów szerokości.

Wysokość dziesięciu metrów jest podzielona na sześć pięter, z których każde liczy w przybliżeniu 150 jam.

Skala ta nie jest tworem naturalnym; przed stu laty została wzniesiona z szarego kamienia w ten sposób, że jamy te nie zostały wykute, lecz pozostawione jako odstępy.

Pracę tę wykonywali więźniowie, może złodzieje, może bandyci, może oszuści, a może podstępni mordercy, w tym miejscu rzeki Hudson, gdzie niegdyś Indianie Sinck-Sinck byli obrabowywani, ograbiani, oszukiwani i mordowani przez ludzi, którzy przez to uzyskali dla siebie i swych następców bogactwo, potęgę, zaszczyty, godności, a przede wszystkim prawo bezlitosnego karania przestępców.

Więźniowie za to zbudowali dla siebie i swych następców te kamienne klatki.

Pracowali przez trzy lata od 1825 do 1828 roku.

Pięćdziesiąt lat później w 1878 budowla ta została uznana za niepodatną i szkodliwą dla zdrowia, gdyż ludzie w tych jamach ginęli w krótkim czasie na suchoty i reumatyzm. Jeszcze pięćdziesiąt lat później te 930 wilgotnych, zimnych, niskich, wąskich kamiennych dziur jest w dalszym ciągu w użyciu i siedzi w nich 930 ludzi.

Niektórzy przez rok (niektórzy lokatorzy w Sing Sing<sup>441</sup>), niektórzy przez dziesięć, piętnaście, całe życie. (Sing Sing ma między swymi 1730 więźniami nie mniej jak 128 dożywczych, poza tymi, którzy oczekują w „martwym domu”, aż zgromadzi się partia skazańców i będzie się opłacać włączenie prądu elektrycznego.

<sup>441</sup> *Sing Sing*, właśc. *Sing Sing Correctional Facility* — amerykański zakład karny o maksymalnym rygorze, znajdujący się w miejscowości Ossining w stanie Nowy Jork, ok. 48 km na północ od Nowego Jorku, nad brzegiem rzeki Hudson; nazwa „Sing Sing”, pierwotnie odnosząca się do dzisiejszego miasta Ossining, pochodziła od nazwy plemienia rdzennych Amerykanów Sinck Sinck, od którego odkupiono te ziemie w 1685 roku. W Sing Sing przebywa ok. 1700 więźniów. [przypis edytorski]

Oficjalnie rozmiary celi wynoszą: 6 stóp (1 metr 80 cm) wysokości, przy drzwiach 18 cali (45 cm), w głębi zaś 3 stopy (90 cm) szerokości, 7 stóp (2 m 10 cm) długości.

Przez dzień cały mieści się w nich łóżko składane i stołek, w nocy dochodzi jeszcze wiadro, wypełnione ekskrementami, i człowiek.

Głowa łóżka dotyka ściany, za którą stoi głowa łóżka przeciwległej celi, nogi więźniów zwrócone są w kierunku drzwi.

Dół drzwi stanowi płyta z lanego żelaza, górną połowę kraty. Te drzwi, niedające się otworzyć od wewnątrz, są prócz tego zamykane na klucz, przez dozorcę więziennego, a gdy to zostanie wszędzie dokonane, główny klucznik opuszcza żelazną sztabę, która przesuwana się jak rygiel przed każdymi 75 schroniskami ludzkimi.

Dokoła bloku celi i ponad nim wznosi się dopiero dom. Murowana pokrywa jest większa od swej zawartości, i w ten sposób powstaje między nimi korytarz, na którym patrolują strażnicy i ustawiają się rano w szeregu więźniowie, by wnieść razem swe wiadra do kloaki.

Myć się trzeba także na korytarzu. Gdzież w celi można by znaleźć na to miejsce?

Na jednym z podwórzów można zobaczyć coś, czego nie ma w żadnym więzieniu świata: ptaszarnię.

W barwnych klatkach skaczą, szczebiocą i świergocą czyżyki, kanarki, papugi, a nawet kolibry.

Na pytanie, skąd one się tu wzięły, dowiadujemy się, że są to podarunki dla więźniów. Dobrze, ale dlaczego ptaki te nie są w celach?

— Gdzie? W starym więzieniu? Zginęłyby w ciągu trzech dni. Więźniowie osławiają często myszy lub szczury, ale nawet te stworzenia zdychają szybko w tym powietrzu.

Człowiek musi żyć w tym powietrzu i spać noc po nocy w tym stuletnim zaduchu — cóż więc dziwnego, że rano jest zadowolony z możliwości wyjścia nawet do *shops*, niehigienicznych i zaopatrzonych w od dawna przestarzałe maszyny warsztatów.

W tkalni, zaopatrującej przytulki i szpitale stanu Nowy Jork w pończochy i bieliznę, panuje wielkie zamieszanie — jak wyjaśniają nam, przed ośmiu dniami w oddziale wysyłkowym szalał pożar, co zdeorganizowało warsztaty.

Również tylko dla użytku państwowego pracuje się w zakładach szewskich, blacharni, szrotkarni, drukarni i fabryce materaców Sing Sing. Co rok dostarcza się gotowych wyrobów za dwieście tysięcy dolarów, nie licząc pracy dla samego więzienia, ubrania więźniów itp. Wyrabia się 185 najrozmaitszych artykułów. Czas pracy rozpoczyna się z ósmym uderzeniem dzwonu. W południe około 12 ustawiają się robotnicy rzędami i maszerują do jadalni — w takt wesołych tonów składającej się z 12 więźniów orkiestry, umieszczonej na podwórzu, co jest dawnym obyczajem Sing Sing. Od pierwszej do czwartej kontynuuje się pracę.

Praca jest opłacana — i to jest ta potworność, uprawiana przez ciągnące z tego korzyści państwo — półtora centa za siedmiogodzinny dzień pracy.

Projekt podwyższenia tego niewolniczego wynagrodzenia do dziesięciu centów, godnej bądź co bądź człowieka zapłaty za ludzką pracę, nie został wcielony w życie. Po latach całych regularnej i wydajnej pracy opuszcza skazaniec więzienie bez grosza przy duszy.

A przedtem, w okresie pobytu w więzieniu nie może sobie kupić papierosów i czegoś do zjedzenia — co jest dozwolone do wysokości trzech dolarów tygodniowo — na co pozwala sobie lepiej z domu usytuowany sąsiad.

Więzień, który pali podczas pracy lub łamie obowiązujące przepisy, zostaje wtrącony do celi poprawczej Starego Więzienia i z klasy A, do której zalicza się automatycznie każdego nowego więźnia, przeniesiony do niższej, traci przez to prawo przyjmowania każdego miesiąca odwiedzin (czterech w dni powszednie i jednego w niedzielę), pisania co miesiąc jednego listu w jakiś dzień powszedni i czterech w niedzielę i kupna co tydzień towarów za sumę nieprzekraczającą trzech dolarów.

Niedaleko jadalni mieści się pokój zarządu *Mutual-Welfare League*, organizacji więźniów Sing Sing. Każdy więzień jest jako taki członkiem ligi i może przyjmować udział w wyborach swego warsztatu lub swojej grupy; 45 ludzi wybiera jednego delegata.

Zebrań delegatów tworzy komisję wykonawczą, na czele której stoi obieralny sekretarz i *Sergeant-of-arms*, mający za zadanie utrzymanie porządku podczas wszelkich

Praca, Więzienie, Interes,  
Pieniądz

organizowanych przez więźniów przedstawień i zabaw, jak również i podczas posiłków. Liga broni interesów więźniów przed dyrekcją i uśmierza kłótnie pomiędzy więźniami.

Tylko tej organizacji można zawdzięczać, że w Sing Sing urzędnicy i dozorczy nie oszają przy sobie broni. (Za to na przykład w Tombs, więzieniu miejskim Nowego Jorku, nadzorcy są uzbrojeni w rewolwery, kastet i kajdanki, a mimo to nie można zapobiec, by w regularnych odstępach czasu nie przytrafiały się wypadki zabójstwa strażników więziennych).

Drużyny baseballowe M. W. L. trenują codziennie po czwartej po południu na otoczonym trybunami boisku na brzegu Hudson, ale tylko raz do roku doznają zadośćuczynienia sportowego — rozgrywania zawodów. Corocznie przybywają do Ossining „New York Giants” i biją „M. W. L.”.

Podczas gdy wojownicza młodzież gra w baseball, poważniejsi spacerują lub czytają dzienniki, abonowane przez siebie lub kolegę; reporterzy i dziennikarstwo nie jest tolerowane w tym więzieniu.

O zmierzchu rozlega się hasło: „Przynieść kubły”. Trzymając te naczynia, kierują się wszyscy ku swym pomieszczeniom. Deski, które zastępują łóżko, nie są jednak jeszcze opuszczone, gdyż więźniowie wpakowani (dosłownie) do Starego Więzienia po dwóch godzinach są znowu wyprowadzani do kaplicy na — przedstawienie kinowe. Chociażby widzieli ten rozwlekły film cztery czy pięć razy, muszą do wpół do dziesiątej przebywać poza celami, gdyż każda godzina pobytu w nich wzmaga śmiertelność w Sing Sing!

W szpitalu przebywa właśnie 62 chorych, oślepych, chorych na gruźlicę, z guzami podagrycznymi na kościach palców. Kościół podzielony jest na trzy podłużne przedziały, środkowy jest przeznaczony na nabożeństwa katolickie, lewy na protestanckie, prawy zaś na żydowskie. Odbywają się tutaj również pobożne rozmyślenia Armii Zbawienia i Christian Science, i każdy więzień może słowami swej wiary usłyszeć, że łaska Boża jest niewyczerpana. Czasem rzuci ukradkiem spojrzenie przez okno i widzi czerwony, z cegieł dom śmierci, w którym żyją trupy, póki się ich nie zataszczy na elektryczne krzesło...

Bez polegania na łasce Bożej! Zapewne równie trudno jest dla niej przedostać się poprzez mury więzienia, jak więźniowi z nich się wydostać.

Któż nie myśli o ucieczce, kto nie marzy o wolności! Ale wszędzie, gdzie mury się krzyżują, strzegą oszklone węże ziemi i morza. Służbę pełni się na wieżach dniem i nocą; jeden ruch, i rozbłyskuje reflektor, aby szukać śladu zbiegłej zwierzyny.

Rozbrzmiewa pobudka. Znaczenie jej dźwięków widnieje na wszystkich ścianach: „W wypadku ucieczki rozlegają się z syreny alarmowej przez dziesięć minut gwizdki trzydziestosekundowe w odstępach trzydziestosekundowych; w wypadku buntu — pięć krótkich dwusekundowych gwizdków w odstępach jednej sekundy; w razie wydania tych sygnałów wszyscy wartownicy mają jak najszybciej udać się do biura nadwartownika (*principal keeper*) i oczekiwać jego rozporządzeń”.

Zeszłego lata wyrzuciła się na Hudson łódka, może o trzysta kroków od muru więziennego. Rozbitkowie, mężczyzna i kobieta, utrzymywali się na wodzie, wołając pomocy. Prawie wszyscy więźniowie zaoferowali się, błagając o pozwolenie popłynięcia celem ratowania nieszczęśliwych, (więzienie nie posiada oczywiście łódki). Strażnicy nie udzielili pozwolenia i na oczach setek gotowych do niesienia pomocy ludzi musiała nieszczęsna para pójść na dno.

Niedawno znaleziono w kotłowni szkielet więźnia, który ukrył się tu przed dziesięciu laty, aby umknąć przy nadarzającej się okazji. Wciśnięty w jakiś zakamarek wołał widocznie umrzeć z głodu niż pozwolić odnaleźć się i zniweczyć w ten sposób swój plan ucieczki.

Minęliśmy wejście do „*Classification Prison Clinic*”, która przeznaczona jest do badania kryminologicznego przestępców z całej Ameryki i ma za zadanie segregowanie i kształcenie więźniów stosownie do ich wieku, wykształcenia i uzdolnień. Dotychczas zrobiono z tego tylko reklamę.

Zupełnie tak samo, jak z kompleksów cel, wybudowanych niedaleko starego więzienia z 680, względnie 704 klatkami; mały kompleks wybudowany jest według systemu „*outside*” — czyli każda cela posiada okno, większy „*inside*” — blok wewnątrz domu. Urządzenie do bieżącej wody w każdej klatce jest już gotowe, zaś potrójny kościół w budowie.

Więzienie

Była tu już nawet wycieczka dla rozgłoszenia, że po wybudowaniu tych nowych budynków zostały zlikwidowane wszystkie okropności dawnego Sing Sing. Na razie umieszczono w nich tylko 279 i 308 więźniów, większej ilości nie można było tam usadowić, zanim nie wybuduje się muru ochronnego, co może długo potrwać.

Stare więzienie jest wciąż jeszcze wypełnione i mimo że powinno być pokazywane jako epizod strasznej przeszłości jak przynajmniej nieco obszerniejsze kazamaty twierdzy Piotra i Pawła, jest jednakże faktem strasznej teraźniejszości.

Idziemy dalej: oto nowiutki ceglany budynek miłego czerwonego koloru; kosztował 200 000 dolarów i wart jest tych pieniędzy. Oficjalnie nazywa się „*Condemned Cells*”<sup>442</sup>, ale ludzie z Sing Sing nazywają go rzeźnią.

Dwadzieścia siedem cel potępionych: tuzin dla mężczyzn (trzy są obecnie zajęte!), trzy dla kobiet, sześć cel szpitalnych (dla tych, co zachorowali i są leczeni, by można ich było stracić) i sześć cel „ostatniej chwili”, nazwanych także „salą tańca”, gdzie umieszcza się ofiary rankiem dnia stracenia. Obok tych dwudziestu siedmiu klatek prowadzi korytarz do pomieszczenia, które z lękiem nazywane bywa jedynie „Z tamtej strony”...

Tu, moi panowie, możecie ujrzyć to słynne krzesło, które jednoczy w sobie ducha średniowiecza z największym wynalazkiem nowoczesnym — elektrycznością. Na krześle tym — możecie na nim spokojnie usiąść, prąd nie jest włączony — na tym krześle siedziało już wiele mężczyzn i kobiet.

7 lipca 1891 r. pierwszy został stracony w Sing Sing Harry A. Smiler, od tego czasu wykonane tu wyroki doszły do liczby 293; między straconymi był jeden ślepy, dwóch o jednej nodze (jeden z nich zapisał swą protezę jakiemuś szczególnie wrogo usposobionemu doń urzędnikowi sądowemu z życzeniem, by wkrótce musiał ją nosić), wiele kobiet (niedawno pani Snycler ze swym kochankiem Greyem), kapłan niemiecki, nazwiskiem Hans Schmidt, bracia Morris, Józef Diamond i wspólnik ich Giovanni Farina, którzy zastrzelili w Brooklynie inkasenta bankowego, rabując 44 000 dolarów, Marta Palce, czarująco piękna mężobójczyni.

Najwybitniejszym skazańcem był szef nowojorskiej policji kryminalnej, porucznik Karol Becker, który najął czterech opryszków, każąc im 13 lipca 1913 roku zastrzelić właściciela klubu karcianego, Rosenthala, gdyż ten ostatni ogłosił dnia tego w „World” zaprzysiężone wyjaśnienie, że pan szef miał dwudziestoprocentowy udział w zyskach potajemnego domu hazardu...

Na drzwiach „Sali tańca” widnieje słowo „Cisza”. Jest to jedyne słowo, które można ujrzyć w tej sali, nie słyszy się zaś żadnego. Na czterech rzędach ławek siedzi dwunastu świadków, dwanaście spluwaczek stoi na wypadek, iż ktoś ze świadków dojdzie do przekonania, że żyje w dwudziestym wieku...

Tracenie elektrycznością odbywa się tu około jedenastej w nocy w czwartki, żeby w razie nieprzewidzianej przeszkody pozostały jeszcze trzy dni do wykonania wyroku sądowego: „Pozbawić życia w tygodniu, rozpoczynającym się od poniedziałku, dnia...”

Skazaniec siada zatem na krześle, jak wy teraz siedzicie. Umocowane są do niego taśmy skórzane, którymi opasuje się klatkę piersiową, nogi i ręce człowieka, co trwa zaledwie minutę przy pomocy trzech wprawnych dozorców więziennych. Równie szybko przytwierdza się kontakt do jego prawej nogi; drugi umieszczony jest na огоłonej dziś potylicy, podczas gdy na twarz, zwilżoną słoną wodą, nakłada się skórzaną maskę.

Wtedy nasz lekarz naczelny, dr Sweet, daje znak człowiekowi w okienku.

Człowiek w okienku, Mr. Robert Elliot z Long Island. Ma niezłe wynagrodzenie — 150 dolarów za każde stracenie — za jeden ruch dźwigni. Jest przy tym katem wielu stanów. Zgładził on też Sacco i Vanzetti’ego. To było jednak złym interesem, gdyż przed paru miesiącami obrzucono za to dom jego bombami i zrównano z ziemią.

Jego zadaniem jest tylko opuszczenie dźwigni, przez co powstaje prąd o napięciu 2000 wolt, obniżanym do 150 i znów podniesionym do 2000. Po dwóch minutach dr Sweet daje znak Mr. Elliotowi, który wyłącza prąd.

Któż wynalazł to tracenie elektrycznością? Któż, jak nie Edison, ten stary czarownik. Ale jak stało się ono urządzeniem państwowym, to już jest historia czysto amerykańska, ha, ha, ha, manewr konkurencyjny. W ósmym dziesiątku ubiegłego wieku Edison chciał

<sup>442</sup>*condemned cells* (ang.) — cele skazańców. [przypis edytorski]

wprowadzić oświetlenie elektryczne prądem o słabym napięciu, co było bardzo kosztowne; używany przez Jerzego Westinghouse'a prąd zmienny o wysokim napięciu wypadł znacznie taniej.

Zagrożone towarzystwo „Edison” wskazało na niebezpieczeństwa używania silnego napięcia i nastawało na zabronienie tegoż. Wysłało nawet swego urzędnika, Heralda P. Browna do Albany, stolicy stanu Nowy Jork. Mr. Brown uśmiercał tam publicznie konie, psy, koty i króliki przez zetknięcie z aparatem konkurencji.

W końcu Edison Company wymogło ogłoszenie prawa, że wszelkie stracenia w Stanie Nowy Jork odbywać się będą nie za pomocą stryczka, lecz prądem o wysokim napięciu; przez to zostało wszystkim naocznie przedstawione niebezpieczeństwo systemu Westinghouse. *Business as usual*<sup>443</sup>.

Skazaniec nie żyje i zostaje przeniesiony do sali sekcyjnej, gdzie lekarze stwierdzają, co może stać się w ciągu dwóch minut ze zdrowym, żyjącym człowiekiem.

Obok, moi panowie, mieści się trupiarnia z sześciu marami. Co to za skrzynka? To trumna. Krewni straconego mogą zabrać ciało; gdy nie czynią tego, grzebie się je w Ossining, bez krzyża i bez nazwiska.

To wszystko, co jest godne widzenia w Sing Sing. Polecam wam rzucić raz jeszcze spojrzenie na majestatyczną Hudson, grającą w piłkę z lśniącymi opalami obłoków, na słońce, zachodzące za wspaniałymi skalnymi murami, gdzie promienięją lasy, wszystko dyszy ciszą i spokojem. Jak przyjemnie jest żyć.

## PRZEŻYTE MIĘDZY HOLLYWOOD I SAN FRANCISCO

Nigdy nie otrzymasz, Inez, listu, który teraz do Ciebie piszę. Treść jego znasz równie dobrze, jak ja, wszak przeżyliśmy ją razem, o tajemnicy zaś, którą kryję przed tobą, nigdy się nie dowiesz. Gorzkie byłoby dla ciebie jej poznanie — żałowałabyś naszego tygodnia.

Zaprowadziłaś mnie do miasta, które kochasz, oprowadzałaś mnie po nim, wyprowadziłaś z niego i znowu wróciłaś tam. Muszę mówić o nim, gdyż to jest moim celem i zadaniem, Ty zaś żądałaś tego; tam, w górze, w parku Lincolna, na porośniętym trawą urwisku, patrząc na płynny kobalt i na pozłocisty brzeg, chwyciłaś mnie nagle za rękę: „Życzliwie napiszesz o San Francisco, wszak prawda?”

Nie powiedziałaś tego właściwie z myślą o San Francisco, jasne było dla Ciebie, nawet w chwili wzruszenia, że to miasto nie potrzebuje moich pochwał, że przez większych było już opiewane... Są więksi, wiesz o tym, Inez, i źle postąpiłaś w stosunku do siebie, a dobrze w stosunku do mnie i do nas obojga, mimo to jednak źle dla siebie; jest to jednak aluzja, której nie zrozumiesz, i nie będziemy już więcej o tym mówić!

Znowu siedzę na porośniętym trawą urwisku z notesem i wiecznym piórem w ręku, w dole widnieje płynny kobalt, w górze pozłocisty brzeg, a poza mną miasto, które kochasz i o którym napiszę życzliwie, dobrze? Tobie zawdzięczam poznanie tego miasta. Właściwie miałem zamiar udać się do Chicago. W środę wieczór odezwaliśmy się do Ciebie w Los Angeles, na rogu Spring Street i Fifth, przyjaciel mój i ja. Poszłaś pogardliwie dalej, przyspieszając kroku, chciałaś przejść przez ulicę, ale policjant zawołał do Ciebie „stop”. „Widzi pani” — powiedzieliśmy. Uśmiechnęłaś się i poszłaś z nami do hiszpańskiej restauracji.

Następnego dnia spotkaliśmy się w cukierni — tylko we dwoje, gdyż mój przyjaciel nie miał czasu — zauważył, że pociągam Cię bardziej — i powiedziałaś tam: „Dobrze, a teraz jadę do Oakland”. — „Ja zaś — rzuciłem, nie mając pojęcia, gdzie leży Oakland — towarzyszę pani”.

I oto jechaliśmy w Twym małym aucie przez wieczór, noc i rano następnego dnia, na północ brzegiem Pacyfiku przez połowę Kalifornii, drogą konkwistadorów, misjonarzy, meksykańskich żołnierzy i poszukiwaczy złota. Księżyc świecił, a Tyś robiła 45 mil na godzinę, czasem mniej, a raz zatrzymałaś nawet auto, Inez.

A przy tym podczas tych piętnastu godzin znaleźliśmy czas na rozmowę. Hacjenda Twego ojca w południowej Kalifornii byłaby piękna, gdybyś nie tęskniła do miasta, w którym urodziłaś się. Na szczęście, masz zamężną siostrę w Oakland, można co trzy lub cztery miesiące wziąć wóz i odwiedzić ją. W Los Angeles zażywasz przez dzień lub

<sup>443</sup>*business as usual* (ang.) — jak zwykle interes. [przypis edytorski]

dwa wytchnienia, aby zakosztować samotności w mieście, a Oakland, och, Oakland jest wprawdzie najwstrętniejszym zakątkiem kuli ziemskiej, ale jednocześnie czymś przepięknym — przedmieściem San Francisco. „San Francisco spodoba Ci się, pokażę Ci miasto”.

Pozostałaś w Oakland, a mnie przewiózł prom przez złotą zatokę, pomiędzy drapacze nieba, wznoszące się na zielonych pagórkach, pomiędzy malownicze czółna włoskich rybaków.

Wysiadłem na Ferry Building, gdzie co rano czekałem na Ciebie. Młodzież umawiała się tam na *hiking* — wycieczki w góry kalifornijskie z tamtej strony zatoki; dziewczęta nosiły bryczesy, jak Ty w aucie, Inez.

Piękne jest miasto, które kazałaś mi chwalić!

Równe, szerokie ulice przecina co pięćdziesiąt kroków prostopadła przecznica. Przez te miejskie ścieżki górskie śmiga w górę i w dół kolej linowa; kolejka górską w lunaparku jest przy niej stolnicą do makaronów. Miasto co chwila wspina się i opada, jakby pod nim szalało jeszcze trzęsienie ziemi.

Pierwszy wieczór na Market Street. Tłum ludzi. Dentysta przyjmujący publicznie. Okulista czyniący to samo. Skrzące się, jaskrawe światła. Sklepy jubilerskie. Domy mód. Sklepy z obuwem. Bary. Kwiatciarze na wszystkich rogach. Kobiety. Teatry. Variétés. Byliśmy w kinie, które kochasz namiętnie, płakałaś ze śmiechu na widok Chaplina w *Pielgrzymie* i śmiałaś się z płaczem z gry Dolores del Rio w *Poszukiwaczach złota*. Potem pokazałaś mi miejsce, na rogu Steuart Street, gdzie stałaś jako dziecko w lipcu 1916 roku. Wtedy rzucono bombę w pochód imperialistyczny, który miał głosić, że cała Ameryka jest jednogłośnie za wzięciem udziału w wojnie światowej.

Ręka w rękę waleśaliśmy się po dzielnicy chińskiej, nie tylko po Grant Avenue. Wtedy przekazano Chińczykom jedną z najpiękniejszych nowych, szerokich ulic, gdy zburzone w 1906 roku miasto odbudowało się na nowo. „Przeklęty Chińczyk”, któremu legalnie nie wolno przybyć do Stanów i któremu odmawia się prawa nabycia obywatelstwa, od dawna już jest atrakcją miasta i źródłem dochodów San Francisco; obecnie robi się z „Johna Chinaman” reklamę dla cudzoziemców; nie marzył na pewno o tym, przekradając się z bliskiego Zachodu (który dla reszty świata jest dalekim Wschodem) na najbliższy brzeg!

Ulice z pagodami. W wystawach widać skrobaczki z kości słoniowej, filiżanki do herbaty z podstawkami, tabakierki ze szkła, malowanego wewnątrz, brązowe fidibusy do fajek wodnych, wazy, wachlarze i gongi, dobrobyt bożków, pałeczki do jedzenia, porcelanowe talerze z uszkami dla prętów bambusowych, obrączki, mydło, ryby, orzechy włoskie, cukierki i trzcinę cukrową! Właściciele sklepów przesiadują pod wyrzeźbionymi z drzewa połączanymi girlandami przed maszyną rachunkową.

Później zrobiło się późno w nocy, a potem jeszcze później. Gdy opowiadałem o sobie i wyjąłem z szafy swoje świadectwo marynarskie, tupnęłaś z radości nogą: „to ja lubię!”. Ucieszyłem się i ja z tego, gdyż my, mężczyźni, sądzimy, że gdy spodobamy się kobiecie, to gra tu rolę jakiś jej osobliwy instynkt. Ale przyszła mi na myśl tajemnica — tajemnica, która pali mi serce i której wyznać Ci nie mogę, Inez.

W niedzielę spacerowaliśmy po Sutter Street i mówiłaś o pewnym antykwariuszu, weteranie literatury i socjalizmu kalifornijskiego. W Parku Lincolna usiedliśmy na porośniętą trawą stoku ponad płynnym kobaltem rzeki, naprzeciw złotego brzegu, tu, gdzie teraz siedzę i piszę do Ciebie, gdzie schwyciłaś mnie wtedy za rękę.

„Życzliwie napiszesz o San Francisco, dobrze?”

W poniedziałek przyjechałaś w aucie z Oakland, czekałem znowu przed Ferry Building i poprowadziłaś wóz do Palo Alto. Pokazałaś mi audytorium, gdzie z zespołem stanfordzkiego uniwersytetu broniłaś przeciwko zespołowi uniwersytetu Princetown tezy, że państwo nie powinno cenzurować artykułów dziennikarskich o kryminalnych aferach. Natychmiast odnalazłbym sypialnię w Robbie Hall Quart, gdzie mieszkałaś jako studentka, i dom korporacji „Kapa-Delta”, której byłaś członkinią.

We wspomniałym kościele opowiadałaś mi, że uniwersytet został ufundowany ku pamięci zmarłego piętnastoletniego synka multimilionera<sup>444</sup>. Ojciec, król kolejowy, zapytał

<sup>444</sup>uniwersytet został ufundowany ku pamięci zmarłego piętnastoletniego synka multimilionera — Stanford University został założony przez byłego gubernatora Kalifornii, senatora Lelanda Stanforda i jego żonę Jane Lathrop Stanford w 1891 r. na cześć zmarłego w 1884 na dur brzuszny dwa miesiące przed swymi szesnastymi urodzinami syna, Lelanda Stanforda juniora. Stanfordinie twierdząc, że nic więcej nie mogą dla niego zrobić,

pewnego profesora, wiele kosztowałoby założenie uniwersytetu. „Trzydzieści milionów dolarów” — brzmiała odpowiedź. „*It's all right*” — rzekł Mr. Stanford i zwrócił się do swej żony: „Zrobimy to?” W ten sposób powstają w Ameryce wyższe uczelnie — o dziesięć minut drogi dalej jest druga — ta w Santa Clara, znów o dziesięć minut dalej dwie inne w San Jose, metodystyczny uniwersytet Pacyfiku i katolicki Notre Dame College.

Przed willą Mr. Herberta Hoovera umocowana była lina „*No thoroughfare*”<sup>445</sup>, skierowaliśmy się przez ogród owocowy, gdzie kwitły drzewa migdałowe. Pokazałaś mi ławkę, na której podczas pewnej *necking-party* Twój przyjaciel chciał być czuły, a Ty stamtąd uciekałaś. „I ja, głupia, czekałam na Ciebie” — „Czy żałujesz tego?” — Roześmiałaś się. „Nie, lubię takich jegomościów. Jesteś bez wątpienia dobrym pisarzem, a nie jakimś pismakiem. Dowiem się o ciebie u doktora Hoffmanna”. O, biada!

A gdybyś poznała tę tajemnicę — Ty, która lubisz „takich jegomościów” — przygoda nasza napelniłaby Cię wstrętem.

Z Tobą i Twoim autem jechałem we wtorek wieczorem promem przez zatokę. Na brzegu zakręciłaś korbą — i nigdy już Cię nie ujrzę, Inez.

Sam idę przez San Francisco, miasto, w którym kolej uliczna chybotrze się nad falami. Odkryłem park, stromo opadający zapuszczony trawnik, Portsmouth Square, gdzie prześiadują Włosi w aksamitnych spodniach, czytając „*Lavoratore*”, i bawią się okrągłogłowe dzieci chińskie, dzika, nędzna okolica obok Sądu Karnego i więzienia. To dobre miejsce — wszędzie na świecie można jeszcze coś odkryć.

Przeszedłem całą milowej długości ulicę Suttera, aby odnaleźć antykwariusza, o którym mi mówiłaś, Inez. I znalazłem go wreszcie. Siwowłose Mac Devitt godzinami całymi opowiadał mi historię miasta, sztuki i walk socjalnych San Francisco. Wyszukał mi broszury i gazety, piszące o pierwszym ruchu robotniczym przeciwko chińskim obniżaczom cen, o gorączce złota 1848 roku, o niemieckim „*Naprzód do Pacyfiku*” i o Tomie Mooney, który z powodu tej bomby na Market Street został skazany na dożywotnie więzienie. Stary księgarz mówił o Ambrożyu Bierce, pocie nietzscheaniście i jego uczniach, którzy stali się podczas wojny nacjonalistami i wszyscy skończyli samobójstwem; Jerzy Sterling i jego pierwsza żona, Jack London, Nora MacFrench. Równie pewien Niemiec amerykańkanizowany poszedł w jego ślady. I on stał się nacjonalistą, aczkolwiek o odwrotnym zabarwieniu; nazywał się Herman Jerzy Scheffauer i był jedynym z tego koła, który nie popełnił samobójstwa. „Myli się pan” — zauważyłem. — „Tak?” — odrzekł Mac Devitt — więc i ten również!”

Wiele opowiadał Mac Devitt o swym przyjacielu, Jacku Londonie.

Czy wiesz, Inez, że Jack London mieszkał w Oakland i był tam socjalistycznym kandydatem? Teraz mniej odrażającym wydaje mi się to miasto, którego światła lśnią wieczorem nad zatoką. Ale Ty nie przybędziesz już do mnie rankiem.

Mac Devitt pokazał mi wydartą ze sztambuchu kartkę z wierszem Swinbourne’a, przepisany przez Jacka Londona. „Dla Doroty” — widnieje na niej; są to wiersze, które odegrały taką rolę w miłości młodego Martina Edena do córki burżuazji.

Mac Devitt odnalazł niedawno pierwszą drukowaną nowelę Londona *Dwie złote cegielki* — autor nie dowiedział się nigdy, że ukazała się ona w druku, gdyż wyjechał do Klondyke wkrótce po posłaniu jej.

„Jack London jako młody chłopak — opowiadał antykwariusz — miał zwyczaj prześiadywać na Portsmouth Square, gdzie było również ulubione miejsce Jerzego Louisa Stevensona. „Gdzie?” — „Na Portsmouth Square — stromo opadający trawnik za Sądem Karnym i więzieniem. Ale Stevenson i Jack nie znali się wzajemnie”. O, szatani, nic już nie można nigdzie odkryć na świecie!

Czy wiesz, Inez, że z pewnością przedstawiłbym ich sobie — jest to mój zawód tu na ziemi chociaż daleko mi do nich, bardzo daleko, w to możesz uwierzyć. Zresztą to jest na pewno dla Ciebie obojętne.

Och, gdyby nie było między nami tej tajemnicy! Gdybyś przeczytała ten list, roześmiałaśbyś się: „Jakaż to tajemnica? Żadna tajemnica nie może mi odebrać radości naszego tygodnia!” Tak. Cóż by Cię mogło obchodzić, dziewczę z Savannah, czy jestem żonatym

postanowili uczynić Stanford juniora patronem uniwersytetu, „aby dzieci Kalifornii były naszymi dziećmi”. Akt założenia pochodzi z 1885 r., uniwersytet został otwarty 1 października 1891 r. [przypis edytorski]

<sup>445</sup>*no thoroughfare* (ang.) — przejście wzbronione. [przypis edytorski]

i ojcem dziesięciorga dzieci, czy też syfilitykiem, złodziejem kieszonkowym, czy czymś w tym rodzaju, czy nigdy nie byłem pisarzem i nigdy marynarzem nic by to nie zakłóciło szczęścia naszych sześciu dni!

Sądzę jednak, Inez, że zabolaloby Cię, gdybyś usłyszała, że przyjacielem moim, z którym zaczepiłem Cię w Los Angeles i od którego mnie wolałaś — był Charlie Chaplin.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kisch-raj-amerykanski/>

Tekst opracowany na podstawie: Egon Erwin Kisch, *Raj amerykański*, tł. E. Grodzki, Wydawnictwo Współczesne, Warszawa 1931; Egon Erwin Kisch, *Targ Świata*, tłum. E. Grodzki, Wydawnictwo Współczesne, Warszawa 1931.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Alicja Rodziewicz, Dominika Malinowska, Natalia Goździak, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-7083-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).